



ARTEMIS FOWL PARADOKS CZASU

Wydano z pomocą finansową
Ireland Literature Exchange
(Fundusz Promocji Tłumaczeń), Dublin, Irlandia.
www.irelandliterature.com
info@irelandliterature.com

Tytuł oryginału: *Artemis Fowl and The Time Paradox*
Copyright © Eoin Colfer, 2008 All Rights Reserved
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

*Dla Grace,
nowej córki, wnuczki,
siostrzenicy i kuzynki*

PROLOG

Dwór Fowlów, Dublin, Irlandia

Ledwie godzinę drogi na północ od zacnego miasta Dublin leży posiadłość Fowlów, której granice od pięciuset lat pozostają niemal niezmienione.

Z głównej drogi nie widać dworu, przesłoniętego kępą dębów oraz równoległobokiem wysokiego kamiennego muru. Bramy wykonane są ze wzmocnionej stali, na słupach zamontowano kamery. Gdyby pozwolono wam przekroczyć te wrota, dyskretnie podłączone pod wysokie napięcie, znaleźlibyście się na żwirowej alejce, wijącej się łagodnie przez teren, który niegdyś był wypielegnowanym trawnikiem, teraz jednak pozwolono mu przerodzić się w dziki ogród.

Blżej samego dworu drzewa rosną gęściej. Strzeliste dęby i kasztanowce mieszają się z delikatniejszymi jesionami i wierzbami. Jedyne oznaki, że ktoś dba o posesję, to oczyszczony z chwastów podjazd oraz

świejące w górze lampy, zawieszane na niewidocznych przewodach.

Na przestrzeni wieków Dwór Fowlów był miejscem wielu niezwykłych wydarzeń. Ostatnimi laty przygody te nabrały nieco bardziej magicznego charakteru, chociaż przed większością członków rodziny Fowlów fakt ten zatajono. Nie mają oni pojęcia, że główny hol uległ całkowitemu zniszczeniu, kiedy Lud Wrózek wysłał trolla do walki z Artemisem, najstarszym synem rodziny i przestępczym geniuszem. Chłopiec liczył sobie wówczas dwanaście lat. Dziś jednak wszystko, co odbywa się w posiadłości, ma charakter całkowicie legalny. Siły specjalne wrózek nie szturmują murów. W piwnicy nie więzi się elfich policjantek. Nie pozostał nawet ślad po centaurze dostrajającym aparaturę nasłuchową bądź uruchamiającym skaner termiczny. Artemis zawarł pokój z Ludem Wrózek i zaprzyjaźnił się z jego przedstawicielami.

Choć działalność przestępcza Artemisa przyniosła mu znaczne zyski, koszty były jeszcze wyższe. Jego intrygi stały się dla jego najbliższych powodem rozpaczy, uszkodzeń ciała, a nawet porwania. Przez ostatnie trzy lata rodzice myśleli, że chłopak nie żyje, podczas gdy on walczył z demonami w Przedpiekle. Po powrocie Artemis ze zdumieniem stwierdził, że świat poszedł naprzód bez niego, natomiast on został starszym bratem dwuletnich bliźniaków, Becketta i Mylesa.



ESPRESSO I MELASA

Artemis siedział naprzeciw Becketta i Mylesa w fotelu obitym brunatnoczerwoną skórą. Matka leżała w łóżku, dotknięta lekką grypą, ojciec wraz z lekarzem byli w jej pokoju, dlatego Artemis pomagał w zabawianiu maluchów. A czy może być lepsza zabawa niż odrobina nauki?

Postanowił ubrać się niezobowiązująco – w błękitną koszulę z jedwabiu, jasnoszare wełniane spodnie oraz mokasyny od Gucciego. Czarne włosy odgarnął z czoła i przybrał radosną minę, która, jak słyszał, pozytywnie działa na dzieci.

– Artemis musi do łazienki? – zastanawiał się Beckett, który siedział w kucki na tunezyjskim dywanie, ubrany jedynie w ubrudzony trawą podkoszulek, naciągnięty aż na kolana.

- Beckett - oznajmił z dumą, całkiem już zapomniawszy o robakach.

Myles westchnął.

- Pół-główka.

Artemis zaczynał żałować, że zarządził tę lekcję, ale skoro już to zrobił, nie zamierzał się wycofywać.

- Mylesie, nie nazywaj brata półgłówkiem.

- To nic. On to lubi. Jesteś pół-główka, prawda, Beckett?

- Beckett pół-główka - przyznał malec z radością.

Artemis zatarł ręce.

- Dobrze, bracia. Do dzieła. Wyobraźcie sobie, że siedzicie w kawiarni na Montmartrze.

- W Paryżu - dodał Myles, z samozadowoleniem poprawiając fular, który pożyczył od ojca.

- Tak, w Paryżu. Choćbyście się bardzo starali, nie możecie zwrócić na siebie uwagi kelnera. Co robicie?

Malcy patrzyli na niego tępo i Artemis zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził z poziomem lekcji. Ulżyło mu, choć też nieco się zdziwił, gdy w oczach Becketta pojawiła się iskierka zrozumienia.

- Yy... mówimy Butlerowi, żeby mu hop-hop-hop po głowie?

Myles był pod wrażeniem:

- Zgadzam się z półgłówką.

- Nie! - zawołał Artemis. - Po prostu unosicie palec i mówicie: *Ici, garçon*.

- Co wisi?

- Co? Nie, Beckettcie, nic nie wisi.

Artemis westchnął. To było wręcz niemożliwe. Niemożliwe! A przecież nawet jeszcze nie wprowadził fiszek ani nie użył nowego wskaźnika laserowego, którym, w zależności od ustawienia, można było podświetlić słowo albo przepalić na wylot kilka stałych płytek.

- Spróbujmy. Unieście palec i powiedzcie: *Ici, garçon*. Wszyscy razem...

Chłopcy wykonali polecenie, chcąc zadowolić obłąkanego brata.

- *Ici, garçon* - wyrecytowali chórem z pulchnymi paluszkami w górze.

Zaraz potem Myles szepnął do brata bliźniaka:

- Artemis pół-główka.

Starszy brat uniósł rękę.

- Poddaję się. Wygraliście. Nie będzie lekcji. Może porysujemy?

- Doskonale - powiedział Myles. - Ja namaluję mój słoik z pleśnią.

Beckett był podejrzliwy:

- Nie będę się uczył?

- Nie - odparł Artemis. Czule zmierzwił włosy brata i zaraz tego pożałował. - I tak niczego nie zapamiętasz.

- Dobrze. Teraz Beckett szczęśliwy. Patrz.

Chłopiec ponownie wskazał palcem na siebie, a konkretnie na swój szeroki uśmiech.

Trzej bracia leżeli wyciągnięci na podłodze, upapranii po łokcie plakatówkami, kiedy do pokoju wszedł

- Nic, Beckettcie - odparł starszy brat promiennie.
- Ja tylko się uśmiecham. A czy ty przypadkiem nie powinieneś mieć pieluchy?

- Pielucha! - parsknął Myles, który nauczył się korzystać z toalety w wieku czternastu miesięcy, budując sobie schodki z tomów encyklopedii, by dosięgnąć deski sedesowej.

- Pielucha nie! - nadąsał się Beckett, uderzając rączką muchę, która bzyczała wśród jego lepkich blond loków. - Beckett nie lubi pieluchy.

Artemis wątpił, by niania mogła nie założyć jej maluchowi, i przez moment zastanawiał się, gdzie też owa pielucha może się teraz podziewać.

- Dobrze, Beckettcie - ciągnął chłopak. - Chwilowo odłóżmy na półkę kwestię pieluchy i przejdźmy do dzisiejszej lekcji.

- Czekolada na półkach - oznajmił Beckett, wyciągając rączki, by dosięgnąć wymyślanego smakołyku.

- Tak, świetnie. Czasem na półkach jest czekolada.

- I espresso - dodał Beckett, który miał dziwne gusta, w tym skłonność do espresso z torebki oraz melasy. Najlepiej w jednej filiżance.

Raz udało mu się pochłonąć kilka łyżek tej mikstury, nim zdołano mu ją wyrwać. Nie spał potem przez dwadzieścia osiem godzin.

- Artemisie, możemy się nauczyć nowych słów? - spytał Myles, który chciał czym prędzej wrócić do swego pokoju i do słoika z pleśnią. - Robię sperymenty z Profesorem Naczelnym.

Profesor Naczelnny był wypchaną małpą, i niekiedy również laboratoryjnym asystentem Mylesa. Pluszak spędzał większość czasu wciśnięty w zlewkę ze szkła borokrzemianowego na stole „sperymentalnym”. Artemis przeprogramował małpkę, tak by reagowała na głos Mylesa dwunastoma różnymi zwrotami, w tym: „To żyje! To żyje!” oraz: „Ten dzień przejdzie do historii, profesorze Mylesie”.

- Wkrótce będziesz mógł wrócić do laboratorium - odrzekł z aprobatą Artemis. Myles był ulepiony z tej samej gliny co on sam, urodzony naukowiec.
- Dobrze, chłopcy. Uznałem, że dziś powinniśmy się zmierzyć z kilkoma wyrażeniami gastronomicznymi.

- Smarki wyglądają jak robaki - stwierdził Beckett, który łatwo zbaczał z tematu.

Artemisa ta uwaga niemalże wytrąciła z równowagi. Robaki na pewno nie figurowały w menu, choć ślimaki może i owszem.

- Zapomnij o robakach.

- Zapomnieć o robakach! - powtórzył przerażony Beckett.

- Tylko na chwilę - wyjaśnił uspokajająco Artemis.
- Kiedy skończymy naszą grę słowną, będziesz mógł myśleć, o czym tylko zechcesz. A jeśli bardzo dobrze się spiszesz, może zabiorę cię do koni.

Jazda konna była jedyną formą aktywnego wypoczynku, która odpowiadała Artemisowi. Głównie dlatego, że to zwierzę wykonywało większość roboty.

Beckett wskazał na siebie.

- Beckett - oznajmił z dumą, całkiem już zapomniawszy o robakach.

Myles westchnął.

- Pół-główka.

Artemis zaczynał żałować, że zarządził tę lekcję, ale skoro już to zrobił, nie zamierzał się wycofywać.

- Mylesie, nie nazywaj brata półgłówkiem.

- To nic. On to lubi. Jesteś pół-główka, prawda, Beckett?

- Beckett pół-główka - przyznał malec z radością.

Artemis zatarł ręce.

- Dobrze, bracia. Do dzieła. Wyobraźcie sobie, że siedzicie w kawiarni na Montmartrze.

- W Paryżu - dodał Myles, z samozadowoleniem poprawiając fular, który pożyczył od ojca.

- Tak, w Paryżu. Choćbyście się bardzo starali, nie możecie zwrócić na siebie uwagi kelnera. Co robicie?

Malcy patrzyli na niego tępo i Artemis zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził z poziomem lekcji. Ulżyło mu, choć też nieco się zdziwił, gdy w oczach Becketta pojawiła się iskierka zrozumienia.

- Yy... mówimy Butlerowi, żeby mu hop-hop-hop po głowie?

Myles był pod wrażeniem:

- Zgadzam się z półgłówką.

- Nie! - zawołał Artemis. - Po prostu unosicie palec i mówicie: *Ici, garçon*.

- Co wisi?

- Co? Nie, Becketcie, nic nie wisi.

Artemis westchnął. To było wręcz niemożliwe. Niemożliwe! A przecież nawet jeszcze nie wprowadził fiszek ani nie użył nowego wskaźnika laserowego, którym, w zależności od ustawienia, można było podświetlić słowo albo przepalić na wylot kilka stałych płytek.

- Spróbujmy. Unieście palec i powiedzcie: *Ici, garçon*. Wszyscy razem...

Chłopcy wykonali polecenie, chcąc zadowolić obłąkanego brata.

- *Ici, garçon* - wyrecytowali chórem z pulchnymi paluszkami w górze.

Zaraz potem Myles szepnął do brata bliźniaka:

- Artemis pół-główka.

Starszy brat uniósł rękę.

- Poddaję się. Wygraliście. Nie będzie lekcji. Może porysujemy?

- Doskonale - powiedział Myles. - Ja namaluję mój słoik z pleśnią.

Beckett był podejrzliwy:

- Nie będę się uczył?

- Nie - odparł Artemis. Czule zmierzwił włosy brata i zaraz tego pożałował. - I tak niczego nie zapamiętasz.

- Dobrze. Teraz Beckett szczęśliwy. Patrz.

Chłopiec ponownie wskazał palcem na siebie, a konkretnie na swój szeroki uśmiech.

Trzej bracia leżeli wyciągnięci na podłodze, upaprani po łokcie plakatówkami, kiedy do pokoju wszedł

ojciec. Wyglądał na zmęczonego opieką nad żoną, ale poza tym był zdrowy i silny. Pomimo że miał sztuczną biohybrydową nogę, poruszał się jak sportowiec. Kończyna składała się z przedłużonej kości, tytanowej protezy oraz czujników-implantów, dzięki którym impulsy nerwowe mogły nią poruszać. Czasem pod koniec dnia Artemis senior korzystał z żelowego woreczka, który rozgrzewał w mikrofalówce. Pomagał na sztywność. Poza tym jednak zachowywał się tak, jakby nowa noga była jego własną.

Artemis podniósł się na kolana, umazany i ociekający farbą.

- Dałem spokój francuskim słówkom i postanowiłem się z nimi pobawić. - Uśmiechnął się szeroko, wycierając dłonie. - W gruncie rzeczy to dość wyzwalające. Zamiast nauki malujemy palcami. Próbowałem przemycić drobny wykład na temat kubizmu, ale w podzięce za te wysiłki zostałem tylko ochlpany.

Artemis spostrzegł, że ojciec nie jest po prostu zmęczony. Był zatroskany.

Chłopiec zostawił bliźniaków i wraz z Artemisem starszym podszedł do sięgającej sufitu biblioteczki.

- Co się stało? Czy grypa mamy się nasiliła?

Ojciec oparł dłoń o drabinę na kółkach, żeby odciążyć protezę. Miał dziwną minę. Chłopiec chyba nigdy takiej nie widział.

Zrozumiał, że to coś więcej niż zatroskanie. Artemis Fowl senior się bał.

- Tato?

Artemis starszy ścisnął szczelbel drabiny z taką siłą, że aż skrzypnęło drewno. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale po chwili najwyraźniej zmienił zdanie.

Teraz to syn zaczynał się martwić.

- Tato, musisz mi powiedzieć.

- Oczywiście - odparł mężczyzna. Wzdrygnął się, tak jakby właśnie przypomniał sobie, gdzie się znajduje. - Muszę ci powiedzieć...

Wtedy z oka spłynęła mu łza. Kapnęła na koszulę, która w tym miejscu zrobiła się bardziej granatowa.

- Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem twoją matkę - powiedział. - Bawiłem w Londynie na prywatnym przyjęciu w restauracji „Bluszcz”. Sala pełna łajdaków, a ja byłem największym z nich. Arty, ona mnie zmieniła. Złamała mi serce, a potem znów je zlepiła. Angelina uratowała mi życie. Teraz...

Artemis poczuł, jak z nerwów robi mu się słabo. Krew szumiała mu w uszach jak fale Atlantyku.

- Tato, czy mama umiera? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

Ta myśl zdawała się niedorzeczna. Niemożliwa.

Ojciec zamrugał, jakby budził się ze snu.

- Nie, jeśli mężczyźni z rodu Fowlów mają w tej sprawie coś do powiedzenia, prawda, synu? Pora, żebyś pokazał, ile jesteś wart. - W oczach Artemisa seniora lśniła desperacja. - Cokolwiek będziemy musieli zrobić, synu. Czegokolwiek będzie trzeba.

Artemis poczuł, jak narasta w nim panika.

Cokolwiek będziemy musieli zrobić?

Spokojnie, powiedział sobie. Masz moc, żeby to naprawić. Nie znał jeszcze wszystkich faktów, miał jednak silne przekonanie, że cokolwiek dolega matce, można to wyleczyć odrobiną magii wróżek. On był zaś jedynym człowiekiem na ziemi, w którego organizmie krążyła taka magia.

- Tato - odezwał się łagodnie - czy lekarz już wyszedł?

Artemis senior przez chwilę jakby się głowił nad tym pytaniem, po czym wreszcie sobie przypomniał.

- Czy wyszedł? Nie. Jest w holu. Pomyślałem, że pewnie chciałbyś z nim porozmawiać. Na wypadek, gdybym przeoczył jakieś pytanie...

Artemis był tylko z lekka zaskoczony, gdy w holu zamiast lekarza rodzinnego zastał doktora Hansa Schalkego, czołowego europejskiego eksperta od chorób rzadkich. To oczywiście, że ojciec posłał po Schalkego, kiedy stan zdrowia Angeliny Fowl zaczął się pogarszać. Lekarz czekał pod kunsztownie zdobionym herbem Fowlów. U jego stóp niczym ogromny żuk spoczywała duża torba z twardej skóry. Właśnie zawiązywał pasek szarego prochowca i ostrym tonem mówił coś do swej asystentki.

U doktora wszystko było ostre, poczynając od trójkąta włosów pomiędzy głębokimi zakolami, aż do kanciastych krawędzi kości policzkowych oraz nosa. Niebieskie oczy Schalkego powiększały dwa owale ciętego szkła okularów. Jego usta przekrzywiały się z lewa na prawo, a przy mówieniu niemal się nie poruszały.

- Wszystkie symptomy - mówił z niezbyt silnym niemieckim akcentem. - We wszystkich bazach danych, rozumiesz?

Jego asystentka, drobniutka młoda dama w kosztownym szarym kostiumie, pokiwała głową, wystukując polecenia na dotykowym ekranie smartfonu.

- Uniwersyteckich też? - spytała.

- We wszystkich - odparł Schalke, podkreślając te słowa zniecierpliwionym ruchem głowy. - Czy nie mówiłem, że we wszystkich? Czy nie rozumiesz mojego akcentu? Czy to dlatego, że jestem z Niemiec przybyły?

- Przepraszam, panie doktorze - powiedziała asystentka ze skruchą. - Oczywiście, sprawdzę.

Artemis podszedł do doktora z wyciągniętą dłonią. Lekarz nie odwzajemnił gestu.

- Możliwość zarażenia, paniczku Fowl - powiedział bez cienia współczucia. - Jeszcze nie stwierdziliśmy, czy dolegliwość pańskiej matki jest zakaźna.

Artemis zwinął palce w pięść i schował ją za plecami. Oczywiście lekarz miał rację.

- Nie spotkaliśmy się wcześniej, doktorze. Czy byłby pan łaskaw opisać objawy występujące u mojej mamy?

Lekarz sapnął ze złością.

- Dobrze, młody człowieku, ale nie przywykłem do obcowania z dziećmi, więc powiem bez owijania w bawełnę.

Artemis przełknął ślinę. Nagle zrobiło mu się sucho w ustach.

Bez owijania w bawełnę.

- Stan pańskiej matki jest zapewne wyjątkowy - rzekł Schalke, gestem pokazując asyście, by się oddaliła i wzięła do roboty. - Z tego, co mogłem stwierdzić, jej narządy przestają działać.

- Które narządy?

- Wszystkie - odparł Schalke. - Muszę tu sprowadzić aparaturę z mojego laboratorium w Trinity College. Pańskiej matki naturalnie nie można przenieść. Moja asystentka Imogen, to znaczy panna Book, będzie jej pilnować do mojego powrotu. Panna Book jest nie tylko moim rzecznikiem, lecz także doskonałą pielęgniarką. Praktyczne połączenie, prawda?

Artemis kątem oka zobaczył, jak panna Book czmychnęła za róg, jękając coś do telefonu. Miał nadzieję, że ta rzeczniczka-pielęgniarka podczas opieki nad jego mamą wykaże się większą pewnością siebie.

- Pewnie tak. Wszystkie narządy? Naprawdę wszystkie?

Schalke nie był skłonny się powtarzać.

- To coś jak toczeń, tylko bardziej agresywny, połączony ze wszystkimi trzema stadiami boreliozy. Obserwowałem kiedyś amazońskie plemię, które wykazywało podobne objawy, ale nie tak poważne. Jeśli stan zdrowia dalej będzie się pogarszał w tym tempie, pańskiej matce zostało jedynie kilka dni. Szczerze mówiąc, wątpię, żebyśmy zdążyli dokończyć badania. Potrzebujemy cudownego lekarstwa, a z mojego bogatego doświadczenia wynika, że cudowne lekarstwa nie istnieją.

- Może jednak gdzieś da się je znaleźć - powiedział Artemis w zamyśleniu.

Schalke podniósł torbę.

- Zaufaj metodom naukowym, młody człowieku - poradził. - Nauka bardziej pomoże pańskiej matce niż jakaś tajemna siła.

Artemis przytrzymał doktorowi drzwi. Patrzył, jak Schalke schodzi po schodach i wsiada do swego starego mercedesa-benza. Auto było szare jak pochmurne niebo.

Nie ma czasu na metody naukowe, pomyślał irlandzki nastolatek. Jedynym rozwiązaniem jest magia.

Kiedy chłopak wrócił do swego gabinetu, ojciec siedział na dywanie, a Beckett wspinał się po jego torsie jak małpka.

- Czy mogę pójść do mamy? - spytał ojca.

- Tak - odrzekł Artemis senior. - Idź do niej. Zobacz, czego możesz się dowiedzieć. Zbadaj jej objawy do swych poszukiwań.

Moich poszukiwań? - pomyślał Artemis. *Nadchodzą ciężkie czasy.*

Ogromny ochroniarz Artemisa, Butler, czekał na chłopca u stóp schodów, ubrany w pełną japońską zbroję kendo. Odsunięta maska odsłaniała ogorzałą twarz.

- Byłem w *dojo* na sparingu z hologramem - wyjaśnił. - Wezwał mnie twój ojciec i powiedział, że jestem natychmiast potrzebny. Co się dzieje?

- Chodzi o mamę - odrzekł Artemis, mijając Butlera. - Jest bardzo chora. Zobaczę, co mogę zrobić.

Brzęcząc napierśnikiem, ochroniarz przyspieszył, aby dotrzymać chłopakowi kroku.

- Ostrożnie, Artemisie. Magia to nie nauka. Nie można nad nią panować. Nie chciałbyś przecież przypadkiem pogorszyć stanu zdrowia pani Fowl.

Artemis dotarł do szczytu głównych schodów. Niepewnie sięgnął ku mosiężnej gałce drzwi sypialni, jakby była pod napięciem.

- Obawiam się, że jej stan nie może się już pogorszyć...

Artemis wszedł do środka sam. Ochroniarza zostawił za drzwiami, by zdjął hełm kendo i napierśnik hon-nuri. Pod spodem, zamiast tradycyjnych spodni o szerokich nogawkach, Butler miał dres. Tors i plecy lepiły mu się od potu, jednak zignorował potrzebę pójścia pod prysznic. Stał na straży pod drzwiami, wiedząc, że nie powinien zbyt usilnie nasłuchiwać, i bardzo tego żałując.

Butler był jedynym człowiekiem poza samym Artemisem, który znał całą prawdę o magicznych eskapadach chłopca. Ramię w ramię ze swym młodym pracodawcą przeżywał przygody oraz walczył z wrózkami i ludźmi na różnych kontynentach. Jednak podróż poprzez czas do Przedpiekła Artemis odbył bez niego i powrócił zmieniony. Młody szef Butlera miał teraz w sobie cząstkę magii i nie chodziło jedynie o lewe, o kasztanowej barwie, oko kapitan Holly Niedużej,

które strumień czasu dał Artemisowi w zamian za jego własne. Podczas podróży z ziemi do Przedpiekła i z powrotem chłopiec zdołał skraść kilka nitek magii wróżkom, których atomy zmieszały się w strumieniu czasu z jego własnymi. Powróciwszy do domu, za pomocą magicznej mesmeryzacji, której nie sposób się oprzeć, Artemis „zasugerował” rodzicom, żeby nie zastanawiali się nad tym, gdzie przebywał przez ostatnich kilka lat. Nie był to zbyt wymyślny plan, jako że wieść o jego zniknięciu trafiła do gazet na całym świecie i stanowiła gorący temat wszędzie, gdzie tylko znaleźli się Fowlowie. Ten fortel musiał jednak wystarczyć, dopóki Artemis nie uzyska dostępu do należącego do SKRZAT sprzętu wymazującego pamięć albo nie skonstruuje własnego. „Zasugerował” więc rodzicom, by w razie pytań odpowiadali, że to sprawa rodzinna, i prosili o uszanowanie prywatności.

Artemis to magiczna istota ludzka, pomyślał Butler. Jedyna na świecie.

Wiedział, że chłopak ma zamiar użyć magii do uleczenia swej matki. To niebezpieczna gra; moc ta nie była częścią natury chłopca. Równie dobrze mógł usunąć jedne objawy i zastąpić je innymi.

Artemis powoli wszedł do sypialni rodziców. Bliźniacy wpadali tu o każdej porze i rzucali się na łóżko z baldachimem, by rozpocząć zapasy z protestującymi rodzicami, jednak sam Artemis nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Jego dzieciństwo upłynęło pod znakiem porządku i dyscypliny.

„Zawsze pukaj przed wejściem – Artemisie, instruował go zawsze ojciec. – W ten sposób okazujesz szacunek”.

Jednak tata się zmienił. Przed siedmiu laty otarł się o śmierć i wtedy zrozumiał, co naprawdę się liczy. Teraz zawsze był gotów przytulać się i tarmosić z ukochanymi synami.

Dla mnie już za późno, myślał Artemis. Jestem za duży, by mocować się z ojcem.

Matka była inna. Zawsze serdeczna, z wyjątkiem napadu depresji, kiedy zaginął Artemis senior. Jednak magia wrózek oraz powrót ukochanego męża uratowały ją i teraz znów stała się sobą. W każdym razie do niedawna.

Artemis powoli przeszedł przez pokój. Bał się tego, co go czekało. Ostrożnie stąpał po dywanie, tak by nie nadepnąć na wzór winorośli.

„Po winorośli nadeptnięciu musisz policzyć do dziewięciu”.

To nawyk z dzieciństwa. Stary przesąd, szeptany przez ojca. Artemis nigdy o nim nie zapominał i kiedy choćby jednym palcem u nogi dotknął winorośli na dywanie, zawsze odliczał do dziewięciu, by przegnać pecha.

Łoże z baldachimem stało w drugim końcu pokoju, otulone kotarami i światłem słońca. Łagodny powiew marszczył jedwabie niczym żagle pirackiego okrętu.

Z krawędzi posłania zwisała ręka matki. Błada i chuda.

Artemisa ogarnęło przerażenie. Jeszcze wczoraj nic jej nie dolegało. Trochę pociągała nosem, ale poza tym była taka jak zwykle – ciepła i roześmiana.

- Mamo - wykrztusił, gdy ujrzał jej twarz, czując się, jakby dostał cios prosto w mostek.

To niemożliwe. W ciągu dwudziestu czterech godzin kobieta stała się niemal szkieletem. Kości policzkowe prawie przebijały skórę, oczy były zapadnięte.

Nie martw się, powiedział Artemis sam do siebie. Za kilka sekund matka znów będzie zdrowa, a wtedy zaczną dociekać, co tutaj zaszło.

Piękne włosy Angeliny Fowl stały się kruche i zmierzwione. Siatka połamanych kosmyków pokrywała poduszkę niczym pajęczyna. Z jej skóry unosił się dziwny zapach.

Lilie, pomyślał Artemis. Słodkie, lecz naznaczone chorobą.

Oczy Angeliny nagle się otworzyły, szerokie z przerażenia. Wygięła plecy, próbując zaczerpnąć oddechu przez zwężoną tchawicę. Rozcapierzonymi palcami usiłowała chwycić powietrze. Potem równie gwałtownie padła na łóżko i przez jedną koszmarną chwilę Artemis myślał, że odeszła.

Jednak po chwili zatrzepotała powiekami i wyciągnęła ku niemu rękę.

- Arty - powiedziała słabym szeptem. - Mam przdziwny sen.

Wypowiedzenie tego krótkiego zdania zajęło jej całe wieki. Każde słowo poprzedzał chrypliwy oddech.

Chłopiec chwycił dłoń matki. Jakaż ona była chuda. Same kości.

- A może się obudziłam, i to cała reszta mojego życia jest snem.

Artemis z bólem słuchał tych słów. Przypominały mu o napadach, na które niegdyś cierpiała.

- Nie śpisz, mammo, a ja siedzę przy tobie. Dostałaś lekkiej gorączki i jesteś trochę odwodniona, to wszystko. Nie ma się czym martwić.

- Arty, jak mogę nie spać - rzekła Angelina; jej oczy okolone cieniami były spokojne - skoro czuję, że umieram? Jak mogę nie spać i czuć coś takiego?

Tego udawany spokój Artemisa nie wytrzymał.

- To ta... gorączka - wydukał. - Postrzegasz rzeczywistość nieco nienaturalnie. Wkrótce wszystko wróci do normy. Daję słowo.

Angelina zamknęła oczy.

- A mój syn zawsze dotrzymuje słowa, wiem o tym. Arty, gdzieś ty był przez cały ten czas? Tak się martwiłiśmy. Dlaczego nie masz siedemnastu lat?

W malignie Angelina Fowl poprzez mgłę magii dostrzegła prawdę. Zrozumiała, że zniknął na trzy lata, a kiedy wrócił, wciąż był w tym samym wieku.

- Mammo, mam czternaście lat. Prawie piętnaście. Jeszcze przez jakiś czas nadal pozostanę chłopcem. Teraz zamknij oczy. Gdy je znów otworzysz, wszystko będzie dobrze.

- Artemisie, co zrobiłeś z moimi myślami? Skąd wzięła się twoja moc?

Chłopak zaczynał się pocić. Upał w pokoju, mdłości zapach, jego własny niepokój.

Ona wie. Matka wie. Czy jeśli ją wyleczy, będzie wszystko pamiętać?

To nie miało znaczenia. Artemis zajmie się tym w odpowiednim czasie. Teraz najważniejsze to pomóc Angelinie.

Chłopiec ścisnął jej kruchą dłoń. Czuł, jak kości ocierają się o siebie. Po raz drugi w życiu miał użyć magii wobec swojej matki.

Ta moc nie stała się częścią duszy Artemisa. Ilekroć jej używał, wywoływała piorunujące bóle głowy. Choć nie przestał być człowiekiem, wiązały go niektóre prawa magii wrózek. Zanim wszedł nieproszony do czyjegoś domostwa, musiał żuć tabletki na chorobę lokomocyjną. W czasie pełni księżyca często spotykało się Artemisa w bibliotece, gdzie słuchał muzyki na cały regulator, aby zagłuszyć głosy w swej głowie. Wielka społeczność istot magicznych. Wróżki posiadały bogatą pamięć zbiorową; wspomnienia napływały jak wielkie fale surowych emocji, niosąc ze sobą migreny.

Czasem Artemis zastanawiał się, czy kradzież magii nie była błędem, jednak ostatnio symptomy ustały. Nie miał już migren ani mdłości. Może jego mózg wreszcie przywykł do tej odrobiny magicznej istoty, którą miał w sobie.

Chłopiec delikatnie ujął palce matki, zamknął oczy i oczyścił umysł.

Magia. Tylko magia.

To dzika siła, nad którą trzeba zapanować. Gdyby myśli Artemisa zblądziły, zblądziłyby również magia. Otworzywszy oczy mógłby zobaczyć, że matka nadal jest chora, ale ma włosy innego koloru.

Zdrowiej, powiedział w myślach. Zdrowiej, mamo.

Magia wysłuchiwała tego życzenia. Rozpływała się po jego członkach, szumiąc, mrowiąc. Wokół nadgarstków wirowały niebieskie iskry, drżące niczym ławica drobniutkich rybek. Zupełnie jak żywe.

Artemis myślał o mamie w szczęśliwszych czasach. Widział jej promienną cerę, oczy błyszczące radością. Słyszał jej śmiech, czuł jej dotyk na karku. Pamiętał miłość Angeliny Fowl do swej rodziny.

Tego właśnie chcę.

Iskry wyczuły te życzenia. Wsiąkły w mamę, wnika-
jąc głęboko w skórę dłoni i nadgarstka, wijąc się ni-
czym sznury wokół jej wychudłych ramion. Artemis
naparł mocniej, a wtedy rzeka magicznych płomyków
wystrzeliła z palców chłopca i wniknęła w jego matkę.

Ulecz ją, myślał Artemis. Przepędź chorobę.

Już wcześniej korzystał z magii, jednak tym razem
było inaczej. Napotkał opór, jakby organizm matki
nie chciał zostać wyleczony i odrzucał tę moc. Iskry
skwierczały na jej skórze, drgały i gasły.

Jeszcze, powtarzał sobie Artemis. Jeszcze.

Napierał mocniej, nie zważając na gwałtowny, nie-
znośny ból głowy oraz szarpiące mdłości.

Zdrowiej, mamo.

Magia owinęła Angelinę niczym egipską mumię.
Prześlizgnęła się pod nią, unosząc ją piętnaście cen-

tymetrów ponad materac. Matka Artemisa drżała i jęczała, z porów skóry biła para, sycząc przy zetknięciu z niebieskimi iskrami.

Ona cierpi, pomyślał chłopak, odrobinę otwierając jedno oko. *Przeżywa męczarnie. Ale teraz nie mogą już przestać.*

Sięgnął głęboko. W najdalszych zakątkach siebie szukał ostatnich drobin magii.

Wszystko. Oddaj jej każdą iskierkę.

Magia nie była naturalną częścią Artemisa. Ukradł ją i teraz znów ją z siebie wyrzucał, skupiając wszystkie siły na próbie uleczenia matki. Jednak nic nie pomagało. Ba, to nie koniec. Choroba przybierała na sile. Odpierała każdą niebieską falę, pozbawiała iskry barwy i mocy, sprawiała, że odskakiwały ku sufitowi.

Coś jest nie w porządku, pomyślał Artemis. W gardle czuł gorycz żółci, jego lewe oko przeszywał ostry ból. *To nie tak miało być.*

Ostatnia kropla magii opuściła jego ciało z szarpnięciem. Artemisa aż odrzuciło: poleciał po podłodze, parę razy przekoziołkował i wreszcie zatrzymał się, rozciągnięty obok szezlonga. Angeliną Fowl wstrząsnął ostatni skurcz, po czym opadła na materac. Jej ciało pokrywała jakaś dziwna, gruba, przezroczysta galareta. Magiczne iskry migotały i gasły na tej powłoce, która wyparowała niemal tak prędko, jak się pojawiła.

Artemis leżał z głową w dłoniach. Czekał, aż w jego mózgu ustanie chaos. Nie mógł się poruszyć, nie był w stanie myśleć. Miał wrażenie, że jego oddech szoru-

je o czaszkę. W końcu ból zmienił się w słabe echo, a rozsypane słowa ułożyły się w zdania.

Magia odeszła. Zużyłem wszystko. Jestem tylko człowiekiem.

Artemis usłyszał skrzypnięcie drzwi sypialni. Otworzywszy oczy, ujrzał Butlera oraz swego ojca. Przyglądali mu się wyraźnie zaniepokojeni.

- Słyszeliśmy huk. Musiałeś upaść - rzekł Artemis senior, podnosząc syna za łokieć. - Nie powinienem był cię tu wpuścić samego, ale myślałem, że może dasz radę coś zrobić. Wiem, że masz pewne talenty. Miałem nadzieję... - Wyglądził koszulę syna, poklepał go po ramionach. - Postąpiłem głupio.

Artemis odtrącił dłoń ojca i niezdarnym krokiem wrócił do łóżka matki. Wystarczyło jedno spojrzenie, by potwierdzić to, czego się obawiał. Nie wyleczył jej. Policzki Angeliny nie zarumieniły się, a oddech się nie unormował.

Pogorszył tylko jej stan.

Co ja narobiłem?

- Co to może być? - spytał ojciec. - Co jej, u diabła, dolega? W tym tempie za niecały tydzień moja Angelina...

Butler przerwał mu gwałtownie:

- Panowie, teraz nie możemy się poddać. Każdy z nas ma znajomych z przeszłości, którzy mogli by rzucić trochę światła na dolegliwość pani Fowl. To kontakty, których w innych okolicznościach być może nie chcielibyśmy odświeżać. Odnajdziemy tych ludzi i czym prędzej ich tu sprowadzimy. Nie zawra-

cajmy sobie głowy drobiazgami w rodzaju paszportów i wiz, po prostu wykonajmy zadanie.

Artemis starszy pokiwał głową, z początku wolno, następnie bardziej energicznie.

- Tak. Tak, do cholery. Jeszcze nie po niej. Moja Angelina tak łatwo się nie poddaje. Prawda, skarbie? - Ostrożnie ujął jej dłoń, jakby zrobiona była z najdelikatniejszej porcelany. Jego żona nie zareagowała na dotyk ani na głos. - Rozmawialiśmy z każdym europejskim specjalistą od medycyny alternatywnej o moich bólach fantomowych. Może któryś z nich pomoże i tym razem.

- Znam pewnego człowieka w Chinach - rzekł Butler. - Pracował z Madame Ko w akademii ochroniarzy. Z pomocą ziół potrafił czynić cuda. Mieszka w górach. Nigdy nie opuścił swej prowincji, ale dla mnie by tu przyjechał.

- To dobrze - stwierdził Artemis senior. - Im więcej dostępnych opcji, tym lepiej. - Następnie zwrócił się do syna. - Posłuchaj, Arty. Czy znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc? Kogokolwiek. Może jakiś znajomy z przestępczego podziemia?

Artemis obrócił nader rzucający się w oczy sygnet na środkowym palcu, tak by jego przód znalazł się wewnątrz dłoni. W rzeczywistości pierścień ten był zakamuflowanym komunikatorem wrózek.

- Tak - odparł. - Mam kilku znajomych w podziemiu.



PAJWIĘKSZY PA ŚWIECIE

Port Helsinki, Morze Bałtyckie

Pokryte łuskami macki krakena, wielkiego morskiego potwora, wystrzeliły ku powierzchni oceanu. W ślad za nimi podążyło rozdęte cielsko bestii. Przewracała szaleńczo jedynym-okiem, jej zakrzywiona paszcza wielka jak dziób szkunera była zaś szeroko rozwarta. Stwór przepuszczał pędzącą wodę przez falujące skrzel.

Kraken był głodny. Sunął ku promowi wycieczkowemu, a w jego malutkim mózgu czaiła się tylko jedna, jedyna myśl:

Zabić... Zabić... ZABIĆ...

- Co za brednie - mruknęła kapitan Sił Krasnoludzkiego Reagowania Holly Nieduża, wyciszając plik dźwiękowy w swoim hełmie. - Po pierwsze: kraken nie ma macek, a jeśli chodzi o to „zabić... zabić... zabić...”

Wiem – w komunikatorze zabrzmiał głos Ogierka, kontrolera misji. – Pomyślałem, że spodoba ci się ten fragment. Wiesz, tak do śmiechu. Pamiętasz jeszcze, co to znaczy?

I Holly to nie rozbawiło.

– To takie typowe dla ludzi. Biorą coś kompletnie naturalnego i to demonizują. Krakeny to łagodne stworzenia, a ludzie zmienili je w jakieś mordercze kalamarnice. „Zabić... zabić... zabić...” Litości.

– Daj spokój, Holly, to tylko literatura sensacyjna. Znasz ludzi i tę ich wyobraźnię. Wyluzuj.

Ogierek miał rację. Gdyby bulwersowała się za każdym razem, kiedy ludzkie media w fałszywym świetle przedstawiają mityczną istotę, musiałaby się nieustannie wściekać. Na przestrzeni wieków Błotni Ludzie czasem przelotnie dostrzegali wróżki, ale to, co zobaczyli, przekręcali tak, że było nie do rozpoznania.

Odpuść sobie. Istnieją przyzwoici ludzie. Pamiętaj o Artemisie i Butlerze.

– Widziałeś ten ludzki film z centaurami? – spytała przyjaciela po drugiej stronie łącza. – Były szlachetne i wysportowane. „Mój miecz dla Waszej Miłości, a potem na polowanie”. Centaury w formie... O, to mnie rzeczywiście rozbawiło.

Tysiące kilometrów dalej, gdzieś w płaszczu ziemi pod Irlandią, Ogierek, doradca techniczny Sił Krasnoludzkiego Reagowania, pogładził się po brzuchu.

– Ranisz mnie, Holly. Caballina lubi moje sadelko.

Podczas gdy Holly wraz z Artemisem ratowała demony w Przedpiekle, Ogierek ożenił się, czyli się

„związał”, bo tak centaury nazywały tę ceremonię. Przez te trzy lata wiele się zmieniło i niekiedy Holly trochę nie nadążała. Czas Ogierka zajmowała żona. Stary przyjaciel Holly, Kłopot Wodorost, awansował na komendanta SKR, sama Holly wróciła zaś do Rozpoznania i pracowała w oddziale specjalnym Kraken Patrołu.

- Wybacz, przyjacielu. To było wredne z mojej strony - powiedziała. - Ja też lubię twoje sadelko. Szkoda, że nie widziałam go przewiązanego ślubną szarfą.

- Również żałuję. Następnym razem.

Holly się uśmiechnęła.

- Jasne. Akurat będzie następny raz.

Zgodnie z tradycją centaury płci męskiej brały sobie kilka żon, jednak Caballina była nowoczesną wrózką, toteż zdaniem Holly raczej nie zgodziłaby się na kolejną klacz w domu.

- Spokojnie. Żartowałem.

- Oby, bo w ten weekend umówiłam się z Caballiną w spa.

- Jak nowy sprzęt? - spytał Ogierek, czym prędzej zmieniając temat.

Holly rozpostarła ramiona. Poczowała świst wiatru pomiędzy palcami. Pod nią białymi i niebieskimi pręgami śmigało Morze Bałtyckie.

- Wspaniały - powiedziała. - Po prostu wspaniały.

Kapitan Holly Nieduża ze SKRZAT zataczała szerokie, niespieszne kręgi wokół Helsinek, rozkoszując się rześkim skandynawskim powietrzem, które wpły-

wało przez filtry hełmu. Było tuż po piątej rano czasu miejscowego. Wschodzące słońce rozświetliło złotą, cebulowatą kopułę Soboru Uspieńskiego. Słynny plac targowy już teraz rozświetlały reflektory: to sprzedawcy zjeżdżali się, by rozpocząć poranny handel, gorliwi asystenci polityków spieszyli natomiast ku niebiesko szarej fasadzie ratusza.

Cel podróży Holly znajdował się w pewnej odległości od miejsca, które wkrótce miało się stać tętniącym życiem centrum handlu. Wróżka poruszyła palcami, a czujniki w opancerzonych rękawiczkach przełożyły ten ruch na polecenie dla mechanicznych skrzydeł na jej plecach. Holly spiralnym lotem runęła w dół ku niewielkiej wyspie Uunisaari, oddalonej o niecały kilometr od portu.

- Czujniki na ciebie są fajne - stwierdziła. - Bardzo intuicyjne.

- To prawie jak bycie ptakiem - powiedział Ogierek. - Lepsza jest tylko integracja. Może masz ochotę?

- Nie, dziękuję - odparła Holly gwałtownie.

Kochała latać, ale nie na tyle, żeby pozwolić chirurgowi z SKR wmontować sobie implanty do mózgu.

- No dobrze, kapitan Nieduża - rzekł Ogierek, przedstawiając się na tryb oficjalny. - Kontrola przedoperacyjna. Poproszę o trzy U.

Trzy U to dla każdego funkcjonariusza Rozpoznania podstawa kontroli przed podejściem do strefy operacji. Uskrzydlenie, uzbrojenie i ubezpieczenie powrotu.

Holly sprawdziła odczyty na przezroczystej osłonie hełmu.

- Akumulator naładowany. Broń na zielonym. Skrzydła i kostium w pełni funkcjonalne. Żadnych czerwonych świateł.

- Świetnie - powiedział Ogierek. - Zgadza się, zgadza się i zgadza się. Na moich ekranach mam to samo.

Holly słyszała stukot klawiszy, kiedy centaur wprowadzał te informacje do rejestru misji. Ogierek znany był ze słabości do tradycyjnych klawiatur, mimo że sam opatentował niezwykle efektywną wirtualną „v-klawiaturę”.

- Holly, pamiętaj, że to tylko rozpoznanie. Zejdź i sprawdź czujnik. One mają dwieście lat, więc najpewniej po prostu się przegrzały. Musisz się tylko udać w miejsce, które ci wskażę, i naprawić to, co ci powiem. Żadnego bezmyślnego strzelania, rozumiano?

Holly prychnęła.

- Już wiem, co Caballina w tobie widzi. Prawdziwy z ciebie czaruję, Ogierku.

Centaur zachichotał.

- Przestałem reagować na docinki. Dzięki małżeństwu złagodniałem.

- Złagodniałeś? Uwierzę, kiedy wytrzymasz dziesięć minut w jednym pokoju z Mierzwą i nie zwariujesz.

Mierzwa Grzebaczek, krasnal, w różnych momentach był wrogiem, partnerem i przyjacielem Holly

i Ogierka. Największą przyjemność na świecie sprawiało mu napychanie sobie gęby, jednak na drugim miejscu znajdowało się irytowanie swych wrogów, partnerów i przyjaciół.

- Chyba potrzeba mi jeszcze paru lat małżeństwa, zanim aż tak złagodnieję. A właściwie paru stuleci.

Holly widziała już wyraźnie wyspę, otoczoną morską pianą niczym tonsura zakonnika. Pora zakończyć pogaduszki i rozpocząć misję, chociaż funkcjonariuszka miała ochotę przedłużyć krążenie nad wyspą, żeby móc jeszcze chwilę porozmawiać z przyjacielem. To w zasadzie ich pierwsza prawdziwa rozmowa, odkąd wróciła z Przedpiekła. Przez ostatnie trzy lata życia Ogierka poszło naprzód, jednak z punktu widzenia Holly jej nieobecność trwała zaledwie kilka godzin i choć się nie zestarzała, miała wrażenie, że okradziono ją z tych lat. Dyżurny psychiatra SKR wyjaśniłby, że cierpi na depresję po przemieszczeniu w czasie, i zaproponowałby na pociechę miły zastrzyk. Holly ufała zastrzykom na poprawę humoru mniej więcej tak samo jak implantom w mózgu.

- Wchodzę - oznajmiła zwięźle.

To jej pierwsza samodzielna misja od czasu powrotu. Miała zamiar złożyć absolutnie perfekcyjny raport, nawet jeśli to był tylko Kraken Patrol.

- Zrozumiano - powiedział Ogierek. - Widzisz czujnik?

Na wyspie znajdowały się cztery bioczujniki wysyłające informacje do Komendy Policji. Na wyświetlaczu Holly trzy z nich pulsowały łagodną zielenią.

Czwarty palił się na czerwono. Mogło to oznaczać szereg różnych rzeczy. W tym przypadku każdy odczyt wykraczał poza zwykły poziom. Temperatura, tętno, działanie mózgu – wszystko na krawędzi zagrożenia.

– To na pewno awaria – wyjaśnił wcześniej Ogierek. – W przeciwnym razie pozostałe czujniki też by coś pokazywały.

– Mam go. Mocny sygnał.

– Dobrze. Włącz tarczę i zbliż się.

Holly gwałtownie obróciła brodę, aż pstryknął kark. W ten sposób przywoływała magię. Ruch ten nie był konieczny, ponieważ magia jest w głównej mierze funkcją mózgu, jednak wróżki mają swoje sztuczki. Holly pozwoliła, by moc wpłynęła w jej ciało, po czym zaczęła wibrować i zniknęła z widzialnego spektrum. Skafander podchwycił częstotliwość, wzmacniając ją, tak że drobna iskierka magii nabrała dużej mocy.

– Jestem niewidzialna. Wkraczam – potwierdziła.

– Zrozumiano – odparł centaur. – Uważaj, Holly. Komendant Wodorost zapozna się z tym nagraniem, więc trzymaj się rozkazów.

– Czyżbyś sugerował, że zdarza mi się postępować niezgodnie z regulaminem? – spytała Holly, najwyraźniej oburzona tym podejrzeniem.

Ogierek zachichotał.

– Sugeruję, że może nawet nie posiadasz egzemplarza regulaminu, a nawet jeśli tak, to nigdy go nie otworzyłaś.

Słuszna uwaga, pomyślała Holly, pikując ku powierzchni Uunisaari.

Wieloryby uważane są za największe ssaki na świecie. To nieprawda. Kraken osiąga nawet pięć kilometrów długości. Od trzynastego wieku stanowi główny temat skandynawskich mitów, kiedy to jako straszliwy *lyngbakr* pojawił się w sadze o Orvar-Oddzie. Wczesne opisy krakena były najwierniejsze: przedstawiano go jako zwierzę wielkości pływającej wyspy. Samo w sobie nie stanowiło zagrożenia, niebezpieczeństwo dla statków stanowił natomiast wir, który powstawał, gdy stworzenie zanurzało się w morze. Jednak w średniowieczu legenda o krakenie zmieszała się z mitem o gigantycznej kałamarnicy i obu stworzeniom zaczęto przypisywać najstraszniejsze cechy tego drugiego. W opowieściach kałamarnica stała się wielką niczym góra, łagodnemu krakenowi wyrosły zaś macki i obudziła się w nim żądza krwi jak u najgroźniejszego rekina.

Prawda jest zupełnie inna. Kraken to potulna istota, którą chroni głównie sam jej rozmiar, a także skorupa, gaz oraz komórki tłuszczowe osłaniające mózg wielkości melona, dysponujący wystarczającą inteligencją, by stwór był w stanie się żywić oraz zrzucić skorupę. Pod pokrywą skał, wodorostów i koralu kraken przypomina zwykłego skorupiaka, przy czym ten skorupiak z łatwością pomieściłby ze dwa stadiony olimpijskie.

Dzięki niezwykle powolnej przemianie materii oraz ogromnej sieci układów wspomaganiania, otaczają-

cych delikatne centrum organizmu, krakeny żyją kilka tysięcy lat. Zazwyczaj osiadają w bogatych w pożywienie lub też magicznych środowiskach i pozostają tam, póki nie skończą się pokłady pokarmu lub energii. Zagnieżdzenie się pośrodku archipelagu, w pobliżu ludzkiego portu, zapewnia nie tylko świetny kamuflaż, lecz także obfite źródło pożywienia. W takich właśnie miejscach można napotkać krakeny, zakotwiczone na podobieństwo olbrzymich brzuchonogów. Wsysają skrzelami miejskie odpady i w swych ogromnych żołądkach przetwarzają je na metan. Ludzkie śmiecie są dla nich ratunkiem, ale jednocześnie stanowią przekleństwo, gdyż rosnący poziom toksyn spowodował u krakenów bezpłodność. W oceanach pozostało już tylko pół tuzina tych przedwiecznych stworzeń.

Ten właśnie kraken był najstarszy ze wszystkich. Według próbek powłoki wiekowy Skorupek, jak nazywała go niewielka, oddana grupka członków Kraken Patrolu, liczył sobie ponad dziesięć tysięcy lat. Maskował się jako wyspa w porcie Helsinki od szesnastego wieku, kiedy miasto znane było jako Helsingfors.

Przez cały ten czas Skorupek głównie jadł i spał, nie czując potrzeby migracji. Jeśli nawet kiedyś miał takie pragnienie, to przytłumiły je wycieki z fabryki farb, zbudowanej na jego grzbiecie sto lat temu. Praktycznie rzecz biorąc, Skorupek pogrążył się w stanie katatonii, w ciągu pół wieku tylko kilka razy wypuścił metan i należało przypuszczać, że czerwona lampka

jego czujnika to skutek zwarcia jakichś drucików, a zadaniem Holly było je wyprostować. To typowa misja, jaką dostaje się pierwszego dnia po powrocie na służbę. Zero zagrożenia, zero pośpiechu i niewielkie prawdopodobieństwo wykrycia.

Holly obróciła dłonie do wiatru. Opadała, aż wreszcie jej buty zaszurały na dachu niewielkiej restauracji położonej na wyspie. W zasadzie były tam dwie wyspy połączone mostkiem. Jedna autentyczna, druga zaś, ta większa, to właśnie Skorupek zagnieżdżony w skale. Holly szybko przeprowadziła skan termiczny, ale namierzyła tylko kilka gryzoni oraz plamę ciepła z sauny, którą zapewne sterował włącznik czasowy.

Funkcjonariuszka sprawdziła na ekranie hełmu dokładne położenie czujnika. Znajdował się cztery metry pod ziemią, wetknięty pod kamienną półkę.

Pod wodą. Oczywiście.

W locie złożyła skrzydła i runęła do Bałtyku nogami do przodu, obracając się jak korkociąg, aby zminimalizować plusk. Nie żeby w pobliżu jakikolwiek człowiek mógł to usłyszeć. Saunę i restaurację otwierano dopiero o ósmej, a najbliżsi wędkarze znajdowali się na lądzie. Ich wędki kołysały się łagodnie jak rzędy masztów bez flag.

Holly opróżniła komory gazowe w hełmie, aby zmniejszyć wyporność, po czym zanurkowała pod falami. Ekran informował, że temperatura wody wynosi niewiele ponad dziesięć stopni, jednak kostium chronił ją przed szokiem termicznym, a nawet napiął się, by zrekompensować niewielki wzrost ciśnienia.

- Użyj Kanarków - odezwał się Ogierek wyraźnym głosem w wężłach wibracyjnych przykrywających uszy Holly.

- Wyjdź z mojej głowy, centaurze.

- No dalej. Użyj Kanarków.

- Nie potrzebuję namierzaczy. Przecież ten czujnik jest tuż-tuż.

Ogierek westchnął.

- W takim razie umrą niespełnione.

Kodowane Namierzacze Radiacyjne były mikroorganizmami skąpanymi w promieniowaniu o tej samej częstotliwości co poszukiwany przedmiot. Jeśli przed opuszczeniem warsztatu Ogiereka wiedziałeś, czego szukasz, Kanarki mogły cię zaprowadzić prosto do celu. Jednak trzeba przyznać, że były odrobinę zbędne, kiedy czujnik znajdował się w odległości kilku metrów i migał na ekranie.

- Dobrze - jęknęła Holly. - Mógłbyś przestać mnie wykorzystywać w charakterze królika doświadczalnego.

Odpięła wodoszczelną klapkę na rękawicy, wypuszczając do wody chmurkę świecących na pomarańczowo roztoczy. Na moment zbiły się w gromadkę, po czym utworzyły poszarpaną strzałę i popędziły w stronę czujnika.

- Pływają, latają, ryją w ziemi - stwierdził Ogierek, pełen zachwytu wobec własnego wynalazku. - Niech Bóg błogosławi te maleństwa.

Kanarki zostawiły za sobą pomarańczową smugę, wzdłuż której mogła podążyć Holly. Kiedy wpłynęła

pod ostrą półkę, Kanarki właśnie rozkopywały porosty wokół czujnika.

- No daj spokój. To bardzo praktyczne. Powiedz mi tylko, że to nie jest przydatne dla funkcjonariusza w terenie.

Okazało się nawet bardzo przydatne, szczególnie że Holly miała zapas powietrza już tylko na dziesięć minut, jednak ego Ogierka i tak było zbyt rozdmuchane.

- Bardziej przydatny byłby hełm skrzelowy. Wiedziałeś przecież, że czujnik jest pod wodą.

- Zostało ci aż nadto powietrza - zaoponował Ogierek. - Tym bardziej że Kanarki oczyszczają otoczenie.

Kanarki wygryzły kamień i mech pokrywający czujnik, aż w końcu lśnił on jak w dniu, gdy opuścił taśmę produkcyjną. Kiedy wykonały swe zadanie, zamigotały i zginęły, z cichym sykiem rozplywając się w wodzie. Holly włączyła światła na hełmie, koncentrując obie wiązki na metalowym urządzeniu. Czujnik miał wielkość oraz kształt banana i pokryty był elektrolytycznym żelem.

- Dzięki Skorupkowi woda jest dość czysta. Mam dobry obraz.

Holly zwiększyła wyporność skafandra o kilka kressek, tak by osiągnąć stan neutralny. Zawisła w wodzie na tyle nieruchomo, na ile potrafiła.

- No i co widzisz?

- To samo, co ty - odparł centaur. - Czujnik z migającą czerwoną lampką. Muszę wykonać kilka pomiarów. Dotknęłabyś powłoki?

Holly przyłożyła dłoń do żelu tak, by omniczujnik w rękawicy zsynchronizował się z wiekowym urządzeniem.

- Nie zapominaj, Ogierku, dziewięć i pół minuty.

- Proszę cię - parsknął centaur. - Przez dziewięć i pół minuty zdążyłbym przekalibrować całą flotę satelitów.

To zapewne prawda, pomyślała Holly, podczas gdy jej hełm przeprowadzał test systemu czujnika.

- Hm - westchnął Ogierek po trzydziestu sekundach.

- Hm? - powtórzyła nerwowo Holly. - Ogierek, ty mi tu nie hmaj. Oszołom mnie nauką, ale nie hmaj.

- Wygląda na to, że z czujnikiem jest wszystko w porządku. Działa nad podziw sprawnie. Co oznacza...

- ...że pozostałe czujniki są wadliwe - dokończyła Holly. - To by było na tyle, jeśli chodzi o twój geniusz.

- Nie ja je zaprojektowałem - odparł Ogierek urażony. - To stary sprzęt Koboï.

Holly zadrżała, jej ciało zadygotało w wodzie. Jej stary wróg, Opal Koboï, była jednym z czołowych wynalazców Ludu, dopóki nie uznała, że woli oddać się działalności przestępczej i okrzyknąć królową świata. Obecnie zamieszkiwała specjalnie skonstruowany sześcian więzienny w Atlantydzie i większość czasu poświęcała na pisanie listów do polityków z prośbą o przedterminowe zwolnienie.

- Wybacz, przyjacielu, że zwątpiłam w twoją wspaniałość. Chyba sprawdzę pozostałe czujniki. Mam nadzieję, że są nad wodą.

- Hm - mruknął znowu Ogierek.

- Przestań wreszcie. Skoro już tu jestem, to z pewnością powinnam sprawdzić resztę czujników, prawda?

Na moment nastąpiła cisza, podczas której centaur otworzył kilka plików. Następnie zaczął mówić urywanymi zdaniami, w miarę jak przed jego oczami pojawiały się kolejne informacje.

- Reszta czujników... nie jest najważniejsza... w tej chwili. Teraz musimy się dowiedzieć... skąd alarm właśnie na tym. Zaraz zobaczę... czy odnotowaliśmy wcześniej takie odczyty.

Holly nie miała wyboru. Musiała utrzymywać kontakt z czujnikiem, machając nogami i obserwując upływ czasu na liczniku zapasu powietrza.

- Dobrze - powiedział w końcu Ogierek. - Alarm może wynikać z dwóch różnych przyczyn. Po pierwsze, kraken może mieć małe, co jest niemożliwe, ponieważ Skorupek to niepłodny samiec.

- Czyli zostaje ta druga możliwość - stwierdziła Holly, nabierając pewności, że nie spodoba jej się to, co zaraz usłyszy.

- Po drugie: kraken może zrzucić skorupę.

Holly z ulgą przewróciła oczami.

- Zrzucić skorupę. Nie brzmi zbyt dramatycznie.

- Nnnnoooo, to jest trochę gorsze, niż się może wydawać.

- Co to znaczy „trochę”?

- Pozwól, że ci to wyjaśnię, podczas gdy będziesz stamtąd odlatywać, najszybciej jak potrafisz.

Tego nie trzeba było dwa razy powtarzać. Kiedy Ogierek radził funkcjonariuszowi, żeby opuścił strefę operacji, zanim on wygłosi jeden ze swych ukochanych wykładów, nie ulegało wątpliwości, że sprawa jest poważna. Holly rozpostarła ramiona, a skrzydła na jej plecach powtórzyły ten ruch.

- Start - powiedziała, obiema rękami wskazując powierzchnię wody.

Silniki uruchomiły się i wyrzuciły ją z Bałtyku, gotując przy tym strugę wody, która pozostała w powietrzu. Kostium błyskawicznie wysechł, ponieważ wilgoć spłynęła po jego wodoodpornej powierzchni. Pęd powietrza zmiotł zaś wszelkie pozostałe krople. W ciągu kilku sekund Holly osiągnęła pułap stu metrów, popędzana nerwowym głosem Ogierka.

- Kraken zrzuca skorupę raz w życiu. Z archiwów wynika, że Skorupek zrobił to już trzy tysiące lat temu, więc uznaliśmy, że jest po wszystkim.

- A teraz?

- Teraz wygląda na to, że żyje już wystarczająco długo, żeby zrzucić ją ponownie.

- I czemu nas to martwi?

- Martwi nas, bo krakeny zrzucają skorupy bardzo wybuchowo. Nowa skorupa już wyrosła, a starej Skorupek pozbędzie się, podpalając warstwę metanu i wystrzeliwując skorupę w powietrze.

Holly chciała się upewnić, że dobrze rozumie:

- Czyli mówisz, że Skorupek podpali bąka?

- Jedynego w swoim rodzaju. Zebrał tyle metanu, że można by nim przez rok zasilać Oazę. Takiego

ląka świat nie widział od czasów ostatniego plemiennego zgromadzenia krasnali.

Na ekranie osłony hełmu pojawiła się komputerowa symulacja wybuchu. Większość wrózek zobaczyłaby jedynie rozmyte kształty, jednak funkcjonariusze SKR zmuszeni byli wykształcić zdolność podwójnej ostrości, niezbędną, by czytać informacje na ekranie, a jednocześnie kontrolować, dokąd lecą.

Kiedy Holly według symulacji znalazła się poza przewidywanym promieniem wybuchu, opuściła nogi i uniosła się szerokim łukiem, by spojrzeć na krakena.

- Czy możemy coś zrobić?

- Parę zdjęć, ale nic poza tym. Już za późno. Zostało tylko kilka minut. Wewnętrzna skorupa osiągnęła temperaturę zapłonu, więc włącz filtr przyciemniający i życzę miłego spektaklu.

Holly opuściła osłonę.

- To trafi do wiadomości na całym świecie. Wyspy tak po prostu nie wybuchają.

- Ależ wybuchają. Aktywność wulkaniczna, wycieki gazu, wypadki chemiczne. Uwierz mi, jeśli Błotni Ludzie naprawdę potrafią coś robić, to właśnie wyjaśnić eksplozje. Amerykanie wymyślili Strefę 51 tylko dlatego, że jeden senator rozbił samolot o górę.

- Czy ląd jest bezpieczny?

- Raczej tak. Co najwyżej dolecą jakieś odłamki.

Holly rozluźniła się i zwiśla na skrzydłach. Nie pozostawało nic, co mogłaby zrobić. Nic, co zrobić

powinna. Patrzyła na naturalny proces, a kraken miał pełne prawo zrzucić skorupę.

Wybuch metanu. Mierzwa byłby wniebowzięty.

Obecnie Mierzwa Grzebaczek prowadził prywatną agencję detektywistyczną wraz z chochlikiem-kierownicą Doodah Dayem. W swoim czasie Mierzwa sam wywoływał metanowe zakłócenia porządku.

Na ekranie Holly coś lekko pulsowało. Czerwona plamka w oknie skanu termicznego. Na wyspie było jakieś życie i tym razem nie chodziło o gryzonie czy owady. Ludzie. Kilku ludzi.

- Ogierku, mam coś.

Holly paroma mrugnięciami wydała komendy zmieniające rozmiar okna, aby namierzyć źródło sygnału. W saunie znajdowały się cztery rozgrzane ciała.

- Wewnątrz sauny. Jakim cudem ich nie zauważyliśmy?

- Ich ciała miały tę samą temperaturę co ceglany mur - odrzekł centaur. - Przypuszczam, że teraz któryś z Błotnych Ludzi otworzył drzwi.

Holly włączyła sześciokrotne powiększenie i zobaczyła, że drzwi sauny rzeczywiście są odrobinę uchylone. Przez szparę sączyła się strużka pary. Budynek ochładzał się szybciej niż ludzie i dlatego teraz pojawili się oni na skanerze.

- Co te Błotniaki tam robią? Mówiłeś, że przed ósmą wszystko jest zamknięte.

- Nie mam pojęcia. Skąd miałbym wiedzieć? To ludzie. Równie przewidywalni co demony opętane księżycowym szaleństwem.

To bez znaczenia, dlaczego ludzie się tam znaleźli. Zastanawianie się nad tym było stratą czasu.

- Muszę po nich wrócić.

Ogierek skierował kamerę na siebie. Sygnał był transmitowany bezpośrednio do hełmu Holly.

- Holly, popatrz na mnie. Widzisz? To jest moja surowa mina. Nie rób tego. Nie wracaj na wyspę. Codziennie umierają jacyś ludzie, ale nie interweniuje my. SKR nigdy nie interweniuje.

- Znam zasady - powiedziała Holly, wyciszając warczącego centaury.

I już po mojej karierze... znowu, pomyślała, nachylając skrzydła do lotu nurkowego.

Czterech mężczyzn siedziało w zewnętrznym pomieszczeniu sauny. Byli wielce zadowoleni z siebie, ponieważ znów zdołali przechytryć władze wyspy i sprawić sobie przed pracą darmową saunę. Jeden z nich pracował jako strażnik Uunisaari, miał więc dostęp do kluczy oraz niewielkiej łódki z silnikiem o mocy pięciu koni mechanicznych. Zmieściło się w niej czterech przyjaciół oraz wiadro piwa Karjala.

- Dobra dziś w saunie temperatura - stwierdził jeden z nich.

Drugi otarł parę z okularów.

- Mnie się wydaje, że trochę za gorąco. Szczerze mówiąc, pali w stopy.

- To idź, wskocz do Bałtyku - odparł strażnik, porzytywany brakiem wdzięczności za jego starania. - Ostudzisz sobie te swoje wrażliwe paluszki.

- Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedział czwartki, zakładając zegarek na rękę. - Ma wrażliwe stopy. Ciągłe jakieś kłopoty z temperaturą.

Mężczyźni, przyjaciele od dziecka, śmiali się i sączyli piwo. Ich radość gwałtownie ustała, kiedy fragment dachu nagle zajął się ogniem, po czym obrócił się w popiół.

Strażnik wypluł strumień piwa.

- Czy paliliście papierosy? Mówiłem: żadnych papierosów!

Nawet gdyby któryś z kumpli odpowiedział, mężczyzna i tak by nie usłyszał, ponieważ jakimś cudem udało mu się wyfrunąć przez dziurę w dachu.

- Naprawdę mnie parzy w stopy - stwierdził okularnik, jak gdyby trzymanie się wcześniejszego tematu rozmowy mogło sprawić, że nowy po prostu zniknie.

Pozostali zignorowali go, zajęci tym, co mężczyźni zwykle robią w obliczu zagrożenia - zakładaniem spodni.

Nie było czasu na otwieranie drzwi ani na przedstawianie się, więc Holly wyciągnęła swój pistolet neutri-no, wycięła dwumetrową dziurę w dachu i jej oczom ukazało się czterech bladych, półnagich Błotnych Ludzi, drżących ze strachu.

Nic dziwnego, że drżą, pomyślała. A to dopiero początek.

Podczas powrotnego lotu na wyspę rozmyślała nad jednym problemem: jak w cztery minuty wydostać tylu ludzi ze strefy rażenia?

Do niedawna miałyby również inny kłopot: sam budynek. Zgodnie z zapisami Księgi Wrózek nie wolno było wkraczać do ludzkich domostw bez zaproszenia. Ten urok sprzed dziesięciu tysięcy lat wciąż jeszcze bardzo dokuczał, powodując mdłości i utratę mocy u każdego, kto złamał tę zasadę. Przepis ten był anachronizmem oraz poważnym utrudnieniem działań SKR, więc po odbyciu kilku publicznych debat oraz przeprowadzeniu referendum urok został zdjęty przez czarownika Numer Jeden. Mały demon potrzebował pięciu minut, by cofnąć czar, z którym elfi czarownicy nie potrafili sobie poradzić od wieków.

Wróćmy jednak do pierwotnego problemu. Czterech dużych ludzi. Wielka eksplozja tuż-tuż.

Wybór pierwszego kandydata był oczywisty, a jego transport – prosty. Blokował drogę reszcie towarzyszy. Nie miał na sobie nic z wyjątkiem ręcznika oraz malutkiej czapeczki służbowej, która na czubku jego czerepu wyglądała jak łupina orzecha na głowie niedźwiedzia.

Holly wykrzywiła twarz.

Muszę pozbyć się go sprzed oczu, bo inaczej nigdy nie zapomnę tego obrazka. Ten Błotniak ma więcej mięśni niż troll.

Troll! Oczywiście.

Podczas gdy Holly przebywała w Przedpieklu, sprzęt SKRZAT wzbogacił się o kilka nowych urządzeń. Oczywiście większość z nich wynalazł i opatentował Ogierek. Jedną z tych nowości był nowy magazynek ze strzałkami do neutrino. Centaur nazywał je

strzałkami antygrawitacyjnymi, jednak funkcjonariusze mówili na nie „balonowce”.

Strzałki oparte były na technologii opracowanego przez Ogierka pasa Moonbelt, generującego specjalne pole wokół przedmiotu, do którego jest przypięty. Redukowało ono grawitację do jednej piątej. Pierwotnie pas przydawał się do transportu ciężkiego sprzętu. Funkcjonariusze w terenie szybko dostosowali pas do swoich potrzeb, przyczepiając więźniów do karabińczyków, dzięki czemu dużo łatwiej sobie z nimi radzili.

Później Ogierek opracował strzałkę o takim samym działaniu. Wykorzystywała ona ciało samego uciekacza do przewodzenia ładunku, który niemal całkowicie pozbawiał tę osobę ciężaru. Nawet troll robi się mniej groźny, kiedy unosi się na wietrze jak balonik.

Holly wyciągnęła magazynek z pasa i nasadą dłoni wcisnęła go w neutrino.

Strzałki. Wracamy do średniowiecza.

Miała wielkiego strażnika tuż przed sobą. Nieznośnie drżała mu warga.

Na tego Błotniaka nie potrzebuję laserowego celownika, pomyślała. Nie mogę chybić.

I nie chybiła. Malutka strzałka ukłuła mężczyznę w ramię. Ten zadrżał przez chwilę, po czym otoczyło go pole antygrawitacyjne.

- Ooo - powiedział. - To trochę...

Właśnie wtedy Holly wylądowała obok niego, chwyciła go za blade udo i cisnęła mężczyznę w nie-

bo. Poleciał szybciej niż przebity balon, pozostawiając za sobą strumień zdziwionych „o”.

Pozostali gorączkowo kończyli wciągać spodnie. Z tego pośpiechu dwóch się potknęło. Grzmotnęli się głowami i runęli na ziemię. Bułki z pomidorem i mozzarellą pofrunęły na bok. Butelki piwa poturlały się po kafelkach.

- Moje kanapki! - zawołał jeden z mężczyzn, szamocząc się z fioletowymi džinsami.

Nie ma czasu na panikę, pomyślała Holly, cicha i niewidzialna pomiędzy nimi. Przykucnęła nisko, unikając bladych kończyn, i szybko wystrzeliła trzy kolejne strzałki.

Kiedy trzech dorośli mężczyźni zaczęli się unosić ku otworowi w dachu, w saunie zapanował jakiś dziwny spokój.

- Moje stopy są... - zaczął okularnik.

- Zamknij się wreszcie z tymi swoimi stopami! - wykrzyknął ten od kanapek i zamachnął się na kolegę pięścią.

Ruch ten sprawił, że zaczął wirować jak kula we flipperze.

Ogierek zdołał ominąć wyciszenie kanału.

- D'Arvit, Holly! Zostały ci sekundy. Sekundy! Wynos się stamtąd! Nawet twój pancerz nie wytrzyma eksplozji o takiej mocy.

Pomimo klimatyzacji w hełmie twarz Holly była czerwona i spocona.

Zostały mi sekundy. Ile razy już to słyszałam?

Nie było czasu na subtelności. Położyła się na plecach, wprowadziła dane do swego neutrino, aby wybrać tryb promieni ogłuszających, po czym wystrzeliła szeroki strumień pionowo do góry.

Promień poniosł mężczyzn wzwyż, tak jak rwąca rzeka poniosłaby bąbelki. Odbijali się od ścian, od siebie nawzajem, aż wreszcie wystrzelili przez wciąż zadrzący się krąg w suficie.

Opuszczając saunę, ostatni z mężczyzn spojrział w dół. Zastanawiał się tępo, dlaczego nie dygocze w panice. Z pewnością latanie wystarczało, żeby wpaść w histerię.

To pewnie nastąpi później, uznał. Jeśli w ogóle zostało mi jakieś „później”.

Wydawało mu się, że w parze unoszącej się w saunie widzi na podłodze jakiś niewielki, przypominający człowieka kształt. Malutką, skrzydlatą postać, która zerwała się na nogi i popędziła ku latającym mężczyznom.

To wszystko prawda, pomyślał. Zupełnie jak we „Władcy pierścieni”. Fantastyczne stwory. Wszystko prawda.

Potem wyspa wybuchła, a mężczyzna przestał przejmować się fantastycznymi stworami, a zaczął się martwić o spodnie, które właśnie zajęły się ogniem.

Kiedy wszyscy czterej znaleźli się w górze, Holly uznała, że najwyższa pora maksymalnie oddalić się od rzekomej wyspy. Wyskoczyła z przysiadu, w powietrzu uruchomiła skrzydła i wystrzeliła w poranne niebo.

- Bardzo ładnie – stwierdził Ogierek. – Wiesz, że ten ruch nazywają „Hollykopterem”, prawda?

Holly dobyteła broni i krótkimi seriami odpychała nieważkich mężczyzn coraz dalej od wyspy.

- Teraz muszę zatroszczyć się o przetrwanie. Pogadam później.

- Przepraszam, przyjaciółko – odrzekł Ogierek. – Martwię się. A kiedy się martwię, to gadam. Caballina twierdzi, że to mechanizm obronny. No dobrze, więc „Hollykopter”. Tak samo wystartowałaś podczas tej strzelaniny na dachu w Darmstadt. Major... to znaczy komendant Wodorost złapał to na wideo. Teraz używają tego nagrania w Akademii. Nie uwierzysz, ilu kadetów połamało sobie kostki, próbując powtórzyć tę sztuczkę.

Holly już miała zacząć nalegać, by jej przyjaciel raczej się zamknął, kiedy Skorupek podpalił warstwę metanu, rozrywając starą skorupę na strzępy i wyrzucając ku niebu tony odłamków. Fala uderzeniowa trafiła funkcjonariuszkę od dołu niczym cios gigantyczną pięścią, sprawiając, że elficzka zawirowała. Poczuli, jak skafander napina się, by zamortyzować uderzenie. Malutkie łuski zwierzały się niczym tarcze batalionu demonów. Rozległ się cichy syk – to hełm napełniał poduszki bezpieczeństwa dla ochrony mózgu i rdzenia kręgowego. Ekrany na osłonie zamigotały, drgnęły, a potem się uspokoiły.

Na zewnątrz świat wirował błękitem i szarością. Sztuczny horyzont w hełmie wykonał kilka pełnych obrotów, chociaż Holly w końcu zrozumiała, że to nie ekran się kręci, a ona sama.

Żyję. Wciąż żyję. Chyba coraz bardziej kuszę los.

Ogierek przerwał jej rozmyślenia:

- ...puls przyspieszony, ale nie wiem dlaczego. Myślałby kto, że już się przyzwyczaiłaś do takich sytuacji. Tych czterech ludzi przeżyło, co na pewno cię ucieszy, skoro ryzykowałeś dla nich swoim życiem i moją technologią. A gdyby jeden z moich balonowców trafił w ręce Błotniaków?

Holly za pomocą kombinacji gestów i mrugnięć parę razy wypaliła z kilku spośród dwunastu silników swoich skrzydeł, z trudem odzyskując kontrolę nad sprzętem.

Otworzyła osłonę hełmu, żeby odkrztusić i spluć, po czym odpowiedziała na zarzut:

- Wielkie dzięki, nic mi nie jest. A wszystkie urządzenia SKR są wyposażone w zdalnie odpalany ładunek wybuchowy. Ja też! Więc twoje drogocenne balonowce wpadłyby w ręce ludzi tylko wtedy, gdyby to twoja technologia zawiodła.

- O właśnie - powiedział Ogierek. - Przypomniałaś mi, że muszę się pozbyć tych strzałek.

W dole panował chaos. Wyglądało na to, że polowa mieszkańców Helsinek zdążyła już wsiąść do przeróżnych sprzętów pływających. W stronę miejsca wybuchu podążała prawdziwa flotylla, na czele z jednostką straży przybrzeżnej, która, napędzana dwoma mocnymi silnikami na rufie, pruka naprzód z uniesionym dziobem. Sam kraken przestłonięty był chmurą dymu i kurzu, jednak zwęglone kawałki skorupy opadały niczym pył wulkaniczny, pokrywając pokła-

dy łodzi i zalegając ciemnym płaszczem na Morzu Bałtyckim.

Dwadzieścia metrów na lewo od Holly nieważczy mężczyźni radośnie kołysali się w powietrzu, niesieni resztkami fali uderzeniowej. Z ich bioder zwisały strzępy spodni.

- Jestem zaskoczona - stwierdziła Holly, robiąc na nich zbliżenie. - Nie krzyczą, nie moczą się.

- W strzałkach jest też mała kropelka środka rozluźniającego - zachichotał Ogierek. - No, powiedziałem: mała kropelka. Tak naprawdę wystarczyłoby tego, żeby troll zaczął tęsknić za mamusią.

- Trolle czasami zjadają swoje matki - zauważyła Holly.

- No właśnie.

Ogierek odczekał, aż mężczyźni znajdą się zaledwie trzy metry nad powierzchnią morza, i wtedy zdalnie zdetonował mikroskopijny ładunek w każdej ze strzałek. Chwilę po czterech cichych pyknięciach nastąpiły cztery głośne pluśnięcia. Mężczyźni spędzili w wodzie zaledwie kilka sekund, bo w mgnieniu oka wyłowiła ich straż przybrzeżna.

- Dobrze - odezwał się centaur, któremu wyraźnie ulżyło. - Zapobiegliśmy potencjalnej katastrofie i wyczerpaliśmy limit dobrych uczynków na dziś. Zabieraj zabawki i wracaj do stacji. Komendant Wodorost na pewno będzie oczekiwał szczegółowego raportu.

- Sekundkę, dostałam mejla.

- Mejla! Naprawdę uważasz, że to odpowiednia pora? Kończy ci się zasilanie, a tylne panele twojego

kostiumu nieźle oberwały. Musisz się stamtąd wynosić, zanim kompletnie wysiądzie ci tarcza.

- Ogierku, tę wiadomość muszę przeczytać. To coś ważnego.

Ikona poczty migająca na ekranie sygnalizowała Artemisa. Artemis i Holly oznaczali swoje wiadomości kolorami. Zielony oznaczał list towarzyski, niebieski interesy, natomiast czerwony coś pilnego. Wiadomość, którą wróżka właśnie otrzymała, pulsowała jaskrawą czerwienią. Funkcjonariuszka mrugnęła, otwierając krótki list.

Mama umierająca. Przybywaj natychmiast. Sprowadź Numer Jeden.

Holly poczuła w brzuchu lodowatą grozę. Świat za drzał jej przed oczami.

„Mama umierająca. Sprowadź Numer Jeden”.

Sytuacja musi być dramatyczna, skoro Artemis prosi ją, by sprowadziła najpotężniejszego czarownika wśród demonów.

Przypomniała sobie dzień przed osiemnastu laty, kiedy odeszła jej matka. Minęły już niemal dwa dziesięciolecia, a strata wciąż bolała jak niezagojona rana. Holly uderzyła pewna myśl.

To nie osiemnaście lat, tylko dwadzieścia jeden. Nie było mnie przez trzy lata.

Koral Nieduża pracowała jako lekarz w oddziale morskim SKR, patrolującym Atlantyck, sprzątającym po ludziach i chroniącym zagrożone gatunki. Odniosła śmiertelne obrażenia, kiedy wyjątkowo paskudnie wyglądający tankowiec, który śledzili, przypadkowo

oblał ich okręt podwodny radioaktywnymi odpadami. Brudne promieniowanie to dla wrózek trucizna. Matka Holly umierała przez tydzień.

- Zapłacą za to - przysięgła Holly, płacząc przy jej łóżku w Szpitalu Klinicznym Oaza City. - Dopadnę każdego z tych Błotniaków.

- Nie - odrzekła matka z zaskakującą siłą. - Całe życie ratowałam inne stworzenia. Ty musisz robić to samo. Moim dziedzictwem nie może stać się zniszczenie.

To były jedne z jej ostatnich słów. Trzy dni później Holly z kamienną twarzą, w zapiętym po szyję zielonym mundurze uczestniczyła w ceremonii utylizacji swej matki. W kaburze przy pasie miała omniwytrych, który dostała od niej w prezencie, gdy skończyła szkołę.

Ratować inne stworzenia. Zatem Holly zaciągnęła się do SKRZAT.

A teraz umiera matka Artemisa. Holly zdała sobie sprawę z tego, że przestała myśleć o nim jako o jednym z ludzi. Chłopiec był po prostu przyjacielem.

- Muszę lecieć do Irlandii - powiedziała.

Ogierek nawet nie dyskutował. Zdążył ukradkiem zerknąć na tę jej pilną wiadomość.

- Leć. Załatwię ci wymówkę na kilka godzin. Powiem, że dopełniasz Rytułu. Tak się składa, że akurat mamy dziś pełnię księżyca, a w okolicach Dublina wciąż zostało kilka miejsc magicznych. Wyślę wiadomość do Sekcji Ósmej. Może Qwan na kilka godzin wypuści Numer Jeden z magi-laboratorium.

- Dzięki, przyjacielu.

- Nie ma za co. Leć już. Na jakiś czas dam ci spokój i zajmę się monitorowaniem łączności. Może uda mi się podrzucić ludzkim mediom parę pomysłów. Podoba mi się ten pomysł naturalnego podziemnego złoża gazu. To niemal prawda.

Niemal prawda.

Holly nie mogła się powstrzymać przed odniesieniem tego określenia do wiadomości od Artemisa. Jakże często Irlandczyk manipulował ludźmi, mówiąc im „niemal prawdę”.

Zbeształa się w myślach. Na pewno nie. Nawet Artemis Fowl nie skłamałby na tak poważny temat.

Każdy ma swoje granice.

Prawda?



ECHA MAGII

Artemis senior zgromadził swą drużynę w sali konferencyjnej Dworu Fowlów, która pierwotnie była salą bankietową. Do niedawna strzeliste gotyckie łuki przesłaniał podwieszany sufit, jednak Angelina Fowl kazała go usunąć i przywrócić sali dawną, dwukondygnacyjną świetność.

Artemis, jego ojciec oraz Butler siedzieli na obitych czarną skórą krzesłach projektu Marcela Breuera przy stole ze szklanym blatem, przy którym zmieściłoby się jeszcze dziesięć osób.

Nie tak dawno przy tym stole siadywali przemytnicy, pomyślał Artemis. Nie wspominając o baronach świata przestępczego, hackerach, szpiegach przemysłowych, fałszerzach, spekulantach i włamywaczach.

Artemis senior zamknął laptop. Był blady i wyraźnie wycieńczony, ale w jego oczach błyszczała dawna determinacja.

- Plan jest prosty. Musimy zasięgnąć nie tylko drugiej opinii, ale tak wielu opinii, jak to możliwe. Butler weźmie samolot i polecie do Chin. Nie ma czasu na korzystanie z oficjalnych kanałów, więc może trzeba znaleźć lotnisko, na którym kontrola graniczna jest nieco mniej rygorystyczna.

Butler skinął głową.

- Znam odpowiednie miejsce. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa dni będę z powrotem.

Artemis starszy był zadowolony.

- Dobrze. Samolot ma pełny bak i jest gotowy. Złatwiłem pełną załogę i drugiego pilota.

- Muszę jeszcze tylko spakować kilka rzeczy i mogę ruszać.

Artemis potrafił sobie wyobrazić, jakie rzeczy spakuje Butler, szczególnie jeśli na „lotnisku” nie będzie żadnych funkcjonariuszy.

. - A co ty zrobisz, ojczu? - spytał chłopiec.

- Udam się do Anglii - odparł Artemis senior. - Śmigłowcem na lotnisko Londyn-City, a stamtąd limuzyną na Harley Street. Jest tam kilku specjalistów, z którymi mogę porozmawiać. Będzie dużo prościej, jeśli ja wybiorę się do nich, zamiast ściągać ich do siebie. Jeżeli któryś umie rzucić choćby odrobinę światła na stan twojej matki, zapłacę, ile będzie trzeba, żeby tutaj przyjechał. Jeśli to będzie konieczne, wykupię jego gabinet.

Artemis kiwnął głową. Mądra taktyka. Można się było tego spodziewać po kimś, kto przez ponad dwie dekady z powodzeniem kierował imperium przestęp-

czym, natomiast przez kilka ostatnich lat – charytatywnym.

Obecnie wszystko, co robił Artemis senior, było etyczne. Począwszy od firmy zajmującej się sprzedażą odzieży produkowanej zgodnie z zasadami sprawiedliwego handlu, aż po udziały w konsorcjum Earthpower, złożonym z przedsiębiorców o podobnych zapatrywaniach, konstruujących wszystko: od samochodów napędzanych odnawialnymi źródłami energii, po różdżki geotermalne i baterie słoneczne. Nawet samochody, samolot i śmigłowiec Fowlów zostały wyposażone w nowoczesne filtry ograniczające emisję dwutlenku węgla.

– Ja zostanę tutaj – oznajmił Artemis, nie czekając, aż ktoś inny mu to powie. – Mogę koordynować wasze działania, ustawić kamerę internetową, żeby specjaliści z Harley Street zobaczyli mamę, nadzorować pracę doktora Schalkego i panny Book, a także szukać lekarstwa w internecie.

Artemis senior pozwolił sobie na półuśmiech.

– Świetnie, synu. Nie pomyślałem o kamerze.

Butler chciał jak najszybciej zacząć działać, jednak zanim wyszedł, musiał jeszcze poruszyć jeden temat.

– Nie podoba mi się pomysł, żeby zostawić Artemisa samego. Co prawda jest geniuszem, ale notorycznie wtyka nos w nie swoje sprawy i przyciąga kłopoty jak magnes. – Butler puścił oko do chłopca. – Bez obrazy, paniczku, ale potrafiłbyś zmienić niedzielny piknik w międzynarodowy kryzys.

Artemis łaskawie przyjął to oskarżenie:

– Nie mam ci za złe.

- Przyszło mi to do głowy - przyznał Artemis senior, drapiąc się w brodę. - Ale nie ma wyjścia. Niania zgodziła się zabrać bliźniaków na kilka dni do swojego domku w Howth, natomiast Arty jest potrzebny tutaj, więc będzie sobie musiał poradzić.

- Co nie stanowi problemu - stwierdził Artemis.
- Proszę was, uwierzcie we mnie choć odrobinę.

Artemis starszy sięgnął przez stół i położył rękę na dłoni syna.

- Wiara w siebie nawzajem to jedyne, co nam zostało. Musimy wierzyć, że uratowanie twojej matki jest możliwe. Wierzysz w to?

Artemis zauważył, że jedno z górnych okien się uchyliło. Do pomieszczenia wpadł liść, wirując w podmuchu wiatru. Zaraz potem okno jakby samo się zamknęło.

- Mocno w to wierzę, ojcze. Z każdą minutą bardziej.

Holly ujawniła się dopiero wtedy, kiedy zmodyfikowany śmigłowiec Sikorsky A-76C Artemisa seniora uniósł się z lądowiska na dachu. Jej ludzki przyjaciel zajęty był właśnie ustawianiem kamery internetowej przy łóżku matki, kiedy elficzka ukazała się i położyła mu rękę na ramieniu.

- Tak mi przykro, Artemisie - powiedziała cicho.

- Dziękuję, że przybyłaś - odrzekł chłopiec. - Szybko dotarłaś.

- Byłam na powierzchni w Finlandii, goniłam za krakenem.

- Ach tak, bestia z Tennysona - stwierdził Artemis, zamykając oczy i przypominając sobie kilka linijek słynnego wiersza:

*W burzliwej toni, nad ponurym dnem
Pośród oddechu przeraźliwych wód
Pustym, przedwiecznym, nieprzerwanym snem
Drzemie kraken.*

- Drzemie? Już nie. Obejrzyj potem wiadomości. Najwyraźniej nastąpił naturalny wybuch gazu.

- Domyślam się, że Ogierek jak zwykle manipuluje doniesieniami.

- Tak.

- Niewiele krakenów już zostało - stwierdził Artemis. - Siedem, jeśli dobrze liczę.

- Siedem? - zdziwiła się Holly. - My wiemy tylko o sześciu.

- Ach tak, sześć. Miałem na myśli sześć. Nowy kombinezon? - Artemis nieco zbyt szybko zmienił temat.

- O trzy lata bardziej zaawansowany niż poprzedni - odparła wróżka, odkładając dochodzenie w sprawie krakena na później. - Ma autopancerz. Kiedy czujniki stwierdzają, że nadchodzi niebezpieczeństwo, cały kombinezon napina się, żeby zamortyzować uderzenie. Dziś już raz mi to uratowało życie.

W hełmie pojawiła się ikona wiadomości. Holly przez chwilę czytała krótki tekst.

- Numer Jeden w drodze. Przysyłają wahadłowiec Sekcji Ósmej. Już nie da się tego ukryć, więc trzeba szybko załatwić sprawę.

- Dobrze. Każda pomoc się przyda.

Umilkli, spoglądając na śmiertelnie chorą Angeli-
nę. Matka Artemisa była uderzająco blada, w powie-
trzu unosiła się zaś zgniła woń lilii.

Artemis upuścił kamerkę, która potoczyła się pod
łóżko.

- Niech to piekło pochłonie! - zaklął, klękając i się-
gając w ciemność. - Nie mogę... No, nie mogę...

I wtedy nagle z całą siłą dotarła do niego powaga
sytuacji.

- Jakim ja jestem synem? - wyszeptał. - Kłamcą
i złodziejem. Mama całe życie kochała mnie i próbo-
wała chronić, a teraz może umrzeć.

Holly pomogła mu wstać.

- Już nie jesteś tamtą osobą, Artemisie, i kochasz
swoją mamę, prawda?

Artemis sapnął zmieszany.

- Tak. Oczywiście.

- W takim razie jesteś dobrym synem. Twoja mama
przekona się o tym, jak tylko ją uzdrowię.

Holly pstryknęła szyją. Z koniuszków palców wy-
strzeliły magiczne iskry i wirując, utworzyły odwróco-
ne stożki.

- Nie! - wypalił Artemis. - Może rozsądniej byłoby
najpierw zbadać objawy?

Holly zacisnęła dłoń, tłumiąc iskry. Podejrzane.

Zdjęła hełm i podeszła do Artemisa - tak blisko, że
poczuł się nieswojo - i spojrzała mu głęboko w jego
różnego koloru oczy. Dziwnie się czuła, gdy patrzyło
na nią jej własne oko.

- Artemisie, czy ty coś zrobisz?

Chłopiec spokojnie odwzajemnił spojrzenie. Wydawało się, że w jego oczach nie ma nic poza smutkiem.

- Nie. Po prostu gdy chodzi o mamę, jestem jeszcze ostrożniejszy, niż gdyby chodziło o mnie. To wszystko.

Podejrzliwość Holly brała się z lat znajomości z Artemisem. Zastanawiała się, czemu teraz wahał się przed użyciem magii, skoro nigdy wcześniej mu to nie przeszkadzało. Może sam już spróbował tego rozwiązania. Czy wbrew temu, co twierdził, strumień czasu nie pozbawił go skradzionej magii?

Przyłożyła dłonie do skroni Artemisa i dotknęła czołem jego czoła.

- Holly, przestań! - zaproponował chłopak. - Nie ma na to czasu.

Wróżka nie odpowiedziała. Zamknęła oczy, skoncentrowała się. Artemis poczuł ciepło rozchodzące się po czaszce i znajomy szum magii. Badała go. Wszystko trwało najwyżej sekundę.

- Nic - powiedziała, puszczając chłopca. - Echa magii. Ale żadnej mocy.

Artemis zatoczył się do tyłu. Kręciło mu się w głowie.

- Rozumiem twoją podejrzliwość, Holly. Zasłużyłem sobie na nią po wielokroć. Czy teraz mogłabyś zbadać moją mamę?

Holly zdała sobie sprawę, że do tej pory unikała uważniejszego spojrzenia na Angelinę Fowl niż tylko pobieżny rzut okiem. Cała ta sytuacja przywoływała zbyt wiele bolesnych wspomnień.

- Oczywiście. Wybacz ten test. Musiałam się upewnić, że mogę wszystko wziąć za dobrą monetę.

- Moje uczucia nie mają teraz znaczenia - odrzekł Artemis, prowadząc Holly za łokieć. - Zajmij się mamą. Proszę.

Elficzka zmusiła się do porządnego zbadania Angeliny Fowl, a wówczas głęboko zakorzeniony strach sprawił, że przebiegł ją dreszcz.

- Znam to - szepnęła. - Znam.

- Spotkałaś się już z tą chorobą? - spytał Artemis.

Twarz i ramiona jego matki pokryte były przejrzystą galaretą, która wydobywała się z porów skóry, a następnie parowała. Angelina miała szeroko otwarte oczy, jednak widać było tylko białka. Jej palce zaciskały się na pościeli, jakby próbowała zatrzymać uciekające życie.

Holly wyjęła apteczkę z pasa, umieściła na szafce przy łóżku i za pomocą wacika pobrała próbkę mazi.

- Ta galareta. Ten zapach. To nie może być to. Nie może.

- To nie może być co? - dopytywał się Artemis, zaciskając palce na przedramieniu przyjaciółki.

Zignorowała go. Włożyła hełm i otworzyła kanał do Komendy Policji.

- Ogierku, jesteś tam?

Centaur odezwał się po drugim sygnale.

- Jestem. Przykuty do biurka. Komendant Wodrost dopytuje się, gdzie jesteś. Zbyłem go tą historyjką z Rytuałem. Myślę, że zostało ci mniej wiecej...

Holly przerwała to trajkotanie:

- Ogierek, posłuchaj mnie. Chodzi o matkę Artemisa. Wydaje mi się, że mamy coś... Chyba coś niedobrego.

Nastrój centaura zmienił się błyskawicznie. Holly przypuszczała, że głądził, żeby zagłuszyć własny niepokój. Bądź co bądź, wiadomość od Artemisa była bardzo ponura.

- Dobrze. Zsynchronizuję się z systemami dworu. Zapytaj Artemisa o hasło.

Holly uniosła osłonę, żeby spojrzeć chłopcu w oczy.

- Ogierek chce znać twoje hasło.

- Jasne, jasne. - Artemis był myślami gdzie indziej i minęła chwila, zanim przypomniał sobie sekretne słowo. - CENTAUR. Wielkimi literami.

Pod skorupą ziemi Ogierek odnotował komplement w tym zakątku umysłu, który odpowiadał za miłe i cenne wspomnienia. Później odtworzył tę myśl i będzie się nią napawał nad lampką wina.

- Centaur. Dobrze. Wszedłem.

Na ścianie rozbłysł duży telewizor plazmowy i pojawiła się na nim twarz Ogiierka, najpierw w postaci rozmazanych baniek, a po chwili wyostrzona. Kamera internetowa w dłoni Artemisa zabzyczała, kiedy centaur zdalnie regulował ostrość.

- Im więcej punktów widzenia, tym lepiej, no nie? - powiedział.

Jego głos pulsował z głośników telewizora w systemie surround.

Artemis skierował kamerę na twarz matki, starając się trzymać urządzenie jak najstabilniej.

- Z reakcji Holly wnioskuje, że ta choroba jest wam znana.

Elficzka wskazała na połysk na twarzy Angeliny.

- Ogierku, spójrz na maź wydostającą się z porów. A w powietrzu unosi się woń lilii. Nie ma wątpliwości.

- To niemożliwe - mruknął centaur. - Przecież wytępiiliśmy to wiele lat temu.

Artemisa zaczynała męczyć te niejasne uwagi.

- Co jest niemożliwe? Co wytępiiliście?

- Za wcześnie na diagnozę, Artemisie. Holly, muszę przeprowadzić skan.

Holly ustawiła dłoń nad czołem Angeliny Fowl. Omniczujnik w rękawicy skąpał sylwetkę kobiety w siatce promieni lasera.

Podczas gdy dane wpływały do systemu, palec Ogierka chwiał się jak metronom. Ten nieświadomy gest w tej sytuacji zdawał się zbyt radosny.

- Dobrze - powiedział centaur po trzydziestu sekundach. - Mam, czego potrzebuję.

Holly zamknęła pięść na czujniku. Potem stała z Artemisem, z dłonią w jego dłoni, w milczeniu oczekując na wyniki. Nie potrwało to długo, tym bardziej że Ogierek wiedział, czego szuka.

Gdy odczytywał wyniki, twarz miał ponurą.

- Komputer zbadał tę galarete. Niestety to czarotropia.

Artemis poczuł, że Holly mocniej go ścisnęła. Czymkolwiek była ta „czarotropia”, oznaczała coś niedobrego.

Wyrwał się z uścisku wrózki i długimi krokami podszedł do telewizora na ścianie.

- Ogierku, wytłumacz mi, o co chodzi. Proszę, natychmiast.

Centaur westchnął, po czym skinął głową.

- No dobrze, Artemisio. Czarotrophia była zarazą wśród Ludu Wrózek. Każde zakażenie okazywało się śmiertelne, a choroba osiągała fazę końcową w ciągu trzech miesięcy. Od tego momentu pacjentowi pozostawał niecały tydzień. W czarotropii jest wszystko: neurotoksyny, uszkodzenie komórek, odporność na wszelkie konwencjonalne formy terapii, a przy tym jest niezwykle agresywna. Coś niesamowitego.

Artemis zacisnęła zęby.

- To wspaniale, Ogierku. Wreszcie coś, co nawet ciebie fascynuje.

Centaur stał kroplę potu z nosa i zanim się odezwał, milczał jeszcze przez chwilę.

- Nie ma na nią lekarstwa, Artemisio. Już nie istnieje. Obawiam się, że twoja mama umiera. Sądząc po gęstości mazi, szacuję, że zostały jej dwadzieścia cztery godziny, może trzydzieści sześć, jeśli będzie walczyć. Jeżeli cię to pocieszy, gdy nadejdzie czas, nie będzie cierpiała.

Holly przeszła w poprzek pokoju. Wyciągnęła rękę, by chwycić chłopca za ramię, i zauważyła, jak wysoki stał się jej ludzki przyjaciel.

- Artemisio, możemy sprawić, żeby nie czuła bólu. Chłopak niemal brutalnie strząsnął jej dłoń.

- Nie. Ja potrafię czynić cuda. Mam talenty. Informacja to moja broń. - Ponownie skupił uwagę na ekranie. - Ogierku, wybacz mój wybuch. Już jestem sobą. Mówiłeś, że ta czarotropia była zarazą. Od czego się rozpoczęła?

- Od magii - odparł krótko centaur, po czym wyjaśnił: - Magię napędza ziemia. Kiedy planeta nie była już w stanie wchłonąć ogromu zanieczyszczeń, również magia uległa skażeniu. Czarotropia pojawiła się mniej więcej dwadzieścia lat temu w Linfen, w Chinach.

Artemis kiwnął głową. To miało sens. Linfen cieszyło się złą sławą ze względu na szczególnie wysokie stężenie zanieczyszczeń. Powietrze w tym centrum chińskiego przemysłu węglowego pełne było popiołu, czadu, wodorotlenków, lotnych związków organicznych, arsenu i ołowiu. Wśród chińskich pracodawców krążył żart: jeśli żywisz urazę wobec pracownika, wyślij go do pracy w Linfen.

- Choroba przenosiła się poprzez magię, więc jest na nią całkowicie odporna. W ciągu dziesięciu lat niemal zdziesiątkowała Lud Wrózek. Straciliśmy dwadzieścia pięć procent populacji. Najgorzej było w Atlantydzie.

- Ale ją powstrzymaliście - Artemis nie dawał za wygraną. - Na pewno znalazłeś lekarstwo.

- Nie ja - odparł Ogierek. - Antidotum odkryła nasza stara znajoma Opal Koboi. Zajęło jej to prawie dziesięć lat, a potem żądała za nie kosmicznej sumy. Skonfiskowaliśmy zapas antidotum na mocy nakazu sądowego.

Artemis zaczął się niecierpliwić.

- Ogierku, mam gdzieś politykę. Chcę wiedzieć, co było tym lekarstwem i dlaczego teraz nie mogę podać go matce.

- Długa historia.

- To ją skróć - warknął chłopak.

Ogierek opuścił wzrok, nie mogąc spojrzeć Artemisowi w oczy.

- Środek występował w naturze. Organizmy wielu stworzeń zawierają ważne leki i służą jako naturalne wzmacniacze magii, jednak z powodu działalności człowieka co roku ginie ponad dwadzieścia tysięcy gatunków zdolnych do ratowania życia. Opal opracowała prosty pistolet strzykawkowy, który pozwalał wydobyć lekarstwo na czarotropię bez zabijania zwierzęcia-dawcy.

Artemis nagle zrozumiał, dlaczego Ogierek nie mógł mu spojrzeć w oczy. Złapał się za głowę.

- O nie. Tylko nie to.

- Opal Koboï znalazła antidotum w płynie mózgowym lemura z Madagaskaru o nazwie sifaka jedwabna.

- Zawsze wiedziałem - jęknął chłopiec - że to się kiedyś zemści.

- Niestety sifaka jedwabna wyginęła. Ostatnia sztuka zniknęła z powierzchni ziemi prawie osiem lat temu.

Spojrzenie Artemisa pełne było poczucia winy.

- Wiem - szepnął. - To ja ją zabiłem.



MAŁPI WUJEK

Dwór Fowlów, niemal osiem lat wcześniej

Dziesięcioletni Artemis Fowl zamknął plik, nad którym pracował, wyłączył monitor i wstał zza biurka. Za chwilę miał spotkanie z ojcem. Artemis senior za pośrednictwem wewnętrznej poczty rano potwierdził termin, a on się nigdy nie spóźniał. Jego czas był cenny, oczekiwał więc, że syn stawi się punktualnie na poranną rozmowę. Zjawił się równo o dziesiątej. Skórzany zimowy płaszcz chrząścił mu wokół kolan.

- W Murmańsku minus piętnaście - wyjaśnił, oficjalnie ściskając dłoń syna.

Artemis stał na kamiennej płycie przed kominem. Nie musiał tam podchodzić, jednak wiedział, że jego ojciec usiadzie przy ogniu, w fotelu w stylu Ludwika XV, a przecież Artemis senior podczas rozmowy nie lubił wyciągać szyi.

Mężczyzna zagłębił się w stylowym fotelu, Artemis zaś pozwolił sobie na moment cichej satysfakcji.

- Mniemam, że statek gotowy?

- Gotów do rejsu - odparł ojciec z błyskiem podniecenia w błękitnych oczach. - Arty, mój chłopcze, to nowy rynek. Moskwa już dziś jest jednym z najważniejszych centrów handlu na świecie. Północna Rosja musi pójść w jej ślady.

- Przypuszczam, że mama nie jest zadowolona z tego przedsięwzięcia.

Ostatnimi czasy rodzice chłopca kłócili się do późna w nocy. Konflikt, nietypowy dla ich skądinąd szczęśliwego małżeństwa, dotyczył interesów Artemisa seniora. Kierował on przestępczym imperium, które rozciągało swe macki od kopalń srebra na Alasce, aż po nowozelandzkie stocznie. Angelina była natomiast oddaną filantropką i działaczką na rzecz ochrony środowiska. Uważała, że mąż, prowadząc działalność przestępczą i bezwzględnie eksploatując bogactwa naturalne, daje okropny przykład synowi.

- Wyrośnie taki sam jak jego ojciec - usłyszał pewnego wieczoru Artemis, podsłuchując za pomocą pluskwy radiowej, którą umieścił w akwarium.

- Myślałem, że kochasz jego ojca.

Chłopiec usłyszał szelest materiału, gdy rodzice się przytulili.

- Kocham. Kocham cię nad życie. Ale kocham też naszą planetę.

- Moja najdroższa - odrzekł Artemis senior, tak cicho, że pluskwa ledwie wychwyciła jego głos - finanse Fowlów są w tej chwili w kiepskim stanie. Cały nasz kapitał jest ulokowany w nielegalnych przedsięwzięciach.

Potrzeba mi jednej dużej transakcji, która pomogłaby w przejściu do całkowicie legalnych interesów. Kiedy będziemy mieli w rękach akcje jakiejś renomowanej spółki, wówczas zaczniemy ratować świat.

Artemis usłyszał, jak matka całuje ojca.

- No dobrze, mój ty księżę piratów. Jedna duża transakcja, a potem zaczniemy ratować świat.

Jedna duża transakcja. Pełen ładunek wolnej od podatku coli dla Rosjan. A co ważniejsze - doprowadzenie szlaku handlowego do Arktyki. Artemis podejrzewał, że ojcu trudno będzie zrezygnować z tego po jednej transakcji. Do zarobienia były grube miliardy.

- „Gwiazda Fowlów” jest w pełni załadowana i gotowa do podróży - ojciec Artemisa poinformował syna nieco później, podczas planowego spotkania w jego gabinecie. - Pamiętaj, świata nie da się uratować samymi dobrymi chęciami. Potrzebna jest możliwość wywierania nacisku, a tę przewagę daje złoto. - Artemis senior wskazał na herb i motto Fowlów, wyryte w drewnianej tarczy nad kominkiem. - *Aurum potestas est*. Złoto to władza. Nigdy o tym nie zapominaj, Arty. Dopóki za zielonymi nie będą stać pieniądze, nikt ich nie wysłucha.

Mały Artemis czuł się rozdarty pomiędzy rodzicami. Ojciec uosabiał wszystko, czym była ta rodzina. Dynastia Fowlów od wieków miała się świetnie, ponieważ zawsze skupiali się na pomnażaniu majątku. Artemis nie wątpił, że ojciec znajdzie sposób, by najpierw powiększyć rodzinną fortunę, następnie zaś zająć się

ochroną środowiska. Chłopiec kochał matkę, jednak trzeba było dbać o finanse Fowlów.

- Kiedyś ty będziesz musiał przejąć pieczę nad rodzinnymi interesami - powiedział do syna Artemis senior, wstając, aby zapiąć płaszcz. - A gdy nadejdzie ten dzień, będę spokojny, ponieważ wiem, że dobro Fowlów stanie się dla ciebie najważniejsze.

- Oczywiście, ojciec - odparł chłopiec. - Dobro Fowlów przede wszystkim. Ale ten dzień nie nadejdzie jeszcze przez wiele dziesięcioleci.

Artemis senior się roześmiał.

- Miejmy taką nadzieję, synu. A teraz muszę już iść. Opiekuj się matką, gdy mnie nie będzie. I nie pozwól jej roztrwonić rodzinnej fortuny, co?

Słowa te zostały wypowiedziane żartobliwym tonem, jednak tydzień później Artemis Fowl senior zaginął, być może stracił życie, a te słowa stały się zasadą, według której zaczął żyć jego syn.

„Opiekuj się matką i nie pozwól jej roztrwonić rodzinnej fortuny”.

Dwa miesiące później Artemis znów siedział przy biurku, wpatrzony w monitor komputera. Na ekranie widniały ponure dane dotyczące rodzinnych finansów, które od chwili zaginięcia ojca gwałtownie stopniały. Teraz to Artemis był panem domu i opiekunem imperium Fowlów, toteż musiał się stosownie zachowywać.

Ledwie czarne wody Arktyki pochłonęły statek Artemisa seniora, a już dłużnicy jak jeden mąż przestali

się wywiązywać z płatności, natomiast gangi fałszerzy, goryli, złodziei i przemytników zawarły sojusz z innymi organizacjami.

Honor wśród złodziei? – rozmyślał gorzko Artemis. Raczej nie.

Lwia część funduszy Fowlów zniknęła z dnia na dzień. Artemis został sam z posiadłością na głowie oraz z matką, która w szybkim tempie podążała ku załamaniu nerwowemu.

Nie minęło wiele czasu, a już zaczęli się schodzić wierzyciele, skorzy do zagarnięcia swojego kawałka tortu, zanim zostaną tylko okruchy. Artemis zmuszony był wystawić na licytację szkic Rembrandta tylko po to, by spłacić hipotekę i wyrównać kilka innych długów.

Matka nie ułatwiała mu zadania. Nie przyjmowała do wiadomości, że jej mąż zaginął, w związku z czym nie ustawała w realizacji swej misji ratowania świata bez względu na koszty.

Tymczasem Artemis usiłował organizować ekspedycje poszukiwawcze. To dość trudne zadanie, gdy ma się dziesięć lat i ogólnie rzecz biorąc, w świecie dorosłych nie jest się traktowanym poważnie, pomimo szeregu międzynarodowych nagród muzycznych i plastycznych, nie wspominając o kilkunastu korzystnych patentach i prawach autorskich, zgłoszonych w różnych zakątkach świata. Artemis wiedział, że z czasem zbuduje własną fortunę, jednak „z czasem” to za późno. Pieniądze potrzebne były teraz.

Potrzebował specjalnego pokoju, w którym mógłby monitorować Internet oraz światowe kanały informacyjne. To wymagało co najmniej dwudziestu komputerów. Poza tym w hotelu w Moskwie pozostawał w gotowości zespół poszukiwaczy arktycznych, którzy oczekiwali na przelew kolejnej transzy. Zapłaty, na którą brakowało mu środków.

Artemis postukał w ekran swym smukłym palcem.
Coś trzeba zrobić, pomyślał.

Kiedy wszedł do sypialni, Angelina Fowl płakała na łóżku. Ten widok chwycił go za serce, jednak chłopiec zacisnął pięści i powiedział sobie, że musi być silny.

- Mamo - odezwał się, machając wyciągiem z konta bankowego. - Co to jest?

Angelina otarła oczy chusteczką, po czym podniosła się na łokciach i powoli skoncentrowała wzrok na synu.

- Arty, mój mały Arty. Chodź tu do mnie.

Wokół oczu miała rozmazany tusz, jej blada twarz stała się niemal przezroczysta.

Bądź silny.

- Nie, mamu. Nie czas na pogawędki. Chcę, żebyś wyjaśniła mi ten czek na pięćdziesiąt tysięcy euro na rzecz centrum ochrony przyrody w Afryce Południowej.

Angelina była oszołomiona.

- Afryka Południowa? Skarbie, kto pojechał do Afryki Południowej?

- Wysłałaś tam czek na pięćdziesiąt tysięcy euro. To były pieniądze, które odłożyłem na wyprawę arktyczną.

- Pięćdziesiąt tysięcy. Coś sobie przypominam. Zapytam twojego ojca, kiedy wróci. Lepiej, żeby znowu się nie spóźnił na obiad, bo inaczej...

Artemis stracił cierpliwość.

- Mamo, proszę cię. Spróbuj się skupić. Nie mamy wolnych funduszy na organizacje w Afryce Południowej. Musieliśmy zwolnić całą służbę z wyjątkiem Butlera, a i on od miesiąca nie dostał wypłaty.

- Lemur! - wykrzyknęła triumfalnie Angelina. - Już pamiętam. Kupiłam lemura, sifakę jedwabną.

- To niemożliwe! - warknął Artemis. - *Propithecus candidus* to wymarły gatunek.

Jego matka nagle odzyskała energię.

- Nie, nie. Odnaleźli to jedwabne maleństwo w Afryce Południowej. Nie wiedzą, jak się tam dostało z Madagaskaru. Pewnie na łodzi kłusowników. Musiałam je uratować. Arty, to ostatni egzemplarz.

- Za rok, może dwa umrze - stwierdził chłodno Artemis. - Wtedy okaże się, że nasze pieniądze poszły na marne.

Angelina była przerażona.

- Mówisz zupełnie jak...

- Ojciec? To dobrze. Ktoś w tym domu musi myśleć racjonalnie.

Twarz chłopca była surowa, ale w głębi duszy zadrdzał. Jakże mógł tak zwracać się do swojej matki, kiedy ta niemal postradała zmysły z rozpaczy?

Czemu ja się nie rozsypałem? – zastanawiał się. Odpowiedź nadeszła prędko: *jestem Fowlem, a Fowlowie zawsze triumfowali w obliczu przeciwności losu.*

– Ale mam, pięćdziesiąt tysięcy? Za lemura?

– Może znajdą samicę – argumentowała Angelina.
– Wtedy uratujemy gatunek.

Nie ma sensu dyskutować, pomyślał Artemis. *Logiką nic się tu nie wskóra.*

– A gdzie jest teraz to szczęśliwe maleństwo? – spytał niewinnie, uśmiechając się tak, jak powinien się uśmiechnąć dziesięciolatek, kiedy mowa o małym, puszystym zwierzątku.

– Jest bezpieczne w Rathdown Park. Żyje tam jak król. Jutro przewiozą je do specjalnego, sztucznie stworzonego siedliska na Florydzie.

Artemis kiwnął głową. Rathdown Park był prywatnym rezerwatem w hrabstwie Wicklow, stworzonym specjalnie do ochrony zagrożonych gatunków. Strzeżonym staranniej niż przeciętny bank szwajcarski.

– To wspaniale. Może mógłbym odwiedzić małpkę za pięćdziesiąt tysięcy euro.

– No, no, Artemisie! – zbeształa go matka. – To lemur, a jak dobrze wiesz, lemury są przodkami małp.

Wiem, ale mam to gdzie! – miał ochotę wrzasnąć Artemis. *Ojciec zaginął, a ty wydałaś fundusz ekspedycji na lemura!*

Ale ugryzł się w język. Nerwy matki były w tej chwili w złym stanie i Artemis nie chciał go pogarszać.

– W Rathdown zwykle nie przyjmują gości – ciągnęła Angelina – ale jestem pewna, że gdybym tam za-

dzwoniła, dla ciebie zrobiono by wyjątek. Bądź co bądź, Fowlowie finansują wioskę naczelnych.

Artemis udał, że jest zachwycony.

- Dziękuję, mamó. To byłaby dla mnie nie lada gratka, dla Butlera też. Wiesz, jak on lubi małe, puchate stworzenia. Bardzo bym chciał zobaczyć gatunek, który uratowaliśmy.

Angelina uśmiechnęła się, a w uśmiechu tym było zaleństwo, które przeraziło jej syna.

- Świetnie, Artemisie. Pokażemy tym zadufanym biznesmenom. Matka i syn wspólnymi siłami uratują świat. Ależ będę dokuczać twojemu ojcu, kiedy wróci do domu.

Artemis z ciężkim sercem powoli wycofał się ku drzwiom.

- Tak, mamó. Razem uratujemy świat.

Gdy zamknął za sobą drzwi, szybkim krokiem zszedł na dół. Palcami dyrygował niewidzialną orkiestrą, w myślach knując intrygę. Zboczył do swej sypialni i pospiesznie ubrał się do podróży, a następnie ruszył do kuchni, gdzie zastał Butlera, który siekał warzywa krótkim japońskim mieczem *kodachi*. Obecnie był nie tylko strażnikiem, lecz również kucharzem i ogrodnikiem.

Ogromny ochroniarz szybko rozprawiał się z ogórkiem.

- Sałatka letnia - wyjaśnił. - Sama zielenina, jajko na twardo i trochę kurczaka. Myślałem o *crème brûlée* na deser. Miałbym okazję wypróbować miotacz ognia.

Zerknął na Artemisa i z zaskoczeniem stwierdził, że chłopiec ubrany jest w jeden ze swych dwóch gar-

niturów, ciemnogrnatowy, w którym ostatnio był na operze w Covent Garden. Artemis zawsze ubierał się elegancko, ale garnitur i krawat to rzadkość u niego.

- Czy wybieramy się na jakąś galową imprezę?

- Nie, nie galową - odrzekł Artemis z chłodem w głosie, którego ochroniarz nigdy wcześniej nie słyszał, a który wkrótce miał się stać bardzo znajomy.

Jedziemy w interesach. Teraz ja kieruję sprawami rodziny, więc powinienem się stosownie ubierać.

- Ach... Jakbym słyszał twojego ojca. - Butler ostrożnie wytarł miecz, po czym zdjął fartuch. - Mamy do załatwienia jakieś typowe interesy Fowlów, prawda?

- Tak - odparł Artemis. - Z małym wujkiem.

Dwór Fowlów, obecnie

Holly była zdruzgotana.

- Więc w przyływie dziecinnej złości zamordowałeś lemura.

Artemis opanował się i usiadł na krześle obok łóżka. Trzymał dłoń matki tak delikatnie, jakby to był ptak.

- Nie. Cierpiałem niegdyś na napady złości, ale jak dobrze wiecie, zwykle nie trwały długo. Emocje nie są dobrane wzięć góry nad intelektem takim jak mój.

- Ale powiedziałeś, że zabiłeś to zwierzę.

Artemis potarł skroń.

- Tak, to prawda. Nie własnymi rękami, ale zabiłem je, to pewne.

- W jaki sposób?

- Byłem młody... młodszy - wymamrotał chłopak; niełatwo przychodziło mu o tym mówić. - Pod wieloma względami byłem inną osobą.

- Wiemy, jaki byłeś, Artemisie - rzekł Ogierek smutnym tonem. - Nie masz pojęcia, jak bardzo obniżenie Dworu Fowlów uszczupliło mój budżet.

Holly naciskała:

- Jak zabiłeś tego lemura? Jak do niego w ogóle dotarłeś?

- To było śmiesznie łatwe - przyznał Artemis. - Butler i ja pojechaliśmy do Rathdown Park i po prostu wyłączyliśmy system ochrony. A wieczorem wróciliśmy i zabraliśmy lemura.

- Więc to Butler go zabił. Jestem zaskoczona, to nie w jego stylu.

Artemis nie podnosił wzroku.

- Nie, Butler tego nie zrobił. Sprzedałem lemura grupie likwidacjonistów.

Holly była wstrząśnięta.

- Likwidacjonistów! Jak mogłeś! To straszne!

- To był mój pierwszy duży interes - rzekł Artemis. - Dostarczyłem zwierzę do Maroka, a oni zapłacili mi sto tysięcy euro. Sfinansowałem z tego całą wyprawę na Arktykę.

Holly i Ogierkowi odjęło mowę. Artemis dosłownie przehandlował życie istoty. Wróżka odsunęła się od człowieka, którego jeszcze przed chwilą uważała za przyjaciela.

- Podszedłem do tego pragmatycznie. Mój ojciec za lemura. Jakże bym mógł tego nie zrobić? - W oczach

Artemisa malował się prawdziwy żal. – Wiem. To był straszny czyn. Gdybym mógł cofnąć czas...

I nagle zamilkł. On co prawda nie mógł cofnąć czasu, ale znał demona-czarownika, który to potrafił. To była szansa. Szansa!

Delikatnie położył dłoń matki na łóżku, po czym wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

Muzyka do knucia, pomyślał. Potrzebuję muzyki do knucia.

Z bogatej kolekcji w umyśle wybrał VII symfonię Beethovena i słuchał jej, rozmyślając.

Dobry wybór. Ponure, acz podnoszące na duchu. Inspirowająca rzecz.

Artemis maszerował po dywanie w tę i z powrotem, całkowicie zatopiony w świecie pomysłów i możliwości.

Holly rozpoznała ten nastrój.

- On ma plan - rzekła do Ogierka.

Centaury zrobił kwaśną minę.

- Jakimś cudem mnie to nie dziwi.

Elficzka skorzystała z nieuwagi Artemisa, by zamknąć hełm i porozmawiać z Ogierkiem na osobności. Podeszła do okna i przez szparę między zasłonami wyjrzała na posesję. Promienie zachodzącego słońca migotały za gałęziami drzew. Kępy dali błyskały bielą i czerwienią jak fajerwerki.

Holly pozwoliła sobie na tęskne westchnienie, po czym skupiła się na bieżącej sytuacji.

- Tu chodzi o coś więcej niż tylko o matkę Artemisa - stwierdziła.

Ogierek wyłączył telewizor, tak by chłopiec go nie słyszał.

- Wiem. Jeśli choroba się rozniesie, to będzie katastrofa dla wrózek. Pamiętaj, że nie mamy już antidotum.

- Musimy przesłuchać Opal Koboi. Na pewno prowadziła notatki.

- Najcenniejsze formuły Opal zawsze przechowywała w głowie. Pożar dżungli chyba ją zaskoczył. Za jednym razem straciła wszystkich dawców.

Laboratoria Koboi ściągały madagaskarskie lemury za pomocą imitatora odgłosów w rezerwacie Tsingy de Bemaraha. Właściwie każdy lemur na wyspie reagował na wezwanie, więc wszystkie zginęły w niefortunnym pożarze, wywołanym przez uderzenie pioruna. Na szczęście większość zakażonych zdążono już poddać kuracji, ale na oddziałach kwarantanny i tak zmarło jeszcze piętnaście wrózek.

Artemis przestał się przechadzać i głośno odchrząknął. Był gotów przedstawić swój plan i oczekiwał całkowitej uwagi.

- Istnieje stosunkowo proste rozwiązanie naszego problemu.

Ogierek ponownie włączył telewizor. Płaski ekran wypełniła jego twarz.

- Naszego?

- Daj spokój, Ogierku, nie udawaj głupiego. To zaraz wrózek, która zmutowała i rozprzestrzeniła się na ludzi. Nie macie antidotum ani czasu, by je wytwor-

czyć. Kto wie, ile przypadków czarotropii jest w tej chwili w fazie inkubacji.

W tym mój, pomyślał Artemis. Użyłem wobec matki czarów, więc pewnie też jestem zarazony.

- Obłożymy rezydencję kwarantanną - odrzekł Ogierek. - Dopóki nikt nie użyje magii wobec twojej matki, będziemy w stanie zapobiec epidemii.

- Poważnie wątpię w to, by moja matka była pacjentem zero. Za duży zbieg okoliczności. Na pewno istnieją inne przypadki, kto wie na jak dużym obszarze.

Ogierek chrząknął. To był jego sposób przyznawania komuś racji.

- No to powiedz mi, Artemisie, jakie jest to „stosunkowo proste rozwiązanie”?

- Cofnę się w czasie i uratuję lemura - oznajmił chłopak, uśmiechając się promiennie, jakby właśnie zaproponował bez troską letnią kąpiel.

Cisza. Absolutna cisza, która trwała przez kilka chwil, przerywana jedynie stłumionym rzeniem Ogierka.

- Cofniesz się...

- ...w czasie - dokończyła z niedowierzaniem Holly.

Artemis usiadł w wygodnym fotelu, złożył palce w piramidkę i skinął głową.

- Proszę, przedstawcie swoje argumenty. Jestem gotowy.

- Jak możesz być taki zadowolony z siebie? - zastanawiała się Holly. - Po tych wszystkich tragediach, które widzieliśmy, po tym całym spustoszeniu, jakie wywołały twoje plany.

- Nie jestem zadowolony z siebie, tylko zdeterminowany - sprostował Artemis. - Nie ma czasu na rozważę. Mojej mamie zostało kilka godzin życia, a Ludowi niewiele więcej.

Ogierek wciąż nie mógł się otrząsnąć.

- Czy masz pojęcie, ile posiedzeń komisji konstytucyjnej musielibyśmy przetrwać tylko po to, żeby ta sprawa w ogóle trafiła przed Radę?

Artemis lekceważąco pokiwał palcem.

- Nieistotne. Czytałem konstytucję Ludu. Nie dotyczy ludzi ani demonów. Jeśli Numer Jeden zgodzi się mi pomóc, z formalnego punktu widzenia nie będziecie mieli mocy prawnej, by go powstrzymać.

Do dyskusji włączyła się Holly:

- Artemisie, to jest obłąd. Nie bez kozery zakazano podróży w czasie. Potencjalne skutki najdrobniejszej ingerencji w tok wydarzeń mogą być katastrofalne.

Chłopak uśmiechnął się ponuro.

- Ach tak, stary, dobry „paradoks czasu”. Jeśli cofnę się w czasie i zabiję własnego dziadka, przestanę istnieć? Podobnie jak Gorben i Berndt wierzę, że wszelkie skutki odczuwa się już teraz. Możemy zmienić jedynie przyszłość, a nie przeszłość czy terażniejszość. Jeśli przeniosę się w przeszłość, to znaczy, że już tam byłem.

Holly odezwała się zycziwie - żal jej było Artemisa. Choroba Angeliny boleśnie przypominała jej ostatnie dni jej matki.

- Nie możemy się wtrącać, Artemisie. Trzeba pozwolić ludziom żyć własnym życiem.

Chłopak wiedział, że aby uderzyć kolejnym argumentem, powinien wstać i wygłosić oskarżenie z teatralną manierą, jednak nie był w stanie. Miał zamiar spróbować najokrutniejszego w swoim życiu podstępu wobec najbliższej przyjaciółki i przytłaczało go poczucie winy.

- Ty już się wtrąciłaś, Holly - rzekł, zmuszając się, by spojrzeć jej w oczy.

Na te słowa wróżka zadrżała. Podniosła osłonę hełmu.

- Jak to?

- Uzdrowiłaś moją matkę. Uzdrowiłaś ją i zarazem zgubiłaś.

Holly cofnęła się, unosząc dłonie, tak jakby chciała zastonić się przed ciosem.

- Ja? Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie było już odwrotu przed tym kłamstwem, więc Artemis zamaskował poczucie winy gwałtownym wybuchem gniewu.

- Uzdrowiłaś moją matkę po obłączeniu. To ty musiałaś ją zarazić czarotropią.

Ogierek pospieszył w sukurs przyjaciółce:

- Niemożliwe, to było wiele lat temu. Czarotrofia ma trzymiesięczny okres inkubacji. Nigdy nie waha się o więcej niż kilka dni.

- I nigdy nie dotyka ludzi - skontrował Artemis.

- To nowy szczep. Nie wiadomo, z czym mamy do czynienia.

Holly nie mogła się otrząsnąć z powodu szoku i poczucia winy. Wierzyła słowom Artemisa, choć ten wie-

dział, że w istocie on sam zaraził matkę, kiedy zmienił jej pamięć.

Ojciec też to musi mieć. Ale kto mnie zaraził? I dlaczego nie choruję?

Tak wiele zagadek, jednak to nie był moment, aby je rozwiązywać. Teraz Artemis potrzebował antidotum, a żeby uzyskać wsparcie wróżek, musiał zagrać na ich rzekomej winie.

- Ale ja jestem czysta! - protestowała Holly. - Będą mi.

- W takim razie musisz być nosicielem - rzekł Artemis beznamiętnie. Następnie skierował spojrzenie na płaską twarz centaury. - To możliwe, prawda?

Ogierek był skonsternowany obcesowością chłopaka.

- Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z nowym szczepem, owszem, jest to możliwe - przyznał. - Ale nie można wyciągać wniosków z przypuszczenia...

- W normalnej sytuacji bym się zgodził. Bo miałbym luksus czasu i obiektywizmu. Ale moja matka umiera, więc nie mam ani tego, ani tego. Muszę się cofnąć w czasie i uratować lemura, a was honor zobowiązuje do udzielenia mi pomocy. A jeśli mi nie pomożecie, to przynajmniej musicie obiecać, że nie będziecie mi przeszkadzać.

Przyjaciele Artemisa milczeli. Holly pogrążona była w rozmyślności o tym, co być może zrobiła. Z kolei Ogierek w swym przepastnym umyśle poszukiwał odpowiedzi na argumenty chłopca. Żadnych nie znalazł.

Holly zdjęła hełm i z zakłopotaniem podeszła do łóżka Angeliny Fowl. Jakoś dziwnie nie czuła nóg i to wrażenie się rozprzestrzeniało.

- Moja matka zmarła otruta przez ludzi. Przez przypadek, ale to jej nie uratowało. - Z oczu elficzki spłynęły łzy. - Chciałam ich dopaść. Nienawidziłam ich. - Załamała ręce. - Przepraszam, Artemisie. Nie wiedziałam. Ileż osób mogłam zarazić? Na pewno mnie nienawidzisz.

Cofnij to, myślał Artemis. *Powiedz prawdę albo wawa przyjaźń już nigdy nie będzie taka jak kiedyś*. A potem: *Nie. Bądź silny. Matka musi żyć*.

- Nie, Holly, nieprawda, że cię nienawidzę - odrzekł cicho Artemis. *Nienawidzę siebie*, pomyślał, *ale muszę w to brnąć*. - Oczywiście to nie twoja wina, ale musisz mi pozwolić cofnąć się w czasie.

Holly skinęła głową i otarła łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Nie tylko ci na to pozwolę, ale będę cię eskortować. Para bystrych oczu i szybki pistolet mogą się przydać.

- Nie, nie, nie! - krzyknął Ogierek, z każdym zaprzeczeniem podkręcając poziom głosu w telewizorze. - Nie wolno nam ot, tak sobie zmieniać przeszłości, kiedy nam się to podoba. Może Holly powinna uratować swoją matkę albo ożywić komendanta Juliusza Bulwę! To absolutnie niedopuszczalne.

Artemis wycelował w niego palec.

- To wyjątkowa sytuacja - powiedział. - Grozi wam wybuch zarazy, a my jesteśmy w stanie mu zapobiec.

Co więcej, możemy przywrócić do życia gatunek, który uważaliśmy za wymarły. Ja doprowadziłem do śmierci tylko jednego lemura, ale Opal Koboï zgromadziła całą resztę, by zginęła w pożarze. Lud ponosi taką samą winę jak ja. Żerowaliście na płynie mózgowym żywych istot, żeby ratować siebie.

- My... my byliśmy zdesperowani - argumentował Ogierek, przerażony, że w ogóle się zająknął.

- No właśnie - odrzekł triumfalnie Artemis. - Byliście gotowi zrobić wszystko. Przypomnij sobie, jak się z tym czułeś, i zastanów się, czy znów chcesz tego doświadczyć.

Centaur spuścił wzrok i pogрузzył się we wspomnieniach. Tamte czasy były dla wróżek koszmarem. Użycie magii zostało czasowo zabronione, a lemury zdążyły wyginać, zanim nakaz sądowy zmusił Opal do wyjawienia źródła antidotum. Ogierek pracował bez wytchnienia nad alternatywnym lekiem, jednak na darmo.

- Myśleliśmy, że jesteśmy niezwyciężeni. Jediną chorobą, jaka została, był człowiek. - Centaur wreszcie podjął decyzję. - Lemur musi przeżyć - stwierdził. - Płyn mózgowy można przez krótki czas przechowywać, ale kiedy obojętnieje, staje się bezużyteczny. Pracowałem nad naładowanym pojemnikiem, ale...

- Tym razem ci się uda - zapewnił go Artemis. - Dostaniesz żywy obiekt i będziesz miał zapewnione warunki laboratoryjne. Sklonujesz samicę.

- Generalnie klonowanie jest nielegalne - zamyślił się Ogierek. - Ale w przypadku wymarłych gatunków robiono już wyjątki...

W hełmie Holly zapiknął sygnał, zwracając jej uwagę na maszynę, lądującą właśnie przed budynkiem. Wróżka pospieszyła do okna i zdążyła dostrzec delikatny blask w powietrzu, który rzucał cień na skąpany w księżycowym świetle podjazd.

Na pewno pilot-żółtodziób, pomyślała ze złością. Nie włączył oświetlenia cieniowego.

- Przyleciał wahadłowiec - poinformowała Artemisa.

- Każ pilotowi zaparkować z tyłu, w jednej ze stajni. Asystentka lekarza korzysta z telefonu w gabinecie ojca. Nie chcę, żeby wpadła na osłoniętą maszynę wróżek, kiedy wyjdzie na spacer.

Holly przekazała polecenia. Czekali w napięciu, aż wahadłowiec wymanewruje za dom. Czas dłużył się, ciszę przerywał tylko ciężki, chrypliwy oddech Angeliny.

- Numer Jeden może nie dać rady - odezwał się Ogierek jakby sam do siebie. - Jest młodym czarownikiem, brak mu wykształcenia. Podróż w czasie to najtrudniejsza dziedzina czarów.

Artemis nie skomentował tej uwagi. Nie było sensu. W Numerze Jeden spoczywała cała jego nadzieja.

Uda mu się albo mama umrze.

Chłopiec ujął dłoń Angeliny i pogładził kciukiem szorstką jak pergamin skórę.

- Trzymaj się, mamó - szepnął. - Nie będzie mnie tylko sekundkę.



OGŁASZAM WAS

Mały demon znany jako Numer Jeden, który człapał po trapie wahadłowca SKR, stanowił osobliwy widok. Niskie, przysadziste indywiduum o krótkich kończynach, pokryte szarymi pancernymi łuskami, wyglądało jak miniaturowy wyprostowany nosorożec, który ma palce u rąk i nóg. Nie pasowała tylko głowa. Był to łeb autentycznego gargulca.

Szkoda, że nie mam ogona, pomyślał Numer Jeden.

W istocie posiadał ogon, ale króciutki i przydatny właściwie tylko do wzbijania śniegu w sztucznym parku pogody w Oaza City.

Numer Jeden pocieszał się myślą, że przynajmniej ogon nie wpada mu do ubikacji. Niektóre demony z Hybras miały kłopoty z dostosowaniem się do nowomodnych desek sedesowych w kabinach prze-

twórczych w Oazie. Słyszał przerażające opowieści. Podobno tylko w tym miesiącu były trzy przypadki chirurgicznego przyszywania ogona.

Demonom trudno było przestawić się z Przedpiekła na życie w normalnym czasie, jednak zalety przeważały nad wadami. Zniesiono ograniczenia narzucone przez dawnego przywódcę. Jeśli tylko chciały, demony mogły jeść gotowane pożywienie. Znowu powstawały rodziny. Nawet najbardziej wojowniczy demon staje się o wiele spokojniejszy, gdy w pobliżu jest jego matka. Ciężko im było otrząsnąć się po dziesięciu tysiącach lat nienawiści do ludzi, toteż wiele nastoletnich demonów poddawało się terapii lub brało pigułki na poprawę nastroju, żeby powstrzymać się przed wskoczeniem do wahadłowca, wyprawą na powierzchnię i schrupaniem pierwszej lepszej ludzkiej kończyny.

Ale nie Numer Jeden. Jemu nie w głowie było schrupanie kończyn. Stanowił swego rodzaju anomalię wśród demonów. Kochał wszystkich, nawet ludzi, a szczególnie Artemisa Fowla, który uratował jego pobratymców ze śmiertelnie posepnego Przedpiekła, nie wspominając o uwolnieniu od Leona Abbota, psychopatycznego eks-przywódcy.

Kiedy więc do Sekcji Ósmej dotarła wiadomość, że Artemis go potrzebuje, Numer Jeden włął do wahadłowca i zażądał, by przewieziono go na powierzchnię. Podpułkownik Vinyaya zgodziła się, ponieważ inaczej ryzykowała napadem magicznej złości nieopierzonego czarownika. Pewnego razu w przypiływie frustra-

cji Numer Jeden niechęący rozbił ścianę powiększającą ogromnego miejskiego akwarium. Wróżki po dzień znajdowały rybki w ubikacjach.

„Możesz jechać – powiedziała Vinyaya – ale tylko pod warunkiem, że weźmiesz ze sobą oddział strażników, którzy na każdym kroku będą cię trzymać za rączkę.”

Jak się okazało, o tym „trzymaniu za rączkę” nie mówiła dosłownie. Numer Jeden przekonał się o tym wówczas, gdy próbował chwycić za dłoń kapitana straży.

- Ale podpułkownik Vinyaya mówiła... – protestował.

- Łapy przy sobie, demonie – nakazał kapitan. – Pod moją komendą nie będzie żadnego trzymania za ręce.

Tak więc Numer Jeden zbliżał się do Dworu Fowlów sam, chociaż w otoczeniu tuzina niewidocznych wrózek. W połowie drogi przypomniał sobie o kamuflażu za pomocą czaru zmieniającego wygląd. Człowiek, który teraz akurat spojrzalby na podjazd, zobaczyłby małego chłopca w powłóczystych, kwiecistych szatach, maszerującego w stronę drzwi frontowych. Była to postać, którą Numer Jeden widział w pewnym ludzkim filmie z zeszłego wieku, i uznał ją za odpowiednio niegroźną.

Tak się złożyło, że właśnie gdy Numer Jeden dotarł do wejścia, w drzwiach pojawiła się panna Book. Jego widok sprawił, że asystentka Schalkego przystała w miejscu. Zdjęła okulary, jakby to one przesyłały do jej oczu fałszywe dane.

- Witaj, chłopczyku - powiedziała z uśmiechem, choć zapewne nie byłaby taka radosna, gdyby miała świadomość, że w jej głowę wycelowane są lufy dwunastu karabinów plazmowych.

- Cześć! - rzekł wesoło Numer Jeden. - Kocham wszystkich, więc nie musisz się czuć zagrożona.

Uśmiech panny Book zbladł.

- Zagrożona? Oczywiście, że nie. Szukasz kogoś? Bawisz się w przebieranki?

W drzwiach pojawił się Artemis, przerywając tę rozmowę.

- Ach... Ferdynandzie, gdzieś ty był? - zawołał, pośpiesznie przeganiając Numer Jeden za plecy pielęgniarki. - To syn ogrodnika, Ferdynand - wyjaśnił. - Lubi teatr i przebieranki. Zawołam jego ojca, żeby go zabrał.

- Dobry pomysł - odparła panna Book z powątpiewaniem. - Wiem, że pokój twojej matki jest zamknięty, ale mimo to nie wpuszczaj go na górę.

- Oczywiście, że nie - przyznał Artemis. - Odeślę go tyłem.

- Dobrze - rzekła pielęgniarka. - Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem wrócę, żeby do niej zajrzeć.

- Proszę się nie spieszyć - odparł Artemis. - Potrafię odczytać wskazania przyrządów.

Kilka z nich sam zaprojektowałem, pomyślał.

Gdy tylko panna Book zniknęła za rogiem, chłopak zaprowadził swego przyjaciela demona po schodach na piętro.

- Idziemy na górę - delikatnie zaprotestował Numer Jeden. - Czy ta młoda pani nie mówiła ci, żebyś nie pozwalał mi tam iść?

Artemis westchnął.

- Numerze Jeden, jak długo mnie znasz?

Demon chytrze skinął głową.

- Ach, rozumiem. Artemis Fowl nigdy nie robi tego, co mu się mówi.

Holly przywitała Numer Jeden na półpiętrze, ale nie zgodziła się go przytulić, póki nie zdejmie czaru zmieniającego postać.

- Nie cierpię dotyku tego paskudztwa - powiedziała. - To tak, jakby przytulać mokrą gąbkę.

Numer Jeden się nadał.

- Ale ja lubię być Ferdynandem. Ludzie się do mnie uśmiechają.

Artemis zapewnił go, że w gabinecie nie ma monitoringu, więc czarownik odczekał, aż zamkną się za nim drzwi, po czym pstryknięciem palców zdjął czar. Powłoka Ferdynanda w chmurze iskier opadła z ciała Numeru Jeden, pozostawiając małego, szarego demona, przyobleczonego jedynie w szeroki uśmiech.

Holly mocno go uściśniła.

- Wiedziałam, że przyjdiesz. Bardzo cię potrzebujemy.

Numer Jeden przestał się uśmiechać.

- Ach tak. Matka Artemisa. Czy potrzebuje magicznego uzdrowienia?

To ostatnia rzecz, której potrzebuje – odparła Holly.

Kiedy wyjaśniono sytuację, Numer Jeden natychmiast zgodził się pomóc.

- Masz szczęście, Artemisie – oznajmił, kiwając swymi ośmioma palcami. – W zeszłym tygodniu na kursie dyplomowym dla czarowników przerabialiśmy właśnie moduł z podróży w czasie.

- Daję głowę, że masz małą grupę – skomentował Artemis sucho.

- Jestem tylko ja – przyznał Numer Jeden. – No i oczywiście Qwan, mój nauczyciel. Podobno jestem najpotężniejszym czarownikiem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

- To dobrze – stwierdził Artemis. – W takim razie przeniesienie nas wszystkich do przeszłości nie powinno stanowić dla ciebie problemu.

Ogierek wyświetlił się na pięciu różnych monitorach.

- Wszystkich? – parsknęła każda z jego kopii. – Wszystkich! Nie możesz wziąć ze sobą Numeru Jeden!

Artemis nie był w nastroju do sporów.

- Potrzebuję go. Koniec dyskusji.

Ogierek wyglądał tak, jakby zaraz miał przebić głową ekrany.

- To zdecydowanie nie „koniec dyskusji”! Holly jest dorosła i może sama o sobie decydować, ale Numer Jeden to niemal dziecko. Nie możesz go narażać

dla jednej ze swoich misji. W tym małym demonie pokładamy wielkie nadzieje. Przyszłość rodzin wrózek.

- Nikt z was nie będzie miał przyszłości, jeśli Numer Jeden nie cofnie nas w czasie.

- Proszę, przestańcie - odezwał się demon. - Przez te wszystkie kłótnie kręci mi się w głowie. Nie ma na to czasu.

Artemis poczerwieniał, ale nie odezwał się, w przeciwieństwie do Ogierka, który dalej krzyczał, wyłączwszy głos w telewizorach.

- Ogierek musi odreagować - wyjaśniła Holly - inaczej rozboli go głowa.

Trójka przyjaciół czekała, aż centaur się uspokoi. Wtedy odezwał się Numer Jeden:

- Tak czy inaczej, nie mogę się z wami udać, Artemisie. To tak nie działa.

- Ale przecież przeniosłeś nas z Przedpiekla.

- Nie ja, tylko Qwan. On jest mistrzem, ja tylko uczniem. Zresztą nie mieliśmy zamiaru tam wracać. Jeśli chcecie tutaj wrócić, ja muszę zostać jako marker.

- Wyjaśnij - zażądał krótko Artemis.

Numer Jeden szeroko rozłożył ramiona.

- Ja jestem latarnią - oświadczył. - Jasną supernową mocy. Wszelką magię, którą wypuszczę w eter, będzie znów przyciągało do mnie. Wyślę was do przeszłości, a wy powrócicie jak szczeniaczki na smyczy. - Zmarszczył czoło, niezbyt zadowolony z tego porównania. - Takiej wysuwanej smyczy.

- Tak, rozumiemy - odparł Artemis. - Jak długo będziesz tkął czar?

Numer Jeden na moment przygryzł wargę.

- Mniej więcej tyle czasu, ile wam dwojgu zajmie zdjęcie ubrania.

- *Hurkk!* - wykrztusił zaskoczony Artemis.

- *D'Arvit!* - zakląła Holly.

- Chyba wszyscy wiemy, co znaczy *D'Arvit* - rzekł Numer Jeden - ale *hurkk* to nie po angielsku. Chyba że masz na myśli *hark*, co oznacza „słuchać” lub „przypominać sobie coś z przeszłości”. A może mówisz po holendersku, w takim razie *hurk* należałoby przetłumaczyć jako „przysiąść”. - Numer Jeden zawiesił głowę i puścił oko. - Ale to się zdaje sensu nie posiadać.

Artemis pochylił się nad rożkowanym uchem demona.

- Dlaczego musimy się rozebrać?

- Bardzo dobre pytanie - powiedziała Holly do drugiego ucha.

- To całkiem proste - odrzekł Numer Jeden. - Nie mam takich umiejętności jak Qwan. A nawet pod jego kontrolą przy poprzedniej podróży zamieniliście się oczami, zapewne dlatego, że ktoś skupił się na kradzieży magii. Jeśli zabierzecie ubrania lub broń, mogą się stać częścią was. - Demon uniósł palec. - Zasada numer jeden podróży w czasie - oznajmił. - Nie komplikować. Samo ponowne skompletowanie ciał będzie wymagać od was absolutnej koncentracji. A przecież musicie też myśleć o lemurze.

Numer Jeden dostrzegł zażenowane miny Artemisa i Holly. Zrobiło mu się ich żal.

- Sądzę, że jakąś rzecz możecie wziąć, jeśli musicie. Pojedynczą niedużą część odzieży, ale upewnijcie się, że w tym kolorze jest wam do twarzy, bo możecie ją nosić bardzo długo.

Chociaż oboje wiedzieli, że nie czas na wstydlivość, ani Artemis, ani Holly nie zdołali powstrzymać rumieńca. Wróżka ukryła zakłopotanie, ściągając kombinezon, jak najszybciej potrafiła.

- Zostawiam sobie to body - oznajmiła bojowo, na wypadek gdyby Numer Jeden chciał oponować.

Body przypominało kostium kąpielowy, jednak na ramionach i plecach wyłożone było ochraniaczami, na których spoczywała instalacja skrzydeł. Znajdowały się tam również panele termiczny i kinetyczny, które absorbowały energię użytkownika, wykorzystywaną następnie do napędzania skafandra.

- Dobrze - rzekł Numer Jeden. - Ale radziłbym zdjąć ochraniacze i resztę elektroniki.

Holly skinęła głową, po czym oderwała ochraniacze od rzepów.

Artemis zebrał jej rzeczy.

- Schowam twój hełm i kombinezon w sejfie, żeby mieć pewność, że są bezpieczne. Nie warto narażać technologii Ludu na niebezpieczeństwo.

- Wreszcie myślisz jak centaur! - zapiał Ogierek.

Ukrycie sprzętu wróżki zajęło zaledwie minutę i gdy Artemis wrócił, ostrożnie zdjął koszulę oraz spodnie i powiesił je w szafie. Czarne mokasyny umieścił na półce z butami obok kilku podobnych par oraz jednej brązowej, przeznaczonej na mniej oficjalne okazje.

- Ładna bielizna - zachichotał Ogierek z ekranu, na chwilę zapominając o powadze sytuacji.

Artemis miał na sobie czerwone bokserki od Armaniego. W zasadzie były tego samego koloru co jego twarz.

- Czy możemy przejść do rzeczy? - warknął chłopak. - Gdzie mamy stanąć?

- Tam, gdzie chcecie się znaleźć - odparł wprost Numer Jeden. - Będzie mi dużo łatwiej, jeśli wystartujecie i wylądujecie w tym samym miejscu. Dostatecznie trudno wystrzelić was w dziurę w czasoprzestrzeni z ponadświetlną prędkością, nawet jeśli dodatkowo nie trzeba się martwić o lokalizację.

- Jesteśmy w dobrym miejscu - powiedział Artemis. - Tutaj musimy być.

- Powinniście wiedzieć nie tylko gdzie, ale i kiedy chcecie wylądować - dodał Numer Jeden. - Współrzędne czasowe są równie ważne jak geograficzne.

- Wiem kiedy.

- Świetnie - rzekł demon, zacierając ręce. - Pora wysłać was w drogę.

Holly coś sobie przypomniała.

- Nie dopełniłam Rytuału - powiedziała. - Mam niski poziom magii, a bez broni to może być problem. Nie mamy żołędzia.

- Nie wspominając o zakolu rzeki - dodał Artemis. Numer Jeden uśmiechnął się przebiegle.

- To mogłyby być problemy. Chyba że...

Spiralna runa na czole demona zaświeciła się na czerwono i zaczęła wirować jak koło ogniste. To było hipnotyzujące.

- Ojej - powiedziała Holly. - To naprawdę...

Wtedy pulsujący strumień szkarłatnej magii wystrzelił ze środka runy, otulając Holly kokonem światła.

- Teraz jesteś pełna po brzegi - oznajmił Numer Jeden, kłaniając się nisko. - Do usług. Nie zapomnij dać napiwku goblinom i zakopać żołądki.

- Ojej - powtórzyła Holly, kiedy jej czubki palców przestały mrowić. - Niezła sztuczka.

- Znacznie lepsza, niż ci się wydaje. To moja magia osobista. Powiedzmy, że to koktajl Numeru Jeden, dzięki któremu stajesz się latarnią w strumieniu czasu.

Artemis zaniepokojony przestępował z nogi na nogę.

- Ile mamy czasu?

Numer Jeden spojrzał w sufit, przeprowadzając w myślach jakieś obliczenia.

- Trzysta lat... Nie, nie, trzy dni. Przed upływem tego czasu Holly może was w dowolnym momencie sprowadzić z powrotem, po prostu otwierając się na moją moc. Jednak po upływie trzech dni więź osłabnie.

- Czy można coś na to poradzić?

- Pogódźmy się z faktami: może i jestem wszechmocny, ale dopiero zaczynam naukę, więc to bardzo ważne, żebyście wystartowali z tego samego miejsca, gdzie wylądujecie. Jeśli nie zdążycie w trzy dni, utkniecie w przeszłości.

- A jeśli się rozdzielimy, czy Holly nie mogłaby po prostu po mnie wrócić? - zastanawiał się Artemis.

- Nie - odrzekł Numer Jeden. - Spotkanie w chwili, której żadne z was nie doświadczyło, byłoby niemożliwe. To numer na raz. Utrzymanie was w jednym kawałku podczas tej podróży będzie ode mnie wymagać wszystkich sił. Chwila dłużej, a wasze atomy stracą pamięć i zwyczajnie zapomną, gdzie powinny się znajdować. Oboje już dwukrotnie znaleźliście się w strumieniu czasu. Przedmioty mogą transportować choćby do końca świata, ale żywe istoty zaczynają się rozsypywać, jeśli w strumieniu nie ma czarownika, który by je chronił.

Holly zadała bardzo stosowne pytanie:

- Numerze Jeden, robiłeś to już kiedyś?

- Oczywiście - odparł demon. - Kilka razy. Na symulatorze. Dwa hologramy nawet przeżyły.

Determinacja Artemisa przygasła ledwie na chwilę.

- Dwa przeżyły - powiedział. - Ostatnie dwa?

- Nie - przyznał Numer Jeden. - Ostatnie dwa utknęły w tunelu i zostały pożarte przez kwantowe zombie.

Holly poczuła świerzbienie w swych szpiczastych uszach. To zawsze zły znak, elfie uszy wyczuwają niebezpieczeństwo.

- Kwantowe zombie? Chyba żartujesz.

- To samo mówiłem Qwanowi. To on napisał ten program.

- Nieistotne - powiedział ostro Artemis. - Nie mamy innej opcji.

- Dobrze - rzekł Numer Jeden, napinając palce. Zgiął kolana, opierając cały swój ciężar na końcu ogo-

- Ojej - powiedziała Holly. - To naprawdę...

Wtedy pulsujący strumień szkarłatnej magii wystrzelił ze środka runy, otulając Holly kokonem światła.

- Teraz jesteś pełna po brzegi - oznajmił Numer Jeden, kłaniając się nisko. - Do usług. Nie zapomnij dać napiwku goblinom i zakopać żołędzi.

- Ojej - powtórzyła Holly, kiedy jej czubki palców przestały mrowić. - Niezła sztuczka.

- Znacznie lepsza, niż ci się wydaje. To moja magia osobista. Powiedzmy, że to koktajl Numeru Jeden, dzięki któremu stajesz się latarnią w strumieniu czasu.

Artemis zaniepokojony przestępował z nogi na nogę.

- Ile mamy czasu?

Numer Jeden spojrział w sufit, przeprowadzając w myślach jakieś obliczenia.

- Trzysta lat... Nie, nie, trzy dni. Przed upływem tego czasu Holly może was w dowolnym momencie sprowadzić z powrotem, po prostu otwierając się na moją moc. Jednak po upływie trzech dni więź osłabnie.

- Czy można coś na to poradzić?

- Pogódźmy się z faktami: może i jestem wszechmocny, ale dopiero zaczynam naukę, więc to bardzo ważne, żebyście wystartowali z tego samego miejsca, gdzie wylądujecie. Jeśli nie zdążycie w trzy dni, utkniecie w przeszłości.

- A jeśli się rozdzielimy, czy Holly nie mogłaby po prostu po mnie wrócić? - zastanawiał się Artemis.

- Nie - odrzekł Numer Jeden. - Spotkanie w chwili, której żadne z was nie doświadczyło, byłoby niemożliwe. To numer na raz. Utrzymanie was w jednym kawałku podczas tej podróży będzie ode mnie wymagać wszystkich sił. Chwila dłużej, a wasze atomy stracą pamięć i zwyczajnie zapomną, gdzie powinny się znajdować. Oboje już dwukrotnie znaleźliście się w strumieniu czasu. Przedmioty mogą transportować choćby do końca świata, ale żywe istoty zaczynają się rozsypywać, jeśli w strumieniu nie ma czarownika, który by je chronił.

Holly zadała bardzo stosowne pytanie:

- Numerze Jeden, robiłeś to już kiedyś?

- Oczywiście - odparł demon. - Kilka razy. Na symulatorze. Dwa hologramy nawet przeżyły.

Determinacja Artemisa przygasła ledwie na chwilę.

- Dwa przeżyły - powiedział. - Ostatnie dwa?

- Nie - przyznał Numer Jeden. - Ostatnie dwa utknęły w tunelu i zostały pożarte przez kwantowe zombie.

Holly poczuła świerzbienie w swych szpiczastych uszach. To zawsze zły znak, elfie uszy wyczuwają niebezpieczeństwo.

- Kwantowe zombie? Chyba żartujesz.

- To samo mówiłem Qwanowi. To on napisał ten program.

- Nieistotne - powiedział ostro Artemis. - Nie mamy innej opcji.

- Dobrze - rzekł Numer Jeden, napinając palce. Zgiął kolana, opierając cały swój ciężar na końcu ogo-

- Te widmowe obrazy naprawdę przyprawiają mnie o gęsią skórę. Zupełnie, jakby byli martwi.

Ogierek się wzdrygnął.

- Nie mów tak. Jeśli oni są martwi, nas wszystkich też to czeka. Jak prędko wrócą?

- Za mniej więcej dziesięć sekund.

- A jak za dziesięć sekund ich nie będzie?

- To już nigdy.

Ogierek zaczął odliczanie.



OKO W OKO

Kiedy istota lądowa wpada do wody, zawsze towarzyszy temu moment nieładu. Czy to zwierzę, człowiek, czy wróżka – nie ma znaczenia. Powierzchnia zostaje zmacona i nagle każdy zmysł doznaje szoku. Szczypie chłód, spowalniają się ruchy, wzrok wypełnia się rozmazanymi barwami, przed oczami pękają bąbelki. W strumieniu czasu jest tak, jakby ta chwila nie mijała.

To wcale nie znaczy, że podróż w strumieniu czasu to za każdym razem podobne przeżycie. Nigdy nie przebiega tak samo. Demon-czarownik Qwan, najbardziej doświadczona w podróżowaniu w czasie istota magiczna na świecie, napisał w swej bestsellerowej autobiografii pod tytułem *Qwan: Mój czas jest teraz*, że „ujeżdżanie strumienia czasu jest jak rajd przez jelita krasnala. Są tam przyjemne, łagodne odcinki, ale po-

tem mija się zakręt i okazuje się, że wszystko jest ohydne i zapchane. Problem polega na tym, że strumień czasu to w większości wytwór emocji. Pochłania uczucia z rzeczywistego czasu, wokół którego przepływa. Jeśli natrafi się na odcinek śmierdzącej mazi, to znać, że na pewno ludzie dokonują zbrodni”.

Artemis i Holly przemierzali właśnie cuchnący odcinek, który odpowiadał całemu ekosystemowi Ameryki Południowej. Doznawali przerażenia zwierząt, czuli nawet zapach zwęglonego drewna. Artemis wy-czuwał również, że Holly gubi się w wirze emocji. Wróżki są dużo wrażliwsze na otoczenie niż ludzie. Gdyby straciła koncentrację, jej atomy rozproszyłyby się i zostały wchłonięte przez strumień.

Skup się, Holly, starał się przekazać jej Artemis. Pamiętaj, kim jesteś i dlaczego się tu znalazłaś.

Dla obojga było to trudne wyzwanie. Pamięć cząsteczek została już po trosze osłabiona podróżami do Przedpiekła i z powrotem. Pokusa, by stopić się ze strumieniem, była silna.

Artemis przywołał w świadomości obraz matki, aby podtrzymać swą determinację.

Wiem, gdzie i kiedy chcę się znaleźć, pomyślał. Dokładnie wiem...

Dwór Fowlów, niemal osiem lat wcześniej

Artemis i Holly opuścili strumień czasu i weszli do gabinetu dziesięcioletniego Artemisa. Fizycznie było to mało gwałtowne doświadczenie, coś jakby zeskok z niewysokiego murka na miękki dywan, jednak od strony emocjonalnej tym razem mieli za sobą dziesięciominutową burzę najgorszych wspomnień w życiu. Strumień czasu: podróż nigdy dwa razy nie przebiega tak samo.

Holly przez minutę wołała mamę, lecz w końcu nieustępliwe bicie stojącego zegara przypomniało jej, gdzie i kiedy się znajduje. Wstała niepewnie i rozejrzała się wokół. Zobaczyła Artemisa, który rzucił się w stronę szafy. Widok przyjaciela trochę ją pocieszył.

- Nieźle się zapuściłeś - powiedziała.

Artemis grzebał właśnie wśród ubrań na drążku.

- Oczywiście nic na mnie nie wejdzie - mruknął.

- Wszystko za małe.

Holly precyzyjnie się obok niego.

- Nie dla mnie - powiedziała, ściągając z wieszaka ciemny garnitur.

- Mój pierwszy garnitur - rzekł Artemis czule. - Do fotografii na rodzinną kartkę bożonarodzeniową. Nie miałem pojęcia, jak go nosić. Pamiętam, że się wierciłem podczas miary. Był szyty na zamówienie u Zegny.

Holly ściągnęła folię ochronną.

- Byleby pasował.

Dopiero wtedy Artemis ochłonął na tyle, by dotarła do niego uwaga przyjaciółki.

- Jak to: nieźle się zapuściłem?

Holly odchyliła drzwi szafy tak, by lustro znalazło się naprzeciw chłopca.

- Sam zobacz - powiedziała.

Artemis spojrzął. W lustrze ujrzał wysokiego, smutkiego chłopaka o twarzy niemal niewidocznej spod dzikiej czupryny włosów, które sięgały do ramion. Miał nawet lekki zarost na policzkach.

- Ach tak, widzę, co masz na myśli.

- Widzisz? Jestem zaskoczona - powiedziała wróżka. - Przez te wszystkie włosy?

- Przyspieszone dojrzewanie. Skutek uboczny działania strumienia czasu - Artemis obojętnym tonem snuł domysły. - Kiedy wrócimy, efekt powinien ulec odwróceniu. - Na chwilę zamilkł, gdy dostrzegł odbicie Holly. - Zresztą może sama powinnaś się przejrzeć. Nie tylko ja się zmieniłem.

Holly łokciem odepchnęła go na bok, przekonana, że chłopak z niej drwi, jednak półśmiech zamarł na jej ustach, kiedy zobaczyła wróżkę w lustrzanym odbiciu. Patrzyła na nią jej własna twarz, ale inna, bez kilku blizn i kilkudziesięciu lat zmęczenia.

- Jestem młoda - wykrztusiła. - Młodsza.

- Nie martw się - rzekł z werwą Artemis. - To tymczasowy efekt. Przebranie, nic więcej. Moja fizyczna dojrzałość, twoja młodość. Za parę chwil znajdziemy się znów w strumieniu czasu.

Jednak Holly naprawdę się zmartwiła. Wiedziała, jak to się stało.

Myślałam o matce. O naszych ostatnich wspólnych godzinach. O tym, jaka wtedy byłam.

I właśnie dlatego Holly uległa przemianie.

Jak ja wyglądam. Prosto z Akademii. Według ludzkich standardów niewiele starsza od Artemisa.

Nie wiedzieć czemu, niepokoiła ją ta myśl.

- Włóż na siebie jakieś spodnie - warknęła, zapinając wykrochmaloną białą koszulę pod samą szyję.

Wtedy omówimy twoje teorie.

Artemis wykorzystał swe dodatkowe centymetry, żeby z góry szafy ściągnąć duże pudło. W środku znajdowały się warstwy równo złożonych ubrań przeznaczonych dla jednego ze sklepów charytatywnych Angeliny Fowl.

Rzucił przyjaciółce srebrną perukę.

- To z balu przebierańców w stylu lat siedemdziesiątych - wyjaśnił. - Mama poszła tam jako żołnierz przyszłości, o ile dobrze pamiętam. A teraz zakryj te szpiczaste uszy.

- Kapelusz byłby prostszym rozwiązaniem - powiedziała Holly, naciągając perukę na krótko przystrzyżone kasztanowe włosy.

- Obawiam się, że nie mamy takiego szczęścia - westchnął Artemis, wybierając z pudła stary dres. - Nie jest to Harrods, ale będzie musiało wystarczyć.

Stare mokasyny Artemisa całkiem nieźle pasowały na Holly. W pudle znalazła się również para tenisów

wiek ojca, które trzymały się na nogach chłopca, kiedy wypchało się palce.

- Zawsze warto się ubrać, kiedy chce się ukraść małą - stwierdziła wróżka.

Artemis podwinął rękawy.

- W zasadzie w ogóle nie musimy się ubierać. Po prostu poczekamy tu kilka minut, dopóki matkaomalże nie przyłapie Butlera, skradającego się po schodach z lemurem. Pamiętam, że wsunął klatkę przez drzwi, a ja potem zaniósłem ją na górę. Kiedy tylko pojawi się tu ta klatka, złapiemy ją, zrzucimy te idiotyczne ubrania i zażyczymy sobie powrotu do Numeru Jeden.

Holly przejrzała się w lustrze. Wyglądała jak ochroniarz prezydenta z innej planety.

- Jak to prosto brzmi.

- Bo było proste. Będzie. Butler nawet nie wszedł do gabinetu. Wystarczy, że tu postoiśmy i poczekamy.

- Jak znalazłeś ten konkretny moment?

Artemis odgarnął z czoła czarne włosy, odsłaniając smutne oczy różnego koloru.

- Posłuchaj - powiedział, wskazując palcem w stronę sufitu.

Holly założyła za ucho srebrny kosmyk i przekrzywiła głowę, aby skoncentrować swój imponujący słuch. Słyszała zegar oraz bijące serca dwojga podróżników w czasie, jednak dominował nad nimi przenikliwy, histeryczny głos.

- To mama - powiedział Artemis ze spuszczoną głową. - Tego dnia po raz pierwszy mnie nie poznała.

W tej właśnie chwili grozi, że zadzwoni na policję. Za chwilę zbiegnie po schodach do telefonu i natknie się na Butlera.

Holly rozumiała. Jakże jakikolwiek syn mógłby wymazać z pamięci taki moment? Ponowne odnalezienie go musiało być proste i bolesne.

- Pamiętam dokładnie. Właśnie wróciliśmy z Rathdown Park, tego prywatnego zoo, i uznałem, że muszę zobaczyć, jak ona się czuje, zanim wylecimy do Maroka. Miesiąc później nie będzie już w stanie sama o siebie zadbać.

Holly ścisnęła ramię przyjaciela.

- Wszystko w porządku, Artemisie. To tylko przeżość. Za kilka minut twoja mama znów stanie na nogi. Będzie cię kochać tak jak zawsze.

Artemis ponuro pokiwał głową. Rozumiał, że to zapewne prawda, jednak wiedział także, że to wspomnienie będzie go prześladować już na zawsze.

Piętro wyżej głos Angeliny Fowl przeniósł się z sypialni na schody, pozostawiając po drodze pojedyncze piskliwe dźwięki.

Artemis przyciągnął Holly do ściany.

- Butler będzie teraz na schodach. Na wszelki wypadek powinniśmy zostać w cieniu.

Wróżka wzdrygnęła się.

- Jesteś pewien, że zostanie na zewnątrz? Kiedy ostatnio musiałam się zmierzyć z Butlerem, po mojej stronie stał cały SKRZAT. Nie uśmiecha mi się myśl, że miałabym mu stawić czoła, uzbrojona wyłącznie w srebrną perukę.

- Niech się pani kapitan uspokoi - powiedział Artemis bezwiednie protekcyjnym tonem. - Butler zostanie na zewnątrz. Widziałem to na własne oczy.

- Co widziałeś na własne oczy? - zapytał Butler, który pojawił się za nimi w sklepionym przejściu, wszedłszy przez drzwi przylegającej sypialni.

Artemis poczuł tętno w opuszkach palców. Jakim cudem? Przecież to nie tak! Chłopak nigdy wcześniej nie był adresatem piorunującego spojrzenia Butlera i po raz pierwszy zrozumiał, jak przerażający potrafi być jego ochroniarz.

- No co, dzieciaki, widzę, że skorzystałyście z garderoby Fowlów - ciągnął Butler, nie czekając na odpowiedź. - To jak będzie, zrobicie awanturę czy pójdziecie grzecznie ze mną? Podpowiem wam, prawidłowa odpowiedź to: „grzecznie pójdziecie”.

Tu pomoże tylko magia, pomyślała Holly.

Gwałtownie obróciła głowę, by przywołać swą moc. Jeśli nie może ogłuszyć Butlera, to użyje mesmeryzacji.

- Wycofaj się, człowieku! - zaintonowała głosem pełnym hipnotyzującej magii.

Jednak mesmeryzacja to atak dwuelementowy, zarówno dźwiękowy, jak i wizualny. Butler słyszał magiczne słowa, ale w cieniu trudno było o stały kontakt wzrokowy.

- Co? - powiedział zaskoczony. - Jak ty...

Wielkiego ochroniarza odurzano wystarczająco często, by natychmiast umiał rozpoznać, że coś osłabia jego siłę woli. Te dzieciaki jakimś sposobem go

usypiały. Zatoczył się w tył i uderzył ramieniem w łuk przejścia.

- Śpij, Butler - powiedziała ta mała w peruce żółtacza kosmosu.

Ona mnie zna?

To była poważna sprawa. Tych dwoje przeprowadziło obserwację i mimo to postanowiło się włamać.

Muszę ich zneutralizować zanim stracę przytomność, pomyślał Butler. *Jeśli ja zawiodę, panicz Artemis i pani Fowl będą bezbronni.*

Miał dwa wyjścia: rzucić się na tych niewyrośniętych włamywaczy albo strzelić do nich z pistoletu ze środkiem usypiającym, który miał przy sobie w związku z planowanym porwaniem zwierzęcia z Rathdown Park.

Wybrał tę drugą opcję. Strzałki ze środkiem usypiającym przynajmniej nie uduszą tych malców ani nie pogruchoczą im kości. Butler czuł się odrobinę winny, że postanowił uspić dwójkę małych, ale nie jakoś przesadnie. W końcu pracował dla Artemisa Fowla, więc doskonale wiedział, jak niebezpieczne potrafią być dzieci.

Ta w peruce wyszła z cienia i Butler wyraźnie zobaczył jej oczy. Jedno niebieskie, drugie brązowe.

- Śpij, Butler - powtórzyła tym podszytym magią, melodyjnym głosem. - Czyż twoje powieki nie są ciężkie? Śpij.

Ona mnie hipnotyzuje, zrozumiał Butler. Wyciągnął pistolet palcami, które sprawiały wrażenie, jakby zatopiono je w ciekłej gumie, a potem oklejono łożyskami kulowymi.

- Sama śpij - mruknął, a następnie postrzelił dziewczynkę w biodro.

Holly spojrzała z niedowierzaniem na igłę wbity w nogę.

- Znowu? No nie... - jęknęła, po czym runęła na ziemię.

Myśli Butlera natychmiast się przejaśniły.

Drugi z intruzów nie ruszył się nawet o centymetr.

To ta mała jest w tym duecie profesjonalistką, pomyślał Butler, podnosząc się na nogi. Ciekawe, jaki wkład w zespół ma ten niechlujny osobnik.

Artemis szybko zrozumiał, że nie ma wyboru: musi ujawnić swą tożsamość i uczynić z Butlera swego sprzymierzeńca.

To nie będzie łatwe, pomyślał. Jedyнным dowodem jest nieznaczące podobieństwo do mojej młodszej postaci.

Mimo to musiał spróbować, zanim cały plan legnie w gruzach.

- Posłuchaj, Butler - zaczął. - Muszę ci coś powiedzieć...

Butler nie zamierzał wysłuchiwać ani słowa.

- Nie, nie, nie - powiedział pospiesznie i postrzelił Artemisa w ramię. - Żadne z was nie będzie mi już nic mówić.

Chłopiec wyciągnął strzałkę, ale za późno. Malutki zbiorniczek ze środkiem usypiającym był pusty.

- Butler! - zawołał, upadając na kolana. - Strzeliłeś do mnie.

- Wszyscy wiedzą, jak się nazywam - westchnął ochroniarz, po czym schylił się, by zarzucić sobie intruzów na ramię.

- To intrygujące - rzekł dziesięcioletni Artemis Fowl, przyglądając się dwojgu osobnikom leżącym w bagażniku bentleya. - Tu stało się coś nadzwyczajnego.

- Nie powiedziałbym - stwierdził Butler, sprawdzając tętno dziewczynki. - Po prostu dwoje złodziei jakimś cudem włamało się do rezydencji.

- Ominęli cały system bezpieczeństwa. Ani jednego sygnału wykrywaczy ruchu?

- Nic. Po prostu natknąłem się na nich podczas rutynowego obchodu. Chowali się w cieniu. Mieli na sobie używane ubrania, które wyjęli z szafy.

Artemis postukał się w brodę.

- Hmm. Czyli nie znalazłeś ich ubrań.

- Nie.

- To by znaczyło, że włamali się tutaj i ominęli system bezpieczeństwa w bieliźnie.

- Niewiarygodne - przyznał Butler.

Artemis wyjął z kurtki kieszonkową latarkę i skierował światło na Holly. Kosmyki jej srebrnej peruki zalśniły jak lustrzana kula w dyskotecce.

- Z nią jest coś dziwnego. Ma bardzo nietypową strukturę kostną. Wysokie kości policzkowe, może słowiańskie. Czoło szerokie i dziecinne, ale proporcja czaszki do tułowia jak u dorosłego.

Butler zarechotał gardłowo.

- Więc to kosmici?

- Ten młody chłopak to człowiek, ale ona jest jakaś inna - stwierdził Artemis w zamyśleniu. - Może to wynik modyfikacji genetycznej. - Powiódł światłem latarki wzdłuż jej kości policzkowej. - Popatrz. Ma szpiczaste uszy. Niesamowite.

Artemis był podekscytowany. Coś tu się działo. Coś ważnego. Na tej sytuacji na pewno można by zarobić ogromne pieniądze.

Energicznie zatarł ręce.

- No dobrze. Teraz nie mogę się rozpraszać. W dłuższej perspektywie możemy na tej istocie zbić fortunę, ale teraz musimy jechać po lemura.

Butler ukrył swój zawód, mocno zatrzasnąjąc bagażnik.

- Miałem nadzieję, że damy sobie spokój. Jestem wyszkolony w kilku sztukach walki, ale żadna z nich nie przewiduje obrony przed małpą.

- To lemur. I owszem, zdaję sobie sprawę z tego, że twoim zdaniem ta operacja jest poniżej naszej godności, ale gra toczy się o życie mojego ojca.

- Oczywiście, Artemisie. Co tylko każesz.

- Właśnie. Oto plan. Pojedziemy do Rathdown Park, a kiedy przeprowadzimy tę transakcję z likwidacjonistami, wówczas zdecyduję, co zrobić z dwojgiem naszych gości. Przypuszczam, że w bagażniku będą bezpieczni?

Butler parsknął:

- Wolne żarty.

Artemis się nie uśmiechnął.

- Może nie zauważyłeś, ale ja rzadko kiedy żartuję.

- To prawda, paniczku. Nie jesteś żartownisiem. Ale kiedyś to się zmieni, co?

- Zapewne, gdy odnajdę ojca.

- Tak. Może wtedy. A jeśli chodzi o twoje pytanie: to jest samochód twojego ojca. W tym bagażniku przewieziono więcej więźniów, niż ty obchodziłeś urodzin. Mafia, triada, yakuza, kartel z Tijuany, Aniołowie Piekieł. O jakim gangu byś pomyślał, kilku jego członków spędziło noc w tym bagażniku. Szczególnie mówiąc, twój ojciec kazał go specjalnie zmodyfikować. Jest klimatyzacja, nienagrzewająca się lampa, miękkie zawieszenie, a nawet woda pitna.

- Nie uciekną? Pamiętaj, że nasi więźniowie już raz włamali się do rezydencji.

Butler zamknął bagażnik.

- Tytanowy zamek, wzmocniona kłapa. Nie da się wyjść. Tych dwoje zostanie w środku tak długo, aż ich nie wypuścimy.

- Świetnie – stwierdził Artemis, wsuwając się na tylne siedzenie bentleya. – Daj mi tylko chwilę, żeby załatwić jedną drobną rzecz, a potem zapomnijmy o nich i skupmy się na lemurze.

- Świetnie – powtórzył za nim Butler. A potem dodał pod nosem: – Małpie figle. To, co lubię najbardziej.

Rathdown Park,
hrabstwo Wicklow, Irlandia

Chociaż Holly ważyła pięć kilogramów mniej niż Artemis, ocknęła się pierwsza. Cieszyła się, że już nie śpi, bo śniło jej się coś strasznego. Przez sen łokciami i kolanami uderzała w metalowe ściany bagażnika bentleya i wyobraziła sobie, że znajduje się w łodzi podwodnej SKR.

Leżała skulona w ciemności. Przełykała ślinę i mrugała oczami, żeby przezwyciężyć fobię. W metalowym pudle jej matka odniosła śmiertelne obrażenia, a teraz ona znalazła się w czymś podobnym.

To właśnie myśli o matce w końcu ją uspokoiły. Otworzyła oczy i zaczęła badać otoczenie w zasięgu wzroku i dłoni. Wkrótce odnalazła lampkę wmontowaną w stalową ścianę. Włączyła ją i ujrzała rozciągniętego obok niej Artemisa. Za jego ramieniem opadała klapa bagażnika. Jej pożyczone buty opierały się o błyszczący łuk nadkoka.

Artemis stęknął, drgnął i otworzył oczy.

- Sprzedać akcje Phonetiksu - wypalił, a potem przypomniał sobie o Butlerze i strzałkach. - Holly. Holly?

Przyjaciółka poklepała go po nodze.

- W porządku, Artemisie - powiedziała po gnomiczku, na wypadek gdyby w samochodzie był podsłuch.

- Jestem tutaj. Gdzież indziej mogłabym być?

Artemis obrócił się na bok, odgarnął gęste, czarne włosy, które zasłaniały mu twarz, po czym odezwał się w języku wrózek:

- Otrzymaliśmy taką samą dawkę środka usypiającego, a jednak to ty, choć jesteś lżejsza, obudziłaś się pierwsza. Magia?

W świetle półkolistej lampki bok twarzy Holly ukryty był w gęstym cieniu.

- Tak. Magia osobista Numeru Jeden to potężna rzecz.

- Wystarczająco potężna, żeby móc nas stąd wydostać?

Holly przez minutę badała powierzchnię bagażnika, wodząc palcami po spawach. W końcu pokręciła głową. Srebrna peruka zalśniła.

- Nie mogę znaleźć ani jednego słabego punktu. Nawet wylot klimatyzacji jest zrównany ze ścianą. Nie ma wyjścia.

- Oczywiście, że nie - stwierdził Artemis. - Znajdujemy się w naszym bentleyu. Bagażnik to stalowa skrzynia z zamkiem tytanowym. - Głęboko odechnął chłodnym powietrzem. - Jak to się mogło stać? Wszystko jest inaczej. Butler miał schować klatkę w moim gabinecie. Zamiast tego zakradł się przez sypialnię i oboje nas uspił. Teraz nie wiemy, gdzie się znajdujemy ani gdzie jest lemur. Czy w ogóle już go mają?

Holly przycisnęła ucho do kłapy bagażnika.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie jesteśmy.

Na zewnątrz w powietrzu niosły się dźwięki chrapiących i sapiących zwierząt.

- Jesteśmy blisko zwierząt. Chyba jakiś park albo zoo.

- Rathdown Park! - wykrzyknął Artemis. - Z tego wynika, że jeszcze nie mają lemura. Plan i okoliczności się zmieniły.

Holly się zamyśliła.

- Przestaliśmy panować nad sytuacją. Czy nie czas przyznać się do porażki i wrócić do domu, kiedy młodsza wersja ciebie zawiezie nas z powrotem do rezydencji? Może odkryjesz lekarstwo w przyszłości.

Artemis spodziewał się takiej propozycji.

- Rozważałem tę opcję. Lemur to wciąż nasza największa szansa, a dzielą nas od niego dosłownie metry. Daj mi pięć minut, żebym nas stąd wydostał.

Holly miała zrozumiałe wątpliwości.

- Pięć minut? Nawet wielki Artemis Fowl mógłby mieć kłopoty z wydostaniem się ze stalowej skrzyni w pięć minut.

Chłopiec zamknął oczy i skoncentrował się. Usiłował nie zważać na ciasnotę pomieszczenia ani na kosmyki włosów ocierające się o policzki i na drapiącą szpecinę na brodzie.

- Spójrz prawdzie w oczy - powiedziała z niecierpliwością Holly. - Utknęliśmy. Nawet Mierzwa Grzebaczek miałby pewnie kłopoty z tym zamkiem, gdyby akurat przechadzał się w pobliżu.

Czoło Artemisa, poirytowanego, że mu się przeszkadza, drgnęło, jednak zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech, w tym mocnym oświetleniu nieco upiorny.

- Gdyby Mierzwa Grzebaczek przechadzał się w pobliżu - wyszeptał. - Jakie są na to szanse?

- Zerowe - odparła Holly. - Absolutnie żadne. Powstałabym na to całą swoją emeryturę.

W tej właśnie chwili ktoś lub coś zastukało w klapę bagażnika. Od zewnątrz.

I Holly przewróciła oczami.

- Nie. Nawet ty...

Uśmiech Artemisa wyrażał wręcz niewiarygodne samozadowolenie.

- To ile będzie wynosić ta twoja emerytura?

- Nie wierzę. Odmawiam uwierzenia. To niemożliwe.

Kolejne stuknięcia w klapę, po których nastąpiły ciche skrobanie oraz stłumione przekleństwo.

- Cóż za gardłowy głos - powiedział Artemis. - Wielce podobny do głosu krasnala.

- Może to Butler - zaproponowała Holly, poirytowana triumfalną miną chłopca.

- Przeklinający po gnomicku. Wątpię.

Kolejne metaliczne dźwięki z zewnątrz.

Czink. Czank. Klaklak.

Wreszcie kłapa się uniosła, odsłaniając skrawek rozgwieźdzonego nieba. W tle skrzyła się sylwetka gigantycznego słupa wysokiego napięcia. W polu widzenia pojawiła się brudna głowa o twarzy umazanej w błocie i jeszcze gorszych substancjach. Było to oblicze, które mogła pokochać tylko rodzona matka, i to pewnie jedynie wówczas, jeśli wzrok jej nie dopisywał. Ciemne, blisko osadzone oczy spoglądały znad gęstej brody, która lekko drgała, tak jak wodorosty pod wpływem morskiego prądu. Istota miała duże, kanciaste zęby.

Ż. pewnością nie dodawała im urody obecność dużego insekta wijącego się pomiędzy siekaczami.

Postacią tą był oczywiście Mierzwa Grzebaczek.

Krasnal wydfłubał językiem nieszczęsnego owada, po czym zaczął go delikatnie żuć.

- Chrząszcz biegacz - rzekł z lubością. - *Leistus montanus*. Przyjemny bukiet, mocna, ziemista skorupka, a kiedy pęknie pancerzyk, następuje istna eksplozja smaków na podniebieniu.

Połknął nieszczęsną istotę, po czym spomiędzy jego wydatnych warg wydobyło się potężne beknięcie.

- Nigdy nie bekajcie, kiedy kopiecie tunel - poradził Artemisowi i Holly od niechcienia, jakby siedzieli przy stole w kawiarni. - Ziemia idzie w dół, a powietrze w górę. Kiepski pomysł.

Holly dobrze znała Mierzwę. Ta gadka to tylko metoda zyskania chwili, podczas gdy rozglądał się wokół.

- A teraz przejdźmy do interesów - powiedział w końcu krasnal, odrzucając martwy włos z brody, za pomocą którego otworzył zamek. - Wygląda na to, że mam elfa i człowieka uwięzionych w bagażniku samochodu. Zadaję więc sobie pytanie: czy powinienem ich wypuścić?

- I co sobie odpowiadasz? - odezwał się Artemis, z trudem hamując zniecierpliwienie.

Czarne paciorki oczu Mierzwy tańczyły w świetle księżycy.

- Ach, więc Błotny Chłopiec rozumie po gnomicku. Ciekawe. Więc słuchaj, człowieku: wypuszczę was, jak tylko dostanę swoją zapłatę.

„Ach tak, pomyślała Holly. W grę wchodzi pieniądze. Jakimś cudem ci dwaj zawarli umowę.

Już wystarczająco długo wytrzymała to więzienie.

Mierzwa jeszcze nie jest moim przyjacielem, pomyślała, więc nie muszę być miła.

Podniosła kolano do brody i przyciągnęła obiema rękami, żeby zwiększyć siłę.

Mierzwa zrozumiał, co ma zamiar zrobić.

- Ej, elfka. Nie...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo jego twarz zderzyła się z klapą bagażnika. Zwalił się w tył, prosto do dziury, z której przed chwilą wylazł, wydmuchując w górę pełne ziemi „uff”.

Holly wygramoliła się przez Artemisa i wydostała na świeże powietrze. Z twarzą zwróconą ku niebu robiła głębokie wdechy, wypinając pierś.

- Przepraszam - powiedziała pomiędzy oddechami. - Tam było ciasno. Nie lubię, jak jest tłok.

- Masz klaustrofobię? - spytał Artemis, wytaczając się z bagażnika.

Holly kiwnęła głową.

- Kiedyś miałam. Myślałam, że już mi przeszło. Ale ostatnio...

W dziurze krasnala coś zaczęło się ruszać. Kłębili się przekleństwa i kotłowała ziemia.

Elficzka szybko się ogarnęła i skoczyła do rowu. Obezwładniła Mierzwę, zanim ten zdążył rozewrzeć szczękę i zniknąć.

- Może nam się jeszcze przydać - sapnęła, wypychając protestującego krasnala na górę. - Poza

tym zdążył nas zobaczyć, więc szkoda i tak już się stała.

- To chwyt kleszczowy! - wykrzyknął Mierzwa. - Jesteś z SKR. - Obrócił się, brodą zrywając jej perukę. - Ja cię znam. Holly Nieduża. Kapitan Holly Nieduża. Jeden z tresowanych rottweilerów Juliusza Bulwy. - Nagle i tak zorane czoło krasnała zmarszczyło się jeszcze bardziej, zdradzając dezorientację. - Ale to przecież niemożliwe.

Artemis nie zdążył poinstruować Holly, żeby nie zadawała tego pytania.

- Co jest niemożliwe, Mierzwa?

Krasnał nie odpowiedział, ale zdradziły go oczy. Z poczuciem winy zerknął przez ramię na wytarty plecak. Holly zręcznie obróciła pojmanego i otworzyła główną przegródkę.

- Całkiem niezły łup - powiedziała, przetrząsając jego zawartość. - Apteczka, racje żywnościowe, przyklepne komunikatory. O, proszę, stary omniwytrych. - Wtedy rozpoznała inskrypcję wygrawerowaną laserem na uchwycie. - To jest mój omniwytrych!

Pomimo wielu lat przyjaźni z Mierzwą Holly ogarnęła furia.

- Skąd ty to masz? - krzyknęła. - Skąd to wzięłeś?

- Dostałem w prezencie - odparł nieprzekonująco Mierzwa. - Od mojej... no... - Zmrużył oczy, żeby przeczytać inskrypcję. - Od mojej matki. Zawsze nazywała mnie Holly, dlatego że, no, uważała, że mogłbym zrobić karierę w Hollywood.

Artemis jeszcze nigdy nie widział swej przyjaciółki tak wścieklej.

- Gadaj, Grzebaczek. Prawdę!

Mierzwa rozważał podjęcie walki. Zdradzał to sposób, w jaki zginał palce, jak obnażył zęby. Jednak chwila szybko minęła i górę wzięła uległa natura krasnala.

- Ukradłem to wszystko z Tary - przyznał. - W końcu jestem złodziejem, no nie? Ale na swoją obronę mogę powiedzieć, że miałem trudne dzieciństwo, co wpłynęło na moją niską samoocенę, którą następnie przenosiłem na innych i karałem ich, kradnąc ich własność. Tak więc w rzeczywistości to ja jestem ofiarą. I wybaczam sobie.

Typowy dla Mierzwy słowotok przypomniał Holly o przyjacielu, którym krasnal miał się w przyszłości stać. Jej gniew odpłynął tak szybko, jak się pojawił. Powiodła opuszką po wygrawerowanej laserem inskrypcji.

- Dostałam go od mamy - powiedziała cicho. - Najbardziej niezawodny omniwytrych, jaki kiedykolwiek miałam. Potem pewnej nocy w Hamburgu uciekinier zatrzasnął się w samochodzie. Więc sięgnęłam po omniwytrych, ale na próżno. Mój cel został pojmany przez ludzi i komendant Bulwa musiał wysłać cały zespół techników, żeby posprzątałi. To była katastrofa. I teraz się okazuje, że to wszystko przez ciebie.

Mierzwa się zmieszał.

- Teraz się okazuje? Ja to wszystko ukradłem z szafki w Tarze przed godziną. Widziałem cię tam. Co tu się dzieje? - Krasnal zamrugnął oczami i klasnął we wło-

chate dłonie. – Na moją klapę od portek, wy jesteście podróżnikami w czasie!

Holly zrozumiała, że powiedziała zbyt dużo.

– To niedorzeczne.

Mierzwa aż zaczął podrygiwać.

– Nie, nie, teraz wszystko się zgadza. Mówisz o przyszłych wydarzeniach w czasie przeszłym. Wysłaście do przeszłości liścik, żebym przybył i uratował was tu i teraz. – Mierzwa przyłożył dłonie do policzków, udając przerażenie. – To jest bardziej nielegalne niż wszystko, co ja sam mógłbym kiedykolwiek zrobić. Ależ bym dostał nagrodę, gdybym was dostarczył Juliuszowi Bulwie.

– Wysłaliśmy liścik? – zadrwiła Holly. – Przecież to absurd, prawda, Artemisie?

– Bez dwóch zdań – potwierdził chłopak. – Ale gdyby ktoś rzeczywiście wysłał liścik z przyszłości, to dokąd i do jakiego czasu?

Mierzwa kciukiem wskazał na Holly.

– Obok jej szafki jest skrzynka przyłączowa. Wyglądała na nieruszaną od lat. Zajrzałem do niej, bo czasami można w takich znaleźć wartościowy sprzęt. Nie tym razem. Była tylko zaadresowana do mnie koperta. A w środku list, w którym ktoś prosił, żebym tutaj przybył i was uratował.

Artemis się uśmiechnął. Był usatysfakcjonowany.

– Domyślam się, że list zawierał także jakąś zachętę, żeby nas uwolnić?

Włosy na brodzie Mierzwy zatrzeszczały.

– Bardzo dużą zachętę. Nie: oszałamiającą zachętę.

- Oszłamiającą, co? Dobrze, dostaniesz, co ci obiecano.

- Kiedy? - zapytał Mierzwa chciwie.

- Wkrótce. Najpierw musisz nam wyświadczyć jeszcze jedną przysługę.

- Wiedziałem - mruknął krasnal przez zaciśnięte zęby. - Nie powinienem się zabierać do roboty, zanim zobaczę forszę. Dlaczego miałbym ci ufać?

Artemis zrobił krok naprzód. Spod zasłony ciemnych włosów błysnęły przymrużone oczy.

- Nie musisz mi ufać, Mierzwa. Masz się mnie bać. Jestem Błotnym Chłopcem z twojej przyszłości i mogę się znaleźć również w twojej przeszłości, jeśli nie zgodzisz się na współpracę. Raz cię już odnalazłem, więc z pewnością udałoby mi się to ponownie. Może kiedy ponownie włamiesz się do bagażnika, będzie na ciebie czekał pistolet i odznaka.

Mierzwa we włosach brody poczuł mrowienie lęku, a jego broda rzadko się myliła. Jak zwykła mówić jego babka: „Ufaj brodzie, Mierzwo. Ufaj brodzie”. Ten człowiek rzeczywiście był niebezpieczny, a krasnal i tak miał już w życiu dość kłopotów.

- Dobra, Błotny Chłopcze - rzekł niechętnie. - Jeszcze jedna przysługa. A potem lepiej, żebyś miał dla mnie tę oszłamiającą ilość złota.

- Będę miał. Nie martw się, mój smrodliwy przyjacielu.

Krasnal poczuł się głęboko dotknięty.

- Nie nazywaj mnie „przyjacielem”. Po prostu gadaj. Co. Mam. Dla. Ciebie. Zrobić.

- Po prostu posłuchaj swej natury i wykop nam tunel. Muszę ukraść lemura.

Mierzwa kiwnął głową, jakby porywanie lemurów było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem.

- A komu go ukradniemy?

- Mnie.

Krasnal zmarszczył czoło, a potem do niego dotarło.

- Ach... Podróż w czasie bywa pełna komplikacji, co nie?

Holly wsunęła omniwytrych do kieszeni.

- Nawet sobie nie wyobrażasz - powiedziała.



ROZMOWA ZE ZWIERZĘTAMI

Rathdown Park

Bentley Fowlów chroniony był skanerem odcisków palców oraz klawiaturą numeryczną, na której należało wprowadzić ośmiocyfrowy kod. Zmieniał się on co miesiąc, toteż Artemis potrzebował kilku sekund, by w myślach przewinąć ostatnie osiem lat życia i przypomnieć sobie odpowiednią kombinację.

Prześliznął się po obitym jasnobrązową skórą przednim siedzeniu i przyłożył kciuk do drugiego skanera, umieszczonego za kierownicą. Z deski rozdzielczej łagodnie wysunęła się przegródka. Niezbyt pojemna, jednak na tyle duża, by zmieścić plik banknotów, platynowe karty kredytowe oraz zapasowy telefon komórkowy.

- Nie ma pistoletu? - spytała Holly, gdy Artemis wynurzył się z samochodu, mimo że z bronią Butlera obchodziłaby się niezdarnie.

- Nie ma - potwierdził chłopak.
- Nawet gdyby był, to z pistoletu Butlera nie trafiłabym słonia.

- Nie polujemy dziś na słonie - stwierdził Artemis, który teraz, kiedy już wyszli z bagażnika, mówił po angielsku - ale na lemury. W każdym razie, jako że nie wolno nam strzelać do naszego celu, może i lepiej, że jesteśmy nieuzbrojeni.

- Wcale nie - odparła Holly. - Nie strzeliłabym do ciebie ani do lemura, ale dam głowę, że napotkamy innych przeciwników. Masz talent do robienia sobie wrogów.

Artemis wzruszył ramionami.

- Geniusz wzbudza niechęć. To smutna życiowa prawda.

- Geniusz i okradanie innych - dodał Mierzwa, przycupnięty na krawędzi bagażnika. - Wiem coś o tym: nikt nie lubi mądrego złodzieja.

Artemis zabębnił palcami w zderzak.

- Mamy pewne atuty. Elfia magia. Talent do kopania. Ja zdobyłem prawie osiem lat doświadczenia w intrygach, jakim nie może się pochwalić drugi Artemis.

- Intrygach? - zapytała szyderczo Holly. - Chyba nieco zbyt łagodnie się traktujesz. Ja bym raczej powiedziała o kradzieżach na wielką skalę.

Artemis przestał bębnić.

- Jedną z twoich mocy jest mówienie różnymi językami, zgadza się?

- Przecież właśnie rozmawiam z tobą, prawda? - odparła Holly.

- Konkretnie w ilu językach potrafisz mówić?

Holly się uśmiechnęła. Na tyle dobrze znała pokrętny umysł Artemisa, by dokładnie wiedzieć, do czego zmierza.

- W tyłu, ilu zechcesz.

- Dobrze - rzekł Artemis. - Musimy się rozdzielić. Ty wejdiesz do Rathdown Park górą, a ja z Mierzwą ruszymy pod ziemią. Jeśli będzie potrzebne zamieszanie, użyj swego daru.

- To byłaby dla mnie przyjemność - powiedziała Holly, po czym natychmiast stała się półprzezroczysta, jakby składała się z wody. Jako ostatni zniknął jej uśmiech.

Zupełnie jak u Kota z Cheshire.

Chłopak przypomniał sobie fragment z *Przygód Alicji w Krainie Czarów*:

„- Ale ja nie chcę przebywać wśród obłąkanych - zauważyła Alicja.

- Och, temu nie zaradzisz - powiedział Kot. - wszyscy tu jesteśmy obłąkami**”.

Artemis spojrział na cuchnącego krasnala, który właśnie grzebał w swej żywej brodzie w poszukiwaniu owadów.

Wszyscy tu jesteśmy obłąkami, pomyślał.

** L. Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, tł. M. Słomczyński, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003.

Mimo że Holly miała tarczę, bardzo ostrożnie zbliżyła się do głównej bramy Rathdown Park. Już raz przedstawiciele Ludu w starciu z Butlerem mieli się za niezwyuczonych. Bolesnie za to zapłacili. Elficzka nie zamierzała lekceważyć ochroniarza. Sam fakt, że znów musiała się z nim zmierzyć, sprawiał, że z nerwów skręcało ją w żołądku.

Ludzkie ubranie drżało i tarło o skórę. Nie wykonano go z myślą o tarczy. Jeszcze parę minut, a rozsypie się na kawałki.

Tęsknię za moim neutrino, pomyślała Holly, patrząc na drzwi ze wzmocnionej stali, za którymi w ciemności czaiło się nieznanne. *I za Ogierkiem i jego łączem satelitarnym.*

Ale w głębi duszy kochała przygody, toteż nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się wycofać.

Z aktywną tarczą ciężko obsługiwać urządzenia, zatem wróżka wyłączyła osłonę na kilka chwil potrzebnych na sforsowanie zamka za pomocą omniwytrychu. Był to stary model, jednak jej matka wydała kilka dodatkowych sztuk złota na ulepszenia. Standardowy omniwytrych radzi sobie z każdymi drzwiami z prostym zamkiem mechanicznym. Narzędzie Holly potrafiło także wywoływać spięcie, by otworzyć zamek elektroniczny, a nawet dezaktywować nieskomplikowane alarmy.

Ale to raczej nie będzie potrzebne, pomyślała wróżka. *Jeśli Artemis dobrze pamięta, sam wszystkie wyłączył.*

Ta myśl niezbyt podniosła ją na duchu. Jej przyjaciel już raz się pomylił.

Omniwytrych wykonał swe zadanie w niecałe pięć sekund i zawibrował lekko, niczym kot, który mruczy zadowolony z własnej przebiegłości. Wystarczyło leciutko pchnąć, by ciężkie drzwi rozwarły się bezgłośnie. Holly ponownie włączyła tarczę.

Od lat nie czuła takiego zdenerwowania jak teraz, kiedy wchodziła do Rathdown Park.

Znowu jestem żółtodziobem. Dzieciakiem tuż po Akademii, zdała sobie sprawę. Mój umysł jest doświadczony, ale ciało to odrzuca. I zaraz potem: lepiej szybko zgarnę tę malpę, zanim młodość da o sobie znać.

Młodszy Artemis wyłączył zabezpieczenia, wchodząc na teren rezerwatu. Dzięki karcie kodowej dyrektora, łatwo ominąć wszystkie alarmy. Wcześniej tego dnia, kiedy oprowadzano go po parku, zadał kilka skomplikowanych pytań na temat prawdziwości teorii ewolucji. Dyrektor, zdeklarowany zwolennik ewolucjonizmu, skupił się na przedstawianiu mu argumentów wystarczająco długo, aby Butler zdążył opróżnić mu kieszeń. Kiedy karta kodowa znalazła się w rękach ochroniarza, po prostu włożył ją do zasłanego bateriami klonera kart, ukrytego w kieszeni na piersi, a następnie zagwizdał kilka taktów Mozarta, żeby zagłuszyć terkot urządzenia.

Dwie minuty później wszystkie potrzebne dane znajdowały się już w pamięci klonera, karta trafiła z powrotem do kieszeni dyrektora, natomiast Artemis nagle uznał, że może ta teoria ewolucji wcale nie jest taka zła.

- Choć jest w niej więcej dziur niż w holenderskiej tamie zrobionej ze szwajcarskiego sera – skomentował potem w drodze powrotnej z Rathdown Park.

Ta uwaga podniosła Butlera na duchu. To już był prawie dowcip.

Później tego samego popołudnia młody Artemis umieścił kamerę guzikową w kanale klimatyzacji w bagażniku Bentleya.

Lepiej mieć oko na naszych gości.

Osoba płci żeńskiej była ciekawa. Właściwie wręcz fascynująca. Środek usypiający wkrótce powinien przestać działać. Obserwowanie jej reakcji będzie interesujące, dużo bardziej niż w przypadku zarośniętego nastolatka, mimo że szerokie czoło sugerowało inteligencję, a rysy twarzy miały sporo wspólnego z tymi charakterystycznymi dla rodziny Fowlów. W rzeczy samej widok chłopaka przypominał Artemisowi o starej fotografii jego ojca z czasów młodości, wykonanej podczas wykopalisk archeologicznych w Ameryce Południowej. Może więzień płci męskiej był jakimś ich dalekim kuzynem, który wraz ze zniknięciem Artemisa seniora postanowił upomnieć się o swoje? Wiele rzeczy należało jeszcze zbadać.

Kamera guzikowa transmitowała sygnał do telefonu komórkowego dziesięcioletniego Artemisa. Podczas gdy Butler prowadził go przez Rathdown Park do klatki lemura, chłopiec co jakiś czas zerkał na ekran.

- Skup się, Artemisie – strofował go ochroniarz. - Jedno łajdactwo naraz.

Chłopak podniósł wzrok znad telefonu.

- „Łajdactwo”? Daj spokój, nie jesteśmy postaciami z kreskówki. Nie śmieję się jak łotr ani nie mam przepaski na oku.

- Jeszcze nie. Ale jeśli nie skupisz się na bieżącym zadaniu, to prędko możesz się dorobić takiej przepaski.

Przechodzili właśnie pod oceanarium, przemierzając pleksiglasowy tunel, który pozwalał naukowcom, a niekiedy także gościom, obserwować zwierzęta żyjące w zbiorniku o pojemności niemal czterech milionów litrów. Akwarium na tyle, na ile było to możliwe, imitowało naturalne środowisko poszczególnych gatunków. W poszczególnych komorach panowały różne temperatury i rosła odmienna roślinność. Jedne napełnione były wodą słoną, inne słodką, ale w każdej z nich znajdowały się rzadkie i zagrożone gatunki.

Sufit powyżej upstrzony był malutkimi żarówkami, które udawały gwiazdy, ale poza tym jedyne światło dawała bioluminescencja rekina kolczaka, który płynął za Artemisem i Butlerem wzdłuż tunelu, aż wreszcie uderzył pyskiem w pleksiglas.

Artemisa bardziej niż świecące upiornym blaskiem lotofory rekina interesował telefon komórkowy.

Wydarzenia, które obserwował na jego ekranie, były niemal niewiarygodne. Chłopiec przystanął, żeby w pełni pojąć to, co widzi.

Włamywacze uciekli z bagażnika bentleya dzięki pomocy współnika. Kolejnego nieczłowieka.

To coś zupełnie nowego. Te istoty potencjalnie mogą mi przynieść większe zyski niż jakiś lemur. Czy powinienem przerwać tę operację i skupić się na nie-ludziach?

Artemis maksymalnie podkreślił dźwięk w komórce, ale mały mikrofon dołączony do kamery był w stanie zarejestrować jedynie urywki rozmowy.

W większości toczyła się ona w jakimś obcym języku, ale czasem przewijał się angielski i chłopiec kilkakrotnie usłyszał słowo „lemur”.

Może to zwierzę jest warte więcej, niż mi się wydawało. To właśnie ono zwabiło tutaj te istoty.

Minęła minuta, podczas której na ekranie widać było tylko obrzydliwą, podobną do krasnala postać, która nieproporcjonalnie dużym zadem spoczęła na krawędzi bagażnika. Potem pojawiła się ta istota płci żeńskiej – tylko po to, by po chwili zniknąć. Tam, gdzie przed chwilą stała, ekran pokazywał jedynie słynne słupy Rathdown Park.

Artemis mocniej ścisnął telefon.

Niewidzialność? Energia potrzebna do wytworzenia pola odbijającego lub wygenerowania bardzo szybkiej wibracji musi być niewiarygodna.

Szybko wybierając kolejne opcje, uaktywnił wizualizację termiczną, funkcję na pewno niestandardową. Z ulgą stwierdził, że na ekranie ciepłymi barwami wykwitła postać tamtej istoty.

Dobrze. Wciąż tam jest, tyle że ciężko ją dostrzec.

Jednym okiem wciąż spoglądając na telefon, Artemis zawołał do swego ochroniarza:

Butler, przyjacielu. Drobna zmiana planów.

Mężczyzna dobrze wiedział, że polowanie na lemura nie zostanie odwołane.

Ale dam głowę, że wciąż jesteśmy na tropie tego stworzenia.

- Stworzeń – poprawił go dziesięcioletni Artemis. Liczba mnoga.

Artemis-czternastolatek wcale nie był zachwycony widokiem. Dla odwrócenia uwagi ułożył haiku o tym, co widział przed sobą:

Blade, drżące półkule

Ubijają trujący ładunek

Lysę głowy w torbie

Mierzwa Grzebaczek był w mniej poetyckim nastroju. Przestał kopać i osadził szczęki na miejscu.

- Czy mógłbyś przestać świecić mi latarką w zadek? Szybko robią mi się pęcherze. My, krasnale, jesteśmy bardzo wrażliwe na światło, nawet sztuczne.

Latarkę Artemis zabrał z zestawu awaryjnego Bentleya. Teraz szedł za Mierzwą świeżym tunelem w kierunku klatki lemura. Krasnal zapewnił go, że droga jest na tyle krótka, by zdołał utrzymać w sobie całą ziemię i powietrze do czasu, aż dotrą na drugi koniec, a więc chłopak mógł bezpiecznie iść tuż za nim.

Artemis pomyślał, że pęcherz na tyłku to ostatnie, co chciałby zobaczyć, i na kilka sekund odwrócił latarkę. Wkrótce jednak snop światła znów zabłądził na błądą, trzęsącą się skórę.

- Jedno krótkie pytanie. Skoro możesz zatrzymać w środku wszystko, co teraz wykopujesz, to dlaczego masz odpiętą klapę?

Mierzwa wypluwał na ściany potężne porcje krasnoludzkiej flegmy, aby wzmocnić tunel.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił. - Może się zdarzyć, że połknę kawał metalu albo pasek starej opony. Takie coś musiałbym z siebie natychmiast wyrzucić, choćbym nawet miał za sobą irytującego Błotniaka. Więc nie ma sensu, żebym sobie na dodatek niszczył spodnie, prawda, gapo?

- Chyba nie ma - odrzekł Artemis, uznając, że skoro znajduje się na celowniku wielkiej, naładowanej broni, może darować, że nazwano go „gapą”.

- Tak czy inaczej - ciągnął krasnal, wyrzuciwszy z siebie kolejną porcję flegmy - powinieneś się uważać za wyróżnionego. Niewielu ludzi widziało, jak krasnal pracuje ze śliną. Można to uznać za starożytną sztukę. Najpierw...

- Wiem, wiem - przerwał z niecierpliwością Artemis. - Najpierw wykopujesz, potem wzmacniasz ściany śliną, która twardnieje w zetknięciu z powietrzem, oczywiście jeśli pochodzi z twoich ust. Do tego się świeci. To doprawdy wspaniały materiał.

Zadek Mierzwy zachybotał się z zaskoczenia.

- Skąd znasz te tajemnice?

- Sam mi o nich powiedziałeś albo raczej dopiero powiesz. Podróż w czasie, pamiętasz?

Krasnal zerknął przez ramię. W blasku jego śliny oczy żarzyły mu się na czerwono.

Niby w jak bliskich stosunkach będziemy w przy-
wzłości?

Bardzo bliskich. Kupimy razem mieszkanie,
a potem po szalonym romansie wyjdiesz za moją
mostrę i spędzicie miesiąc miodowy w Las Vegas.

Uwielbiam Vegas – rzekł tęsknie Mierzwa. A zaraz
potem: – Ale z ciebie złośliwy mądrała. Zaczynam ro-
zumieć, dlaczego zostaniemy przyjaciółmi. Ale na razie
przestań gadać, bo jak nie, to może się przekonamy, czy
pokryty odpadami z tunelu jesteś równie dowcipny.

Artemis mocno przełknął ślinę i odsunął promień
latarki od zadka Mierzwy.

Plan był prosty. Mieli zrobić podkop i czekać pod
klatką lemura, aż Holly skontaktuje się z nimi za pomo-
cą SKR-owskiego przyklepnego komunikatora o małym
zasięgu, przyklejonego do policzka Artemisa. Urządze-
nie pochodziło z łupu Mierzwy. Potem wszystko mia-
ło zależeć od sytuacji. Albo wyskoczą na górę i zgarną
lemura, podczas gdy Holly wywoła konsternację wśród
zwierząt, albo – jeśli młody Artemis wcześniej zdąży za-
brać zwierzę – Mierzwa wykopie dziurę pod Butlerem,
co ułatwi elficzce pozbawienie chłopca zdobyczy.

*Wszystko to mało wyrafinowane, pomyślał Artemis.
To dla mnie bardzo nietypowe.*

- Dobra, Błotniaku – powiedział krasnal, wygrzebu-
jąc płaskimi palcami niszę o cebulowatym kształcie.
- Jesteśmy na miejscu. X oznacza małpę.

- Lemura – odruchowo poprawił Artemis. - Jesteś
pewien, że potrafisz odróżnić zapach tego zwierzęcia
od wszystkich innych?

Mierzwa, niby urażony, położył rękę na sercu.

- Ja? Pewien? Jestem krasnałem, człowieku. Nos krasnała potrafi odróżnić trawę od koniczyny. Czarne włosy od brązowych. Psią kupę od wilczej.

Artemis jęknął.

- Uznam, że to odpowiedź twierdząca.

- I słusznie. Jeszcze trochę, a może postanowię nie żenić się z twoją siostrą.

- Gdybym miał siostrę, na pewno byłaby niepokieszona.

Przez kilka minut czekali skuleni w niszy. Przez warstwę gliny dochodziły do nich nocne pomruki i pochrapywania. Jakaś dziwna anomalia sprawiała, że kiedy dźwięk przeszedł przez powłokę tunelu, grzązł tam, odbijając się falami od ścian. Artemis miał wrażenie, że znajduje się dosłownie w jaskini lwa.

Jakby to samo w sobie nie było dostatecznie niepokojące, chłopiec zauważył, że Mierzwa robi się jaskraworóżowy. Nie tylko na twarzy.

- Kłopoty? - spytał Artemis, nie mogąc ukryć nerwowego drżenia głosu.

- Już długo wstrzymywałem gazy - odparł krasnał przez zaciśnięte zęby. - Niedługo się wydostaną. Masz kłopoty z zatokami?

Chłopak pokręcił głową.

- Szkoda - rzekł Mierzwa. - Od razu by ci się przeczyściły.

Gdyby nie determinacja, żeby uratować matkę, Artemis w tym momencie rzuciłby się do ucieczki.

Na szczęście dla jego przewodów nosowych w tej chwili Holly dała znak. Komunikator był prostym urządzeniem wibrującym, które przesyłało sygnały prosto do ucha Artemisa, tak że dźwięk nie był słyszalny na zewnątrz. Słyszał było słowa Holly, ale nie jej głos. Komunikator był na tyle nieskomplikowany, że generował jedynie mechaniczne brzmienie.

- Jestem na pozycji. Odbiór.

Artemis dotknął palcem komunikatora, zamykając obwód, co pozwalało na transmisję.

- Przyjąłem. Znajdujemy się dokładnie pod klatką obiektu. Czy widzisz przeciwnika?

- Nie. Brak kontaktu wzrokowego. Ale widzę lemur. Chyba śpi na niskiej gałęzi. Mogę go łatwo dosięgnąć.

- Nie rób tego. Pozostań na pozycji. My zabezpieczymy cel. Uważaj na młodszego mnie.

- Zrozumiano. Nie marnuj czasu, Arty. Wyjdź na górę, wracaj na dół i z powrotem do samochodu.

Arty? Artemis był zaskoczony, że Holly tak go nazywała. Tak mówiła do niego pieszczotliwie mama.

- Rozumiem. Na górę, na dół i z powrotem.

Arty?

Mierzwa niecierpliwie klepnął go w ramię.

- Możemy zaczynać, jak tylko będziesz gotowy, Błotniaku. Teraz byłoby całkiem dobrze.

- Świetnie. Do dzieła. Spróbuj być cicho.

Krasnal zmienił pozycję, skierował głowę ku sklepieniu tunelu i nisko przykucnął.

- Za późno, żeby być cicho - stęknął. - Naciągnij bluzę na twarz.

Artemis ledwo zdążył wykonać polecenie, gdy Mierzwa wypuścił ogłuszającą kaskadę gazu i ziemi, ochlapując chłopca nieprzetrawionymi grudami. Skorupa krasnoludzkiej śliny pękała w tysiącu miejsc, a Mierzwa, wyrzucony w górę potężnym impetem, z łatwością przebił się na powierzchnię.

Kiedy kurz nieco opadł, Artemis wygramolił się do klatki w ślad za krasnałem. Mierzwa odbił się od niskiego sufitu klatki i stracił przytomność. Krew ubrudziła jego i tak posklejane włosy, a kłapa od portek powiewała jak rękaw lotniskowy, podczas gdy z wnętrza krasnała wydobywała się reszta odpadów.

Niski sufit?

Lemura w klatce obok najwyraźniej wielce rozbawiło całe zamieszanie. Podskakiwał na przyciętej gałęzi, wciśniętej pomiędzy pręty.

Klatka obok, uświadomił sobie Artemis. Nie jesteśmy w klatce lemura? W takim razie w jakiej?

Zanim zdążył to zbadać, na policzku zapikał mu komunikator, a w uchu rozległ się beznamiętny, mechaniczny głos:

- Arty, zabierz stamtąd Mierzwę. Natychmiast wracajcie na dół.

O co chodzi? - zastanawiał się Artemis. Co jest w tej klatce?

I wtedy wpadł na niego dwustukilogramowy goryl górski z Ugandy. Ostatnia myśl pozostała w powietrzu jak dymek z komiksu.

Młodszy Artemis i Butler obserwowali to wszystko przez wąskie okienka zakamuflowanej kryjówki, która znajdowała się przed klatkami. Zbudowano ją wewnątrz sztucznych skałek i pozwalała na obserwację zwierząt z bliskiej odległości bez zakłócania naturalnego rytmu ich dnia. Parę godzin wcześniej dyrektor był na tyle uprzejmy, że pozwolił Artemisowi usiąść w fotelu obserwacyjnym.

„Kiedyś z tego fotela będzie można sterować kamerą termiczną i całym tym sprzętem” – powiedział.

„Może nawet wcześniej, niż się wydaje” – odparł wówczas chłopiec.

– Ojej – odezwał się Butler. To wyrażenie, wypowiedziane jego szorstkim głosem, wydawało się przesadnie delikatne. – To naprawdę musiało boleć. – Sięgnął do kieszeni po pistolet na strzałki. – Lepiej wyciągnąć do niego pomocną dłoń, a przynajmniej strzałkę.

Ochroniarz nie próżnował. Na pryzkach na tyłach kryjówki leżało dwóch nieprzytomnych strażników.

Przez okienko dokładnie widzieli, jak ogromny goryl potrząsa intruzem płci męskiej niczym szmacianą lalką. Trzeci z obecnych w klatce padł na ziemię i najwyraźniej miotały nim wyjątkowo mocne wzdęcia.

Niewiarygodne, myślał Artemis. *Ten dzień jest pełen niespodzianek.*

Nacisnął kilka przycisków leżącej przed nim klawiatury komputera, przekierowując w ten sposób kamerę termiczną ośrodka.

– Chyba strzałka nie będzie konieczna – powiedział. – Pomoc jest już w drodze.

Rzeczywiście, czerwona plama ciepła podskakiwała na wybrukowanym chodniku tuż przed klatką goryla.

- To dopiero będzie ciekawe - zamyślił się dziesięcioletni Artemis.

Holly zmuszona była działać. Wcześniej dyskretnie skryła się za szerokim pniem importowanego baobabu. Wyłączyła tarczę, oszczędzała magię i wypatrywała młodego Artemisa, kiedy Mierzwa wpadł do niewłaściwej klatki. Wystrzelił spod ziemi w minicyklonie wydalanej ziemi, odbił się od paru powierzchni jak kula z kreskówki, po czym runął na głębę.

Mieszkaniec klatki, szaroczarny goryl, wyskoczył prosto w górę, przebudzony z głębokiego snu. Oczy miał szeroko otwarte, ale zamglone. Obnażył żółte zęby.

Zostań na dole, Artemisie, pomyślała. Zostań w dziurze.

Gdzie tam. Chłopak wygramolił się na powierzchnię, bardzo ostrożnie, choć nie było to trudne. Strumień czasu nie obdarzył go zwinnością. Jak Artemis sam często mawiał, sport to nie jego specjalność.

Holly przycisnęła kciukiem komunikator.

- Arty, zabierz stamtąd Mierzwę! - krzyknęła. - Natychmiast wracajcie na dół.

Za późno. Goryl uznał, że nowo przybyli stanowią zagrożenie, z którym należy się uporać. Wytoczył się z legowiska z liści i kory, i wylądował na pięściach z takim impetem, że aż zafalowała mu sierść na ramionach.

Holly w biegu włączyła tarczę. Jej śladem unosiły się srebrne kosmyki rozlatującej się peruki.

Goryl zaatakował, złapał zaskoczonego Artemisa łowla za ramiona, zaryczał mu w twarz, odrzucił głowę w tył i rozwarł paszczę wielką jak paści na niedźwiedzia.

Holly była już przy furtce, wyłączyła osłonę, wyciągnęła z kieszeni omniwytrych, wetknęła koniec do zamka. Podczas gdy urządzenie robiło swoje, śledziła wydarzenia wewnątrz klatki.

Mierzwa uniósł się na łokciach i kręcił skołowaną głową. Przez najbliższe parę chwil na pewno nie byłby w stanie służyć pomocą, o ile w ogóle uznalby za stosowne wspomóc obcego człowieka.

To nie miało znaczenia: za parę chwil byłoby już dla Artemisa za późno.

Omniwytrych zapikał, a drzwi klatki stanęły otworem. Ścieżka przechodziła w wąską kładkę, która przebiegała nad fosą i zlewała się z wyłobieniami na ziemi.

Holly bez namysłu rzuciła się na drugą stronę. Machała rękami i krzyczała, tak aby przyciągnąć uwagę wielkiej małpy.

Goryl sapnął i parsknął, przycisnął Artemisa do piersi – dając znać, żeby się nie zbliżała. Głowa chłopca opadła na ramiona, oczy miał przymknięte.

Wróżka zatrzymała się trzy metry od zwierzęcia. Zwiesiła ramiona, spuściła wzrok, przybierając niegroźną pozę.

Bestia udała, że atakuje, zatrzymując się o pół metra od Holly, a następnie pogardliwie odwróciła się

plecami, nie przestając chrząkać i pomrukiwać. Wciąż też przyciskała Artemisa do piersi. Włosy chłopaka były lepkie od krwi, a z kącika lewego oka spływała czerwona strużka. Jedną rękę miał złamaną, rękaw dresu nasiąkł krwią.

Holly była zszokowana. Przeżazona. Miała ochotę rozpłakać się i uciec. Jej przyjaciel był ranny, może nawet nie żył.

Weź się w garść! – powiedziała sobie. *Jesteś starsza, niż na to wyglądasz.*

Jedną z magicznych mocy wrózek jest dar języków, który obejmuje również podstawową znajomość co bardziej skomplikowanych narzeczy zwierząt. Holly nie byłaby w stanie dyskutować z delfinem o globalnym ociepleniu, ale umiała wystarczająco dużo, żeby się porozumieć.

W przypadku goryli język ciała był równie ważny jak słowa. Holly przykucnęła nisko, zgięła łokcie, dotykając pięściami ziemi i wyginając kręgosłup do przodu. To postawa przyjaciela. Następnie zwinęła usta w ryjek i kilka razy zahukała. „Niebezpieczeństwo! – mówiły te huknięcia. – Niebezpieczeństwo jest blisko!”

Zwierzę komicznie zahamowało, zaskoczone gorylą mową w ustach tej istoty. Wyczuwało podstęp, ale nie miało pewności, na czym mógłby on polegać. A kiedy masz wątpliwości, bij się w tors.

Goryl upuścił Artemisa, stanął wyprostowany na dwóch nogach, wysunął naprzód brodę, wypiął pierś, po czym zaczął się uderzać w tors otwartymi dłońmi.

„Ja jestem tu królem. Nie zadzieraj ze mną”.

Komunikat był jasny.

W rzeczy samej mądra myśl, ale Holly nie miała wyboru.

Wystrzeliła naprzód, wciąż pohukując, a co jakiś czas wplatając w tę mowę przerażone piski. Potem, na przekór radom wszystkich ekspertów od dzikich zwierząt, którzy kiedykolwiek mieli w rękach kamerę, spojrzała gorylowi prosto w oczy.

„Lampart!” – zasygnalizowała, dodając do pohukiwania nieco magicznej mesmeryzacji. – „Lampart!”

Furia zwierzęcia ustąpiła miejsca tępej dezorientacji, która z kolei zmieniła się w przerażenie.

„Lampart!” – huczała Holly. – „Uciekaj na drzewo!”

Goryl z mniejszą niż zwykle gracją zatoczył się ku tyłowi klatki. Poruszał się, jakby znajdował się pod wodą, a jego zmysły stępione były mesmeryzacją. Odpychał na bok drzewa i liście, pozostawiając za sobą trasę mokrych od soku kikutów oraz zgniecionej trawy. Po chwili zwierzę zniknęło głęboko w ciemnych zakamarkach swego sztucznego siedliska.

Spomiędzy konarów dobiegło strachliwe postękiwanie.

Później Holly ogarnęły wyrzuty sumienia, że zaczarowała to zwierzę, jednak w tej chwili nie miała ani chwili do stracenia. Artemis był poważnie ranny, może nawet śmiertelnie.

Goryl upuścił chłopca niczym obgryzioną do czysta padlinę. Artemis leżał jak martwy.

Nie. Nawet tak nie myśl.

Holly rzuciła się do przyjaciela. Ostatnie metry pokonała ślizgiem na kolanach.

Za późno. Już o wiele za późno.

Twarz Artemisa była blada jak papier. Długie czarne włosy miał splamione krwią, przez szparki powiek przebłyskiwały białka oczu.

- Mamo - bardziej westchnął, niż powiedział.

Holly wyciągnęła dłonie. Magia już tańczyła na czubkach palców, iskry odskakiwały niczym malutkie rozbłyśki słoneczne.

Wróżka zamartała, nim magia zdążyła przeskoczyć na ciało chłopca.

Jeśli go uleczę, czy jednocześnie skazę go na śmierć? Czy moja magia jest skażona czarotropią?

Artemis rzucał się słabo. Holly dosłownie słyszała, jak w jego rękawie kości ocierają o siebie. Krew miał teraz również na wargach.

Jeżeli mu nie pomogę, to umrze. Gdy go uleczę, przynajmniej będzie jeszcze nadzieja.

Dłonie Holly drżały, a jej oczy były pełne łez.

Weź się w garść. Jesteś profesjonalistką.

Wcale się tak nie czuła. Raczej jak dziewczyna, która straciła grunt pod nogami.

Twoje ciało płata figle umysłowi. Nie zwracaj na to uwagi.

Holly delikatnie ujęła w dłonie twarz Artemisa.

- Zdrowiej - szepnęła, prawie łkając.

Magiczne iskry wyskoczyły jak psy uwolnione ze smyczy. Wnikały w pory, scalały kości, leczyły skórę, tamowały krwotoki wewnętrzne.

Przejście od progu śmierci do pełni zdrowia było dla Artemisa brutalne. Drżał, rzucał się, szcząkał zębami, a włosy się elektryzowały.

No, dalej, Artemisie – powiedziała Holly, pochylając się nad nim jak żałobnica. – Obudź się.

Przez kilka sekund nie było żadnej reakcji. Artemis wyglądał jak zdrowy trup, ale z drugiej strony on zwykle tak się prezentował. Potem jego różnego koloru oczy otwały się, powieki zatrzepotały jak skrzydła kolibry – organizm uruchamiał się na nowo. Chłopak zadrżał i zakasłał. Rozprostował palce u rąk i nóg.

Holly – odezwał się, kiedy odzyskał ostrość widzenia. Uśmiechał się szczerze i z wdzięcznością. – Znowu mnie uratowałaś.

Wróżka jednocześnie śmiała się i płakała. Łzy ciekły na tors chłopaka.

– Oczywiście, że cię uratowałam – powiedziała. – Nie poradziłabym sobie bez ciebie.

Ponieważ była uradowana i przepelniona magią, pochyliła się i pocałowała Artemisa. Magia błysnęła wokół pocałunku jak malutkie fajerwerki.

Dziesięcioletni Artemis Fowl jednym okiem śledził dramatyczne wydarzenia rozgrywające się w klatce goryla.

– *Troglodytes gorilla* – odezwał się do Butlera. – Tę nazwę nadał doktor Thomas S. Savage, amerykański misjonarz w Afryce zachodniej, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku jako pierwszy sporządził naukowy opis goryla.

- Coś takiego - mruknął ochroniarz, którego bardziej niż gatunek bestii interesował zasięg jej szczęk.

Wykorzystali zamieszanie, aby wymknąć się ze sztucznej kryjówki, przejść przez niewielkie podwórko i zbliżyć się do klatki lemura, która sąsiadowała z tą zamieszkiwaną przez goryla.

Dziwni przybysze byli zbyt zajęci, żeby zauważyć, jak Artemis i Butler przesuwają kartę kodową przez czytnik zamka i otwierają drzwi klatki.

- Popatrz na nich. Tracą czas. Nie złapałbyś mnie na czymś takim.

Butler parsknął, jak zwykle, gdy miał zamiar z kamienną twarzą wygłosić żartobliwą kwestię.

- Większość ludzi nigdy na niczym by cię nie złapała, Artemisie.

Chłopiec zachichotał pod nosem. To był ciekawy dzień, same satysfakcjonujące wyzwania.

- No i jesteśmy na miejscu - rzekł cicho. - Ostatnia sifaka jedwabna na świecie. Zwierzę za sto tysięcy euro.

Lemur siedział wysoko na madagaskarskiej palmie. Długimi, chwytными palcami trzymał się gałęzi. Miał śnieżnobiałe futro z brązową łatą na piersi.

Artemis wskazał na zwierzę.

- To umaszczenie jest wynikiem znakowania zapachowego za pomocą gruczołu zlokalizowanego w okolicy piersi i podgardla.

- Aha - odrzekł Butler, którego interesowało to jeszcze mniej niż naukowa nazwa goryla. - Weźmy go

już i zmywajmy się stąd, zanim nasi przyjaciele w klatce obok się pozbierają.

- Chyba mamy jeszcze chwilę - stwierdził Artemis.

Butler przyjrzał się nieznajomym przez kratę. To zaskakujące, że tamten chłopak wciąż był w jednym kawalku. Dziewczyna nie wiadomo jakim sposobem wyrosła niczym spod ziemi i przegoniła goryla. Imponujące. Wyraźnie miała parę sztuczek w rękawie. Musiała za nią stać naprawdę konkretna technologia. Może jakieś oprogramowanie kamuflujące - to by wyjaśniało te iskry. Mężczyzna wiedział, że Amerykanie pracowali nad kostiumem kamuflującym, działającym w każdym terenie. Jeden z jego znajomych z wojska przysłał mu link do nagrania wideo, które wyciekło do internetu.

W klatce znajdowała się jeszcze jedna postać: włochate indywiduum, które uwolniło pozostałą dwójkę z bentleya, otwierając w tym celu zamek, którego teoretycznie nie można było sforsować bez klucza. Stworzenie to nie było ani człowiekiem, ani zwierzęciem. Nieforemna, przysadzista postać wystrzeliła spod ziemi, wypychana jakąś siłą, natomiast w tej chwili cierpiała na wycieńczający atak gazów. Jakimś cudem to coś w ciągu kilku minut zdołało wykopać trzydziestometrowy tunel. Gdyby nie fakt, że klatki miały konstrukcję modułową i nachodzące na siebie ściany, istota znalazłaby się w pomieszczeniu z lemurami. A tak wyszła z ziemi dokładnie pod nim, ale w klatce obok.

Butler wiedział, że Artemisa aż świerbiło, by zba-
dać te dziwne istoty, lecz teraz nie pora na to. Nic
o nich nie wiedzieli, a osoby w takiej sytuacji często
tracą życie, zanim doznają oświecenia.

Ochroniarz wyciągnął pistolet na strzałki, jed-
nak Artemis na odgłos broni wysuwanej z kabury po-
wstrzymał go gestem.

- To nasza ostateczna opcja. Nie chcę, żeby nasz
mały przyjaciel spadając, skreślił sobie kark. Najpierw
spróbujemy łagodnej perswazji.

Chłopiec wydobyl z kieszeni niewielką zasuwaną
torebkę zawierającą bursztynową maź usianą czarny-
mi i zielonymi plamkami.

- Mikstura mojej roboty - wyjaśnił. - Sifaki są na-
czelnymi z rodziny indrisowatych, które, jak wiesz, są
całkowicie roślinożerne.

- Jakże mógłbym nie wiedzieć? - odrzekł Butler,
który tak właściwie to nie schował pistoletu.

Artemis rozpiął torebkę. Wydobyła się z niej słod-
ka, ciężka woń, która uniosła się w stronę lemura.

- Koncentrat soków roślinnych i mieszanka suszo-
nych liści afrykańskiej flory. Żaden lemur by się nie
oparł. Ale gdyby mózg tego osobnika okazał się sil-
niejszy niż żołądek, to użyj pistoletu. Tylko proszę
cię, wyłącznie jeden strzał i nie celuj w głowę. Pewnie
sama igła przebiłaby tę malutką czaszkę.

Butler parsknąłby, ale lemur zaczął się ruszać. Po-
pełził wzdłuż gałęzi, wysuwając szpiczasty nos, żeby
złapać woń. Dotknął zapachu różowiutkim języ-
kiem.

- Hm - mruknął ochroniarz. - Domyślam się, że ta mikstura nie działa na ludzi.

- Zapytaj mnie za sześć miesięcy - odparł Artemis. Prowadzę eksperymenty z feromonami.

Lemur truchtał przed siebie, zahipnotyzowany cudownym aromatem. Kiedy skończyła się pod nim galiz, opadł na ziemię. Podskakiwał na dwóch łapach, wyciągając palce w stronę torebki.

Artemis uśmiechnął się szeroko.

- Gra skończona.

- Może jednak nie - odrzekł Butler.

W klatce obok długowłosego chłopak stał już na nogach, a istota płci żeńskiej wydawała bardzo dziwny dźwięk.

Magiczne wyładowania wokół Holly i czternastoletniego Artemisa ustały, a wraz z nimi minął podobny do snu trans, który zawładnął umysłem chłopca.

Natychmiast odzyskał ostrość myśli. Holly go pocałowała. Skoczył na równe nogi i rozpostarł ramiona, żeby opanować nagłe zawroty głowy.

- No dzięki - powiedział z zakłopotaniem. - Tego się nie spodziewałem.

Holly uśmiechnęła się, odrobinę zawstydzona.

- Wszystko w porządku, Artemisie. Jeszcze jedna taka kuracja, a będziesz się składał wyłącznie z tkanki bliznowatej spojonej magią.

Chłopiec pomyślał, że miło byłoby tu zostać i tak pogawędzić, ale w sąsiedniej klatce jego przeszłość uciekała razem z jego przyszłością.

Natychmiast zrozumiał, co się stało. Nos Mierzwy zaprowadził go we właściwe miejsce, ale klatki zbudowano jak zazębiające się klocki, toteż lemur znajdował się dokładnie nad nimi, ale jednocześnie w klatce obok. Chłopak powinien był o tym pamiętać, jeśli kiedykolwiek wcześniej odwiedził to miejsce. Ale zupełnie sobie nie przypominał wizyty na głównym terenie. W jego wspomnieniu dyrektor parku przyniósł lemura do specjalnego pomieszczenia obserwacyjnego. To go zbijało z tropu.

- No dobrze - powiedział. - Widzę, gdzie jesteśmy...

Myślał na głos, uspokajał umysł, usiłując chwilowo zapomnieć o pocałunku. Zastanowi się nad nim później.

Potańczał powieki, bo wciąż widział czerwone iskry, po czym obrócił się tak szybko, jak tylko pozwalały zawroty głowy po uzdrowieniu. Zobaczył, jak młodszy Artemis wabi sifakę torebką bursztynowej masy.

Na pewno soki roślinne. Prawdopodobnie z dodatkiem gałązek i liści. Czyż nie był ze mnie spryciarz?

Potrzebował natychmiastowego rozwiązania. Szybkiego, elastycznego planu. Chłopak potarł oczodoły, jak gdyby to pomagało wyostrzyć umysł.

- Mierzwa, możesz znowu kopać?

Krasnal otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamiast tego wymiotował.

- Nie wiem - odrzekł w końcu. - W głowie mi się trochę tenteguje. W brzuchu też. To uderzenie niekiesko mną trzepnęło. - Brzuch Mierzwy wydał

dźwięk podobny do silnika motorówki. – Pardonsik, chyba muszę...

I rzeczywiście musiał. Wpełził na czworaka w kępkę paproci i wypuścił z siebie resztę zawartości żołądka. Kilka liści natychmiast zwiędło.

To nie ma sensu, pomyślał Artemis. Potrzeba mi cudu, bo inaczej już po lemurze.

Złapał Holly za ramiona.

– Zostało ci jeszcze trochę magii?

– Odrobinę. Może kilka iskier.

– Możesz porozmawiać ze zwierzętami?

Aby sprawdzić zapas, Holly przekręciła brodę w lewo, aż pstryknęło.

– Mogę ze wszystkimi poza trollami. One się nie łapią na tę sztuczkę.

Artemis kiwnął głową, mrużąc coś do siebie. Zastanawiał się.

– Dobrze. Dobrze. Chcę, żebyś odstraszyła ode mnie lemura. Od tego młodszego mnie. I potrzebuję zamieszania. Dasz radę?

– Spróbuję.

Holly zamknęła oczy i głęboko odetchnęła przez nos, napełniając płuca powietrzem. Potem odrzuciła głowę w tył i zawyła. To był niesamowity dźwięk. Lwy, małpy, wilki i orły. Stały tam wszystkie. Wycie okraszzone było staccatem małpiego skrzeczenia i sykiem tysiąca węży.

W odruchu przerażenia starszy Artemis zrobił krok w tył. Jakaś pierwotna część jego umysłu rozpoznała w tym komunikacie strach i ból. Chłopca prze-

szedł dreszcz i musiał walczyć z całych sił, żeby nie rzucić się do ucieczki.

Młodszy Artemis schylił się po lemura, dyndając mu torebką przed drgającym nosem. Zwierzę oparło opuszki palców na nadgarstku chłopca.

Mam go, pomyślał Irlandczyk. Pieniądze na ekspedycję są moje.

Ściana przeraźliwego dźwięku uderzyła w niego jak wiatr o mocy dziesięciu stopni w skali Beauforta. Młody Artemis zatoczył się do tyłu, upuszczając torebkę ze specyfikiem. Nagle poczuł irracjonalny strach.

Coś chce mnie zabić. Ale co? Sądząc po dźwiękach, każde zwierzę świata.

Mieszkańcy parku także byli mocno wystraszeni. Piszczei i skrzeczei, trzęśli klatkami, rzucali się na kraty. Małpy raz za razem usiłowały przeskoczyć przez fosy otaczające ich wyspy. Ośmiusetkilowy nosorożec sumatrzański napierał na ciężką bramę swojej zagrody. Z każdym atakiem trzeszczały zawiasy. Wilk rudy warczał i kłapał zębami, ryś iberyjski syczał, siekąc powietrze pazurami, natomiast pantera śnieżna goniła za własnym ogonem, miotała głową i miauczała nerwowo.

Butler mimowolnie stracił koncentrację.

- To ta istota płci żeńskiej - stwierdził. - Wydaje jakiś dźwięk. To ona niepokoi zwierzęta. Sam jestem trochę zdenerwowany.

Artemis nie odwracał wzroku od lemura.

- Wiesz, co masz robić - powiedział.

Butler wiedział. Jeśli pojawia się przeszkoda, uniemożliwiająca realizację misji, należy tę trudność usunąć. Szybkiem krokiem podszedł do krat, wytknął lufę pistoletu przez siatkę i wystrzelił strzałkę w ramię istoty płci żeńskiej.

Zatoczyła się w tył, a niezwykła orkiestra zwierzęcych odgłosów gwałtownie umilkła.

Butler miał wyrzuty sumienia i wracając do Artemisa, o mało się nie potknął. Już dwa razy usypiał tę dziewczynę albo czym tam ona była, nie mając pojęcia, jak te środki chemiczne wpływają na jej nie-ludzki organizm. Pocieszał się jedynie tym, że gdy tylko unieszkodliwił strażników, załadował strzałki z małymi dawkami. Niedługo powinna dojsć do siebie. Góra za kilka minut.

Lemur był teraz wystraszony. Malutkie rączki przebierały w powietrzu. Koktajl z soków kusił, ale tutaj czyhało najstraszniejsze niebezpieczeństwo i pragnienie przeżycia wygrywało z ochotą na apetyczny kąsek.

- Nie - powiedział Artemis, widząc strach w oczach zwierzęcia. - To nieprawda. Tutaj nie ma zagrożenia.

Niewielkie stworzenie nie było przekonane, zupełnie jakby potrafiło odczytać intencje chłopca z jego ostrych rysów twarzy.

Sifaka raz pisnęła, jak gdyby ktoś ją ukłuł pinezką, po czym wspięła się po ręce Artemisa, przeskoczyła po jego ramieniu i czmychnęła przez drzwi klatki.

Butler rzucił się, by ją złapać za ogon, ale spóźnił się o włos. Zacisnął palce w pięść.

- Może czas, żeby przyznać się do porażki. Jesteśmy nieprzygotowani, co stwarza ryzyko, a nasi przeciwnicy dysponują... zdolnościami, o których nic nie wiemy.

W odpowiedzi jego pracodawca puścił się w pogoń za lemurem.

- Artemisie, zaczekaj - westchnął Butler. - Skoro nie możemy zrezygnować, to ja pójde przodem.

- Oni chcą tego lemura - wysapał chłopiec w biegu. - Więc stał się bardziej wartościowy niż dotychczas. Kiedy złapiemy zwierzę, będziemy mieć nad nimi przewagę.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Lemur był niezwykle zwinny i znajdował punkty oparcia na najgładszych powierzchniach. Nawet się nie chwając, śmignął po metalowej barierce, wykonał trzymetrowy skok na niższe gałęzie doniczkowej palmy, a stamtąd - na mur ośrodka.

- Strzelaj! - syknął Artemis.

Przez moment Butler zdał sobie sprawę z tego, że nie podobała mu się mina Artemisa - niemalże okrutna, ze zmarszczką na czole tam, gdzie żaden dzieciolatek nie powinien mieć ostrej bruzdy - ale tym będzie martwił się później. W tej chwili miał na oku zwierzę, które trzeba było uśpić.

Mężczyzna był szybki, ale sifaka jeszcze zwinniejsza. Mignęło futro, lemur wspiął się na mur i zeskokczył po drugiej stronie, znikając w mroku i zostawiając za sobą tylko białą smugę.

- O rany! - odezwał się Butler niemal z podziwem. - To było szybkie.

Artemis nie był zachwycony jego doborem słów:

- „O rany”? To chyba zasługuje na coś więcej niż „o rany”. Nasza zdobycz uciekła, a wraz z nią fundusze na ekspedycję arktyczną.

W tym momencie Butler szybko stracił zainteresowanie lemurem. Istniały inne, mniej podłe sposoby zdobycia pieniędzy. Mężczyzna zadrżał na samą myśl o szyderstwach, które musiałby znosić, gdyby wieść o tej nocy jakimś cudem dotarła do baru „U farmera” w Los Angeles, prowadzonego przez byłego ochroniarza z niebieskim diamentem i odwiedzanego przez wielu innych.

Jednak chociaż obecna misja napawała go niesmakiem, lojalność kazała mu podzielić się informacją, o której dyrektor parku wspomniał wcześniej, gdy Artemis zajęty był zgłębianiem systemu alarmowego.

- Wiem coś, o czym ty być może nie masz pojęcia rzekł wyniośle.

Artemis nie był w nastroju do gierek.

- Czyżby? A cóż to takiego?

- Lemury to zwierzęta nadrzewne - odparł Butler.

- Ten mały się wystraszył, więc wespnie się na najwyższe drzewo, jakie znajdzie, nawet jeśli tak naprawdę to nie będzie drzewo. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Artemis pojął natychmiast, co nie było wcale trudne, ponieważ ogromne konstrukcje rzucały na cały park siatkę cieni.

- Oczywiście, przyjacielu - powiedział, a zmarszczka na jego czole zniknęła. - Słupy.

Sytuacja starszego Artemisa wyglądała katastrofalnie. Mierzwa był ranny, Holly znowu nieprzytomna – jej stopy wystawały z dziury wybitej przez krasnalą – a jemu samemu prędko kończyły się pomysły. Ogłuszający hałas szalejących przedstawicieli zagrożonych gatunków wcale nie pomagał w koncentracji.

Zwierzęta dostały małpiego rozumu, pomyślał. I zaraz potem: Co za moment, żeby nabrać poczucia humoru.

Teraz mógł tylko ustalić priorytety.

Muszę zabrać stąd Holly, zdał sobie sprawę. To teraz najważniejsze.

Mierzwa, pojękując, przekręcił się na plecy i Artemis dostrzegł krwawiącą ranę na jego czole.

Chłopak doskoczył do krasnalą, zataczając się po drodze.

- Domyślam się, że bardzo cierpisz – powiedział.
- To do przewidzenia przy takim rozcięciu. – Podejście do chorego nie było mocną stroną Artemisa. – Będziesz miał dość dużą bliznę, ale z drugiej strony dla ciebie wygląd zbytnio się nie liczy.

Mierzwa łypnął na chłopca zmrużonym okiem.

- Próbujesz być dowcipny? O Boże, wcale nie. To była najmiłsza rzecz, jaka ci przysłała do głowy. – Musnął palcem zakrwawione czoło. – Au! To boli.

- Oczywiście.

- Będę to musiał zalepić. Przypuszczam, że i o tym krasnoludzkim talencie wiesz wszystko?

- Naturalnie – odparł Artemis z kamienną twarzą.
- Widziałem go w działaniu wiele razy.

- Wątpię - burknął Mierzwa, wrywając z brody wijący się włos. - Ale nie mam wyboru, prawda? Elliczka z SKR nam odpłynęła, więc nie mogę liczyć na jej magiczną pomoc.

Artemis usłyszał szelest, który dochodził z głębi klatki.

- Lepiej się pospiesz. Goryłowi właśnie przechodzi strach przed wrózkami.

Krzywiąc się z bólu, Mierzwa wprowadził włos z brody do rany. Włos ruszył do akcji żwawo jak kijanka, przebijał skórę i zszywał jej brzegi. Chociaż krasnal pojękiwał i dygotał, nie stracił przytomności.

Kiedy włos skończył robotę, a rana została zaszyta ciaśniej niż mucha w pajęczej sieci, Mierzwa splunął na dłoń, po czym wtarł lepkaż maż w ranę.

- Zalepione - oznajmił, a kiedy dostrzegł błysk w oku Artemisa, dodał: - Nie rób sobie nadziei, Błotniaku. To działa tylko na krasnale, a co więcej, mój zarost pomaga wyłącznie mnie. Gdybyś wbił sobie w skórę któryś z moich wspaniałych włosów, nabawiłbyś się infekcji.

Szelest w zaroślach przybrał na sile. Artemis Fowl uznał, że należy zrezygnować z dalszego pozyskiwania informacji, co w jego przypadku było niesłychane.

- Czas na nas. Możesz zasypać za nami tunel?

- Potrafię łatwusięńko zawalić całość. Ale lepiej idź przodem. Można godniej zejść z tego świata niż zostać zakopanym żywcem w... powiedzmy: odpadach. Czy muszę rozwijać temat?

Każda kolejna sylaba byłaby zbyt ciężka. Artemis wskoczył do dziury, złapał Holly za ramiona i zaczął ją wciągać do tunelu, mijając kleksy świecącej śliny i podążając w kierunku przysłowiowego światełka na samym końcu. To zupełnie jak podróż poprzez kosmos w stronę Drogi Mlecznej.

W uszach Artemisa odgłosy jego własnego organizmu były teraz spotęgowane. Łapczywy oddech, łomot serca, chrzęst mięśni i ścięgien.

Łatwo było ciągnąć za sobą Holly. Jej kombinezon syczał na szorstkiej powierzchni jak gniazdo żmij. A może przy szczęściu Artemisa rzeczywiście były tam jakieś węże.

Próbuję dla odmiany wreszcie zrobić coś dobrego, przypomni sobie. A los tak mnie za to nagradza. Życie przestępcy było nieporównywalnie prostsze.

Akustyka tunelu wzmacniała dźwięki dochodzące z powierzchni. Goryl musiał być wściekły. Artemis słyszał, jak bije się pięściami w piersi i gniewnie dyszy.

Zrozumiał, że go przechytrzone, pomyślał chłopak.

Teoretyczne rozważania przerwało pojawienie się w tunelu Mierzwy. Opatrunek ze śliny na czole oświetlał jego twarz upiornym blaskiem.

- Goryl w drodze - oznajmił krasnal, łykając ogromne hausty powietrza. - Pora zmiatać.

Artemis usłyszał dwa głucho łupnięcia, oznaczające, że zwierzę wylądowało na podłożu tunelu. Ogromna mała ryknęła swe wyzwanie w głąb korytarza. Hałas narastał z każdym przebyтым metrem.

Holly jęknęła i chłopak szarpnął ją mocniej za ramiona.

Mierzwa wciągał powietrze tak szybko, jak tylko potrafił, wypychając Artemisa i Holly coraz głębiej. Jeszcze dwadzieścia metrów. Nie dadzą rady. Goryl zbliżał się, po drodze rozbijając każdą latarnię ze śliny, rycząc z żądy krwi. Artemis mógłby przysiąc, że dostrzegł błysk jego kłów.

Zdawało się, że z każdym uderzeniem cały tunel drży. Zapadały się duże fragmenty. Błoto i kamienie sypały się na głowę i ramiona chłopaka. Wokół oczu Holly zbierał się pył.

Policzki Mierzwy się nadęły. Minimalnie otworzył usta, by coś powiedzieć:

- Dobra - odezwał się piskliwym od ciśnienia głosem. - Zbiornik pełen.

Objął Artemisa i Holly swymi krzepkimi ramionami, po czym wypuścił całe zebrane powietrze. W rezultacie powstał sprężony strumień, który posłał całą grupę w głąb tunelu. Podróż była krótka, gwałtowna i dezorientująca. Artemisowi wypchnęło oddech z płuc, palce rozciągnęły się tak, że niemal trzasnęły, ale nie wypuścił Holly.

Nie mógł pozwolić jej zginąć.

Pod wpływem podmuchu nieszczesny goryl przeokołkował, szarpnięty w tył tunelu, jakby trzymała go niewidzialna gumka. Krzyknął w locie, wbijając palce w ścianę korytarza.

Artemis, Holly i Mierzwa wypadli z wylotu tunelu, turlając się i podskakując w płataninie kończyn i tu-

łowi. W tym pędzie gwiazdy na niebie zmieniły się w smugi, a księżyc stał się rozmażaną plamą żółtego światła.

Zatrzymali się na starym murze z czasów Wielkiego Głodu, który rozsypał się pod wpływem uderzenia trzech ciał.

- Ten mur stał tu przez ponad sto pięćdziesiąt lat - wykrztusił Artemis. - A potem pojawiliśmy się my.

Leżał na plecach z poczuciem porażki. Jego matka umrze, a Holly wkrótce go znienawidzi, kiedy odkryje prawdę.

Wszystko stracone. Nie mam pojęcia, co robić.

I wtedy wzrok chłopca skupił się na jednym z okrytych złą sławą słupów wysokiego napięcia w Rathdown - a konkretnie na postaciach, które wspinały się po drabince serwisowej.

Lemur uciekł, pomyślał Artemis, a teraz wspina się jak najwyżej.

Ulga. Wciąż jeszcze była szansa.

Żeby uratować sytuację, potrzebuję pełnego zestawu obserwacyjnego i szturmowego SKR. Może Numer Jeden mógłby mi go wysłać.

Wyplątawszy się z towarzyszy, Artemis uznał, że miejsce pod podstawą słupa byłoby odpowiednio bezpieczne. Ściągnął z góry pozostałe kamienie, wcisnął palce pod ostatni gład i szarpnął. Ten ustąpił łatwo, odsłaniając jedynie wilgotną ziemię pełną robaków. Żadnej przesyłki z przyszłości. Nie wiedzieć czemu, ta sztuczka działała tylko raz.

Ach tak. Żadnej pomocy. Muszę się zadowolić tym, co mam pod ręką.

Artemis wrócił do miejsca, w którym leżeli Holly i Mierzwa. Oboje pojękiwali.

- Chyba brzuch mi pękł, jak z siebie wydmuchiwałem to całe powietrze - powiedział krasnal. - Za dużo było strachu.

Artemis zmarszczył nos.

- Nic ci nie będzie?

- Daj mi minutkę, a odzyskam tyle sił, żeby unieść to całe złoto, co mi je obiecałeś.

Holly była zamoczona. Trzepotała powiekami, próbując się otrząsnąć. Jej ramiona podrygiwały jak ryby wyrzucone na brzeg. Artemis szybko sprawdził jej puls i temperaturę. Miała lekką gorączkę, ale serce biło równo. Wróżka wracała do przytomności, choć potrzebowała jeszcze kilku minut, zanim odzyskała panowanie nad ciałem i umysłem.

Muszę sobie poradzić sam, zrozumiał chłopak. Bez Holly, bez Butlera.

Tylko Artemis kontra Artemis.

No i może jeszcze omnivytrych, pomyślał, sięgając do kieszeni Holly.

Słupy wysokiego napięcia w Rathdown od czasu ich wzniesienia kilkakrotnie pojawiały się na pierwszych stronach irlandzkich gazet. Ekolodzy żarliwie protestowali, twierdząc, że budowa gigantycznych słupów niszczyła piękną dolinę, nie wspominając już o szkodliwym wpływie, jaki nieizolowane linie elektroenerge-

tyczne mogły wywierać na zdrowie ludzi i zwierząt żyjących pod nimi. Krajowa Rada Energii Elektrycznej odpierała zarzuty, zapewniając, że linie biegną zbyt wysoko, żeby wywoływać jakiegokolwiek szkodliwe skutki, natomiast budowa niższych słupów, które omięłyby dolinę, zniszczyłaby dziesięciokrotnie więcej ziemi.

Tak więc sześć tych metalowych olbrzymów łączyło oba końce doliny Rathdown, w najwyższym punkcie osiągając wysokość stu metrów. Podstawy słupów czasami otaczali protestujący – tak często, że przedsiębiorstwo energetyczne zaczęło prowadzić konserwację linii wysokiego napięcia z helikoptera.

Tej nocy, kiedy Artemis pędził przez skąpaną w księżycowym świetle polanę, wyrzucając w powietrze diamentowe krople rosy, wokół słupów nie było protestujących, zatknęli jednak swoje tablice jak flagi na księżycu. Artemis biegł slalomem przez ten tor przeszkód, jednocześnie wyciągając szyję, aby śledzić postaci w górze.

Lemur znajdował się teraz na przewodzie. Jego sylwetka na tle księżyca z łatwością przemykała po metalowym kablu, podczas gdy młodszy Artemis i Butler utknęli na niewielkiej platformie u podstawy słupa, nie mogąc ruszyć wyżej.

Wreszcie, pomyślał Artemis. W końcu jakiś uśmiech losu, a nawet dwa.

Pierwszy – ponieważ nagle pojawiła się szansa na przechwycenie lemura. Drugi zaś polegał na tym, że podczas gdy młodszy rywal chłopaka postanowił go-

nić sifakę, wspinając się na ten słup co zwierzę, on sam mógł wybrać kolejną konstrukcję, która – tak się złożyło – była słupem serwisowym.

Artemis dotarł do podstawy, którą zabezpieczała klatka. Wystarczyło jedno dźgnięcie omniwytrychem, by ciężka kłódka natychmiast ustąpiła, podobnie zresztą jak zamek stalowej szafki ze sprzętem. Wewnątrz znajdowały się różne narzędzia, krótkofalówki oraz kombinezon Faradaya. Artemis wciągnął na siebie ciężki skafander, wepchnął palce w dołączone rękawice, wsunął długie włosy do kaptura. Ognioodporny kombinezon ze stalowych nici musiał go otulać całego, aby działać jak ochronna klatka Faradaya. W przeciwnym razie z przestępczego geniusza zostałaby tylko kupka popiołu.

Znowu fart: wzdłuż pylonu biegła winda. Była zamknięta na szyfrowy zamek. Jednak wobec omniwytrychu wszystkie zamki ustępują, szyfr zaś na niewiele się zdaje, kiedy wystarczy odkręcić tablicę kontrolną i ręcznie uruchomić blok.

Artemis mocno trzymał się barierki, kiedy malutka winda z dygotem i piskiem ruszyła w nocne niebo. W dole rozciągała się dolina. Nad wzgórzami wiał zachodni wiatr, który wyciągnął mu z kaptura kosmyk włosów. Artemis spojrział na północ, przez chwilę miał nierealną wizję, że dostrzega stąd światła Dworu Fowlów.

Tam jest matka, pomyślał. Chora i teraz, i w przyszłości. Może powinienem porozmawiać z młodszym mną. Wyjaśnić sytuację.

To była jeszcze bardziej nierealna myśl niż poprzednia. Nie miał złudzeń, gdyż dobrze pamiętał, jaki był jako dziesięciolatek. Nie ufał absolutnie nikomu z wyjątkiem siebie samego. Ani rodzicom, ani nawet Butlerowi. Na pierwszą wzmiankę o podróży w czasie kazałby ochroniarzowi najpierw odpalić strzałkę, a dopiero potem zadawać pytania. Bardzo dużo pytań przez długi czas. Teraz zaś brakowało czasu na wyjaśnienia i dyskusje. Bitwę należało zatem wygrać sprytem i przebiegłością.

Winda dotarła do ograniczników na szczycie słupa. Do wysokiej furtki przymocowano nitami tabliczkę z trupią czaszką i puszczelami. Nawet gdyby Artemis nie był geniuszem, ciężko byłoby opacznie zrozumieć ten znak, ale na wypadek, gdyby na słup zdołał się wspiąć kompletny idiota, obok znajdowała się tabliczka, na której komikсового człowieczka porażał prąd z komikсового słupa. Było dokładnie widać jego szkielet, zupełnie jak na rentgenie.

Wygląda na to, że elektryczność jest niebezpieczna, mógłby skomentować Artemis, gdyby towarzyszył mu Butler.

Furtka była zamknięta na kolejny zamek, który sprawił Artemisowi mniej więcej tyle kłopotu co dwa poprzednie. Po drugiej stronie znajdowała się mała platforma pokryta metalową siatką. Bezpośrednio pod nią buczały dwie linie wysokiego napięcia.

Przez te linie biegnie pół miliona woltów, pomyślał Artemis. *Mam nadzieję, że w kombinezonie nie ma pęknięć.*

Przykucnął nisko i spojrział na przewód. Lemurtrzymał się w połowie drogi pomiędzy słupami. Skrzeczał sam do siebie, zupełnie jakby rozważał możliwości. Na swoje szczęście dotykał tylko jednego sznura, więc przez jego ciało nie płynął prąd. Gdyby dotknął drugiej linii choćby paluszkami, wstrząs wyrzuciłby go trzydzieści metrów w górę i zwierzę byłoby całkiem martwe, nim przestałoby wirować w powietrzu.

Z drugiego słupa młodszy Artemis wykrzywił się w stronę lemura, jednocześnie starając się zwabić go torebką papki.

Nie mam innego wyjścia, pomyślał starszy, muszę wyjść na przewody i sam zabrać zwierzę.

Kombinezon przystosowany był do poruszania się po przewodach. Wokół pasa przewiązано linkę asekuracyjną, zaś w kieszeni na udzie był odgromnik. Pod platformą znajdowały się niewielkie sanki na izolowanych płozach. Inżynierowie wykorzystywali je do poruszania się pomiędzy słupami za pomocą ręcznego napędu.

Intelekt wiele tu nie pomoże, zrozumiał Artemis. Teraz potrzebny mi zmysł równowagi.

Jęknął. To nie była jego mocna strona.

Wziął głęboki wdech, nisko przykucnął i wyciągnął z kieszeni odgromnik. Gdy tylko odsunął go od materiału, z linii wysokiego napięcia wystrzeliły strumienie białych iskier, łącząc się z czubkiem piorunochronu. Strumień buczał i syczał jak neonowy wąż.

Wyrównujesz napięcie, nic więcej. Prąd nie może ci nic zrobić.

Może i nie, ale Artemis czuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Czy to z nerwów, czy może parę woltów któreś się przedostało?

Nie gadaj głupot. Gdyby w kombinezonie była dziura, to przedostałyby się wszystkie wolty, a nie tylko parę.

Artemis z grubsza znał technikę chodzenia po przewodach, ponieważ państwowa telewizja wyemitowała kiedyś specjalny reportaż o śmiałkach, którzy ryzykowali życiem, by światła Dublina nie gasły. W zasadzie trudno to nazwać chodzeniem – to raczej pełzanie. Do mocno naprężonych przewodów konserwatorzy przypinają linki asekuracyjne, kładą się na sankach, po czym kręcą korbą, póki nie znajdą się w żądanym punkcie.

Proste. W teorii. Dla zawodowca spokojnym rankiem.

Mniej proste dla amatora w środku nocy, kiedy jedyne oświetlenie zapewniają gwiazdy oraz luna pobliskiego Dublina.

Artemis schował odgromnik, po czym ostrożnie przypiął się do jednego z przewodów.

Wstrzymał oddech, jak gdyby to mogło cokolwiek zmienić, a następnie położył okryte rękawicami dłonie na metalowych sankach.

Jeszcze żyję. Dobry początek.

Chłopiec przesuwiał się powoli, czując pod grubymi rękawicami ciepło metalu. W końcu leżał na płask na sankach, a przed sobą miał dwuręczną korbę. Manewr był bardzo delikatny i niemożliwy do wykonania, gdyby kable nie były powiązane w regularnych

odstępach. Chłopiec zaczął obracać korbą i niemal natychmiast, przesuając swój ciężar ciała, poczuł nieśmiałe napięcie mięśni.

Siłownia. Miałeś rację, Butler. Będę podnosił ciężary, cokolwiek, żebym tylko zszedł stąd z lemurzem w ramionach.

Przesuwał się naprzód, czując, jak płozy szorują o szorstki metal przewodów. Od ich intensywnego buczenia bolały go zęby, po wygiętym krzyżu przebiegały dreszcze. Wiatr nie był silny, lecz mimo to istniało niebezpieczeństwo, że strąci go z tej wysokości, a ziemia wydawała się w tej chwili inną planetą. Odległą i nieprzyjazną.

Po kolejnych dziesięciu metrach bolały go już ramiona. Został również zauważony przez przeciwników.

Z drugiego słupa popłynął głos:

- Radzę, żebyś został tam, gdzie jesteś, młody człowieku. Jeśli w tym kombinezonie masz choćby najmniejszą dziurę, to wystarczy, że się poślizgniesz, a przewody rozpuszczą ci skórę i stopią kości.

Artemis się skrzywił. „Młody człowieku”? Czy on naprawdę był kiedyś taki wstrętny? Taki wyniosły?

- Umrzesz w przeciągu niecałej sekundy - ciągnął Artemis-dziesięciolatek. - Ale to wystarczy, żebyś zdążył przeżyć męczarnie, nie sądzisz? I wszystko to na nic, bo lemur naturalnie powróci po ten smakołyk.

Tak, oprócz tego, że wstrętny i wyniosły, był również okropnie zadowolony z siebie.

Postanowił nie odpowiadać, koncentrując całą energię na przeżyciu i zwabieniu sifaki. Ze swych po-

każnych zasobów wiedzy na praktycznie każdy temat wyłowił fakt, że na małe ssaki z rodziny małp kojąco działa ciche mruczenie. Niech żyje Animal Planet.

Artemis zaczął więc mruścić, ku rozbawieniu jego młodszego odpowiednika.

- Butler, posłuchaj. Tam na kablach jest jakiś kot. I to chyba duży. Może powinieneś mu rzucić rybę.

Jednak w szyderczym tonie pobrzmiwało napięcie. Młody Artemis dokładnie wiedział, co się dzieje.

Starszy mruzczał dalej i najwyraźniej to działało; widmowa sifaka zrobiła kilka ostrożnych kroków w jego stronę. W czarnych paciorkach jej oczu błyszczało światło gwiazd, a może również ciekawość.

Holly byłaby ze mnie dumna. Rozmawiam ze zwierzęciem.

Wciąż mrużąc, Artemis zrywał się na myśl o tym, jak niedorzeczna stała się cała sytuacja. Typowy Fowlowski melodramat. Dwie strony konfliktu polują na lemura na najwyższej położonych liniach wysokiego napięcia w Irlandii.

Spojrzał ponad przewodami w stronę drugiego słupa. Stał tam Butler, a poły marynarki łopotały mu wokół ud. Mężczyzna pochylał się pod wiatr, a jego uporczywe spojrzenie zdawało się przeszywać ciemność i skupiać na starszym Artemisie niczym laser.

Tęsknię za moim ochroniarzem, pomyślał Artemis.

Lemur zbliżał się, wabiony mrużeniem, a może także zmylony stalowoszarym kombinezonem.

Zgadza się, mały. Jestem drugim lemurem.

Ramiona Artemisa trzęsły się od wysiłku, jakim było obracanie korby pod tak niewygodnym kątem. Każdy miesiąc napinał się do granic wytrzymałości, włącznie z kilkoma, których chłopak nigdy wcześniej nie używał. Od balansowania na wysokości kręciło mu się w głowie.

Do tego wszystkiego muszę jeszcze naśladować zwierzęta.

Został tylko metr. Taka była odległość między Artemisem a lemurem. Z drugiej strony nie dochodziły już żadne drwiny. Chłopak zerknął w tamtym kierunku i zobaczył, że jego młodszy odpowiednik ma zamknięte oczy i głęboko oddycha. Próbuje obmyślić plan.

Lemur wskoczył na sanki i niepewnie dotknął dłoni Artemisa. Kontakt. Chłopiec leżał nieruchomo jak kamień i tylko mruczał uspokajająco.

Tak jest, malutki. Wejź mi na ramię.

Artemis spojrział w oczy lemura i chyba po raz pierwszy zrozumiał, że to zwierzę też ma uczucia. W tych oczach był strach, ale także psotna pewność siebie.

Jak ja cię mogłem sprzedać tym szaleńcom? – zastanawiał się chłopiec.

Nagle lemur podjął decyzję i wdrapał się na ramię Artemisa. Usadowił się tam wygodnie, podczas gdy młody Irlandczyk zaczął go transportować na słup serwisowy.

Po drodze nie spuszczał oka ze swojego młodszego odpowiednika. On nigdy by tak po prostu nie pogodził się z porażką. Żaden z nich. Nagle dziesięcioletni

Artemis gwałtownie otworzył powieki i spojrzął prosto w oczy przeciwnika.

- Strzel do zwierzęcia - powiedział chłodno.

Butler był zaskoczony.

- Mam strzelać do małpy?

- To jest... Nieważne. Po prostu strzelaj. Tego człowieka chroni kombinezon, ale lemur to łatwy cel.

- Ale przecież spadnie...

- Jeśli zginie, to zginie. Butler, nie pozwolę sobie pokrzyżować szyków. Jeśli ja nie mogę mieć tego lemura, to nikt go nie dostanie.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Zabijanie zwierząt nie należało do jego obowiązków, jednak z doświadczenia wiedział, że z młodym paniczem nie warto dyskutować. Zresztą kiedy się tkwiło przycupniętym na słupie wysokiego napięcia, było trochę za późno na protesty.

- Butler, strzelaj, gdy tylko będziesz gotów. Przecież cel się oddala.

Starszy Artemis ledwie wierzył w to, co słyszy. Butler wyciągnął pistolet i właśnie przechodził przez barierkę, żeby mieć lepszy kąt strzału.

Miał zamiar się nie odzywać, ponieważ wszelki kontakt z młodszym sobą mógł mieć poważne konsekwencje w przyszłości, jednak słowa same mu się wyrwały, zanim zdołał je powstrzymać:

- Cofnijcie się. Nie wyobrażacie sobie, z czym macie do czynienia.

Cóż za ironia.

- Och, odezwał się! - krzyknął młody Artemis z przeciwległej strony otchłani. - Jakie to szczęście, że się rozumiemy. Zatem posłuchaj mnie, nieznajomy. Albo to ja odejdę z sifaką, albo ona zginie. Nie miej żadnych złudzeń.

- Nie możesz tego zrobić. Stawka jest zbyt duża.

- Mogę, a nawet muszę. Nie mam wyboru. A teraz przyślij do mnie to zwierzę albo Butler będzie strzelał.

Podczas całej rozmowy lemur siedział przycupnięty na głowie czternastoletniego Artemisa i drapał w szew kaptura.

Dwaj chłopcy, którzy byli jednym chłopcem, przez długą, pełną napięcia chwilę patrzyli sobie w oczy.

Byłbym gotów to zrobić, pomyślał starszy Artemis, zszokowany okrutną determinacją, którą dostrzegł w swych własnych niebieskich oczach.

Dlatego jedną ręką ostrożnie sięgnął po lemura i zdjął go sobie z głowy.

- Musisz wracać - powiedział łagodnie. - Idź po pyszny kasek. Na twoim miejscu trzymałbym się tego dłużego człowieka. Ten mały nie jest zbyt miły.

Sifaka wyprostowała łapkę i pociągnęła Artemisa za nos, tak jak mógłby to zrobić Beckett, a potem odwróciła się i podreptała po sznurze w stronę Butlera. Poniuchwała w powietrzu i rozdęła nozdrza, gdy poczuła słodki zapach Artemisowej torebki z pysznościami.

Kilka sekund później siedziała zwinięta w zgięciu ramienia młodszego Artemisa, z zadowoleniem mo-

cząc długie palce w soku. Twarz chłopca promieniała triumfem.

- No dobrze - powiedział młodszy Artemis. - Sądzę, że będzie najlepiej, jeśli, zostaniesz tam, gdzie jesteś, dopóki nie odjedziemy. Później radzę się stąd zmywać. Masz szczęście, że nie kazałem Butlerowi cię uśpić. Zapamiętaj to, co w tej chwili czujesz. Gorycz kompletnej porażki i beznadziei. Jeśli w przyszłości kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy stanąć mi na drodze, przypomnij sobie to uczucie, a wtedy może się jeszcze dobrze zastanowisz.

Starszy Artemis zmuszony był patrzeć, jak Butler wypycha lemura do marynarskiego worka, po czym ochroniarz oraz chłopiec zaczynają schodzić po drabinie. Kilka minut później światła reflektorów Bentleya rozcięły ciemność. Samochód opuścił Rathdown Park i wjechał na autostradę. Z pewnością udał się wprost na lotnisko.

Artemis uniósł ramiona i ścisnął uchwyty korby. Jeszcze nie został pokonany. Nic z tych rzeczy. Zamierzał ponownie zmierzyć się z dziesięcioletnim sobą, i to jak najprędzej. Szydercza przemowa chłopca tylko podsyciła tę determinację.

„Przypomnij sobie to uczucie” - pomyślał Artemis. Nienawidzę się. Naprawdę siebie nienawidzę.



KULKA FLEGMY

Kiedy Artemis zszedł ze słupa, Holly nie było. Zostawił ją przy wylocie tunelu, ale teraz na tym miejscu widział tylko błoto i odciski stóp.

Ślady, pomyślał. I teraz pewnie muszę wytropić Holly. Naprawdę powinienem wreszcie przeczytać „Ostatniego Mobikanina”.

- Daj sobie spokój – rozległ się głos od strony rowu.
- Fałszywy trop na wypadek, gdyby ten duży człowiek zainteresował się naszą przyjaciółką z SKR.

- Dobry pomysł – przyznał Artemis, mrużąc oczy, żeby zobaczyć coś przez zarośla. Od nasypu odłączył się kudłaty cień, który po chwili zmienił się w Mierzwę Grzebaczka. - Ale po co sobie zawracałeś głowę? Przecież SKR to twój wróg.

Mierzwa wycelował w niego sękaty, ubłocony pałuch.

- Ty jesteś moim wrogiem, człowieku. Wrogiem całej planety.

- A jednak jesteś gotów mi pomagać w zamian za złoto.

- Za oszałamiającą ilość złota - sprecyzował Mierzwa. - I może jeszcze za piezzonego kurczaka. Z sosem barbecue. I dużą pepsi. I może jeszcze trochę kurczaka.

- Głodny?

- Zawsze. Nie samą glebą żyje krasnal.

Artemis nie wiedział, czy zachichotać, czy jęknąć. Mierzwa zawsze miał kłopot ze zrozumieniem powagi sytuacji, a może tylko lubił sprawiać takie wrażenie.

- Gdzie Holly?

Krasnal wskazał skinięciem kopczyk przypominający kształtem mogiłę.

- Zakopałem panią kapitan. Dość głośno pojękiwała. „Arty” to i „Arty” tamto, przeplatane paroma „matkami”.

Zakopałeś? Holly ma klaustrofobię.

Artemis padł na kolana i zaczął rozgarniać ziemię gołymi rękami. Mierzwa dał mu to robić jakąś minutę, po czym westchnął dramatycznie.

- Pozwól, że ja się tym zajmę, Błotniaku. Tobie to zajmie całą noc.

Zbliżył się niespiesznie i od niechcienia wsunął rękę w kopiec. Przygryzł wargę, szukając jakiegoś konkretnego miejsca.

- O, proszę - sapnął, po czym wyszarpnął krótką gałąź.

Kopiec zatrząsł się i zaraz potem rozsypał na drobne kupki kamyków i gliny. Pod spodem leżała Holly, cała i zdrowa.

- To skomplikowana struktura o nazwie Tra-La - wyjaśnił Mierzwa, wymachując gałązką.

- To znaczy?

- To znaczy tra-la-la, nie widzisz mnie - odparł krasnal, po czym klepnął się w kolano i zarechotał.

Artemis zmarszczył brwi. Chwycił Holly za ramiona i potrząsnął delikatnie.

- Holly, słyszysz mnie?

Holly Nieduża otworzyła zapuchnięte oczy, przewróciła nimi kilka razy, po czym wreszcie skupiła wzrok.

- Artemisie, ja... O bogowie.

- Wszystko w porządku. Nie mam lemura... no, to znaczy właściwie mam. Ten drugi ja. Ale nie martw się, wiem, dokąd jadę.

Holly powiodła delikatnymi palcami po swoich policzkach.

- Chciałam powiedzieć: O bogowie, ja cię chyba pocałowałam.

Artemisowi dudniło w głowie. Różnokolorowe oczy Holly go hipnotyzowały. Jedno wciąż było niebieskie, mimo że w tunelu czasu jej ciało uległo odmłodzeniu. Kolejny paradoks. Jednak choć chłopiec czuł się zahipnotyzowany, a nawet lekko oszłamiony, to wiedział, że nie jest poddawany mesmeryzacji. W grę nie wchodziła żadna wrózkowa magia.

Artemis spojrział w elfie oczy i wiedział, że ta młodsza, w jakiś sposób bardziej wrażliwa Holly w tej szczególnej gmatwaninie czasu i przestrzeni czuje to samo co on.

Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. A może właśnie z tego powodu.

Delikatną chwilę zniszczyło pewne wspomnienie, zupełnie jak kamień rzucony w środek pajęczyny:

Oklamałem ją.

Pod wpływem tej myśli Artemis aż się zachwiał.

Holly wierzy, że zaraziła moją matkę. Zaszantażowałem ją.

W tej właśnie chwili zrozumiał, że wobec tego brutalnego faktu nie ma żadnego ratunku. Jeśli wyjawí prawdę, Holly go znienawidzi. Jeśli nie wyjawí, Artemis znienawidzi sam siebie.

Musi być coś, co mógłbym zrobić.

Nic nie przychodziło mu do głowy.

Muszę pomyśleć.

Artemis wziął Holly za rękę i pod łokieć, by pomóc jej wstać i wydostać się z tej dziury, podobnej do płytkiego grobu.

- Jestem odrodzona - zażartowała, po czym wymierzyła Mierzwie kuksańca w ramię.

- Au. Dlaczegoż, o panno, dręczysz mię?

- Nie cytuj mi tu Gerda Flambough, Mierzwo Grzebaczku. Nie było potrzeby mnie zakopywać. Wystarczyłoby przykryć mi usta dużym liściem.

Mierzwa roztarł ramię.

- Liść byłby pozbawiony tego artyzmu. Poza tym, czy ja wyglądam na faceta od paprotek? Jestem krasnalem, a krasnale są od błota.

Artemis z zadowoleniem słuchał tego przekomarzenia. Zyskał chwilę, żeby zebrać myśli.

Zapomnij o tym młodzieńczym metliku emocjonalnym względem Holly. Pamiętaj, że matka gaśnie w swoim łóżku. Zostały niecałe trzy dni.

- No dobra, drużyno - odezwał się z wymuszoną jowialnością. - A teraz żwawo, jak powiedziałby mój stary przyjaciel. Musimy złapać lemura.

- A moje złoto? - spytał Mierzwa.

- Powiem najprościej, jak się da: nie ma lemura, nie ma złota.

Krasnal ośmioma palcami zabębnił po swoich wargach. Włosy brody zafalowały jak czułki anemonów. Myślał.

- Ile to jest „oszałamiająca ilość” w przeliczeniu na wiadra?

- A ile masz wiader?

Mierzwa uznał to za poważne pytanie.

- Mam dużo. Większość jest czymś wypełniona, ale chyba mógłbym je opróżnić.

Artemis prawie zazgrzytał zębami.

- To było pytanie retoryczne. Gwarantuję ci dużo wiader. Ile tylko będziesz chciał.

- Jeśli chcesz, żebym zrobił choć krok dalej na tej małej dróżce, to muszę dostać jakiś zadatek. Jakiś dowód dobrej woli.

Artemis poklepał się po pustych kieszeniach. Nic nie miał.

Holly poprawiła srebrną perukę.

- Mam coś dla ciebie, Mierzwo Grzebaczku. Coś lepszego niż oszałamiająca ilość złota. Sześć cyfr, które ci wyjawię, kiedy dotrzemy na miejsce.

- Na jakie miejsce? - spytał Mierzwa, który podejrzewał, że Holly koloryzuje.

- Magazynu sprzętu SKR w Tarze.

Oczy Mierzwy zaświeciły się na myśl o podniebnych nartach, bańkach nurkowych, kostkach laserowych i próżniowcach tłuszczowych. Istna żyła złota. Od lat próbował się włamać do jakiegoś magazynu SKR.

- I będę mógł wziąć, co chcę?

- Co tylko włożysz na wózek poduszkowy. Jeden.

Mierzwa wypluł połyskującą kulkę flegmy na dłoń.

- No, to graba - powiedział.

Artemis i Holly spojrzeli po sobie.

- To twój magazyn - powiedział chłopak, wpychając ręce do kieszeni.

- To twoja misja - skontrowała wróżka.

- Nie znam kodu.

I wtedy Holly wyciągnęła asa:

- Jesteśmy tutaj ze względu na twoją matkę.

Artemis uśmiechnął się smętnie.

- Kapitan Holly Nieduża, pani się robi gorsza ode mnie - powiedział, po czym przypieczerował umowę mokrym uściskiem dłoni.



ŻABA KSIĘCIEM

Odrzutowiec Fowlów, nad Belgią

Młodszy Artemis uruchomił wideokonferencję na swoim powerbooku. Dzwonił do prastarego marokańskiego miasta Fez. Czekaając na połączenie, w myślach złościł się, że w ogóle musiał się wybrać w tę międzykontynentalną podróż. Nawet Casablanca byłaby wygodniejszym rozwiązaniem. W Maroku jest wystarczająco gorąco, nawet jeśli nie trzeba jechać przez cały kraj samochodem do Fezu.

Na ekranie pojawiło się okno, w którym ledwie mieściła się głowa doktora Damona Kronskego, jednego z najbardziej znienawidzonych ludzi na świecie, w pewnych kręgach darzonego natomiast czią. Damon Kronski był obecnym prezesem organizacji likwidacjonistów. Choć, jak sam powiedział w najbardziej niesławnym wywiadzie: „Likwidacjoniści nie są zwykłą organizacją. Jesteśmy religią”. To stwierdzenie

nie przysporzyło mu sympatii pokojowych kościołów całego świata.

Wywiad ten krążył miesiącami po internetowych serwisach informacyjnych. Cytowano go za każdym razem, kiedy likwidacjoniści trafiali na pierwsze strony gazet. Artemis przeczytał go tego ranka i poczuł obrzydzenie wobec człowieka, z którym miał prowadzić interesy.

Pływam z rekinami, uświadomił sobie. I jestem gotów zostać jednym z nich.

Damon Kronski był ogromnym mężczyzną o głowie, która wyrastała wprost z ramion, z całkowitym pominięciem szyi. Miał białą, półprzezroczystą skórę typową dla osób rudowłosych, a jego twarz usiana była drobnymi piegami. Fioletowe okulary przeciwsłoneczne przytrzymywały fałdy brwi i policzków. Uśmiech mężczyzny był szeroki, promienny i nieszczerzy.

- Mały Aa-temis Fowl - powiedział z nowoorleańskim zaśpiewem. - Znalazłeś już tatusia?

Artemis ścisnął podłokietniki, tak że na skórze fotela zostały ślady, ale uśmiechał się równie promiennie i fałszywie jak Kronski.

- Nie. Jeszcze nie.

- Oj, co za szkoda. Jeśli wujek Damon mógłby ja-koś pomóc, daj mi tylko znać.

Artemis zastanawiał się, czy na pozę życzliwego wujka nabrałby się pijany półgłówek. Może nie taki był cel.

- Dziękuję za propozycję. Za kilka godzin być może będziemy mogli pomóc sobie nawzajem.

Kronski z radością klasnął w dłonie.

- Zlokalizowałeś moją sifakę jedwabną.

- Tak. Nie lada okaz. Trzyletni samiec. Ponad metr długości od głowy do ogona. Bez dwóch zdań wart stu tysięcy.

Mężczyzna udał zaskoczenie.

- Sto? Naprawdę umawialiśmy się na sto tysięcy euro?

Spojrzenie Artemisa było twarde jak stal.

- Wie pan, że tak, doktorze. Plus koszty. Jak panu wiadomo, paliwo do silnika odrzutowego nie jest tanie. Chciałbym usłyszeć potwierdzenie tej umowy, albo zawrócę samolot.

Kronski nachylił się do kamery. Jego twarz wypełniła ekran jak nadęty balon.

- Ogólnie potrafisz dobrze oceniać ludzkie charaktery, Aa-temisie - powiedział. - Wiem, do czego są zdolni ludzie. Ale ty... Nie mam pojęcia, co mógłbyś zrobić. To chyba dlatego, że jeszcze nie osiągnąłeś swojej granicy. - Kronski odchylił się w fotelu. Pod jego ciężarem skrzypnęła skóra. - Zatem dobrze. Sto tysięcy euro, tak jak ustaliliśmy. Ale jedno ostrzeżenie...

- Ta-ak? - odparł Artemis, po nowoorleańsku rozciągając to słowo na dwie sylaby, żeby zademonstrować, że nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Jeśli stracisz mojego małego, jedwabnego lemurka, wtedy to z moimi kosztami powinieneś się liczyć. Proces jest już przygotowany, a moi ludzie nie lubią rozczarowań.

Słowo „koszty” brzmiało w jego ustach o wiele bardziej złowieszczo.

- Proszę się nie martwić - warknął Artemis. - Dostanie pan swojego lemura. Byleby pan miał dla mnie pieniądze.

Kronski szeroko rozpostarł ramiona.

- Mam tu istne rzeki złota, Aa-temisie. Góry diamentów. Brakuje mi tylko sifaki jedwabnej. Więc spiesz tu do mnie, chłopcze, i uczynь moje życie spełnionym.

Po tych słowach rozłączył się, sekundę wcześniej, zanim Artemis zdążył kliknąć na ikonę zakończenia rozmowy.

Z punktu widzenia psychologii daje to przewagę Kronskiemu, pomyślał Artemis. Muszę się nauczyć szybciej operować myszką.

Zamknął pokrywę powerbooka i oparł się w fotelu. Za oknem przez dolne warstwy chmur prażyło słońce, a smugi odrzutowców tworzyły na niebie zygzaki.

Wciąż jesteśmy w uczęszczanej przestrzeni powietrznej. Już niedługo. Kiedy znajdziemy się nad Afryką, smugi kondensacyjne znacznie się przerzedzą. Potrzebuję kilku godzin snu. Jutro czeka mnie długi i obrzydliwy dzień.

Zmarszczył brwi. Tak, obrzydliwy, ale konieczny.

Artemis wcisnęła przycisk odchylający oparcie i zamknęła oczy. Większość chłopców w jego wieku wymieniała się kartami z piłkarzami albo zdzierła kciuki na konsolach do gier. On zaś siedział w samolocie sześć tysięcy metrów ponad Europą i wspólnie

z obłąkanym likwidacjonistą planował unicestwienie gatunku.

Może jestem na to wszystko zbyt młody.

Wiek był nieistotny. Bez tych starań Artemis Fowl senior na zawsze zaginałby w Rosji, a do tego po prostu nie można było dopuścić.

W interkombie rozległ się głos Butlera:

- Przed nami spokojnie. Kiedy wlecimy nad Morze Śródziemne, na godzinę włączę automatycznego pilota i trochę się odprężę...

Artemis wbił wzrok w głośnik. Wyczuwał, że Butler ma do powiedzenia coś więcej. Przez moment dobiegał stamtąd tylko szum oraz brzęczenie urządzeń, a potem:

- Artemisie, czy dzisiaj, kiedy kazałeś mi strzelać do lemura, blefowałeś? Blefowałeś, prawda?

- To nie był blef - odparł chłopiec stanowczym tonem. - Zrobię wszystko, co okaże się konieczne.

Port wahadłowców w Tarze, Irlandia

Dostęp do portu wahadłowców w Tarze utrudniało kilka par stalowych drzwi, różne skanery i kody, odporne na majstrowanie biozamki oraz trzystuszećdziesięciostopniowa sieć monitoringu przy wejściu, o której łatwo się mówi, ale ciężko instaluje. Oczywiście wszystko to można ominąć, jeśli zna się tajemne wejście.

- Skąd wiedzieliście, że znam tajne wejście? - naburmuszył się Mierzwa.

W odpowiedzi Artemis i Holly tylko na niego spojrzeli, jakby był idiotą, i poczekali, aż do niego dotrze.

- Głupie podróże w czasie - mruknął krasnal. - Wygląda na to, że wszystko wam o sobie powiedziałem.

- Powiesz - potwierdziła Holly. - I nie rozumiem, czym się tak denerwujesz. I tak nie mogę nikomu tego zgłosić.

- To prawda - przyznał Mierzwa. - No i w grę wchodzi ten cały cudowny łup.

Cała trójka siedziała w skradzionym minicooperze przed ogrodzeniem farmy McGraneya, pod którą znajdował się port wahadłowców w Tarze. Dziesięć tysięcy metrów sześciennych terminalu skrywanych przez gospodarstwo mleczarskie. Pierwsze promienie poranka rozświetlały mrok. Po łące przesuwaly się niezgrabne sylwetki pasących się krów. Za rok czy dwa Tara stanie się tętniącym życiem ośrodkiem wypoczynkowym dla wrózek, ale chwilowo cały ruch turystyczny wstrzymmano ze względu na epidemię czarotropii.

Mierzwa zmrużył oczy i przez tylną szybę auta zerknął na najbliższe zwierzę.

- Wiecie co? Coś bym przekąsił. Może nie zjadłbym całej krowy, ale solidnie nadgryzł.

- Mierzwa Grzebaczek głodny. Niech ktoś powiadomi prasę - skomentował oschle Artemis.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i wyszedł na trawiaste pobocze. Delikatna mgła osiadła mu na twa-

rzy, a czysty zapach wiejskiego powietrza działał na jego organizm jak środek pobudzający.

- Musimy działać - powiedział. - Nie mam wątpliwości, że lemur jest już sześć tysięcy metrów nad ziemią.

- To naprawdę zwinny zwierz - zachichotał krasnal. Przelazł przez przedni fotel i wytoczył się na pobocze. - Niezła glina - stwierdził, polizawszy ziemię. - Smakuje zyskiem.

Holly wysiadła od strony kierowcy i kopnęła Mierzwę w zadek.

- Nie będzie żadnego zysku, jeśli nie dostaniemy się do terminalu niezauważeni.

Krasnal podźwignął się do pionu.

- Podobno jesteśmy przyjaciółmi. Uważaj z tymi kuksańcami i kopniakami. Zawsze jesteś taka agresywna?

- Dasz radę czy nie?

- Oczywiście, że dam. Przecież obiecywałem, prawda? Od lat krążę w okolicach tego terminalu. Odkąd mój kuzyn...

Artemis przerwał tę rozmowę:

- Odkąd twój kuzyn, Nord, jeśli się nie myłę, został aresztowany pod zarzutem zanieczyszczenia, a ty go wyciągnąłeś. Wiemy. Wszystko o tobie wiemy. A teraz zajmijmy się realizacją planu.

Mierzwa odwrócił się tyłem do Artemisa i od niechcienia rozpiął klapę na zadku. To jedna z największych obelg w arsenale krasnala. Gorsza była tylko tak

zwana tuba, polegająca na oczyszczeniu rur w którymś kierunku. Przez tubę wybuchały wojny.

- No to w drogę, szefie. Poczekaście tu piętnaście minut, a potem idźcie do głównego wejścia. Zabrałbym was ze sobą, ale tunel jest zbyt długi, żebym wszystko utrzymał, jeśli trafia do was, co mam na myśli. - Zawiesił głos i puścił oko. - A jak staniecie za blisko, to trafi was coś jeszcze.

Artemis uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

- Dobrze. Bardzo zabawne. Zatem piętnaście minut, panie Grzebaczek. Zegar tyka.

- Tyka? - powtórzył Mierzwa. - Wróżkowe zegary nie tykają od stuleci.

Następnie wysunął szczękę z zawiasów, wyskoczył wzwyż i z zaskakującą gracją zanurkował w ziemię jak delfin przecinający fale, tylko bez pogodnego usposobienia i uroczego uśmiechu.

Choć Artemis widział to z tuzin razy, i tak był pod wrażeniem.

- Cóż za gatunek - skomentował. - Gdyby na kilka minut potrafili przestać myśleć brzuchami, byłiby w stanie rządzić światem.

Holly wspięła się na maskę, oparła plecami o szybę i wystawiła policzki do słońca.

- Może oni nie chcą rządzić światem. Może tylko ty tego chcesz, Arty.

Arty.

Artemis aż skręcał się z poczucia winy. Spojrzał na znajome, delikatne rysy Holly i zrozumiał, że nie jest w stanie dłużej jej okłamywać.

- Szkoda, że musieliśmy ukraść ten samochód - ciągnęła elficzka z zamkniętymi oczami. - Ale kartka, którą zostawiliśmy, była zrozumiała. Właściciel powinien ją znaleźć bez trudu.

Dla Artemisa kwestia samochodu nie stanowiła szczególnego problemu. Dręczył go inny gwóźdź do własnej trumny.

- Tak, samochód - powiedział zamyślony.

Muszę jej powiedzieć. Nie mogę nie powiedzieć.

Artemis oparł stopę o przednią oponę auta i wspiął się na maskę obok Holly. Siedział tam przez kilka minut, chcąc dobrze zapamiętać tę chwilę.

Holly spojrzała na niego.

- Przepraszam za wtedy. Wiesz, tamto.

- Pocałunek?

Holly zamknęła oczy.

- Tak. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przecież my nawet nie należymy do tego samego gatunku. A kiedy wrócimy, znów będziemy sobą. - Przykryła twarz wolną dłonią. - Co ja gadam. Pierwsza kobieta-kapitan w historii SKR. Strumień czasu zmienił mnie w, jakbyś to nazwał, nastolatkę.

To prawda. Holly była inna. Strumień czasu zbliżył ich do siebie.

- A jeśli taka zostanę? To by chyba nie było takie złe, prawda?

To pytanie zawisło pomiędzy nimi w powietrzu. Pytanie pełne niepewności i nadziei.

Jeśli odpowiesz, to będzie najgorsze, co w życiu zrobisz.

- Holly, to nie ty - wypalił.

Czuł się, jakby miał gorączkę, spokój na dobre go opuścił.

Uśmiech zastygł elficznie na ustach. Była zdezoriontowana.

- Co nie ja?

- Nie ty zaraziłaś moją matkę. To ja. Ja ją zaraziłem. Zostało mi z tunelu kilka iskierek i sprawiłem, że rodzice zapomnieli o mojej trzyletniej nieobecności.

Holly już się nie uśmiechała.

- Ja nie... ale powiedziałaś...

Przerwała w pół zdania. W miarę jak docierała do niej prawda, jej twarz zmieniała się niczym w chorobie.

Atremis brnął dalej, zdecydowany się wytłumaczyć.

- Holly, ja musiałem to zrobić. Mama umiera... będzie umierać. Musiałem być pewien, że mi pomożesz... Proszę, zrozum...

Urwał, pojąwszy, że jego czynów nie można usprawiedliwić. Dał Holly trochę czasu na cichy gniew, po czym znów się odezwał.

- Gdyby tylko istniał inny sposób, to uwierz mi, że...

Żadnej reakcji. Jej twarz była jak wykuta w kamieniu.

- Holly, proszę. Powiedz coś.

Wróżka zsunęła się z maski auta. Stała mocno na ziemi.

- Piętnaście minut minęło - powiedziała. - Czas wyruszać.

Przemaszerowała przez granicę McGraneya, nie oglądając się za siebie. Jej nogi zostawiały dwa pasy w zielono-czarnej trawie. Światło poranka połyskiwało na czubku każdego źdźbła i Holly sprawiła, że przez lękę przeszła fala blasku.

Niesamowite, pomyślał Artemis. Co ja straciłem?

Nie miał wyboru, jak tylko podreptać w ślad za nią.

Mierzwa Grzebaczek czekał wewnątrz holograficznego krzaka w ukrytym wyjściu do portu wahadłowców. Mimo grubej warstwy błota z jego twarzy łatwo było wyczytać samozadowolenie.

- Pani kapitan, nie ma potrzeby używać omniwytrychu - powiedział. - Otworzyłem drzwi sam, samiu-teńki.

Holly była więcej niż zaskoczona. Główne wejście do portu wahadłowców zabezpieczone było dwudziestocyfrowym kodem, a na dodatek jeszcze skanerem dłoni. Przecież wiedziała, że Mierzwa zna się na technice równie dobrze jak dżdżownica. Nie żeby jej nie ulżyło, bo już się przygotowywała na pół godziny mozolnego przedstawiania rejestru po własnoręcznym otwarciu drzwi.

- No dobrze... powiedz.

Mierzwa wskazał w głąb korytarza, w kierunku podziemnych schodów ruchomych. Na rampie leżała postać z rozpostartymi rękami i nogami. Głowę pokrytą miała warstwą świecącej mazi.

- Komendant Bulwa i jego ciężki oddział już się stąd zmyli. Został tylko ochroniarz.

Holly kiwnęła głową. Wiedziała, dokąd udał się Juliusz Bulwa. Wrócił do Oazy, by czekać na jej raport z Hamburga.

- Robił obchód, kiedy się tu dokopałem, więc na chwilę go połknąłem i trochę obśliniłem krasnoludzką śliną. Na hełm z flegmy każdy reaguje inaczej. Ten mały chochlik próbował uciekać. Pacnął w czujnik, wstukał kod i trochę się pozataczał, aż wreszcie środek usypiający zaczął działać.

Artemis przecisnął się obok niego w kierunku tunelu dostępowego.

- Może wreszcie będziemy mieli szczęście - powiedział, przekonany, że czuje, jak Holly piorunuje wzrokiem tył jego głowy.

- Szkoda, że nie otworzył magazynu - westchnął Mierzwa. - Wtedy mógłbym was wystrychnąć na dudka i uciec wahadłowcem.

Artemis zamarł.

- Wahadłowcem? - Odważył się wytrzymać wrogi wzrok elficzki, aby zadać pytanie: - Holly, wahadłowiec. Myślisz, że jeszcze byśmy zdążyli do Maroka przed młodszym mną?

Spojrzenie wróżki było obojętne, a ton głosu bezbarwny.

- Możliwe. Zależy od tego, ile czasu zajmie mi zacieranie śladów.

Wahadłowiec należał do tych, które piloci SKR nazywają „top class”, ponieważ: „nadają się tylko na

przetop”. Artemis wiedział, że Butler, oceniając tę mądrynię, byłby bardziej bezpośredni.

Słyszał w głowie głos wielkiego ochroniarza: „Jeździłem w życiu różnymi kupami złomu, Artemisie, ale ten rzech...”

- ...dopiero co wyszedł z epoki kamienia łupanego mruknął chłopak, po czym smętnie zaśmiał się pod nosem.

- Kolejny żart, Błotny Chłopcze? - spytała Holly. - Jesteś dzisiaj w świetnej formie. Co powiedziałeś tym razem? Przekonałeś jakiegoś naiwniaka, że wywołał epidemię?

Artemis znużony zwiesił głowę. To mogło trwać latami.

Mierzwa natknął się na wahadłowiec, kiedy dokopał się do ściany tunelu i strumieniem powietrza wywalił kawałek metalowego pokrycia. Wiedział, że panel jest obłuzowany, ponieważ już wcześniej wykorzystywał to wejście. Wahadłowiec stał na blokach, przykryty płachtą, więc krasnal nie mógł nie zerknąć. No i proszę, skrobacz tunelowy czekający na remont. Idealna rzecz do poruszania się po sieci podziemnych tuneli dostępowych Ludu. Wystarczyło, że Holly wycofała toporną maszynę w dół szyny w kierunku śluzy.

Tymczasem Artemis zajął się zacieraniem śladów, usuwając wszystkie dowody ich bytności w porcie. Czyścił kryształ video i uzupełniał wycięty czas zapętlonym obrazem. Niewiele mógł natomiast pora-

dzić na nieprzytomnego chochlika oraz brak w magazynie jednego wózka sprzętu, jednak Mierzwa był gotów wziąć to na siebie.

- I tak jestem już wrogiem publicznym numer jeden - powiedział. - Nie dam rady awansować na tej liście.

Teraz siedzieli więc w skrobaczu tunelowym umieszczonym na wsporniku startowym. Przed wyłotem w otchłań przez kilka minut pobierali z przyłącza energię. Holly spędziła ten czas na fałszowaniu raportu na użytek władz tunelowych.

- Piszę, że łopatę tego wahadłowca zmodernizowano zgodnie z nakazem serwisowym, a samą maszynę wezwał port z Afryki Północnej do odetkania arterii dostawczej. To lot zdalnie sterowany, więc nie będą szukać załogi.

Artemis był zdeterminowany, by zapewnić misji wszelkie szanse powodzenia, niezależnie od tego, ile mostów za sobą spalił. Jeśli więc należało zadać pytanie, to musiało ono paść z jego ust.

- Czy to zadziała?

Holly wzruszyła ramionami.

- Wątpię. Pewnie po drugiej stronie tych drzwi czeka na nas pocisk samonaprowadzający.

- Naprawdę?

- Nie. Kłamałam. Niezbyt przyjemne, prawda?

Artemis żałośnie pokręcił głową. Będzie musiał wymyślić jakiś sposób, żeby zadośćuczynić Holly. Choćby częściowo.

- Oczywiście, że zadziała. Przynajmniej na razie. Zanim Komenda Policji złoży wszystko do kupy, my już dawno wrócimy do przeszłości.

- Możemy lecieć bez łopaty?

Holly i Mierzwa zarechotali i wymienili kilka słów po gnomicku, za szybko, żeby Artemis je zrozumiał. Chyba jednak usłyszał wyraz *cowpóg*, który można przetłumaczyć jako „kretyn”.

- Tak, Błotniaku. Możemy lecieć bez łopaty, chyba że masz zamiar zdrapywać osad ze ścian tunelu. Zwykle zostawiamy to robotom.

Artemis zdążył już zapomnieć, jak cięta potrafi być Holly wobec osób, których nie darzy sympatią.

Mierzwa zaczął nucić starą ludzką piosenkę *You've lost that loving feelin'*. „Straciłaś tę dawną czułość”. Śpiewał do Holly, ściskając w pięści wymaglinowany mikrofon.

Elficzka wcale się nie uśmiechała.

- Ty zaraz stracisz czucie w nogach, Grzebaczek, jak się nie zamkniesz.

Krasnal dostrzegł minę funkcjonariuszki i zrozumiał, że nie pora na przekomarzanki.

Holly uznała, że czas zakończyć tę rozmowę. Za pomocą pilota otworzyła służę i usunęła zaciski.

- Zapnijcie pasy, chłopcy - powiedziała, po czym spuściła maszynę, ostro nurkując w ogromną dziurę, zupełnie jakby ktoś wrzucił orzeszek do paszczy głodnego hipopotama.



PASKUDNY PASTRÓJ

Fez, Maroko

Butler nigdy wcześniej nie widział dziesięcioletniego Artemisa w równie smętnym nastroju, może z wyjątkiem jednego przypadku, kiedy chłopiec przegrał w konkursie naukowym z australijskim doktorantem. W lusterku wynajętego landrovera ochroniarz zobaczył swego młodego pracodawcę, jak siedzi w kałuży potu, a kosztowny garnitur niemal rozplywa się na jego szczupłej sylwetce.

Na siedzeniu obok chłopca, przypięte pasem, leżało pudło z dziurkami. Z jednego z otworów wystawały trzy czarne palce. Schwytyany lemur badał swoje więzienie.

Artemis prawie nie patrzy na to zwierzę, myślał Butler. Próbuje je uprzedmiotowić. To nie bagatelka: spowodować unicestwienie całego gatunku, nawet jeśli chodzi o uratowanie ojca.

Tymczasem Artemis wyliczał w myślach powody swego nieszczęścia. Zaginiony ojciec oraz matka na skraj załamania nerwowego to przyczyny numer jeden i dwa. Na kolejnej pozycji znajdował się zespół arktycznych tropicieli, którzy mnożyli koszty w moskiewskim pokoju hotelowym, bez umiaru korzystając z *room service*. Również Damon Kronski znajdował się wysoko na tej liście. Odrażający człowiek wyznający obrzydliwe wartości.

Miejscowe lotnisko, Fez Saïss, zamknięto, dlatego Butler był zmuszony skierować samolot do międzynarodowego portu lotniczego imienia Mohammeda V w Casablance, a następnie wynając tam landrovera. I to bynajmniej nie takiego współczesnego. Pochodził z minionego tysiąclecia i był bardziej dziurawy niż kostka sera Gruyère. Klimatyzacja wyzionęła ducha ponad sto pięćdziesiąt kilometrów temu, obicia siedzeń były zaś tak zużyte, że Artemis miał wrażenie, iż siedzi na młocie pneumatycznym. Jeśli upał go nie ugotuje, to wibracje utrzęsą go na śmierć.

Jednak mimo tych wszystkich rzeczy Artemisowi przyszła do głowy pewna myśl, która sprawiła, że kąśnik ust wykrzywił mu się w półuśmiechu:

Ta dziwna istota i jej ludzki towarzysz są absolutnie fascynujący.

Byli zdeterminowani, żeby zdobyć lemura, i nie zamierzali się poddać. Artemis był tego pewien.

Skoncentrował swą uwagę na przedmieściach, które podrygiwały za oknem. Kiedy zbliżali się do centrum miasta, pustynna szosa nagle zapełniła się sa-

mochodami. Obok z hukiem przejeżdżały ogromne ciężarówki z kołami wyższymi niż dorosły człowiek. Na platformach siedzieli ludzie. Kopyta zmęczonych osłów stukały o spękany asfalt. Zwierzęta były obładowane stertami chrustu, bielizny, a nawet meblami. Pomiędzy pasami przemykały slalomem tysiące porzdewiających motorowerów, często wioząc całe rodziny. Przydrożne budynki połyskiwały w późnopołudniowym słońcu jak fatamorgany. Domy-widma, a przed nimi pijące herbatę zjawy.

Blżej centrum zabudowania stały się gęstsze, pomiędzy nimi zaś nie było już śladów pustyni. Pośród domów mieszkalnych stały warsztaty i wypożyczalnie wideo, herbaciarnie i pizzerie. Wszystkie w tym samym, piaskowopomarańczowym kolorze. Tylko spod nadproży prześwitywały płaty oryginalnej farby.

Jak zawsze, kiedy odwiedzał jeden z krajów rozwijających się, Artemis nie mógł się nadziwić współistnieniu elementów starych i nowoczesnych. Pasterze kóz, ubrani w koszulki Manchesteru United, nosili ipody na ozdobnych łańcuchach. Do krytych blachą falistą dachów przymocowane były anteny satelitarne.

Do niedawna Fez był naprawdę ważnym miejscem, dokąd przybywały karawany kupieckie z południa i wschodu. Znany był jako ośrodek arabskiej mądrości, święte miasto, cel pielgrzymek, kiedy podróż do Mekki uniemożliwiała pogoda bądź grasujący bandyci.

Obecnie stał się miejscem, w którym wyjęci spod prawa likwidacjoniści robili interesy ze zdesperowanymi kryminalistami z Irlandii.

Świat zmienia się szybciej niż kiedykolwiek, pomyślał Artemis. A ja się do tego przyczyniam, do zmiany na gorsze.

Niezbyt pocieszająca myśl, jednak komfort psychiczny to luksus, którego chłopiec nie spodziewał się zaznać w najbliższej przyszłości.

Telefon komórkowy Artemisa zabzyczał, sygnalizując nową wiadomość, która przebyła drogę z Fezu do Irlandii i z powrotem do Maroka.

Chłopiec zerknął na ekran. Odstłonił zęby w ponurym uśmiechu.

„Suk skórzany. Za dwie godziny” – tak brzmiała wiadomość.

Kronski chciał dokonać wymiany w publicznym miejscu.

Najwyraźniej pan doktor ufa mi mniej więcej tak bardzo, jak ja jemu.

Mądry człowiek.

Holly pilotowała wahadłowiec, jakby była na niego zła. Ostro wchodziła w zakręty, aż hamulce pneumatyczne górniczej maszyny jęczały, a wskazówki instrumentów pomiarowych sięgały czerwonej strefy. Jej hełm był bezpośrednio połączony z kamerami wahadłowca, toteż była w stanie widzieć pojazd ze wszystkich stron. Miała nawet dostęp do zewnętrznego widoku, przesyłanego z szeregu przekaźników umieszczonych w różnych miejscach tunelu. Na tym odcinku ruch był niewielki, więc światła wyposażone w czujniki ruchu zapalały się z wyprzedzeniem zaledwie ośmiu kilometrów.

Holly bardzo się starała cieszyć lotem i zapomnieć o wszystkim innym. O byciu pilotem w SKR marzyła od dziecka. Wchodząc w kolejny zakręt z milimetrowym zapasem, czuła, jak w jej rękach wahadłowiec napręża się do granic wytrzymałości. Z jej ciała odpływało napięcie, zupełnie jakby pochłaniała je maszyna.

Artemis mnie okłamał i szantażował, ale zrobił to dla swojej matki. Działał w dobrej sprawie. Kto wie, czy ja na jego miejscu nie zrobiłabym tego samego. Gdybym mogła uratować matkę, zrobiłabym wszystko, łącznie z manipulowaniem przyjaciółmi.

Mogła więc zrozumieć to, co zrobił Artemis – choć uważała, że nie było to potrzebne – jednak jeszcze nie potrafiła mu przebaczyć.

Jak mogłaby o tym zapomnieć? Miała wrażenie, że całkiem błędnie oceniła ich przyjaźń.

To się już więcej nie powtórzy.

Jednej rzeczy Holly była pewna. Teraz ona i Artemis mogli liczyć najwyżej na to co kiedyś: pełen rezerwy wzajemny szacunek.

Włączyła widok z kamery nad siedzeniem pasażera i z przyjemnością stwierdziła, że Artemis z całej siły ściska podłokietniki. Może to tylko przekaz kamery, a może rzeczywiście był zielony na twarzy.

Spaprzałeś sprawę, Błotniaku, pomyślała Holly. A potem: Mam nadzieję, że kamera nie kłamie i naprawdę tak wyglądasz.

Na marokańskiej pustyni, na południe od Agadiru, znajdował się naturalny wylot w miejscu, gdzie gaz

z tunelu przesączał się przez kilometr piasku. Jedy-
ną jego oznaką było nieznaczne przebarwienie ponad
wylotem. Piasek był zresztą błyskawicznie rozwiewa-
ny przez wiatr, kiedy tylko docierał na powierzch-
nię. Mimo to w wyniku tysiąca lat tego procesu na
wydmach powstały ciekawe czerwone smugi. Miejsco-
wi wieśniacy zarzekali się, że to krew ofiar Raisulie-
go, słynnego bandyty z dwudziestego wieku. Niezbyt
prawdopodobne, żeby ktoś w to wierzył, a szczególnie
sami wieśniacy, ale taka informacja dobrze się prezen-
towała w przewodnikach i ściągała turystów w to skąd-
inąd nieciekawe miejsce.

Holly przewierciła się przez wylot, blokując filtry
powietrza wahadłowca przed drobkami piasku. Pi-
lotowała praktycznie na ślepo, opierając się wyłącznie
na trójwymiarowym modelu wylotu. Na szczęście dro-
ga była krótka i wahadłowiec wystrzelił w afrykańskie
niebo po zaledwie kilku sekundach. Pomimo izolo-
wanej powłoki maszyny pasażerowie wkrótce zaczę-
li odczuwać upał. Szczególnie Mierzwa Grzebaczek.
W przeciwieństwie do pozostałych rodzin istot ma-
gicznych, krasnale nie są naziemnymi istotami i nie
marzą o złotych promieniach słońca na twarzy. Wy-
starczy, że znajdą się ponad poziomem morza, a już
dostają zawrotów głowy.

Mierzwa beknął z głębi brzucha.

- Za wysoko. Nie podoba mi się. Gorąco, pioruń-
sko gorąco. Muszę iść do łazienki. Nie do końca wiem
po co. W każdym razie nie idźcie za mną. Cokolwiek
usłyszycie, nie wchodźcie.

Kiedy krasnal wygłasza podobne ostrzeżenie, mądrze jest wziąć je sobie do serca.

Holly przepuściła przez przednią szybę ładunek elektryczny, by ją przeczyszczyć, następnie zaś skierowała dziób wahadłowca na północny wschód, w stronę Fezu. Przy odrobinie szczęścia wciąż byli w stanie zdążyć na miejsce spotkania przed małym Artemisem.

Włączyła autopilota, po czym obróciła fotel, żeby spojrzeć na tego starszego, którego twarz zaczynała odzyskiwać normalną barwę.

- Masz pewność co do miejsca spotkania? - spytała.

Artemis nie był już niczego pewien i ten brak przekonania nie pozwalał mu jasno myśleć.

- Pewności nie. Ale dokładnie pamiętam, że wymiana miała miejsce na suku skórzanym w Fezie. W każdym razie to dobre miejsce na początek. Jeśli Kronski i młodszy ja się nie pojawią, wtedy ruszymy do obozu likwidacjonistów.

Holly zmarszczyła czoło.

- Hmm. Ten plan jest poniżej twoich standardów, a czas nam się kończy. Nie mamy paru dni na zabawę. Czas to nasz wróg.

- Tak - zgodził się Artemis. - Czas to sedno naszego nieszczęścia.

Holly wzięła kostkę odżywczą z maleńkiej lodówki i wróciła za stery.

Artemis przyglądał się plecami przyjaciółki, usiłując odczytać jej mowę ciała. Zgarbiona, z opuszczonymi ramionami i rękami skrzyżowanymi z przodu. Izolowała się, niechętna kontaktowi. Musiał wymyślić

jakieś genialne posunięcie, żeby znów wkupić się w jej łaski.

Przycisnął nos do iluminatora. Obserwował, jak marokańska pustynia przemyka w błyskach ochry i złota. Musiało istnieć coś, czego chciałaby Holly. Coś, czego nie zrobiła i teraz tego żałowała – a ona mógłby to ułatwić.

Przez chwilę myślał gorączkowo, po czym znalazł odpowiedź. Czyż na jednym z drążków magazynowych nie widział zestawu holografu? I czyż nie było osoby, z którą Holly nigdy się nie pożegnała?

Komenda Policji, Oaza City, Niższa Kraina

Komendant Juliusz Bulwa aż po drżący czubek grzybowego cygara tkwił w robocie papierkowej. Co prawda w rzeczywistości nie była ona papierkowa. (Od niepamiętnych czasów żadnych akt SKR nie zapisywano na prawdziwym papierze. Wszystko rejestrowano na kryształach i przechowywano w rdzeniu centralnym, gdzieś w infoprzestrzeni. Obecnie ludzie Ogierka pracowali podobno nad roślinami pamięciowymi, co oznaczało, że pewnego dnia informacje będzie się przechowywać w roślinach i kupach nawozu, a może nawet w cygarze, które właśnie wystawało z ust Bulwy. Komendant nic z tego nie rozumiał i nawet nie chciał rozumieć. Niech Ogierek ma ten swój świat nano- i cybertechnologii. On sam zaś

miał zamiar zająć się codziennymi problemami SKR. A było ich w bród.

Po pierwsze, na powierzchni szalał jego stary wróg, Mierzwa Grzebaczek. Zupełnie jakby go umyślnie drażnił. Ostatnia seria przestępstw w jego wykonaniu polegała na włamywaniu się do portów wahadłowców i sprzedaży skradzionych dóbr wrózkom-wygnańcom żyjącym wśród ludzi. W miejscu każdego przestępstwa na środku podłogi zostawiał uroczą piramidkę przetworzonej ziemi, zupełnie jak wizytówkę.

No i jeszcze te parszywe przeklinające ropuchy. Paru studentów czarownictwa obdarzyło pospolite ropuchy tunelowe darem mowy. Naturalnie, jak to studenci, nauczyli ich wyłącznie brzydkich słów. Teraz, dzięki nieprzewidzianemu efektowi ubocznemu, a mianowicie ogromnej płodności, w Oazie szalała autentyczna plaga tych ropuch, obrażających każdego obywatela, na którego się natknęły.

Poza tym gangi goblinów rosły w siłę i stawały się coraz bardziej zuchwałe. W zeszłym tygodniu kulami ognia ostrzelały wóz patrolowy, który przejeżdżał przez miasteczko goblinów.

Juliusz Bulwa odchylił się na obrotowym fotelu. Dym z cygara utworzył chmurę wokół jego głowy. Były dni, kiedy miał ochotę na dobre odwiesić broń na kołek. Dni, kiedy wydawało się, że nie ma nic, co utrzymałoby go w tej robocie.

Na suficie, niczym kula dyskotekowa, zabzyczał pierścień hologramu. Połączenie przychodzące. Bulwa sprawdził tożsamość dzwoniącego.

Kapitan Holly Nieduża.

Pozwolił sobie na rzadki u niego uśmiech.

No i były też dni, kiedy wiedział dokładnie, co ma robić.

Muszę dbać o najlepszych ludzi, żeby przejęli to wszystko, kiedy mnie zabraknie. Takich jak kapitan Wodorost, Ogierek - bogowie, miejcie mnie w opiece - i kapitan Holly Nieduża.

Bulwa sam wybrał Holly spośród funkcjonariuszy. Awansował ją na kapitana - jako pierwszą kobietę w historii SKR. I dawała mu powody do dumy. Jak dotąd każde jej rozpoznanie kończyło się sukcesem. Ani razu nie było potrzeby zatrzymywać czasu ani wymazywać Błotnym Ludziom pamięci.

Ona jest właśnie tym kimś, Juliuszu, odezwał się wewnętrzny głos Bulwy. Inteligentna, nieustraszona, współczująca. Holly Nieduża będzie świetnym kapitanem, a kto wie, może i komendantem.

Bulwa stał z twarzy uśmiech. Kapitan Nieduża nie musi go widzieć promieniejącego dumą niczym kochający dziadek. Potrzebuje dyscypliny, porządku oraz zdrowej dawki respektu przed swoim dowódcą.

Stuknął palcem w przycisk potwierdzenia na ekranie, a wtedy pierścień hologramu wystrzelił z projektorów istną Drogę Mleczną gwiazd, która skryształizowała się w postać kapitan Holly Niedużej, ubranej w ludzki strój. Najwyraźniej działała pod przykrywką. Widział ją dokładnie, ale ona mogła go zobaczyć dopiero wtedy, gdy wejdzie w zasięg pierścienia hologramu, co niebawem uczynił.

- Kapitan Nieduża, mam nadzieję, że w Hamburgu wszystko w porządku?

Holly przez chwilę jakby oniemiała. Szeroko rozwarła usta i wyciągnęła ręce, jakby chciała go dotknąć. W jej czasie nie żył, zamordowany przez Opal Kobi, ale teraz Juliusz Bulwa był tak żywy, jak go zapamiętała.

Bulwa odchrząknął.

- Wszystko jest w porządku, prawda, kapitanie?

- Tak, oczywiście, panie komendancie. Wszystko w porządku, chwilowo. Ale możliwe, że Odzysk powinien czekać w pogotowiu.

Bulwa zbyt tę myśl machnięciem cygara.

- Nonsens. Wasze dotychczasowe dokonania mówią same za siebie. Nigdy wcześniej nie potrzebowaliście wsparcia.

Holly się uśmiechnęła.

- Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz.

Bulwa zamrugał. Na hologramie zobaczył coś, co zwróciło jego uwagę.

- Dzwonicie do mnie z Afryki? Co wy robicie w Afryce?

Holly klepnęła dłonią w tablicę kontrolną urzędnika po swojej stronie.

- Nie, jestem w Hamburgu, w kryjówce obserwacyjnej. Głupia maszyna. Projekторы też są wadliwe. Na monitorze wyglądam, jakbym miała dziesięć lat. Jak wrócę, to uduszę Ogierka.

Słyszając to, Bulwa nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale szybko to ukrył.

- Po co ten hologram, Nieduża? Stary, dobry komunikator wam nie wystarczy? Nie wiecie, ile kosztuje przesyłanie obrazu i dźwięku przez skorupę ziemską?

Obraz Holly zamigotał. Zerknęła w dół, a potem znów podniosła wzrok.

- Jul... to znaczy panie komendancie, ja... chciałam tylko podziękować.

Bulwa był zaskoczony. Chciała mu podziękować. Za miesiące niewykonalnych zadań i podwójnych zmian.

- Podziękować mi? Kapitanie, to doprawdy niezwykłe. Nie wiem, czy dobrze wykonuję swoją robotę, skoro wróżki mi dziękują.

- Owszem, wykonuje pan - wypalił obraz Holly.
- Naprawdę świetną robotę, nawet więcej niż świetną. Nikt pana wystarczająco nie doceniał... nie docenia. Ale ja już tak. Wiem, co pan próbował... próbuje dla mnie zrobić. Więc dziękuję. Nie zawiodę pana.

Bulwa z zaskoczeniem stwierdził, że naprawdę go to rozczyliło. Niecodziennie spotykał się z tak szczerymi wyznaniem.

Patrzcie państwo, pomyślał. Chlipię do hologramu. Ogierek byłby zachwycony.

- Ja... tego... przyjmuję podziękowania i wierzę, że są szczerze. Jednak nie będę oczekiwał drogiej rozmowy przez hologram podczas każdej misji. Raz wystarczy.

- Zrozumiano, panie komendancie.

- I uważajcie na siebie w Hamburgu. Pamiętajcie, żeby sprawdzić sprzęt.

- Sprawdzę, panie komendancie - powiedziała Holly, a Bulwa mógłby przysiąc, że przewróciła oczami, ale może to tylko kolejna usterka programu.

- Jeszcze coś, kapitanie?

Holly wyciągnęła dłoń, która przy tym ruchu zamigotała i lekko zadrżała. Bulwa nie wiedział, co zrobić. Zasady hologramowej etykiety były jasne: przytulanie się i uściski dłoni są niewskazane. W końcu kto chce się ścisnąć z rozpikselizowanym obrazem?

Jednak ręka wciąż była wyciągnięta.

- Proszę mi życzyć szczęścia, panie komendancie. Jak oficer oficerowi.

Bulwa chrząknął. Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego podwładnego, podejrzewałby lizusostwo, ale kapitan Nieduża zawsze imponowała mu szczerością.

Wyciągnął dłoń. Poczuł lekkie mrowienie, gdy dotknął cyfrowych palców Holly.

- Powodzenia, kapitanie - rzekł szorstko. - I spróbujcie popracować nad tym swoim indywidualizmem. Pewnego dnia już mnie nie będzie, żeby wam pomóc.

- Tak jest, panie komendancie. Do widzenia - powiedziała Holly, a potem znikła, jednak chwilę wcześniej, nim jej holograficzny obraz rozwiął się w powietrzu, Juliusz Bulwa mógłby przysiąc, że na jej policzkach dostrzegł błysk elektronicznych łez.

Głupia maszyna, pomyślał. Każę Ogierkowi wszystkie je od nowa skalibrować.

Holly wyszła z holobudki, która przypominała wiekową kabinę prysznicową z gumową zasłoną. Po dotknięciu przycisku sama się złożyła i zamknęła w przenośnej walizce.

Gdy wróżka zapinała pasy w fotelu pilota i wyłączała automatyczne sterowanie, w oczach miała łzy.

Artemis wiercił się nieco na fotelu drugiego pilota.

- To między nami kwita?

Holly kiwnęła głową.

- Tak. Kwita. Ale to dla ciebie koniec z całowaniem elficzek.

- Rozumiem - powiedział chłopak.

- To nie jest wyzwanie, Artemisie. Koniec to koniec.

- Wiem - odparł neutralnie.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, przyglądając się niewysokim górcom, które pędziły po pustyni w ich kierunku. Potem Holly przechyliła się i lekko szturchnęła Artemisa w ramię.

- Dzięki, Arty.

- Naprawdę nie ma za co. Ja tylko miałem pomysł.

Mierzwa hałaśliwie wynurzył się z łazienki, drapiąc się i stękając.

- Uuuu, już lepiej. Dzięki bogom za wygłuszenie ścian, co nie?

Holly się skrzywiła.

- Zamknij drzwi i niech wentylator zrobi swoje.

Mierzwa zatrzasnął drzwi piętą.

- Tak się tam w środku zastanawiałem, wiecie, rozmyślałem.

- Chyba nie chcę tego słuchać.

Krasnal ciągnął, niezrażony.

- Ten mały lemur. Jedwabne coś tam. Wiecie, kogo mi przypomina z tą swoją krótką fryzurą?

Wszyscy troje o tym myśleli.

- Komendanta Bulwę - powiedziała Holly z uśmiechem.

- Aha. To miniaturowy komendant Bulwa.

- Juliusz junior - dodał Artemis.

Mknęli nad wzgórzami gór Atlas. Fez ukazał się niczym serce tej ziemi. Arterie miasta pełne były pojazdów.

- Jayjay - rzekła Holly. - Tak ma na imię. A teraz ruszajmy po niego.

Włączyła tarczę wahadłowca i rozpoczęła schodzenie ku Fezowi.



GOŁĘBIE ODCHODY

Suk skórzany, medyna w Fezie

Holly nadmuchała kam-pod i ukryła go w cieniu pod kamiennym balkonem wychodzącym na suk skórzany w Fezie. Gdy droga była wolna, ona i Artemis wdrapali się przez ciasny portal i wepchnęli się w nadmuchiwane siedzenia. Artemis kolanami stuknął się w brodę, aż mu szcęknęły zęby.

- Jak już mówiłam, robisz się wysoki - powiedziała Holly.

Artemis zdmuchnął z oka kruczoczarny kosmyk.

- I włochaty.

- Tylko dzięki włosom mały Arty nie rozpoznał sam siebie, więc się ciesz.

Holly zabrała worek z kam-podem z magazynu w Tarze, podobnie jak jeden pistolet Neutrino i odpowiednie przebrania. Artemis miał teraz na sobie brązową koszulę do kolan oraz japonki, natomiast ona

sama ukrywała swe wrózkowe rysy pod abą i chustą na głowę.

Kam-pod był starym, przenośnym modelem. To w zasadzie kula z przezroczystą zewnętrzną powłoką, napełnioną chromozmiennym gazem, który mógł przybierać różne barwy, żeby imitować tło. Żadnych sterów, żadnego uzbrojenia, tylko jednokierunkowy ekran dotykowy i dwa ciasne fotele.

- Nie ma filtrów powietrza? - zastanawiał się Artemis.

- Niestety nie - powiedziała Holly, naciągając chustkę na nos. - Co to za zapach?

- Rozcieńczone gołębie odchody - odrzekł chłopak. - Wysokokwasowe i oczywiście łatwo dostępne. Garbarze używają ich do zmiękczenia skór przed barwieniem.

Suk skórzany, który rozciągał się pod nimi, stanowił imponujący widok. Ogromne kamienne kadzice ustawiono na dziedzińcu w układy przypominające plaster miodu. Każdą wypełniał albo kwasowy zmiękcacz, albo barwniki roślinne takie jak szafran i henna. W kadziach z barwnikami stali garbarze, gruntownie namaczając każdą skórę, włącznie ze swoją własną. Kiedy produkt osiągał pożądaną barwę, rozciągano go na pobliskim dachu, żeby wysechł.

- Ludzie mówią, że linię produkcyjną wynalazł Henry Ford - rzekł Artemis. - A przecież to miejsce działa od sześciuset lat.

Suk otoczony był wysokimi, pomalowanymi na biało murami, ubrudzonymi jednakże barwnikami

kurzem. Plamy ochry rozlewały się na starych ceglach niczym wyblakła mapa jakiegoś egzotycznego archipelagu.

- Dlaczego Kronski wybrał ten suk? - zastanawiała się Holly. - Smród jest niemal nie do wytrzymania, a mówię to jako przyjaciółka Mierzwę Grzebaczka.

- Kronski od urodzenia cierpi na anosmię - wyjaśnił Artemis. - Nie ma zmysłu węchu. Robienie interesów tutaj bawi go, ponieważ ten, z kim się spotyka, jest wręcz obezwładniony odorem z kadzi. Obniża to jego koncentrację, podczas gdy sam Kronski nie odczuwa żadnych skutków.

- Mądre.

- I to szatańsko. To miejsce jest atrakcją turystyczną, ludzie tędy przechodzą, ale nikt nie zostaje zbyt długo.

- Wielu widzów, ale żadnych świadków.

- Jeśli nie liczyć miejscowych, ale Kronski bez wątpienia ma kilkunastu z nich w garści i widzą to, co chce, żeby widzieli. - Artemis pochylił się do przodu, ocierając nosem o plastikowy portal. - A oto i nasz szatański likwidacionista. Jak na zawołanie.

Suk pod nimi roił się od garbarzy i kupców, dawno już przywykłych do ostrej woni zawartości kadzi. Przez targ przepływały grupy turystów, którzy uparli się uwiecznić to miejsce na fotografii, ale nie mieli ochoty znosić upału i smrodu dłużej niż przez kilka trzasków migawki. Pośród nich wszystkich, pogodny i uśmiechnięty, przechadzał się doktor Damon Kronski, ubrany w niedorzeczny, szyty na miarę mundur

maskujący, uzupełniony generalską czapką z daszkiem.

Holly aż mdliło na widok tego człowieka i satysfakcji, jaką najwyraźniej czerpał ze swego otoczenia.

- Patrz na niego. On to uwielbia.

Artemis nie skomentował. Sprzedał przecież lemurę i uważał to za zbrodnię większą niż te Kronskego. Rozglądał się po suku w poszukiwaniu mniejszej wersji siebie samego.

- Tam jestem. Zachodni narożnik.

Holly przeniósł wzrok, aby odnaleźć młodego Artemisa. Stał niemalże ukryty za wielką, wykładaną płytkami kadzią, pełną po brzegi miętowozielonej farby. Zachodzące słońce było na jej powierzchni pokaźnym srebrnym dyskiem.

Artemis się uśmiechnął.

Pamiętam, jak stałem w tamtym właśnie miejscu, tak by blask-zdekoncentrował Kronskego. To jedyna kadź, do której o tej porze sięga słońce. Drobnym sposobem, żeby odplacić mu za ten fetor. Może to i dziecinne, ale w końcu wtedy byłem dzieckiem.

- Wygląda na to, że tym razem pamięć cię nie zawiodła - powiedziała Holly.

Chłopak poczuł ulgę. Do tej pory jego wspomnienia działały na chybił trafił.

Nagle się wyprostował. Na chybił trafił. Jak mógł tego nie dostrzec? Te usterki pamięci mogą oznaczać tylko jedno.

Nie ma czasu, żeby się tym teraz zajmować. Za moment dokona się wymiana.

Palcem wskazującym stuknął ekran dotykowy, by powiększyć część obrazu. Zrobił zbliżenie na postument pośrodku suku. Kamienny blat, na którym od stuleci układano sterty skór, był poorany i wklęsły. Mokra henna połyskiwała na powierzchni i ściekała bokami jak krew z rany w głowie.

- Tam - powiedział Artemis. - To uzgodnione miejsce wymiany. Kronski kładzie na kamieniu teczkę. Ja oddaję towar.

- Nie towar. Lemura. To zwierzę, ma na imię Jayjay przerwała Holly, urealnijając sytuację.

- Oddaję Jayjaya. Następnie każdy idzie w swoją stronę. Ot, tak po prostu. Nie było żadnych komplikacji.

- Może powinniśmy poczekać do wymiany?

- Nie. To, co się potem stanie, jest niewiadomą. Teraz przynajmniej dysponujemy uprzednią wiedzą.

Holly przyglądała się tej scenie okiem weterana.

- Gdzie Butler?

Artemis dotknął innego punktu na ekranie. Obraz lekko zafalował, wygiął się, po czym wybrana sekcja została powiększona.

- Tam, przy parapecie. Obserwuje wszystko z góry.

Okno było wysokim prostokątem w odrapanej, białej ścianie. Cień i głębia sprawiały, że wyglądało na wymalowane czarną farbą.

- Myślisz, że jesteś niewidzialny, prawda, przyjacielu? - szepnęła Holly, po czym kciukiem podświetliła okno i uruchomiła filtr noktowizyjny. W nagłym

blasku ciepłoty ciała pojawiła się tam ogromna, nieruchoma sylwetka. Gdyby nie bijące serce, byłaby jak wykuta z kamienia.

- Pamiętam, że Butler sam chciał dokonać wymiany, ale mu to wyperswadowałem. W tej chwili siedzi tam na górze i się wścieka.

- Wściekający się Butler to nie jest coś, co chciała-bym zobaczyć z bliska.

Artemis położył jej rękę na ramieniu.

- Wobec tego zbytnio się nie zbliżaj. Potrzebujemy tylko, żebyś odwróciła jego uwagę. Szkoda, że w tym magazynie nie było kombinezonu SKR. Czułbym się pewniej, gdybyś była niewidoczna dla ludzi i maszyn.

Holly obróciła brodę, przyzywając magię. Zaczęła znikać plamami, aż w końcu w fotelu została jedynie mgiełka.

- Nie martw się, Artemisie - powiedziała wróżka głosem, który przez wibrację stał się niemal mechaniczny. - To nie pierwsza moja misja. I nie ty jeden na tym suku jesteś sprytny.

Artemisa ani trochę to nie pocieszało.

- To tylko kolejny powód, żeby zachować ostrożność. Szkoda, że w terminalu nie było kompletu skrzydeł. Co to za magazyn, w którym brak skrzydeł?

- Taki fart - odparła Holly. Jej głos przenikał przez rozszerzalne zamknięcie portalu. - Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

- „Się lubi, co się ma” - powtórzył Artemis, patrząc w ślad za nią na podczerwonym filtrze, gdy scho-

działa po schodkach i przemierzała dziedziniec. – Co za niechlujny język.

Dziesięcioletni Artemis miał wrażenie, że zanurzono go w słoju miodu, a potem zostawiono na słońcu, żeby się upiekł. Ubranie przyklejało mu się do skóry, a wokół głowy wirował rój much. W gardle okropnie mu zaschło. Słyszał własny puls i oddech, zupełnie jakby miał na głowie hełm.

No i ten smród. Jak gorący wiatr, który buchał w nos i oczy.

Muszę wytrwać, pomyślał chłopiec, zdeterminowany ponad swój wiek. *Ojciec mnie potrzebuje. Poza tym nie pozwolę, żeby ten wstrętny człowiek mnie zastraszył.*

Suk stanowił oszałamiający kalejdoskop kończyn, barwników i wieczornych cieni. Z punktu widzenia Artemisa wszystko było jeszcze bardziej dezorientujące. Przemykały łokcie, kadzie dźwięczały jak dzwony, a powietrze nad jego głową rozrywały ostre salwy francuskiego i arabskiego.

Artemis pozwolił sobie na chwilę medytacji. Zamknął oczy i nabrał kilka płytkich oddechów przez usta.

W porządku, pomyślał. *Przejdźmy do interesów, doktorze Kronski.*

Na szczęście mężczyzna był potężnej postury, toteż Artemis, przepychając się przez suk, szybko dostrzegł go w przeciwległym rogu placu.

Patrzcie na tego pozera. Mundur maskujący! Czy on naprawdę ma się za generała na wojnie przeciwko królestwu zwierząt?

Artemis przyciągnął kilka zdziwionych spojrzeń miejscowych. Turyści nie byli na suku niczym niezwykłym, jednak samotny dziesięciolatek w garniturze, niosący klatkę z małpą, stanowiłby rzadkość w każdym zakątku świata.

To prosta sprawa. Muszę tylko podejść na środek placu i postawić klatkę.

Jednak nawet samo chodzenie po suku sprawiało problem. Robotnicy krzętały się w alejkach pomiędzy kadziami, objuczeni dziesiątkami przesiąkniętych skór. Strużki barwników tryskały w powietrze, plamiąc ubrania turystów oraz pozostałych ludzi. Artemis zmuszony był stąpać ostrożnie i kilkakrotnie usunąć się z drogi, zanim wreszcie dotarł do pustej przestrzeni w centrum placu.

Kronski znalazł się tam przed nim. Siedział przycupnięty na maleńkim stołeczku, który rozkładało się z górnej części jego myśliwskiej laski, i pykał cienkie cygaro.

- Podobno tracę połowę przyjemności - powiedział, zupełnie jakby kontynuował wcześniej zaczęta rozmowę. - W cygarach najlepszy jest aromat, a ja kompletnie nic nie czuję.

Artemis wściekał się w milczeniu. Ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby czuł się absolutnie komfortowo. Na czole nie miał nawet kropli potu. Chłopiec zmusił się do uśmiechu.

- Czy ma pan pieniądze, Kronski?

Przynajmniej mógł zirytować dobrego doktora, ignorując jego tytuł.

Ten jednak ani trochę nie wyglądał na rozdrażnionego.

- Mam je o, tutaj, Aa-temisie - powiedział, klepiąc się w kieszeń na piersi. - Sto tysięcy to tak drobna kwota, że co do banknotu zmieściła mi się w kieszeni munduru.

Artemis nie mógł się powstrzymać od złośliwości:

- I jakież to wspaniałe mundur.

Fioletowe okulary Kronskego błysnęły w ostatnich promieniach słońca.

- W przeciwieństwie do twojego ubioru, mój chłopce, który w tym upale wyraźnie traci fason.

To prawda. Artemis czuł, że jedyne, co trzyma go w pionie, to zaschnięty pot na kręgosłupie. Był głodny, zmęczony i rozdrażniony.

Skup się. Cel wart jest poświęceń.

- Cóż, jak widać mam lemura, więc czy moglibyśmy przejść do rzeczy?

Palce Kronskego drżały. Artemis mógł odgadnąć myśli mężczyzny:

Zabierz chłopakowi lemura. Po prostu go złap. Nie musisz się rozstawać ze stoma tysiącami.

Artemis postanowił zdławić tego typu pomysły w zarodku.

- W razie gdyby chodziły panu po głowie jakieś nierozważne myśli o renegotjacji naszej umowy, powiem tylko jedno słowo: Butler.

To wystarczyło. Kronski znał reputację Butlera, ale nie był świadom, gdzie w tej chwili znajduje się ochro-

niarz. Znowu drgnęły mu palce, a potem znieruchomiały.

- Dobrze, Aa-temisie. Miejmy to już za sobą. Z pewnością rozumiesz, że muszę sprawdzić towar.

- Oczywiście. A pan z pewnością rozumie, że muszę zobaczyć próbkę gotówki.

- Ależ naturalnie.

Kronski wepchnął dłoń do kieszeni i wyciągnął grubą kopertę, pełną pięciuseturowych banknotów. Niedbale wyjął jeden z nich i podał go chłopcu.

- Powąchasz go, co, Aa-temisie?

- Niezupełnie.

Artemis otworzył telefon komórkowy. Z rozszerzonego menu wybrał ultrafioletowy i magnetyczny skaner banknotów. Przesunął pieniądz przez purpurowy promień, sprawdzając znak wodny oraz metalowy pasek.

Kronski przyłożył dłoń do serca.

- Ranisz mnie, chłopcze, krzywdzisz, sugerując, że mógłbym cię oszukać. Ale sfalszowanie stu tysięcy kosztowałoby więcej niż sto tysięcy. Dobre sztance kosztują dwa razy więcej.

Artemis zatrzaskał telefon.

- Nie jestem ufną osobą, Kronski. Przekona się pan. - Postawił klatkę na kamiennym postumencie.

- Dobrze, teraz pańska kolej.

W tej właśnie chwili zmieniła się cała postawa Kronskiego. Zniknęła bezceremonialność, zastąpiona podnieceniem. Uśmiechnięty, rozchichotany, pod-

biegł do klatki na paluszkach jak dziecko do bożonarodzeniowej choinki.

Może przeciętne dziecko, pomyślał Artemis cierpko. Ciwiazdkowy poranek nie ma dla mnie żadnych tajemnic dzięki skanerowi rentgenowskiemu w mojej komórce.

Najwyraźniej unicestwienie kolejnego gatunku ogromnie ekscytowało Kronskiego. Ostrożnie pochylił się nad klatką, mrużąc oczy, by spojrzeć przez dziurki.

- Tak, tak. Wszystko zdaje się w porządku. Ale będę się musiał dokładniej przyjrzeć.

- Sto tysięcy euro zapewni panu dokładne przyglądanie się bez końca.

Kronski rzucił Artemisowi kopertę.

- Oj, bierz już te pieniądze, irytujący chłopcze. Naprawdę mnie męczysz, Artemisie. Chłopiec taki jak ty nie może mieć wielu przyjaciół.

- Mam jednego przyjaciela - zripostował Artemis, chowając pieniądze do kieszeni. - I jest od pana większy.

Kronski otworzył pudełko na tyle szeroko, by móc złapać lemura za kark. Uniósł zwierzę jak trofeum i obejrzał ze wszystkich stron.

Artemis zrobił krok w tył, rozglądając się nerwowo po suku.

Może nic się nie wydarzy, pomyślał. Może te istoty nie były tak zaradne, jak sądziłem. Może chwilowo muszę się zadowolić stoma tysiącami euro.

I wtedy przybyły zaradne istoty.

Holly nie miała skrzydeł, ale to nie znaczyło, że nie może wywołać zamętu. Jediną bronią w magazynie był pistolet Neutrino, ale poza tym znajdowało się tam trochę sprzętu górniczego, w tym kilkadziesiąt krążków wybuchowych, które w tej chwili Holly wrzuciła do niepilnowanych kadzi z barwnikami. Pod oknem Butlera wrzuciła dwukrotnie więcej.

Chociaż była niewidzialna, poruszała się wyjątkowo ostrożnie, ponieważ wywoływanie tarczy bez kombinizonu to doprawdy dzikie czary. Jeden gwałtowny ruch czy zderzenie spowodowałyby, że jej ciało eksplodowałoby magicznymi fajerwerkami, które, pojawiając się znikąd, musiałyby podejrzanie wyglądać.

Zatem trzeba się było poruszać delikatnie, bardzo delikatnie.

Holly rzuciła ostatni krążek. Pomimo niewidzialności, czuła się kompletnie bezbronna.

Brakuje mi wskazówek Ogierka, pomyślała. Dobrze jest dysponować wszystkowiedzącym okiem.

Zupełnie jakby Artemis czytał w jej myślach, w miniaturowej słuchawce rozległ się jego głos. Kolejny fant z magazynu.

- Kronski otwiera klatkę. Przygotuj się do wysadzenia krążków.

- Jestem gotowa. Jeśli Jayjay będzie próbował uciec, to stoję w północno-zachodnim rogu placu.

- Widzę cię w filtrze. Możesz detonować.

Holly schowała się w pustej kadzi i skupiła wzrok na Kronskim. Zdążył już wyjąć lemura i trzymał go z dala od ciała. Idealnie.

Przesunęła palcem po niewielkim pasku w dłoni, aż wszystkie maleńkie lampki zapaliły się na zielono. Przez pasek przepłynęło jedno słowo:

„Detonować?”

Zdecydowanie, pomyślała Holly, po czym wcisnęła przycisk „tak”.

Jedna z kadzi wybuchła. Kolumna czerwonego barwnika wystrzeliła na sześć metrów w górę. W ślad za pierwszym naczyniem eksplodowały kolejne zbiorniki. Łomocząc jak moździerze, wyrzucały swą zawartość w marokańskie niebo.

Feeria barw, pomyślał Artemis, obserwując to wszystko ze swej kryjówki. *Butler ma kompletnie przesłonięty widok.*

Poniżej, na suku, natychmiast zapanował chaos. Garbarze krzyczeli i po każdej erupcji kolejnej barwnej fontanny chóralnie wołali „ooo”, jak gapie oglądający pokaz sztucznych ogni. Niektórzy spostrzegli, że ich cenne skóry właśnie zostają pokryte niewłaściwymi barwnikami, toteż poczęli pospiesznie zbierać towary i narzędzia. Już po kilku sekundach na plac lał się deszcz farb. W przestrzeniach pomiędzy kadziami kłębili się rozgorączkowani robotnicy i wystraszeni turyści.

Młody Artemis stał nieruchomo jak skała, ignorując fruujące farby. Wzrok utkwiał w Damonie Kronskim oraz lemurze, którego ten trzymał w garści.

Obserwuj zwierzę. Oni go chcą.

Przy każdym wybuchu Kronski piszczął, balansując na jednej nodze jak przestraszona baletnica.

Bezcenne, pomyślał Artemis, po czym nakręcił telefonem kilka sekund filmu. Zdarzy się coś jeszcze – był tego pewien.

I miał rację. Wydawało mu się, że grunt pod stopami Kronskiego eksplodował. Błoto wystrzeliło w powietrze, za kurtyną ziemi coś się poruszyło, po czym lemur zniknął.

Doktor Kronski trzymał w ręku kulkę śluzu, który w wieczornym cieniu lekko świecił.

Opadły ostatnie krople barwników i chaos powoli zaczął ustępować. Garbarze z niedowierzaniem kręcili głową, a później przeklinali swój niefart. Stracili uropek całego dnia.

Kronski piszczał jeszcze przez kilka sekund po opadnięciu kurzu. Ciągnął jedną nutę jak śpiewaczka operowa.

Artemis wyszczerzył zęby we wrednym uśmiechu.

- Mówią, że nie wszystko skończone, dopóki nie zaśpiewa gruba dama. Czyli chyba jest już po wszystkim.

Ton głosu chłopca sprawił, że doktor wreszcie się ocknął. Uspokoił się, stanął na obu nogach i zaczął oddychać głęboko. Z jego policzków zniknęły czerwone plamy. Dopiero gdy spróbował wytrzeć dłoń ze śluzu, zorientował się, że nie ścisną już w garści lemura.

Gapiąc się z niedowierzaniem na własne palce, Kronski poczuł, jak substancja pokrywająca mu dłoń twardnieje, zmieniając się w świecąca rękawicę.

- Coś ty zrobił, Artemisie?

Ach, pomyślał chłopiec. *Nagle nauczyłeś się wymawiać moje imię.*

- Ja nic nie zrobiłem, Kronski. Dostarczyłem lemur, a pan go stracił. To wyłącznie pański problem.

Kronski był siny z wściekłości. Zerwał z twarzy okulary, odsłaniając zaczerwienione oczy.

- Nabrałeś mnie, Fowl. Masz w tym jakiś udział. Nie mogę zorganizować konferencji likwidacjonistów bez mocnego otwarcia. Egzekucja tego lemura miała być na wejście.

Zapikał telefon Artemisa i chłopiec zerknął na ekran. SMS od Butlera.

„Misja wykonana.”

Schował komórkę i uśmiechnął się szeroko do Kronskiego.

- Mocne otwarcie? Myślę, że będę w stanie pomóc. (Oczywiście za odpowiednią cenę.

Starszy Artemis siedział w kam-podzie i obserwował wydarzenia, które rozgrywały się w dole. Wszystko przebiegało dokładnie według planu, z wyjątkiem wybuchów kadzi z barwnikami, które wręcz przeszły jego oczekiwania.

Butler ma całkowicie zasłonięte pole widzenia, pomyślał. A potem nagle zmarł. Oczywiście! W ogóle nie ulokowałbym Butlera w tamtym oknie. Umieściłbym tam atrapę, ponieważ jest to jedna z pięciu logicznych pozycji snajperskich. Szczerze mówiąc, w każdej z nich umieściłbym atrapy, a Butlerowi kazał czekać gdzieś na samym suku, w gotowości do reakcji na wypadek, gdyby znów pojawili się ci nieznośni porywacze lemurów, co byłoby bardzo prawdopodobne, skoro najwyraźniej znają mój każ-

dy ruch. Ja, Artemis Fowl, sam siebie wystrychnąłem na dudka.

Nagle dotarła do niego przerażająca myśl.

- Holly! - wrzasnął do mikrofonu, przyklejonego do kciuka. - Przerwij misję! Przerwij misję!

- Co... - zatrzeszczał głośnik. - Hałas... Chyba... uszkodzone.

Jeszcze przez kilka sekund słychać było szum, potem kilka ostrych trzasków, po których nastąpiła cisza.

Za późno. Artemis mógł tylko przycisnąć twarz do ekranu i bezsilnie obserwować, jak jeden z garbary zrzuci nakrycie i prostuje się, okazując się dużo wyższy, niż się wcześniej wydawało. Był to oczywiście Butler, trzymający przed sobą ręczny skaner podczerwony.

Butler. Nie rób tego, przyjacielu. Wiem, że nigdy nie podobają ci się moje intrygi.

- Trzema szybkimi krokami ochroniarz dopadł do kadzi Holly i narzucił swoje nakrycie na elficzkę. Rzucała się i szarpała, ale wobec imponującej siły Butlera nie miała żadnych szans. Po dziesięciu sekundach miała związane ręce i nogi i zwiślała, przerzucona przez ramię mężczyzny. Po kolejnych pięciu Butler przeszedł przez bramę i zniknął w tłumie wypełniającym medynę.

Wszystko stało się tak szybko, że szczęka Artemisa nawet nie zdążyła opaść. W jednej chwili panował nad sytuacją, czerpiąc dziką satysfakcję z faktu, że jest największym spryciarzem w okolicy. Zaraz potem został gwałtownie ściągnięty na ziemię. Poświęcił hetma-

na za więź. Zrozumiał, że ma naprzeciw siebie kogoś równie przebiegłego, ale dwa razy bardziej bezwzględnego.

Zdesperowany poczuł, jak bladość z mrowieniem wpełza mu na czoło.

Oni mają Holly. Likwidacjoniści postawią ją przed sądem pod zarzutem oddychania ludzkim powietrzem.

Dotarła do niego pewna myśl: *Każdy oskarżony ma prawo do dobrego adwokata.*



UPICESTWIENIE

La Domaine des Hommes, ośrodek likwidacjonistów, Fez

Młodszy Artemis zgodził się towarzyszyć doktorowi Kronskiemu do ogrodzonego ośrodka niedaleko medyny. Landrover Kronskiego był o wiele bardziej luksusowy niż ten, który wynajął chłopiec. Dobrze klimatyzowany, miał dystrybutor wody oraz tapicerkę ze skóry białego tygrysa.

Artemis powiódł palcem po futrze i nie zdziwiło go, że jest prawdziwe.

- Ładne siedzenia - skomentował oschle.

Kronski nie odpowiedział. Niewiele mówił, odkąd stracił lemura. Mruczał tylko sam do siebie, przeklinając niesprawiedliwość tego świata. Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że całe ubranie ma poplamione barwnikami, którymi teraz brudził swą kosztowną tapicerkę.

Chociaż podróż do ośrodka trwała zaledwie pięć minut, Artemis cieszył się, że ma chwilę na rozmyślanie. Zanim landrover przejechał przez wzmocnione bramy, chłopiec zdążył dopracować swą strategię, a wolne dwie minuty przeznaczył na obmyślenie fabuły jednego z romansów, które czasem pisywał pod pseudonimem Graf O'Man.

Strażnik, który posturą mógłby się równać z Butlerem, machnął ręką, pokazując, że mogą przejechać pod łukowatą bramą w czterometrowym murze. Artemis miał oczy szeroko otwarte, rejestrował uzbrojonych wartowników patrolujących czterohektarowy teren, a także lokalizację domku z generatorem oraz kwater personelu.

Informacja to władza.

Chatki mieszkalne zbudowano w stylu kalifornijskich domków plażowych. Miały płaskie dachy i bardzo duże okna. Zgrupowano je wokół sztucznej plaży, na której nie brakowało nawet ratownika oraz maszyny robiącej fale. Pośrodku terenu znajdowało się centrum konferencyjne, a z dachu wystrzeliwała obudowana rusztowaniami iglica. Na rusztowaniach siedzieli dwaj mężczyźni, którzy wykańczali miedziany symbol na jej szczycie. Chociaż był on w większości zasłonięty płótnem, Artemis widział wystarczająco dużo, żeby domyślić się, co to takiego. Ludzka ręka z kulą ziemską w zaciśniętej pięści. Symbol likwidacji.

Kierowca Kronskiego zaparkował wóz przed największym domkiem na całym terenie. Doktor bez sł-

wa poprowadził chłopca do wnętrza. Machnął dłońią w stronę obitej skórą kanapy, po czym zniknął w sypialni.

Artemis liczył na to, że weźmie prysznic i będzie się mógł przebrać, jednak wyglądało na to, że Kronski jest zbyt zdenerwowany, by tracić czas na uprzejmości. Wobec tego chłopiec był zmuszony poluzować kołnierzyk drapiącej koszuli i czekać na powrót gospodarza.

Salon Kronskiego był makabrycznym miejscem. Jedną ze ścian pokrywały certyfikaty wyginięcia, uzupełnione zdjęciami nieszczęsnych zwierząt oraz datami zamordowania ostatniego przedstawiciela danego gatunku.

Artemis przejrzał fotografie. Oto uchatka japońska i biały delfin baiji z rzeki Jangcy. Nietoperz *Pteropus tokudae* z archipelagu Marianów i tygrys balijski.

Wszystkie unicestwione na zawsze.

Jedynym sposobem, żeby zobaczyć te stworzenia, pomyślał Artemis, byłoby nabrać jakimś cudem wystarczającego rozpędu, żeby poruszać się z prędkością większą od prędkości światła i cofnąć się w czasie.

W pomieszczeniu znajdowało się więcej potworności. Wszystkie były opisane w celach edukacyjnych. Kanapę obito skórami wilków falklandzkich. Podstawę stojącej lampy wyrzeźbiono z czaszki zachodnioafrykańskiego nosorożca czarnego.

Artemis z trudem zachowywał spokój.

Muszę się jak najszybciej stąd wydostać.

Jednak cichutki głosik sumienia przypominał mu, że nawet jeśli opuści to miejsce, ono i tak będzie ist-

niało, a sprzedaż tej dziwnej istoty Kronskiemu przyciągnie tu jeszcze więcej ludzi.

Artemis przywołał w myślach obraz ojca.

Co tylko będzie trzeba. Co tylko będę musiał zrobić.

Kronski wszedł do salonu wykąpany, ubrany w luźny kaftan. Miał zaczerwienione oczy, zupełnie jakby przed chwilą płakał.

- Usiądź, Aa-temisie - powiedział, wskazując kanapę packą na muchy obitą skórą.

Artemis zerknął na mebel.

- Nie. Chyba postoję.

Kronski opadł na biurowy fotel.

- Ach, rozumiem. Kanapa dla dorosłych. Trudno, żeby traktowano cię poważnie, kiedy nogami nie dotykasz podłogi. - Doktor potarł oczy grubymi kciukami, po czym wsunął na nos swe charakterystyczne okulary. - Nie masz pojęcia, jak mi jest ciężko, Aa-temisie. Z powodu moich przekonań przeganiają mnie z kraju do kraju jak pospolitego przestępcę. A teraz, kiedy wreszcie znalazłem dom, kiedy udało mi się przekonać komitet do spotkania w tym miejscu, tracę zwierzę, które miałem postawić przed sądem. Ten lemur był gwoździem programu całej konferencji. - Głos Kronskiego brzmiał spokojnie. Mężczyzna chyba się już opanował po załamaniu na suku skórzanym. - Członkowie komitetu likwidacjonistów to bardzo potężni ludzie, Aa-temisie. Przywykli do wygod. Maroko zdecydowanie nie jest komfortowe. Musiałem wybudować ten ośrodek, żeby ich tutaj zwabić. Poza tym

obiecałem imponujące otwarcie konferencji. A teraz mogę im pokazać wyłącznie świecąca rękę.

Kronski potrząsnął dłonią, która co prawda była już z grubsza oczyszczona ze śluzu, ale wciąż jakby lekko połyskiwała.

- Nie wszystko stracone, doktorze - rzekł Artemis uspokajająco. - Mogę panu zapewnić coś, co tchnie w pańską organizację nowe życie i sprawi, że stanie się ona ważna w skali globalnej.

Kronski z powątpiewaniem zmarszczył czoło, lecz jednocześnie pochylił się naprzód i nieco wyciągnął ramiona.

Jego twarz mówi „nie”, pomyślał Artemis. Ale język ciała mówi „tak”.

- Co masz do sprzedania, Aa-temisie?

Artemis otworzył galerię w telefonie i wybrał pewną fotografię.

- To - powiedział, podając komórkę Kronskiemu.

Doktor przyglądał się zdjęciu, a sceptycyzm w jego spojrzeniu stawał się coraz bardziej wyraźny.

- Co to jest? Fotomontaż?

- Nie. Autentyk. Ta istota jest prawdziwa.

- Daj spokój, Aa-temisie. To lateks i kostne implanty. Nic więcej.

Artemis kiwnął głową.

- Słuszna reakcja. Zatem nie zapłaci pan, póki nie będzie usatysfakcjonowany.

- Ja już zapłaciłem.

- Zapłacił pan za lemura - odparł Artemis. - A to jest nieodkryty gatunek. Może stanowić zagrożenie

dla ludzkości. Przecież właśnie tym zajmują się likwidacjoniści. Proszę sobie wyobrazić, ilu członków rzuci się z datkami na pańskie stowarzyszenie, kiedy wyjawi pan to niebezpieczeństwo.

Kronski pokiwał głową.

- Jak na dziesięćlatka całkiem niezłe argumentujesz. Ile mam zapłacić?

- Pięć milionów euro. Cena nie podlega negocjacji.

- W gotówce?

- W diamentach.

Kronski wyduł usta.

- Nie dam ani jednego kamienia, zanim nie zweryfikuję autentyczności twojego produktu.

- Słusznie.

- Cóż za zgodność, Fowl. Skąd wiesz, że cię nie przechytrzę? Bądź co bądź, jestem niemal pewien, że maczałeś palce w tym, co wydarzyło się na suku. Tam, skąd pochodzę, odpłacamy pięknym za nadobne.

- Kronski, mógłby pan chcieć przechytrzyć mnie. Ale nie przechytrzy pan Butlera. Nie jest pan głupcem.

Kronski chrząknął. Był pod wrażeniem.

- Muszę przyznać, chłopcze: przemyślałeś wszystkie aspekty. I na dodatek całkiem niezłe je prezentujesz. - Nieobecny wzrokiem spojrzął na świecącą dłoń. - Nie wydaje ci się to dziwne, Aa-temisie, że dzieciak taki jak ty staje oko w oko ze starym wygą takim jak ja?

- Nie rozumiem pytania - odrzekł szczerze Artemis.

Mężczyzna roześmiał się i klasnął w dłoń.

- Aa-temisie, zachwyca mnie, że istnieje na świecie taki chłopiec jak ty... Wprawia mnie to w doskonały nastrój. - Śmiech ustał nagle, jakby ucięty gilotyną. No dobrze, jak prędko mogę zbadać tę istotę?

- Natychmiast - powiedział Artemis.

- Dobrze. Wyślij SMS-a do swojego człowieka, żeby tu przyjechał. Powiedzmy, że droga zajmie mu pół godziny, przejście przez ochronę kolejne dziesięć minut. Spotkajmy się z nim w głównym budynku za godzinę.

- Powiedziałem: natychmiast - powtórzył Artemis, po czym pstryknął palcami.

Za zasłony wyszedł Butler, niosąc pod pachą kewlarowy worek.

Kronski zapiszczał, a potem sfrustrowany prze wrócił oczami.

- Nie potrafię nad tym zapanować... Od czasu tej koali w Cleveland. To takie krępujące...

Do zapamiętania, pomyślał Artemis. *Koala w Cleveland.*

- W każdym razie - ciągnął doktor - jak on tu wszedł?

Butler wzruszył ramionami.

- Tak samo jak pan.

- Był pan w land-roverze - wydyszał Kronski. - Bardzo sprytne.

- Niezupełnie. To raczej kwestia waszego niedopatrzenia niż naszego sprytu.

- Zapamiętam. Ma pan przy sobie towar?

Butler zacisnął usta; Artemis wiedział, że tą transakcją testuje granice lojalności swego ochroniarza. Już sam lemur stanowił kłopot, natomiast ta istota płci żeńskiej to przecież swego rodzaju osoba.

Mężczyzna bez słowa położył worek na biurku. Artemis szarpnął za suwak, ale Butler go powstrzymał.

- Ona ma jakieś zdolności hipnotyzujące. Kiedyś w Laosie spotkałem jednego gościa, który potrafił na człowieka rzucić urok, ale to nic w tym stylu. Spróbowała tego przy suku i o mało nie wpadłem pod wielbłąda, więc teraz zakleiłem jej usta. Poza tym, jak wiemy, potrafi się robić niewidzialna. Kiedy najpierw otworzyłem worek, jej tam nie było. Ale chyba kończy jej się energia. Możemy się spodziewać jeszcze innych numerów. Kto wie, jakie sztuczki ukrywa w tych swoich szpiczastych uszach? Jest pan gotów podjąć to ryzyko?

- Tak - odparł Kronski, niemalże śliniąc się z niecierpliwości. - Absolutnie tak. Otwórzcie worek.

Butler cofnął dłoń. Artemis rozpiął worek, odsłaniając znajdującą się wewnątrz istotę.

Kronski wpatrzył się w jej oczy nie do pary. Przesunął dłonią po jej szerszym niż u człowieka czole, pociągnął za ucho, a potem chwiejnym krokiem ruszył do baru, gdzie drżącymi rękoma nalał sobie szklanke wody.

- Pięć milionów według dzisiejszego kursu - powiedział. - Mówiłeś pięć i zawarliśmy umowę. Teraz już nie możesz podbić ceny.

Artemis się uśmiechnął. Doktor złapał haczyk.
- Pięć milionów - powiedział. - Plus koszty.

Starszy Artemis jechał do miejsca lądowania na składanym skuterze SKR, zaprojektowanym tak, by przypominał ludzką lambrettę z lat pięćdziesiątych. Podobieństwo było bardzo powierzchowne, ponieważ niewiele lambrett jest wyposażonych w czyste akumulatory jądrowe, gnomicką nawigację satelitarną oraz przyciski autodestrukcji.

Droga do Ifrane za dostojnym miastem biegła w dorzeczu życiodajnej rzeki Fez. Wzdłuż niej pełno było gajów oliwnych oraz pól golfowych.

Stare i nowoczesne. Współistnieje.

Gwiazdy na niebie wydawały się bliższe i jaśniejsze niż w domu, w Irlandii. Świeciły niczym reflektory na stadionie, zupełnie jakby Afryka znajdowała się bliżej reszty wszechświata.

Straciłem ją. Straciłem Holly.

Artemis miał jednak plan. W miarę porządną. Potrzebował tylko odrobiny wrózkowej technologii, by otworzyć kilkoro drzwi, a wtedy pojawi się jakaś szansa. Bo bez Holly wszystko było stracone. Żadne z nich nie miałyby przyszłości.

Niemal godzinę zajęło odnalezienie właśnie tego pola golfowego, na którym Holly zaparkowała wahadłowiec SKR. Chociaż w zasadzie niewiele wskazywało na obecność maszyny, z wyjątkiem nieco równiejszej płaszczyzny piasku. Przy lądowaniu Holly zanurko-

wała głęboko w suchy piasek i zostawiła włączoną tar-
czę. Artemis znalazł pojazd tylko dzięki nawigacji
wbudowanej w skuter.

Złożył swój jednośląd w dysk wielkości frisbee
i zszedł do środka przez właz na dachu.

Mierzwa Grzebaczek leniwie obracał się na fotelu
pilota.

- To mój skuter, Błotny Chłopcze - odezwał się.
- Był na wózku, więc zabieram go ze sobą.

Artemis zatrzaskał za sobą właz.

- Gdzie jest lemur? Gdzie Jayjay?

Mierzwa odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Gdzie Holly? Zgubiłeś ją?

- Tak - przyznał żalonym tonem Artemis. - Chłó-
piec mnie przechytrzył. Wiedział, że wrócę po lemura.
Poświęcił go w zamian za Holly.

- Sprytnie - przyznał Mierzwa. - Tak czy inaczej,
ja spadam. Na razie...

- Na razie? Jak to?! Twoja towarzyszka wróżka jest
w niebezpieczeństwie, a ty chcesz ją opuścić?

Mierzwa uniósł dłonie.

- Ej, uspokój się, Błotniaku. SKR to nie są moi to-
warzysze. Mieliśmy umowę: ja ci załatwię tego małe-
go puchatego kolegę, a ty mnie wózek z cackami SKR.
Zadanie wykonane, obie strony zadowolone.

W tej właśnie chwili Jayjay wytknął głowę z ła-
zienki.

- Co on tam robi?

Mierzwa wyszczerzył zęby.

- Zgaduj.

- Lemury nie potrafią korzystać ze skomplikowanej hydrauliki.

- Sam zobacz. Cokolwiek tam znajdziesz, to winą Jayjaya.

Pstryknął włochatymi palcami. Lemur wbiegł mu po ramieniu i usiadł na głowie.

- Widzisz? Przyznaje się. - Mierzwa zmarszczył czoło. - Nie wymienisz go za kapitan Niedużą, prawda?

- Nie ma sensu - odrzekł Artemis, otwierając główną bazę danych SKR. - To tak jakbyś chciał wymienić spinkę do włosów za Ekskalibur.

Mierzwa przygryzł wargę.

- Znam historię Ekskalibura, więc wiem, co próbujesz powiedzieć. Spinka do włosów jest bezużyteczna, Ekskalibur jest wspaniały i tak dalej. Ale w pewnych sytuacjach spinka może być niezwykle przydatna. Ale gdybyś powiedział: gumowa spinka... Rozumiesz, do czego zmierzam?

Artemis zignorował go. Zapalczywie stuknął w v-klawiaturę, która się przed nim pojawiła. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej o likwidacjonistach, a Ogierek miał na ich temat obszerne dossier.

Mierzwa połaskotał Jayjaya pod brodą.

- Zaczynałem nawet lubić kapitan Niedużą, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Właściwie mógłbym się podkopać i ją uratować.

Była to z jego strony szczerza propozycja, a przy tym konkretny pomysł, więc Artemis poświęcił chwilę, by go skomentować.

- Niemożliwe. Kronski raz już widział numer z tunelem, więc drugi raz się na to nie nabierze. Zresztą nie wytrzymałbyś temperatury w ciągu dnia. Nawet pod ziemią nie byłbyś bezpieczny. Jest tak sucha, że pęknięcia sięgają piętnastu metrów w głąb. Gdyby cię trafił choćby jeden punkcik światła, usmażyłbyś się jak stara książka w piecu.

Mierzwa się skrzywił.

- Przekonałeś mnie. Co w takim razie zrobisz?

Dzięki zaawansowanej technologii wrózek Artemis wydrukował zaproszenie we wzorek w panterkę. Hologram likwidacjonistów połyskiwał pośrodku srebrem i purpurą.

- Wybiorę się dziś na bankiet likwidacjonistów - powiedział, pstrykając w kartę palcem wskazującym.
- Bądź co bądź, zaproszono mnie. Potrzebuję tylko przebrania i środków medycznych.

Krasnal był pod wrażeniem.

- Bardzo dobre. Jesteś prawie tak przebiegły jak ja.

Artemis wrócił do klawiatury. Opracowanie wiarygodnej przykrywki zajmie trochę czasu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz.

Zbliżał się wieczorny bankiet likwidacjonistów i Kronski nie mógł opanować nerwów. Tańczył po swej chatce, owinięty jedynie ręcznikiem kąpielowym, gorączkowo nucąc kolejne melodie z *Józefa i cudownego płaszcza snów w technicolorze*. Często śnił o tym, że to on chodzi w tym płaszczu, uszytym ze skór wszyst-

kich zwierząt, które doprowadził do wyginięcia. Za-
wsze budził się uśmiechnięty.

*Wszystko musi wypaść idealnie. To najważniejszy wie-
cór w moim życiu. Dziękuję, mały Aa-temisie.*

Od tej konferencji wiele zależało, bankiet zaś za-
wyczaj nadawał ton całemu weekendowi. Jeśli na roz-
prawie podczas bankietu zdarzy się coś imponujące-
go, członkowie nie przestaną o tym mówić przez wiele
dni. Internet będzie huczał.

A przecież nic nie może być bardziej imponujące
niż całkiem nowy rozumny gatunek. Likwidacjoniści
zaczną działać w skali globalnej.

I to w samą porę. Prawdę mówiąc, likwidacjoniści
tracili urok nowości. Zgłoszeń było coraz mniej i po
raz pierwszy od początku działalności miejsca na kon-
ferencji nie zostały całkowicie wyprzedane. Na począt-
ku było cudownie: tyle ekscytujących gatunków do
upolowania i powieszenia na ścianie. Jednak obecnie
państwa wzięły pod ochronę rzadkie zwierzęta, szcze-
gólnie te duże. Nie dało się już polecieć do Indii, żeby
postrzelać do tygrysów. Państwa Afryki Subsaharyj-
skiej bardzo nieprzychylnie traktowały grupy uzbro-
jonych likwidacjonistów, które pojawiały się w któ-
rymś z rezerwatów i zaczynały na chybił trafił strzelać
do słońi. Doszło do tego, że urzędnicy rządowi odma-
wiali przyjmowania łapówek. Łapówek!

Likwidacjonistów dotknął jeszcze jeden problem,
choć Kronski nigdy by tego głośno nie potwierdził.
Jego grupa stała się magnesem dla skrajnych obłąkań-
ców. Szczera nienawiść doktora do królestwa zwierząt

przyciągała żądnych krwi wariatów, którzy myśleli wyłącznie o tym, żeby wpackować kulkę w łeb głupiego zwierza. Nie pojmowali filozofii tej organizacji. Człowiek jest królem, a inne gatunki mogą żyć dopóty, dopóki będą się przyczyniać do zwiększenia komfortu swych panów. Zwierzę bezużyteczne marnuje cenne powietrze i powinno zostać unicestwione.

Jednak ta nowa istota wszystko zmieniała. Każdy będzie chciał ją zobaczyć. Sfilmują całą rozprawę i egzekucję, wypuszczą materiał do sieci, a wtedy cały świat przyjdzie do Damona Kronskego.

Jeden rok datków, pomyślał mężczyzna. A potem pójdę na emeryturę i będę się cieszył bogactwem.

Pięć milionów? Ta wróżka czy co to takiego, jest warta dziesięć razy tyle. Sto razy tyle.

Przez jakąś minutę Kronski podrygiwał w strumieniu powietrza z klimatyzatora, po czym wybrał z szafy garnitur.

Purpurowy, pomyślał. Dziś wieczór będę cesarzem.

Po namyśle z górnej półki ściągnął jeszcze pasujące kolorem nakrycie głowy ze skóry tygrysa kaspijskiego, ozdobione frędzlem.

Skoro już jestem w Fezie, pomyślał radośnie.

Odrzutowiec Fowlów, 10 tysięcy metrów nad Gibraltarem

Dziesięcioletni Artemis usilnie starał się zrelaksować w zamyszonym fotelu learjeta, ale napięcie u podstawy czaszki nie ustępowało.

Potrzebuję masażu, pomyślał. Albo herbatki ziołowej.

Chłopiec świetnie zdawał sobie sprawę z przyczyny tego napięcia.

Sprzedam likwidacjonistom istotę... osobę.

Ktoś tak inteligentny jak on z łatwością potrafił skonstruować argument na usprawiedliwienie tego czynu:

Przyjaciele ją uratują. Niewiele brakowało, żeby przechytrzyli mnie, więc na pewno przechytrzą Kronskiego. Ta cała wróżka pewnie już jest w drodze powrotnej tam, skąd przybyła, a pod pachą trzyma lemura.

Artemis odsunął na bok tę wątpliwą argumentację, koncentrując się na Kronskim:

Tym człowiekiem naprawdę należałoby się zająć.

Przed nim tytanowy powerbook buczał cicho na rozkładanej półce. Chłopiec uaktywnił ekran i otworzył własną przeglądarkę internetową, którą napisał w ramach zadania domowego. Dzięki silnej, a przy tym nielegalnej antenie, zamontowanej w ładowni samolotu, mógł odbierać radio, telewizję i sygnał internetowy niemal w każdym miejscu na Ziemi.

Organizacje takie jak likwidacjoniści są całkowicie zależne od reputacji, pomyślał. Zabawnym ćwiczeniem byłoby zniszczyć reputację Kronskiego, korzystając z potęgi internetu.

Wystarczyłoby trochę pogrzebać i umieścić niewielkie nagranie w kilku najpopularniejszych serwisach społecznościowych.

Dwadzieścia minut później, kiedy Artemis junior właśnie kończył swój projekt, w drzwiach kabiny pojawił się Butler.

- Jesteś głodny? - spytał. - W lodówce jest trochę humusu. Zrobiłem też koktajle z jogurtem i miodem.

Artemis wstawił nagranie na ostatnią stronę.

- Nie, dziękuję - wymamrotał. - Nie jestem głodny.

- To poczucie winy tak cię gryzie - powiedział Butler szczerze, wyjmując jedzenie z lodówki. - Jak szczur starą kość.

- Dziękuję za to porównanie, ale co się stało, to się nie odstanie.

- Naprawdę musieliśmy zostawić Kronskiemu tę broń?

- Proszę cię. Nawet ja umieszczam w moim sprzęcie mechanizmy autodestrukcji. Sądziś, że tak zaawansowana rasa nie zabezpieczyłaby swoich technologii? Nie zdziwiłbym się, gdyby ten pistolet rozpląnął się Kronskiemu w rękach. Musiałem mu go dać na zachętę.

- Wątpię, żeby ta istota też się rozpląnęła.

- Butler, przestań. Zawarłem umowę i koniec.

Ochroniarz usiadł naprzeciwko chłopca.

- Hmm. Więc teraz kierujesz się jakimś kodeksem. Honor wśród kryminalistów. Interesujące. To co takiego kombinujesz na komputerze?

Artemis potarł spięty kark.

- Butler, proszę cię. To wszystko dla mojego ojca. Wiesz, że trzeba to zrobić.

- Jedno pytanie - odrzekł mężczyzna, zrywając folię z zestawu sztuców. - Czy twój ojciec chciałby, żeby to zrobić w ten sposób?

Artemis nie odpowiedział. Siedział w milczeniu i rozcierał kark.

Po pięciu minutach Butler zlitował się nad dziesięciolatkiem.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zawrócić samolot i odrobinę pomóc tym dziwnym istotom. Znów otworzyli lotnisko Fez Saïss, więc to nie zajęłoby więcej niż kilka godzin.

Artemis zmarszczył brwi. To byłoby właściwe postępowanie, ale nie stanowiło części jego planu. Powrót do Fezu nie pomoże ojcu.

Butler złożył papierowy talerz na pół, tak że resztki zostały w środku.

- Artemisie, chciałbym zawrócić samolot i zamierzam to zrobić, jeśli nie wydasz mi innego polecenia. Wystarczy, że powiesz słowo.

Chłopiec patrzył, jak ochroniarz wraca do kabiny, ale się nie odezwał.

Maroko

W „Domaine des Hommes” aż kłębiło się od likwidacjonistów przywożonych limuzynami prosto z lotniska. Wszyscy ostentacyjnie i dosłownie obnosili się z nienawiścią do zwierząt. Kronski dostrzegł pewną damę w butach z koziorożca z cholewami sięgającymi ud. Z koziorożca pirenejskiego, jeśli się nie mylił. Był też stary Jeffrey Coontz-Meyers w tweedowej marynarce podszytej futrem kwaggi, a także hrabina Irina Kostowicz, która swą bladą szyję osłoniła przed wieczornym chłodem etolą z karłowatego wilka z Honsiu.

Kronski z uśmiechem serdecznie witał każdego przybyłego, do większości zwracając się po imieniu. Z roku na rok w szeregach organizacji pojawiało się coraz mniej nowych twarzy, jednak po dzisiejszym procesie miało się to zmienić. Doktor w podrygach popędził do sali bankietowej.

Pomieszczenie zostało zaprojektowane przez monachijskie biuro Schiller-Haus. To w zasadzie jeden ogromny zestaw prefabrykatów, które przybyły w kontenerach, a niemieccy specjaliści złożyli je w niecałe cztery tygodnie. Imponująca budowla, o bardziej reprezentacyjnym wyglądzie niż domki, co zresztą było uzasadnione, ponieważ służyła do poważnych spraw. Odbywały się tam uczciwe procesy oraz egzekucje.

Uczciwe procesy, pomyślał Kronski i zachichotał.

Głównych drzwi strzegli dwaj mocno zbudowani marokańscy dżentelmeni w strojach wieczorowych.

Kronski rozważał możliwość ubrania strażników w kombinezony z emblematem organizacji, ale odrzucił ten pomysł, uznając go za zbyt bondowski.

Przecież nie jestem Doktor No. Tylko Doktor No Animals.

Mężczyzna przemknął obok strażników, popędził korytarzem wyłożonym okazałymi miejscowymi dywanami i dotarł do sali bankietowej, przykrytej potrójnie szklonym dachem. Gwiazdy zdawały się tak bliskie, że wystarczyło wyciągnąć rękę.

Wystrój był gustowną mieszanką klasyki i nowoczesności. Gustowną z wyjątkiem popielniczek z łap goryla, które stały na każdym stole, oraz rzędu naczyń do chłodzenia szampana wykonanych z nóg słoniowych i ustawionych przy wyjściach z kuchni. Kronski przeszedł przez podwójne drzwi, minął kuchnię z polerowanej stali i dotarł do chłodni na tyłach.

Istota siedziała tam w otoczeniu trzech kolejnych strażników. Przykuto ją do plastikowego fotelika dla dzieci, pożyczonego ze żłobka znajdującego się na terenie ośrodka. Twarz miała posępną i czujną. Jej broń leżała poza zasięgiem, na metalowym wózku.

Gdyby wzrokiem można było strzelać, pomyślał Kronski, podnosząc malutki pistolecik i wążąc go w dłoni, *to już byłbym podziurawiony.*

Wycelował broń w zamrożoną golonkę wiszącą na łańcuchu. Nie było odrzutu, nie błysnęło wyraźnie żadne światło, ale mięso parowało i nadawało się do podania na stół.

Kronski uniósł barwione na fioletowo okulary przeciwsłoneczne, które nosił niezależnie od pory dnia, chcąc się upewnić, że wzrok go nie myli.

- Proszę, proszę - powiedział zdumiony. - Nie była zabawka. - Tupnął nogą w stalową podłogę. Metaliczny brzęk rozniósł się po pomieszczeniu. - Tym razem nikt się nie podkopie - oznajmił. - Inaczej niż na suku. Czy ty mówisz po angielsku, istotko? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Istota przewróciła oczami.

Odpowiedziałabym ci, mówiła jej mina, ale mam zaklejone usta.

- I to nie bez kozery - odrzekł Kronski, zupełnie jakby poprzednie zdanie zostało wypowiedziane na głos. - Wiemy wszystko o twoich sztuczkach z hipnozą. I o niewidzialności. - Uszczypnął ją w policzek jak uroczego dzidziusia. - Twoja skóra jest prawie ludzka w dotyku. Czym ty jesteś? Jakimś elfem, co?

Znów przewróciła oczami.

Gdyby przewracanie oczami było dyscypliną sportową, ta istota miałaby złoty medal, pomyślał doktor. No, może srebrny. Złoto z pewnością zdobyłaby moja była żona, która też jest całkiem dobra w tej kategorii.

Kronski zwrócił się do strażników:

- Czy się ruszała? - spytał.

Mężczyźni pokręcili głowami. Głupie pytanie. Jak mogłaby się ruszyć?

- Świetnie. Bardzo dobrze. Wszystko przebiega zgodnie z moim planem. - Teraz doktor sam przewrócił oczami. - Posłuchajcie mnie tylko: „Wszyst-

ko przebiega zgodnie z moim planem”. Zupełnie jak Doktor No. Powiniennem sobie sprawić metalowe dłonie. Co wy na to, panowie?

- Metalowe dłonie? - zapytał najnowszy strażnik, nieprzywykły do tyrad Kronskego.

Pozostali dwaj dobrze wiedzieli, że doktor często zadaje pytania retoryczne, szczególnie gdy nawiązuje do Andrew Lloyda Webbera i Jamesa Bonda.

Kronski zignorował nowego. Przez chwilę trzymał palec na zaciśniętych ustach, aby podkreślić wagę tego, co ma do powiedzenia. Następnie zrobił głęboki, świszczący wdech przez nos.

- Dobrze, panowie. Wszyscy słuchają? To bardzo ważny wieczór. Wszystko musi być absolutnie perfekcyjne. Nie spuszczać oczu z więźnia, nie zdejmujcie więzów ani knebla. Póki nie zacznie się rozprawa, nikt nie może zobaczyć tej istoty. Zapłaciłem pięć milionów w diamentach za spektakularną prezentację, więc poza mną nikomu nie wolno tu wchodzić. Zrozumiano?

To pytanie nie było retoryczne, choć nowy zorientował się dopiero po chwili.

- Tak jest. Zrozumiano - wypalił w ułamek sekundy po swoich towarzyszach.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, waszym ostatnim zadaniem tego wieczoru będzie pogrzeb. - Kronski mrugnął do nowego strażnika. - A wiecie, co powiadają: kto ostatni przychodzi, pierwszy odchodzi.

Na bankiecie panowała nieco sztywna atmosfera aż do chwili, gdy podano jedzenie. Problem z likwidacjonistami polegał na tym, że byli bardzo wybredni. Niektórzy tak bardzo nienawidzili zwierząt, że zostali wegetarianami, co odrobinę komplikowało układanie jadłospisu. Jednak w tym roku Kronski zdołał pozyskać szefa kuchni z pewnej wegetariańskiej restauracji w Edynburgu, który potrafił wyczyniać z cukinią takie cuda, że najbardziej zatwardziały mięsożerca zapłakałby rzewnymi łzami.

Posiłek rozpoczęto od delikatnej zupy pomidorowo-paprykowej, podanej w skorupkach młodych żółwi. Następnie na stół trafiło lekkie danie z pieczonych warzyw w cieście z odrobiną greckiego jogurtu na spodkach z małych czaszek. Wszystko bardzo smaczne, a goście po kilku łykach wina zdążyli się rozluźnić.

Żołądek Kronskiego był tak ściśnięty ze zdenerwowania, że mężczyzna nie potrafił przełknąć nawet kęsa, co dla niego było wielce nietypowe. Nie czuł takiego podniecenia od czasu pierwszego bankietu w Austin wiele lat temu.

Jestem na progu prawdziwej wielkości. Wkrótce moje nazwisko będą wymieniać razem z Bobbym Jo Haggardem czy Jo Bobbym Saggartem. Wielcy likwidacjonistykaznodzieje. Damon Kronski, człowiek, który uratował świat.

Dwie rzeczy miały uczynić ten bankiet najwspólniejszym ze wszystkich, które się kiedykolwiek odbyły.

Danie główne i proces.

Danie główne miało zachwycić wszystkich, zarówno mięsożernych, jak i wegetarian. Dla tych drugich było co prawda niejadalne, ale przynajmniej mogli się zachwycić maestrią przygotowania.

Kronski uderzył w malutki gong, który znajdował się obok jego nakrycia, po czym wstał, by zgodnie ze zwyczajem zapowiedzieć danie.

- Panie i panowie - zaczął - pozwólcie, że opowiem wam historię o wyginięciu pewnego gatunku. W lipcu tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku profesor D.S. Jordan odwiedził bliźniacze jeziora w Kolorado i opublikował swoje odkrycia w „Biuletynie komisji Stanów Zjednoczonych do spraw rybołówstwa” z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Ogłosił, że znalazł nowy podgatunek łososia Clarka, który nazwał *yellowfin cutthroat*, czyli „żółto płetwy podcięte gardło”. W swoim raporcie Jordan opisał tę rybę jako srebrzystooliwkową, z szerokim, cytrynowożółtym pasem na boku. Dolne płetwy były złociste, a po obu stronach gardła przebiegała ciemnoczerwona linia, stąd „podcięte gardło” w nazwie. Aż do tysiąc dziewięćset trzeciego roku żółtopłetwe łososi żyły w tych dwóch jeziorach. Wyginęły wkrótce po tym, jak wprowadzono tam pstrąga tęczowego. Inne łososiowate skrzyżowały się z nim, jednak żółtopłetwe wkrótce zniknęły i obecnie są całkowicie wymarłym gatunkiem.

Nikt nie zapłakał. Na dźwięk słowa na „W” rozległ się nawet skromny aplauz.

Kronski uniósł dłoń.

- Nie, nie. To nie powód do radości. Podobno ten żółtopłetwy łosoś był bardzo smaczną rybą o szczególnym, słodkim smaku. Jaka szkoda, że nigdy go nie spróbujemy. - Teatralnie zawiesił głos. - Choć czy na pewno?

Z tyłu sali rozsunęła się fałszywa ściana, odsłaniając aksamitną, czerwoną kotarę. Kronski ceremonialnym gestem wyjął z kieszeni marynarki pilota i pstryknął w stronę kotary, która rozchyliła się z cichym szmerem. Za nią znajdował się ogromny wózek, wiozący coś, co wyglądało jak miniaturowy lodowiec. Srebrny i osnuty parą.

Goście pochylili się, zaintrygowani.

- A gdyby przed ponad stu laty w jeziorach miało miejsce nagłe zamarznięcie?

Pośród biesiadników podniósł się szmer.

Nie.

Na pewno nie.

Niemożliwe.

- A gdyby zamarznięty kawał jeziora utknął w osuwisku, głęboko w niezbadanej szczelinie, i pozostał w nie naruszonym stanie przy temperaturze bliskiej zera?

To by znaczyło...

W tej bryle...

- A gdyby ta bryła wyłoniła się zaledwie sześć tygodni temu na ziemiach mojego dobrego przyjaciela Tommy'ego Kirkenhazarda, jednego z lojalnych członków naszej organizacji?

Tommy wstał i uklonił się, machając swym kapeluszem kowbojskim ze skóry wilka teksaskiego. Choć

ustami się uśmiechał, oczyma słał gromy w kierunku Kronskego. Nikt na sali nie miał wątpliwości, że ci dwaj nie pałają do siebie miłością.

- Wtedy byłoby możliwe, choć horrendalnie drogie i trudne, przetransportowanie tej bryły lodu tutaj. Bryły, która zawiera sporą ławicę żółtopłetwych łososi Clarka - Kronski nabrał powietrza, pozwalając, żeby wiadomość dotarła do słuchaczy. - Wówczas my, drodzy przyjaciele, bylibyśmy pierwszymi ludźmi od stu lat, którym dane byłoby skosztować tych ryb.

Ta perspektywa sprawiła, że nawet paru wegetarian zaczęło się ślinić.

- Patrzcie, drodzy likwidacjoniści. Patrzcie i podziwiającie.

Kronski pstryknął palcami, a wtedy tuzin pracowników kuchni wwiozło ciężki wózek na środek strefy bankietowej, gdzie spoczął on na stalowej kracie. Wtedy personel zdjął uniformy, ukazując ukryte pod spodem kostiumy małp.

Czy nie przesadziłem z tymi małpimi przebraniami? - zastanawiał się Kronski. Czy to nie jest zbyt broadwayowskie?

Szybki rzut oka na gości upewnił go jednak, że wciąż patrzą oczarowani.

Personel kuchenny stanowili w rzeczywistości świetnie wyszkoleni cyrkowi akrobaci z jednej z podróbek Cirque du Soleil, które krążyły po Afryce Północnej. Z wielką chęcią poświęcili kilka dni na zorganizowanie prywatnego przedstawienia dla likwidacjonistów.

Wspięli się na ogromny blok lodu, wspomagając się linami, rakami i bosakami, po czym jęli niszczyć bryłę piłami łańcuchowymi, palnikami i miotaczami ognia, które, jak się wydawało, dobyli znikąd.

Było to imponujące widowisko. Wszędzie fruwał lód, obsypując gości, a ryk maszynierii wprost ogłuszał.

Przez niebieskawy mrok lodu szybko zaczęła prześwitywać ławica łososi. Ryby zawisły w bryle z szeroko otwartymi oczami, zamrożone w pół skrętu, nagle schwytane w okowy lodu.

Cóż za śmierć, pomyślał Kronski. Niczego się nie spodziewały. Wspaniale.

Cyrkowcy zaczęli wykrawać ryby z lodu blokami. Każda wędrowała do któregoś z tuzina kucharzy, którzy wyłonili się z bocznych drzwi, wioząc przed sobą palniki gazowe. Każdy blok wsuwano do rozgrzanego cedzaka, żeby stopić nadmiar lodu. Następnie ryby zręcznie filetowano i smażyono na oliwie z oliwek z dodatkiem warzyw pokrojonych w kostkę oraz rozgniecionego ząbka czosnku.

Dla wegetarian przygotowano grzybowe risotto z szampanem, choć Kronski nie przewidywał, by sięgnęło po nie wielu gości. Osoby niejedzące mięsa również poproszą o rybę, tylko po to, żeby dźgnąć ją widelcem.

Danie okazało się ogromnym sukcesem. Salę wypełnił pełen zachwyty gwar.

Pomimo zdenerwowania Kronski zdołał zjeść pół filetu.

Przepyszny. Wykwintny.

Wydaje im się, że to już była główna atrakcja, pomyślał. Wszystko dopiero przed nimi.

Po kawie, kiedy likwidacjoniści rozluźniali pasy smokingów i obracali w palcach grube cygara, Kronski polecił swym ludziom rozstawić salę sądową.

Personel zareagował z prędkością i wprawą zespołu mechaników formuły jeden, co zresztą nie powinno dziwić po trzech miesiącach morderczych treningów. Uwijali się po kracie, a w dole rozmrożony lód chlupał jak wzburzony basen pływacki, na powierzchni unosiło się zaś kilka łososi. Przykryli tę część podłogi i odślonili drugi dół. Ściany miał obite stałą i osmalone.

Na środek sali wwieziono dwie mównice oraz boks, które zajęły miejsce wózka z bryłą lodu. Na mównicach stały komputery na obrotowych podstawkach, natomiast drewniany boks zajmowała klatka. Jej lokatora przesłaniała kotara ze skóry lamparta.

Gwar wśród biesiadników ustał. Wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu na wielkie odsłonięcie. To chwila, na którą każdy czekał, ci wszyscy milionerzy, płacący kupę forsy za kilka chwil absolutnej władzy: chwila, kiedy w ich rękach znajdzie się los całego gatunku. Kiedy pokażą reszcie planety, kto tu rządzi. Goście nie zauważyli kilkunastu snajperów dyskretnie rozmieszczonych na górnym tarasie, na wypadek gdyby istota ujawniła jakieś nowe magiczne moce. Szansa odsieczy spod ziemi była niewielka, ponieważ salę wybudowano na fundamentach z betonu i stalowych prętów.

Kronski celebrował ten moment do maksimum. Powoli podniósł się z krzesła i niespiesznym krokiem ruszył w stronę mównicy oskarżyciela.

Złożył palce w piramidkę, budując napięcie, po czym rozpoczął mowę.

- Co roku stawiamy przed sądem rzadkie zwierzę.

Z kilku miejsc na sali rozległy się pohukiwania, które Kronski uciszył dobrodusznym gestem.

- To prawdziwa rozprawa, podczas której gospodarz wciela się w oskarżyciela, a jeden szczęściarz spośród was zostaje obrońcą. Idea jest prosta. Jeśli będzie w stanie przekonać ławę przysięgłych, złożoną z pozabawionych uprzedzeń współwyznawców...

Znów pohukiwania.

- ...że istota w tej klatce przynosi korzyść życiu ludzi na ziemi, uwolnimy ją. Możecie w to wierzyć lub nie, ale taki przypadek miał już miejsce w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Nieco przed moją kadencją, ale zapewniono mnie, że faktycznie do tego doszło. Jeśli obrońca nie przekona zebranych o użyteczności zwierzęcia, wówczas nacisnę ten przycisk. - W tym momencie Kronski zaczął przebierać grubymi paluchami nad przesadnie dużym, czerwonym guzikiem na pilocie. - Wtedy zwierzę wpadnie do dołu, przecinając w locie promień lasera, który uruchomi gazowe palniki. *Voilà*: natychmiastowa kremacja. Pozwólcie, że zademonstruję. Zróbcie mi tę przyjemność, to nowy dół. Testuję go od tygodnia.

Skinął na jednego z asystentów, który szarpnął fragment kraty stalowym hakiem. Wtedy Kronski z pół-

miska z owocami wziął melon i cisnął go do dołu. Rozległo się piknięcie, a zaraz po nim z dysz rozmieszczonych wzdłuż ścian buchnęły biało-niebieskie jezory ognia. Melon spalił się na czarne, chrupkie wióry, które powoli opadły na dno.

Pokaz wywołał aplauz ze strony widzów, na których zrobił wrażenie, jednak nie wszystkim spodobały się popisy doktora.

Jeffrey Coontz-Meyers przyłożył dłonie do ust.

- Daj spokój, Damonie. Co nam dziś pokażesz? Tylko nie kolejną małpę. Co roku są małpy.

Kronskiego zwykle irytowało, gdy mu ktoś przerywał, lecz nie tego wieczoru. Tego wieczoru wszystkie ataki, choćby i błyskotliwe, zostaną zapomniane, kiedy rozsunie się druga zasłona.

- Nie, Jeffrey, to nie małpa. A gdyby...

Jeffrey Coontz-Meyers głośno jęknął.

- Błagam, daj spokój z tymi „a gdyby”. Przy rybach zaserwowałeś nam z pół tuzina. Pokaż nam to przekłete zwierzę.

Kronski skłonił się nisko.

- Jak sobie życzysz.

Kciukiem wcisnął guzik na pilocie. Wówczas spod sufitu zjechał duży ekran, który zasłonił tylną ścianę. Kolejny przycisk - i kotara skrywająca istotę w klatce, odsunęła się z cichym szelestem.

Gościom ukazała się Holly, przykuta do dziecięcego fotelika. Miotła wokół wzrokiem pełnym wściekłości.

W pierwszej chwili zapanowała konsternacja.

Czy to mała dziewczynka?

To tylko dziecko.

Czy ten Kronski oszalał? Wiem, że po kryjomu śpiewa, ale coś takiego?

Wtedy spojrzenia likwidacjonistów przyciągnął ekran, który wyświetlał transmisję z kamery przypiętej do klatki.

O mój Boże. Jej uszy. Patrzcie na jej uszy.

To nie jest człowiek.

Co to takiego? Co to jest?

Podniósł się Tommy Kirkenhazard.

- Oby to nie była mistyfikacja. Inaczej cię powiesimy.

- Dwie sprawy - odparł cicho Kronski. - Po pierwsze: to nie jest mistyfikacja. Znalazłem nieznaną gatunek. Prawdę mówiąc, uważam, że to wróżka. Po drugie: gdyby to była mistyfikacja, to nikogo byś nie powiesił, Kirkenhazard. Moi ludzie załatwiliby cię, zanim zdążyłbyś pomachać tym swoim niedorzecznym kapeluszem i zawołać „iii-ha”. - Czasem dobrze jest sprawić, żeby komuś przeszły ciarki po plecach. Przypomnieć, kto ma władzę. - Oczywiście, ten sceptycyzm jest uzasadniony. Ba, wręcz mile widziany. Żeby was uspokoić, będę potrzebował ochotnika spośród publiczności. Może ty, Tommy? Jak tam twój kręgosłup?

Tommy Kirkenhazard dla kurazu dopił jednym haustem pół szklanki whisky, po czym podszedł do klatki.

Świetny występ, Tommy, pomyślał Kronski. Zupełnie jakbyśmy nie umówili się na tę drobną konfrontację, żeby zwiększyć moją wiarygodność.

Kirkenhazard stanął na tyle blisko Holly, na ile się odważył, po czym powoli wyciągnął rękę, by uszczypnąć ją w ucho.

- Na Boga, to nie podróbka. To jest autentyk. Cofnął się, rozpromieniony. - Upolowaliśmy sobie wróżkę.

Popędził do mównicy Kronskego, uściśnął mu dłoń, poklepał po plecach.

I tak oto nawraca się mój największy krytyk, pomyślał doktor. Reszta pójdzie za nim jak owce. Przydatne zwierzęta, te owce.

W myślach sam sobie pogratulował.

- Zgodnie z tradycją, ja będę oskarżycielem tej wróżki - wyjaśnił zebranym Kronske. - Ale kto zostanie obrońcą? Kto z nas okaże się pechowcem, który wyciągnie czarną piłeczkę? Któż to będzie?

Kronske skinieniem głowy dał znak kierownikowi sali.

- Przynieść worek.

Podobnie jak wiele innych wiekowych organizacji likwidacji mieli swoje tradycje. Jedna z nich wymagała, żeby stworzenia postawionego przed sądem bronił ktoś ze zgromadzenia. W przypadku braku ochotnika należało go wybrać drogą losowania. Służył do tego worek z białymi piłeczkami i jedną czarną. Kulistym odpowiednikiem krótkiej zapałki.

- Worek jest zbędny - odezwał się jakiś głos. - Ja podejmę się obrony tego stworzenia.

Wszystkie głowy obróciły się w kierunku mówiącego. Był to smukły młody człowiek. Miał kozią bródkę

i przesywająco niebieskie oczy. Nosił barwione okulary oraz lekki, płócienny garnitur.

Kronski zauważył go już wcześniej, ale ku swej irytacji nie potrafił skojarzyć z tą twarzą żadnego nazwiska.

- A pan to kto? - spytał, obracając laptopa w taki sposób, żeby wycelować wbudowaną kamerę w nieznanego.

Młody człowiek się uśmiechnął.

- Może damy programowi identyfikacyjnemu chwilę, żeby podszeptał panu odpowiedź.

Kronski wcisnął „enter”, komputer zapisał fotografię i po pięciu sekundach wygenerował dane z kartoteki członków organizacji.

Malachy Pasteur. Pochodzenia francusko-irlandzkiego. Dziedzic imperium rzeźniczego. Hojny darczyńca na rzecz likwidacjonistów. To jego pierwsza konferencja. Jak wszystkich uczestników, Pasteura przed wydaniem zaproszenia starannie prześwietlono. To wartościowy nowy członek.

Kronski rozpływał się w uśmiechach.

- Panie Pasteur, to wielka radość powitać pana w Maroku. Ale proszę mi powiedzieć, czemu pragnie pan bronić tej istoty? Jej los jest niemalże przesądzony.

Młody człowiek zważym krokiem zbliżył się do mównicy.

- Lubię wyzwania. To ćwiczenie umysłu.

- Obrona szkodników to ćwiczenia?

- Zwłaszcza szkodników - zripostował Pasteur, podnosząc wieko laptopa. - Łatwo bronić służalcze-

go, przydatnego zwierzęcia takiego jak krowa. Ale to! Czeka nas ciężka batalia.

- Szkoda byłoby ponieść porażkę w tak młodym wieku - rzekł Kronski, opuszczając dolną wargę z niby współczującą miną.

Pasteur zabębnił palcami w mównicę.

- Zawsze lubiłem pański styl, doktorze. Pańskie oddanie ideałom likwidacjonizmu. Przez lata śledziłem pana karierę. Zacząłem jako mały chłopiec w Dublinie. Jednak ostatnio odnoszę wrażenie, że ta organizacja się zagubiła, i nie tylko ja tak sądzę.

Kronski zacisnął zęby. A więc to tak. Otwarty atak na przywódcę.

- Niech pan uważa na słowa, panie Pasteur. Stąpa pan po cienkim lodzie.

Pasteur zerknął na ziemię. W dole wciąż chlupała woda z roztopionej bryły.

- Chce pan powiedzieć, że mógłbym iść spać z rybkami. Zabiłby mnie pan, doktorze? Zwykłego chłopca. Wątpię, żeby wzmocniło to pańską wiarygodność.

Ma rację, pomyślał ze wściekłością Kronski. Nie mogę go zabić. Muszę wygrać ten proces.

Zmusił się do uśmiechu.

- Nie zabijam ludzi - powiedział. - Wyłącznie zwierzęta. Takie jak to w klatce.

Liczni zwolennicy Kronskego zaczęli bić brawo, ale wiele osób wciąż milczało.

Przyjazd tutaj był błędem, zrozumiał doktor. To miejsce jest zbyt oddalone od cywilizacji. Nie ma gdzie wylądo-

wać prywatnym odrzutowcem. W przyszłym roku znajdzie jakąś lokalizację w Europie. Ogłoszę przeprowadzkę, gdy tylko zmiażdżę tego szczeniaka.

- Niech mi będzie wolno wyjaśnić zasady - ciągnął Kronski, myśląc: *To ustawi mnie w pozycji władzy. Zyskuję psychologiczną przewagę.*

- Nie trzeba - odrzekł szorstko Pasteur. - Czytałem stenogramy z kilku procesów. Oskarżyciel przedstawia swoje argumenty, po czym obrońca prezentuje swoje. Następuje kilka minut ożywionej dyskusji, następnie każdy stolik oddaje głos. Proste. Panie doktorze, czy możemy przejść do rzeczy? Nikt na tej sali nie lubi, gdy marnuje się jego cenny czas.

Przebiegły młody człowiek. Postawił się po stronie przysięgłych. To nic. Znam tych ludzi. Oni nigdy nie uniewinnią zwierzęcia, choćby nawet było bardzo ładne.

- Świetnie. Przejdźmy do rozprawy.

Kronski otworzył na pulpicie dokument. To jego mowa wstępna. Znał ją na pamięć, ale w ten sposób czuł się pewniej.

- Ludzie mówią, że my, likwidacjoniści, nienawidzimy zwierząt - zaczął. - Ale to fałszywa opinia. To nieprawda, że nienawidzimy biednych, głupich zwierząt. Po prostu kochamy ludzi. Kochamy ich i zrobimy wszystko, co tylko konieczne, aby zapewnić, że my jako rasa przetrwamy jak najdłużej. Zasoby na naszej planecie są ograniczone i jestem zdania, że powinniśmy je wykorzystać dla siebie. Dlatego ludzie mają umierać z głodu, podczas gdy głu-

pie zwierzęta obrastają w tłuszcz? Dlaczego ludzie mają marznąć, podczas gdy one grzeją się w swoich futrach?

Malachy Pasteur wydał z siebie dźwięk, który był czymś pomiędzy chrząknięciem a śmiechem.

- Panie doktorze, bądźmy poważni, czytałem już kilka wersji tej przemowy. Najwyraźniej co roku recytuje pan te same banalne argumenty. Czy mogli byśmy się skoncentrować na istocie, która dziś staje przed sądem?

Po sali przeszła fala chichotów. Kronski z trudem opanował wybuch złości. Wyglądało na to, że czekała go autentyczna batalia. Proszę bardzo.

- Wielce zabawne, chłopcze. Chciałem cię potraktować łagodnie, ale koniec z taryfą ulgową.

- Bardzo nas to cieszy.

Nas? Nas? Pasteur cichcem przeciąga likwidacjonistów na swoją stronę.

Ķronski zebrał w sobie całą charyzmę. Wspomnił młodość, tamte długie, letnie dni spędzone w płóciennym namiocie, kiedy oglądał swego ojca kaznodzieję, który porывał tłumy.

Uniósł wysoko ręce, odginając palce, aż poczuł napięcie w ścięgnach.

- To nie na tym polega nasza wspólnota, moi drodzy! - rzekł z mocą. - Nie przybyliśmy tutaj z daleka tylko po to, żeby stoczyć mało znaczącą potyczkę słowną. Sensem istnienia likwidacjonistów jest właśnie to. - Kronski wycelował palec w Holly. - Oczyszczenie naszej planety z takich istot.

Zerknął w bok na Pasteura, który ze speszoną miną oparł brodę na dłoniach. Typowe zachowanie przeciwnika.

- Przyjaciele, mamy przed sobą nowy gatunek. Niebezpieczny gatunek. Ta istota potrafi stać się niewidzialna, potrafi hipnotyzować słowami. Była uzbrojona!

Przy akompaniamencie ochów i achów Kronski wy dobył z kieszeni należący do Holly pistolet Neutrino.

- Czy ktokolwiek z nas życzy sobie przyszłości, w której ktoś mógłby nam coś takiego wycelować prosto w twarz? Naprawdę? Sądzę, że odpowiedź jest zdecydowanie przecząca. Nie mam zamiaru udawać, że to ostatnia reprezentantka swojego gatunku. Jestem pewien, że wokół nas istnieją tysiące takich wrózek, kosmitów czy też czym tam ona jest. Ale czy to oznacza, że powinniśmy się przed nimi płaszczyć i wypuścić tę istotę? Uważam, że nie. Jestem przekonany, że musimy wysłać jasny komunikat. Wykonamy egzekucję na jednej, a reszta zrozumie, że nie żartujemy. Dziś rządy całego świata nas znienawidzą, ale jutro zaczną stukać do naszych drzwi i prosić o poradę. - Pora na wielki finisz. - Jesteśmy likwidacjonistami, nasz czas właśnie nastał!

To była dobra przemowa i wywołała falę aplauzu, które Pasteur przeczekał z tą samą skonsternowaną miną.

Kronski przyjmował owacje, unosząc ramiona jak bokser. Potem skinął głową w stronę mównicy swego oponenta.

- Twoja kolej, chłopcze.

Pasteur wyprostował się i odchrząknął...

...Artemis wyprostował się i odchrząknął. Od sztucznej brody skóra swędziała go jak szalona, ale za panował nad odruchem i nie podrapał się. Przed sprawiedliwą publicznością rozniósłby argumenty Kronskiego w pięć sekund, ale ta publiczność nie była ani sprawiedliwa, ani nawet poczytalna. To zblazowani, żądni krwi miliardery, którzy za swe pieniądze kupowali zakazaną rozrywkę. Morderstwo to po prostu kolejna usługa, którą można nabyć. Z tymi ludźmi trzeba się obchodzić ostrożnie. Grać na właściwych strunach. Przede wszystkim Artemis musiał zaprezentować się jako jeden z nich.

- Kiedy byłem mały, a moja rodzina jeździła na zimę do Afryki Południowej, mój dziadek opowiadał mi o czasach, kiedy ludzie mieli właściwy stosunek do zwierząt. Zabijamy je, kiedy nam to odpowiada, mawiał. Kiedy służy to naszym celom. Taka właśnie idea przyświecała likwidacjonistom. Żaden gatunek nie był chroniony, jeśli my, ludzie, nie odnieśliśmy korzyści z jego istnienia. Zabijaliśmy, kiedy to było korzystne. Jeśli jakieś zwierzę zużywa zasoby naszej planety i nie przyczynia się bezpośrednio do poprawy naszego zdrowia, bezpieczeństwa lub komfortu, wówczas się go pozbywamy. Proste. To była idea, za którą warto walczyć. Warto zabijać. Ale to - Artemis wskazał na dół oraz na klatkę Holly - to jest cyrk. To obraza czci naszych przodków, któ-

czy poświęcili czas i fundusze dla sprawy likwidacjonistów.

Artemis pracował nad kontaktem wzrokowym. Nawiązywał go z tyloma osobami na sali, z iloma tylko mógł. Za każdym razem na moment zawieszał spojrzenie.

- Mamy okazję dowiedzieć się czegoś od tej istoty. Jesteśmy winni naszym przodkom próbę sprawdzenia, czy może nam się na coś przydać. Jeśli to rzeczywiście wróżka, kto wie, jaką magią dysponuje. Mocą, nad którą moglibyśmy zapanować. Jeśli zabijemy to stworzenie, wówczas nigdy się nie dowiemy, jakie nie-yobobrażalne bogactwo zginie wraz z nią.

Artemis skłonił się nisko. Przedstawił swój argument. Widział, że to za mało, by przekonać krwiożerczych likwidacjonistów, ale powinno wystarczyć, żeby Kronski przestał się czuć tak pewnie.

Jego głos jeszcze nie przebrzmiał, a doktor już machał rękami.

- Ile razy musimy jeszcze wysłuchiwać tego argumentu? - odezwał się. - Pan Pasteur zarzuca mi, że się powtarzam, podczas gdy sam przywołuje tę samą wyświechtaną rację, co wszyscy poprzedni obrońcy. - Kronski przyłożył dłonie do ust, udając przerażenie. - Ojoj, nie zabijajmy tej istoty, bo potencjalnie jest źródłem wszelkiej władzy i wielkiego bogactwa. Pamiętam, że kiedyś wydaliśmy fortunę na morskiego ślimaka, który miał niby leczyć artretyzm. Dostaliśmy tylko kupę bardzo drogiej mazi. To wszystko czysta spekulacja.

- Ale to magiczna istota! - zaproponował Artemis, uderzywszy pięścią w pulpit. - Wszyscy słyszeliśmy, że potrafi się stawać niewidzialna. Nawet w tej chwili ma zaklejone usta, żeby nie mogła nas zahipnotyzować. Wyobraźmy sobie, jaką pozyskalibyśmy moc, gdybyśmy zdołali odkryć tajniki tych zdolności. W najgorszym razie byłibyśmy lepiej przygotowani do konfrontacji z resztą jej gatunku.

Główny kłopot Kronskiego polegał na tym, że zgadzał się z większością argumentów swego przeciwnika. Oszczędzenie tej istoty i wydobywanie z niej wszystkich tajemnic byłoby bardzo sensownym rozwiązaniem, ale doktor w tym starciu nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Gdyby przegrał, równie dobrze mógłby natychmiast zrzec się przywództwa.

- Usiłowaliśmy ją przesłuchać. Nasi najlepsi ludzie próbowali. Nic nie powiedziała.

- Trudno mówić z zaklejonymi ustami - zauważył sucho Artemis.

Kronski wyprostował się, żeby wydawać się wyższym, i dla efektu zniżył głos.

- Rodzaj ludzki staje twarzą w twarz ze swym najgroźniejszym wrogiem, a pan chce się do niego przybliżyć. My, likwidacjoniści, mamy inne metody. Jeśli istnieje zagrożenie, to je eliminujemy. Tak było zawsze.

Te słowa wywołały burzę oklasków. Jak zwykle żądza krwi wzięła górę nad rozsądkiem. Kilku gości zerwało się na nogi i zaczęło wykrzykiwać. Mieli już dość dyskusji i chcieli wreszcie jakiejś akcji.

Twarz Kronskego pokryła się rumieńcem triumfu.

Jemu się wydaje, że już po wszystkim, pomyślał Artemis. Biedaczysko. A potem: Strasznie mnie swędzi od tej brody.

Cierpliwie odczekał, aż wrzawa ustała, a wtedy wyszedł zza mównicy.

- Chciałem panu tego oszczędzić, doktorze - powiedział - ponieważ tak bardzo pana szanuję.

Kronski kłapnął szczęką.

- Czego mi oszczędzić, panie Pasteur?

- Dobrze pan wie. Sądzę, że już dostatecznie długo mydlił pan wszystkim oczy.

Kronski ani trochę się nie zmartwił. Chłopak został pokonany, wszystko inne to tylko irytująca paplania. Ale czemu by nie pozwolić, żeby Pasteur sam sobie wykopał grób?

- A na czym miałyby polegać to mydlenie?

- Czy jest pan pewien, że mam mówić dalej?

Kronski błysnął zębami w uśmiechu.

- Ależ jestem absolutnie pewien.

- Jak pan sobie życzy - rzekł Artemis, zbliżając się do klatki. - Pierwotnie to nie ta istota miała dziś stanąć przed sądem. Aż do wczoraj mieliśmy lemura. To nie do końca małpa, panie Kirkenhazard, ale prawie. Mówię, że go mieliśmy, choć w rzeczywistości jedynie byliśmy bardzo blisko. Zaginął podczas odbioru. Potem, i to jest bardzo ważne, tę oto istotę sprzedał nam ten sam chłopiec, który wcześniej prawie sprzedał nam lemura, niewątpliwie opłaconego ze środków likwidacjonistów. Czy komuś z zebranych też się wy-

daje, że coś tu jest nie w porządku? Bo mnie owszem. Ten chłopiec zachował lemura i sprzedał nam rzekomą wróżkę.

Kronski nie był już tak pewny siebie. Ten Pasteur był niezłe poinformowany.

- Rzekomą?

- Zgadza się. Mamy tylko pańskie słowo, no i oczywiście słowo pana Kirkenhazarda, który tylko pozornie jest pańskim największym wrogiem. Zapewniam, że na ten podstęp nikt się nie nabierze.

- Więc proszę samemu zbadać to coś - wyrzucił z siebie Kronski. Oskarżenie w sprawie Kirkenhazarda przemilczał. - Ten spór łatwo wygrać.

- Dziękuję, doktorze - rzekł Artemis. - Tak właśnie zrobię.

Zbliżył się do klatki. Nadchodziła najtrudniejsza część przedsięwzięcia, ponieważ wymagała koordynacji oraz zręczności. To elementy, które zwykle w swych planach pozostawiał Butlerowi.

Kieszeń Artemisa lekko wypychało kilka plastrów typu Nowoskóra z apteczki Mierzwy. Strażnikowi chłopak powiedział, że to plastry antynikotynowe, toteż pozwolono mu wnieść je na bankiet. Lepką substancję opatrunków aktywował kontakt ze skórą. Wówczas przybierały kształt miejsca, do którego je przyłożono, dostosowując się barwą i fakturą do otaczającej skóry.

Palce Artemisa zawisły w kieszeni nad plastrami, ale jeszcze nie nadszedł czas, by go dotknąć. Gdyby to zrobił, opatrunek przykleiłby mu się do dłoni. Chło-

pak sięgnął więc do drugiej kieszeni, skąd wyjął telefon skradziony z bentleya w Rathdown Park.

- Ten telefon jest dla mnie nieocenionym narzędziem - wyjaśnił likwidacjonistom. - Nieco mniej poręczny niż zwykle aparaty, ale to dlatego, że od lat instaluję w nim kolejne dodatki. To naprawdę niezwykle urządzenie. Odbiera telewizję, mogę na nim oglądać filmy, sprawdzać wyniki giełdowe i robić inne standardowe rzeczy. Ale poza tym jest wyposażony w kamerę rentgenowską z ekranem. Momencik.

Artemis wcisnął kilka guzików, łącząc telefon przez bluetooth z laptopami, a za ich pośrednictwem - z wielkim ekranem.

- O, proszę - rzekł chłopak, przesuwając telefon przed swoją dłońią. Na ekranie, w bladej powłóce ciała, ukazały się paliczki, kości śródreżca i nadgarstka. - Wyraźnie widać kości mojej ręki. Ma pan tu bardzo dobry system projekcyjny, panie doktorze. Gratuluję panu.

Uśmiech Kronskego był równie fałszywy jak gratulacje, które właśnie otrzymał.

- Zmierza pan do czegoś, panie Pasteur, czy tylko się popisuje intelektem?

- Och, ależ oczywiście, że zmierzam, panie doktorze. Mianowicie do tego, że gdyby nie szerokie czoło i szpiczaste uszy, ta istota byłaby nad wyraz podobna do małej dziewczynki.

Kronski parsknął.

- Szkoda tylko, że ma to czoło i uszy. Gdyby nie one, miałby pan jakiś argument.

- Właśnie - rzekł Artemis, po czym przesunął telefon przed twarzą Holly.

Na ekranie odtworzył krótki filmik, który przygotował wcześniej w wahadłowcu. Widać było na nim czaszkę Holly z nieprzejrzystymi, ciemnymi kształtami na skroniach i uszach.

- Implanty! - zapiał Artemis. - Bez dwóch zdań efekt zabiegu chirurgicznego. Ta „wróżka” to sprytna podróbka. Próbował nas pan nabrać, panie Kronski.

Zaprzeczenia doktora utonęły we wrzasku zebranych. Likwidacjoniści zerwali się na nogi, wykrzykując słowa potępienia dla tego nikczemnego oszustwa.

- Okłamałeś mnie, Damon! - zawołał Tommy Kirkenhazard niemal z bólem. - Mnie!

- Jego wrzucić do tego dołu! - krzyknęła hrabina Irina Kostowicz. Twarz miała równie zajadłą, jak pysk karłowatego wilka z Honsiu na jej ramieniu. - Niech Kronski zginie. Należy mu się za to, że nas tutaj ściągnął.

Doktor podkreślił głośność mikrofonu na mównicy.

- To niedorzeczne. Jeśli rzeczywiście zostaliście nabrani, to ja także. Nie! Nie uwierzę w to. Ten chłopak, ten Pasteur, kłamie. Moja wróżka jest prawdziwa. Dajcie mi szansę to udowodnić.

- Jeszcze nie skończyłem, panie doktorze - zawołał Artemis, śmiało podchodząc do klatki.

W każdej dłoni trzymał plaster Nowoskóry. Wyciągnął je z kieszeni, gdy wybuchło zamieszanie. Kiedy lepka substancja się uaktywniła, poczuł na skórze

pulsowanie ciepła. Musiał działać prędko, bo w przeciwnym razie po jego planach zostałyby mu tylko dwa plastry koloru skóry przyklejone do dłoni.

- Moim zdaniem z tymi uszami jest coś nie w porządku. Pański przyjaciel, pan Kirkenhazard, obszedł się z nimi wielce delikatnie.

Artemis zwinął jeden z plastrów w stożek, sklejjąc dwa lepkie końce. Drugą rękę przecisnął przez kraty i zaczął bardzo wiarygodnie udawać, że szarpie czubek, podczas gdy w istocie oblepiał ucho Holly drugim opatrunkiem. W ten sposób przykrył cały czubek i większość małżowiny.

- Odchodzi - stęknął, dbając o to, żeby jego przedramię zasłoniło kamerę. - Mam!

Kilka sekund później bandaż był już suchy, a jedno z uszu Holly - całkowicie osłonięte. Artemis spojrział w oczy przyjaciółki i mrugnął.

Graj razem ze mną, mówił ten gest. *Wyciągnę cię z tego*.

W każdym razie Artemis miał nadzieję, że taką właśnie treść zakomunikował tym mrugnięciem, a nie coś w stylu: *Myślisz, że mam potem szansę na kolejnego buziaka?*

Do rzeczy.

- To podróbka! - zawołał chłopak, unosząc wysoko zwinięty kawałek opatrunku barwy skóry. - Została mi w dłoni.

Holly posłusznie zademonstrowała do kamery swój profil. Już nie miała szpiczastego ucha.

Wśród likwidacjonistów dominowało oburzenie.

Kronski wszystkich nas nabrał, myśleli, albo, co gorsza, dał się wystrychnąć na dudka jakiemuś chłopcu.

Artemis trzymał wysoko rzekome sztuczne ucho, ściskając je, jakby dusił jadowitego węża.

- Czy chcecie, żeby taki człowiek nam przewodził? Czy doktor Kronski wykazał się rozsądkiem? - Chłopak cisnął „ucho” na ziemię. - Podobno ta istota może nas wszystkich zahipnotyzować. Ja uważam, że ma zaklejone usta, żeby nie mogła nic powiedzieć.

Jednym szybkim ruchem zerwał taśmę z ust Holly. Elficzka skrzywiła się i rzuciła Artemisowi srogie spojrzenie, ale już po chwili zalała się łzami. Perfekcyjnie odgrywała rolę ludzkiej ofiary.

- Nie chciałam tego zrobić - załkała.

- Czego zrobić? - Artemis zachęcił ją do mówienia.

- Doktor Kronski zabrał mnie z sierocińca.

Artemis uniósł brew. Z sierocińca? Holly improwizowała.

- Powiedział, że gdybym miała implanty, mogłabym zamieszkać w Ameryce. Po operacji zmieniłam zdanie, ale pan doktor nie chciał mnie wypuścić.

- Sierociniec - rzekł Artemis. - Ależ to niemal nie do wiary.

Holly spuściła głowę.

- Groził, że mnie zabije, jeśli komuś powiem.

Artemis był oburzony.

- Groził, że cię zabije. I to jest człowiek, który kieruje naszą organizacją. Człowiek, który poluje na ludzi tak samo jak na zwierzęta. - Oskarżycielsko

wycelował palec w zdeorientowanego Kronskego. – Szanowny panie, pan nie jest w niczym lepszy od tych stworzeń, których wszyscy nienawidzimy. Domagam się wypuszczenia tej biednej dziewczynki.

Kronski był skończony i dobrze o tym wiedział. Jednak z tego całego bałaganu można było jeszcze coś uratować. Wciąż dysponował numerami kont organizacji, i tylko on znał szyfry do sejfu. Za dwie godziny mógł opuścić to miejsce z majątkiem, który starczyłby na parę lat. Wystarczy, że przerwie popis tego Pasteura.

I wtedy sobie przypomniał. Szynka!

– A to? – krzyknął, wymachując pistoletem Holly.
– Rozumiem, że to też podróbka?

Likwidacjoniści cofnęli się i skulili za krzesłami.

– Oczywiście – odparł Artemis z szyderczym uśmiechem. – Dziecięca zabawka. Nic więcej.

– Zaryzykowałbyś życiem, żeby to udowodnić?

Artemis zdawał się wahać.

– Dość tej komedii, doktorze. Przegrał pan. Proszę się z tym pogodzić.

– Nie – warknął Kronski. – Jeśli ten pistolet jest prawdziwy, to i ta istota jest prawdziwa. A skoro nie jest, jak pan twierdzi, to nie ma się czego obawiać.

Artemis zebrał w sobie odwagę.

– Dobrze, niech pan czyni swoją powinność.

Chłopiec stanął wprost przed maleńką lufą, nadstawiając tors.

– Zaraz umrzesz, Pasteur – powiedział Kronski bez szczególnego współczucia.

- Może by tak było, gdyby pan zdołał wcisnąć swój tłusty paluch w kabłąk spustu - odparł Artemis, jak gdyby chciał sprowokować doktora do działania.

- No to idź do diabła! - warknął Kronski i nacisnął spust.

Właściwie nic się nie stało. Błysnęła iskra, a wewnątrz broni coś cicho zabuczało.

- Zepsuty - wykrztusił doktor.

- Co pan powie - odparł Artemis, który z wahadłowca zdalnie zniszczył ładunek neutrino.

Kronski uniósł dłonie.

- Dobrze, chłopcze. Dobrze. Niech chwilę pomyślę.

- Proszę już wypuścić dziewczynkę. Niech pan zachowa choć odrobinę godności. My nie zabijamy ludzi.

- To ja tutaj rządę. Po prostu potrzebuję chwili, żeby zebrać myśli. To nie tak miało być. Mówiła, że pójdzie zupełnie inaczej...

Doktor oparł się łokciami o pulpit i potarł powieki pod barwionymi okularami.

„Mówiła, że pójdzie inaczej”? - pomyślał Artemis. *Czyżby brały w tym udział jeszcze jakieś nieznanne siły?*

Podczas gdy Artemis się zastanawiał, a świat Kronskiego sypał się w gruzy, w sali bankietowej rozdzwoniły się telefony komórkowe. Nagle wiele osób zaczęło dostawać wiadomości. Po chwili całe pomieszczenie rozbrzmiewało dysharmonią piknięć, bzyknień i dzwonek polifonicznych.

Kronski zignorował ten dziwny fakt, jednak Artemis zaczął się denerwować. W tej chwili miał wszystko pod kontrolą i nie chciał, żeby jakikolwiek czynnik zburzył równowagę albo doprowadził Kronskiego do ostateczności.

Goście reagowali na wiadomości mieszkanką szoku i rozbawienia.

O mój Boże. Czy to prawda? To autentyk?

Puść to jeszcze raz. Zrób głośniej.

Nie wierzę. Kronski, ty głupku.

Miarka się przebrała. Jesteśmy pośmiewiskiem. Likwidacjoniści są skończeni.

Artemis zrozumiał, że wszyscy otrzymali tę samą wiadomość. Ktoś, kto dysponował bazą danych członków organizacji, przesłał im klip wideo.

Komórka chłopca zadźwięczała cicho. Oczywiście, przecież Artemis wprowadził swą fałszywą tożsamość do każdej bazy danych likwidacjonistów, jaką tylko znalazł. Ponieważ zaś jego telefon wciąż był podłączony do wielkiego ekranu, wiadomość wideo została automatycznie odtworzona.

Chłopak natychmiast rozpoznał tę scenę. Suk skórzany. Głównym aktorem był Kronski; stał na jednej nodze i piszczał jak pęknięty balon, z którego ulatywało powietrze. Słowo „komiczny” nie opisywało w pełni tego widoku. Wyrazy takie jak „groteskowy”, „absurdalny” i „żałosny” były już trafniejsze. Jedno nie ulegało wątpliwości: nikt w pełni władz umysłowych, obejrzawszy to nagranie, nie mógł nadal szano-

wać tego człowieka, nie mówiąc już o uznawaniu go za przywódcę.

Podczas odtwarzania klipu na dole ekranu przesuwiał się tekst:

„Oglądamy doktora Damona Kronskego, prezesa likwidacjonistów, który wykazuje się niezwykłym jak na osobę jego postury wyczuciem równowagi. Wasz reporter odkrył, że Kronski zwrócił się przeciwko zwierzętom, kiedy w trakcie jednego z wieców politycznych organizowanych przez jego ojca w Cleveland poturbował go niedźwiadek koala. Świadkowie twierdzą, że młody Damon „piszczął tak, głośno, że szyby mógł kroić”. To talent, który, jak widać, nie opuścił szanownego pana doktora po dziś dzień. Piszcz, bratku, piszcz”.

Artemis westchnął. *To ja zrobiłem, zrozumiał. To by do mnie pasowało.*

W innej sytuacji doceniłby ten styl, ale nie tym razem. Nie gdy był tak blisko uwolnienia Holly.

A skoro mowa o Holly:

- Artemisie, wyciągnij mnie stąd! - syknęła.

- Tak, oczywiście. Czas na nas.

Artemis przetrząsnął kieszenie i znalazł wilgotną chusteczkę do rąk. Były w nią zawinięte trzy długie, grube włosy podarowane mu przez Mierzwę Grzebaczka. W rzeczywistości krasnoludzkie włosy to anteny, które ułatwiają nawigację w ciemnych tunelach. Ta zaradna rasa zaadaptowała je również jako wytry-

chy. Niewątpliwie omniwytrych byłby skuteczniejszy, ale Artemis nie mógł ryzykować, że odbierze mu go ochrona. Dzięki chusteczce włosy pozostawały wilgotne i giętkie aż do chwili, gdy okazywały się potrzebne.

Artemis wziął pierwszy włos, zdmuchnął odrobinę wilgoci z końcówki i wsunął do zamka klatki, lawirując nim między ząbkami. Gdy tylko poczuł, że włos twardnieje mu w palcach, obrócił ten prowizoryczny klucz i drzwi stanęły otworem.

- Dziękuję, Mierzwa - szepnęła, po czym wziął się do pracy przy zamykanych pośrodku kajdankach Holly.

Trzeci włos nie był nawet potrzebny. W przeciągu kilku sekund Holly była już wolna i rozcierała nadgarstki.

- Sierociniec? - odezwał się Artemis. - Nie sądzisz, że trochę przesadziłaś?

- Olaboga - odparła sarkastycznie. - Lepiej wracajmy do wahadłowca.

Ale to nie miało być takie proste.

Grupa likwidacjonistów zagoniła Kronskego w kąt. Ciskali w niego gromy, a nawet szturchali i popychali doktora, nie zważając na jego argumenty. Tymczasem nad ich głowami wyświetlała się wciąż na nowo powtarzana wiadomość.

Ups, pomyślał Artemis i zamknął telefon.

Wreszcie, co było chyba nieuniknione, w Kronskim coś pękło. Odtrącił swych dręczycieli jak kregle, zapewnił sobie trochę przestrzeni życiowej, po czym dysząc, odpiął od paska krótkofalówkę.

- Zabezpieczyć teren - wysapał do nadajnika. -
W razie konieczności użyć siły.

Chociaż teoretycznie strażnicy z „Domaine des Hommes” pracowali dla likwidacjonistów, pozostawali lojalni wobec człowieka, który płacił im pensje. Ich pracodawcą był Damon Kronski. Może i ubierał się jak obłąkany paw i miał maniery psa pustynnego, ale znał szyfr do sejfu i dawał wypłaty w terminie.

Snajperzy na górnym tarasie oddali kilka strzałów ostrzegawczych nad głowami tłumu, a wtedy rozpętało się istne piekło.

- Zamknąć budynek - powiedział Kronski do krótkofalówki. - Potrzebuję czasu, żeby zabrać pieniądze. Dziesięć tysięcy dolarów w gotówce dla każdego, kto stanie po mojej stronie.

Większa zachęta była zbędna. Dziesięć tysięcy dolarów to dla tych ludzi dwuletnie zarobki.

Zatrzaśnięto drzwi i okiennice. Wszystkie wejścia obstawili potężni strażnicy, każdy uzbrojony w karabin albo marokański miecz *nimcha* z rękojeścią z rogu nosorożca. Kronski zlecił wykonanie takiej broni dla całej ochrony.

Wystraszeni likwidacjoniści rzucili się do łazienek i wnek - wszędzie, gdzie były jakieś okna. Gorąco wystukiwali numery na swych komórkach, wykrzykując błagania o pomoc od kogokolwiek i skądkolwiek.

Kilka osób wykazało się większą zaradnością. Tommy Kirkenhazard wyciągnął ceramiczny pistolet, który przemycił pod kapeluszem, i ukryty za ciężkim ba-

rem z drewna tekowego, oddał w kierunku górnego tarasu kilka strzałów na oślep. Odpowiedziała mu kanonada. Odłamki roztrzaskanych butelek, luster i szklanek fruwały jak groty strzał.

Wysoki Azjata szybko rozbroił strażnika jednym ciosem wyprostowanego palca w spłot słoneczny.

- Tędy! - zawołał, szeroko otwierając drzwi ewakuacyjne. Wyjście szybko zablokowali stłoczeni likwidacjiści.

Artemis i Holly skryli się za boksem, wypatrując jakiejś drogi ucieczki.

- Możesz włączyć tarczę?

Holly przekreśliła brodę. Jedna jej ręka zniknęła.

- Mam mało energii. Wystarczy na minutę, może dwie. Oszczędzałam.

Artemis się skrzywił.

- Ty zawsze masz mało energii. Przecież Numer Jeden napełnił cię swoją magią?

- Owszem, może by mi to wystarczyło, gdyby twój ochroniarz nie trafił mnie strzałką. Dwa razy. I jeśli nie musiałabym cię uleczyć w Rathdown Park. I gdybym nie używała tarczy na suku, próbując odzyskać twoją małpę.

- Lemura - odparł Artemis. - I przynajmniej jego uratowaliśmy.

Holly schyliła głowę, gdy tuż nad nią przeleciał grad szklanych odłamków.

- O rany, Artemisie. Robisz wrażenie, jakby ci naprawdę zależało na jakimś zwierzęciu. Ładna broda, tak na marginesie.

- Dziękuję. No dobrze, czy myślisz, że dasz radę utrzymać tarczę na tyle długo, żeby rozbroić tych dwóch strażników przy drzwiach do kuchni, tam za nami?

Holly zmierzyła ich wzrokiem. Obaj mieli strzelby i biła od nich taka wrogość, że niemal powietrze od niej falowało.

- Nie powinno być z tym problemu.

- Dobrze. Zrób to po cichu. Nie chcemy znów utknąć w zatorze. Gdybyśmy się rozdzielili, to spotkajmy się gdzieś w pobliżu. Na suku.

- W porządku - odrzekła Holly, zawibrowała i znikła.

Sekundę później Artemis poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i usłyszał w uchu bezcielesny głos.

- Wróciłeś po mnie - szepnęła Holly. - Dziękuję. Zaraz potem dłoni już nie było.

Każda magia ma swoją cenę. Kiedy wróżki używają tarcz, poświęcają zdolności motoryczne i jasność myślenia. Nieskończenie trudniej ułożyć puzzle, kiedy twoje ciało drży szybciej niż skrzydła kolibra. Nawet gdyby mózg potrafił przestać terkotać na tyle długo, by skupić się na łamigłówce, też by to nic nie pomogło.

W Akademii SKR Holly nauczyła się pewnej metody od trenera z Atlantydy. Dużo łatwiej znieść wstrząsy tarczy, kiedy wciągnie się i uniesie brzuch, wzmacniając środek ciała. Dzięki temu można się na czymś skupić, a tors bardziej się napina.

Holly zastosowała tę metodę, podążając przez salę bankietową w kierunku drzwi kuchni. Kiedy oszala-

ły, wymachujący nożem do masła likwidacjonista mi-
nęła ją o milimetry, pomyślała, że czasami niewidzial-
ność bywa bardziej niebezpieczna niż poruszanie się
na oczach wszystkich.

Dwaj strażnicy dosłownie warczeli na każdego, kto
za bardzo się zbliżył. Byli duzi, nawet jak na ludzi,
i Holly cieszyła się, że nie będzie się musiała wyka-
zywać precyzyjnymi ruchami. Dwa szybkie dźgnięcia
w splot nerwów powyżej kolana powinny wystarczyć,
żeby sprowadzić tych gości do parteru.

*Proste, pomyślała Holly, a zaraz potem: Nie powin-
nam tak myśleć. Wtedy zawsze coś idzie nie tak.*

Oczywiście miała absolutną rację.

Ktoś zaczął strzelać do strażników Kronskiego.
Srebrne strzałki przecięły powietrze i przebiły ich skórę
z nieprzyjemnym dźwiękiem.

Holly od razu domyśliła się, kto był strzelcem. Jej
przypuszczenie potwierdziło się, kiedy dostrzegła zna-
jomą sylwetkę uczeptioną belek stropowych.

Butler!

Ochroniarz owinięty był pustynną derką, lecz Hol-
ly rozpoznała go po kształcie głowy oraz charaktery-
stycznej pozycji strzeleckiej: lewy łokieć wysuwał nie-
co dalej do przodu niż większość strzelców.

*Młodszy Artemis przysłał go tutaj, żeby utorował
nam drogę, zrozumiała. A może Butler sam podjął tę
decyzję.*

Tak czy inaczej mężczyzna nie był wcale tak po-
mocny, jak sądził. Gdy strażnicy przy wyjściu ewaku-
acyjnym padli na ziemię, likwidacjoniści zaczęli się

przez nie przepychać, rozpaczliwie usiłując wydostać się z budynku.

Likwidacjoniści w klatce, pomyślała Holly. Artemis z pewnością docenia ironię sytuacji.

Właśnie gdy miała się zamachnąć pięściami, dwaj strażnicy przy drzwiach kuchennych złapali się za szyje i runęli naprzód. Stracili przytomność, jeszcze zanim uderzyli o ziemię.

Nieżyły z niego strzelec. Dwa strzały w ciągu sekundy z odległości osiemdziesięciu metrów. I to strzałkami, a one mają celność mokrych gąbek.

Nie tylko ona zauważyła niestrzeżone drzwi. Kilkaścioro rozhisteryzowanych likwidacjonistów rzuciło się do wyjścia, wydzierając się niczym fani jakiegoś zespołu rockowego.

Musimy się wydostać z tego budynku. Natychmiast.

Holly zwróciła się w stronę Artemisa, ale ten zniknął gdzieś w gąszczu napierających ludzi.

On musi gdzieś tam być, pomyślała. Potem dopadł ją tłum, ściął z nóg i poniósł do kuchni.

- Artemisie! - zawołała, kompletnie zapominając, że wciąż jest niewidzialna. - Artemisie!

Ale nigdzie go nie dostrzegła. Cały świat zmienił się w płataninę łokci i tułowi. Potu i krzyków. Uszy Holly wypełniały głosy, na twarzy czuła czyjś nierówny oddech i zanim zdołała się oswobodzić z tłumy, sala bankietowa była niemal opustoszała. Pozostało kilku maruderów, ale Artemis zniknął.

Suk, pomyślała Holly. Znajdę go na suku.

Artemis spiesz się do biegu. Gdy tylko Holly powali strażników, miał zamiar puścić się naprzód sprintem, modląc się, żeby się nie potknąć i nie upaść. Nie może przecież przetrwać tego wszystkiego tylko po to, żeby pokonał go brak koordynacji. Butler na pewno powiedziałby: „A nie mówiłem?”, gdyby spotkali się na tym świecie.

Nagle poziom ogólnego chaosu podskoczył o kilka kresek. Wrzeszczący likwidacjoniści przypominali Artemisowi spanikowane zwierzęta w Rathdown Park.

Likwidacjoniści w klatce, pomyślał. Cóż za ironia.

Strażnicy przy drzwiach kuchennych chwycili się za gardła i padli na ziemię.

Niezła robota, pani kapitan.

Artemis zgiął się wpół jak sprinter, który czeka na sygnał startowy, po czym wystrzelił ze swej kryjówki za boksem.

Kronski wpadł na niego z boku z pełnym impetem. Obaj przeturlali się przez barierki i spadli do boksu. Artemis wylądował na dziecięcym foteliku, który pękł pod jego ciężarem. Jeden z podłokietników rozorał mu bok.

- To wszystko twoja wina! - pisnął Kronski. - To miał być najwspanialszy wieczór w moim życiu.

Artemis czuł, że się dusi. Nos i usta zatkane miał przepoconym purpurowym materiałem.

On chce mnie zabić, pomyślał. Doprowadziłem go do ostateczności.

Nie było czasu na układanie planu, a nawet gdyby miał chwilę, to sytuacja nie należała do takich, z których

Artemisa uratowałaby zgrabna matematyczna kalkulacja. Pozostawało tylko jedno rozwiązanie: bić się.

Tak więc chłopak zaczął kopać napastnika, okładać go po twarzy i dźgać palcami. Wbił kolano w obfity brzuch Kronskiego i oślepił go pięściami.

Wszystkie ciosy były raczej powierzchowne i nie wyrządzały trwałej szkody. Z wyjątkiem jednego. Prawa pięta Artemisa otarła się o tors doktora. Mężczyzna nawet tego nie poczuł. Ale pięta na moment zetknęła się z dużym przyciskiem na pilocie w jego kieszeni, co spowodowało otwarcie zapadni pod boksem.

W chwili, gdy jego mózg odnotował brak gruntu pod nogami, Artemis uświadomił sobie, co się stało.

Już po mnie, pomyślał. Wybacz, mamo.

Chłopak bezwładnie runął do dołu, przecinając łokciem promień lasera. Rozległo się piknięcie, a pół sekundy później dół wypełnił się niebiesko-białymi płomieniami, które osmałiły ściany.

Nic nie mogło tego przeżyć.

Kronski złapał się barierki boksu. Pot z jego nosa skapywał do ziejącego dołu i wyparowywał po drodze.

Czy mam wyrzuty sumienia z powodu tego, co się właśnie wydarzyło? – zastanawiał się doktor, świadom, że psychologowie zalecają bezpośrednią konfrontację z traumatycznymi przeżyciami w celu uniknięcia stresu w późniejszym życiu.

Nie, uznał. Nie mam. Szczerze mówiąc, czuję, jakbym pozbył się wielkiego ciężaru.

Kronski podniósł się na nogi z głośnym chrupnięciem w kolanach.

No dobrze, a gdzie ta druga? – pomyślał. Muszę pozbyć się jeszcze paru kilo.

Artemis ujrzał, jak wokół niego wykwitają płomienie. Od ich blasku jego skóra rozbłysła na niebiesko, słyszał ich głuchy huk, a potem znalazł się już po drugiej stronie, bez najmniejszego szwanku.

Niemożliwe.

Najwyraźniej jednak możliwe. Najwyraźniej te płomienie tylko tak groźnie wyglądały.

Hologramy?

Podłoże ustąpiło pod ciężarem chłopca, syknął pneumatyczny mechanizm. Artemis znalazł się w niższym pomieszczeniu. W górze ujrzał grube, stalowe drzwi, które właśnie się za nim zamykały.

Taki musi być widok od wewnątrz śmietniczki z uchyloną pokrywą.

Niezwykłe nowoczesnej śmietniczki z rozsuwanymi, żelowymi zawiasami. Bez wątpienia konstrukcja wrózek.

Artemis przypomniał sobie słowa Kronskego:

Mówiła, że pójdzie inaczej...

Mówiła... ona.

Konstrukcja wrózek. Zagrożony gatunek. Jaka wróзка zbierała płyn mózgowy lemurów jeszcze przed epidemią czarotropii?

Artemis zbladł. *Tylko nie ona. Błagam, tylko nie ona.*

Co ja mam zrobić? – pomyślał. Ile razy muszę ratować świat od tej furiatki?

Podniósł się na kolana i stwierdził, że zjechał po zwięzających się ściankach na miękki materac. Za nim zdążył się zeń stoczyć, ze szczelin wokół stalowej krawędzi wystrzeliły teleskopowe macki, krępują go mocniej niż krowę na rodeo. Z tuzina umieszczonych w górze dysz z sykiem wystrzelił purpurowy gaz, wkrótce skrywając chmurą cały materac.

Wstrzymaj oddech, pomyślał Artemis. Zwierzęta nie potrafią wstrzymać oddechu.

Nie oddychał tak długo, że miał wrażenie, iż za chwilę pęknie mu mostek. Gdy miał już wypuścić powietrze i wziąć głęboki oddech, do pomieszczenia wpompowano inny gaz, powodujący krystalizację tego pierwszego, który teraz opadł na twarz Artemisa jak purpurowe płatki śniegu.

Zostałeś odurzony. Udawaj, że śpisz.

Niewielkie drzwi wsunęły się gładko w podłogę z odgłosem przypominającym wydmuchiwanie powietrza przez słomkę.

Artemis spojrzał przez na wpół przymknięte oko.

Pole magnetyczne, pomyślał tępo. Stalowa opaska wrzynała mu się w czoło.

Wiem, co zobaczę, ale zupełnie nie chcę tego oglądać.

W drzwiach stała chochliczka. Jej drobne, piękne rysy jak zwykle wykrzywiał pełen okrucieństwa grymas.

- To - pisnęła Opal Koboï, wskazując przed siebie drżącym palcem - nie jest lemur!



KUDŁATY NIE ŻYJE

Suk skórzany

Butler biegiem pokonał drogę z ośrodka likwidacji cjonistów na suk. Artemis czekał na niego w budynku, w którym poprzedniego dnia obmyślali szczegóły wymiany. Siły policyjne w Fezie ograniczały się do kilku dwuosobowych patroli, toteż ktoś tak doświadczony jak Butler mógł bez trudu przemknąć się niezauważony. Chociaż wizytę na medynie ciężko uznać za nielegalną, to z pewnością niezbyt życzliwie patrzono by na człowieka, który przechadza się po turystycznej okolicy z dużą strzelbą na plecach.

Butler czmychnął w ciemny zakątek, gdzie szybko rozłożył swoją strzelbę miotającą strzałki na prawie tuzin kawałków, następnie chowając każdy z nich w innej stercie śmieci. Możliwe, że byłby w stanie dać bakszysz celnikom na lotnisku Fez Saïss i zwyczajnie

schować broń pod fotel, ale w dzisiejszych czasach lepiej dmuchać na zimne.

Dziesięcioletni Artemis siedział w ustalonym miejscu w jednym z okien strzelniczych i wydłubywał nieistniejące kłaczki z rękawa marynarki. To był jego odpowiednik nerwowego spacerowania w kółko.

- No i? - spytał, przygotowując się psychicznie na odpowiedź.

- Ona się wydostała - rzekł Butler.

Uznał, że lepiej nie przyznawać, że długowłose miał wszystko pod kontrolą, zanim do gości nie dotarło nagranie Artemisa.

Chłopiec zrozumiał sugestię ochroniarza.

- Ona? To znaczy, że ten drugi też tam był?

Butler skinął głową.

- Ten kudłaty nie żyje. Próbował ją ratować i mu się nie powiodło.

Artemis aż się zachłysnął.

- Nie żyje? - powiedział. - Nie żyje?

- Powtarzanie tych słów niczego nie zmieni - stwierdził szorstko mężczyzna. - Próbował ratować swoją przyjaciółkę i Kronski go za to zabił. Ale co się stało, to się nie odstanie, no nie? Przynajmniej mamy te diamenty. - Butler nieco się opanował. - Powinniśmy ruszyć na lotnisko. Muszę sprawdzić samolot przed odlotem.

Artemis milczał oszołomiony. Nie potrafił odwrócić wzroku od worka diamentów, które lśniły oskarżycielsko na jego kolanach.

Holly nie miała szczęścia. Jej tarcza była tak słaba, że wyłączyła ją, aby ostatnią iskierkę magii zachować na wypadek, gdyby potrzebowała się uleczyć. Gdy tylko stała się widzialna, jeden z bandziorów Kronskego dostrzegł ją i przez krótkofalówkę doniósł o tym całemu zespołowi. Teraz uciekała przez medynę i modliła się, żeby Artemis czekał tam, gdzie się umówili, i miał tyle rozsądku, żeby wziąć ze sobą skuter.

Nikt do niej nie strzelał, co było pocieszające, chyba że Kronski sam nie zamierzał tego zrobić.

Holly nie miała czasu teraz o tym myśleć. Najważniejsze było przeżycie.

Późnym wieczorem na medynie panował spokój. Na ulicach można już było spotkać tylko nielicznych zabłąkanych turystów oraz najbardziej wytrwałych handlarzy. Holly lawirowała między nimi, ściągając na ziemię wszystko, co tylko zdołała złapać, aby spowodować pędzących za nią strażników. Powalała wieże z koszy, wyrzuciła stoisko z kebabami i pchnęła ramieniem stół pełen przypraw, barwiąc białą ścianę wielokolorowymi łukami.

Łomot kroków za plecami ani trochę nie cichł. Taktyka nie zdawała egzaminu. Strażnicy byli po prostu tak wielcy, że przebijali się przez przeszkody.

W takim razie pora na uniki zygzakami. Zgubię ich w zaułkach.

Ta taktyka okazała się równie nieskuteczna co poprzednia. Mężczyźni znali układ medyny i koordynowali pościg za pomocą krótkofalówek, zaganiając Holly w stronę suku.

Tam znajdę się na otwartej przestrzeni. Będę łatwym celem.

Holly pędziła naprzód, a mokasyny Artemisa wrzywały się jej w pięty. Za jej plecami rozlegały się krzyki i przekleństwa – bez słowa przeprosin przeciskała się przez grupy turystów i popychała chłopców roznoszących herbatę, rozrzucając ich tace na wszystkie strony.

Jestem otoczona, pomyślała zdesperowana. Obyś na mnie czekał, Artemisie.

Holly przyszło do głowy, że prowadzi pogoń prosto do chłopaka, ale nie miała wyboru. Jeśli czekał, mógł jej pomóc. Jeśli nie, to i tak musiała liczyć tylko na siebie.

Zrobiła unik w lewo, ale drogę zastąpiło jej czterech sapiących strażników. Każdy trzymał w dłoni nieprzyjemnie wyglądający nóż o długim ostrzu.

No to chyba w drugą stronę.

Czyli w prawo. Holly z poślizgiem wpadła na suk skórzany, piętami wzniecając tuman kurzu.

Gdzie jesteś, Artemisie?

Uniosła wzrok w stronę ich punktu obserwacyjnego, ale niczego tam nie zobaczyła. Nawet charakterystycznego migotania tarczy.

Nie ma go.

Poczuła ukłucie paniki. Holly Nieduża była doskonałym oficerem operacyjnym, ale dawno już wykroczyła poza swoje kompetencje, swoją sferę i swój czas.

Na suku było teraz cicho. Tylko kilku robotników skrobało skóry na dachach otaczających plac. Poni-

żej trzaskał ogień w latarniach, a ogromne dzbany wyglądały jak kokony obcych. Woń była równie nieprzyjemna jak poprzednio, a może nawet gorsza, ponieważ zawartość kadzi dłużej się warzyła. Smród odchodów uderzył w nozdrza Holly jak miękka, gorąca rękawica, jeszcze bardziej mącąc jej umysł.

Biegnij dalej. Znajdź jakiś zakamarek.

Przez pół sekundy Holly zastanawiała się, którą część ciała byłaby gotowa poświęcić w zamian za broń, po czym puściła się biegiem w stronę drzwi w przeciwległej ścianie.

Pojawił się tam strażnik i wyciągnął z pochwy nóż. Ostrze było czerwone. Może to krew, a może rdza. Holly zmieniła kierunek, gubiąc przy tym but. Piętro wyżej znajdowało się okno, a ściana była spękana – można by się wspiąć.

Kolejni dwaj strażnicy. Uśmiechali się szeroko. Jeden trzymał sieć, zupełnie jak gladiator.

Holly wyhamowała z poślizgiem.

Jesteśmy na pustyni! Dlaczego on ma sieć rybacką?

Spróbowała jeszcze raz. Zaulek tak wąski, że dorosły człowiek ledwie by się zmieścił. Już prawie tam dotarła, kiedy drogę zablokował jej gruby strażnik z kucykiem aż do pasa i ustami pełnymi pożółkłych zębów.

Pułapka. Jestem w pułapce. Żadnej drogi ucieczki, nie mam tyle energii, żeby użyć tarczy. Nawet tyle, żeby zastosować mesmeryzację.

Pomimo całego posiadanego wykształcenia i doświadczenia z trudem zachowywała spokój. Czowała, jak zwierzęce instynkty buzują gdzieś w brzuchu.

Musisz przeżyć. Zrób wszystko, co tylko się da.

Ale co takiego mogła zrobić? Jedna nieuzbrojona wróżka wzrostu dziecka przeciwko drużynie mięśniaków z nożami.

Utworzyli wokół niej nierówne koło, w zwolnionym tempie lawirując pomiędzy dzbanami. Wszystkie pary lśniących, chciwych oczu skupiły się na jej twarzy. Byli coraz bliżej. Szeroko rozwarli ramiona, na wypadek gdyby ich ofiara próbowała się ratować ucieczką.

Holly widziała ich blizny i ślady po ospie, dostrzegła piasek pustyni pod paznokciami i na rękawach. Czuła ich oddechy i mogła policzyć plomby.

Uniosła wzrok ku niebu.

- Pomocy! - krzyknęła.

I wtedy zaczął padać deszcz diamentów.

Pod ośrodkiem likwidacjonistów

- To nie jest lemur - powtórzyła Opal Koboï, bębniąc w ziemię malutką stopą. - Wiem, że to nie lemur, bo nie ma ogona i najwyraźniej nosi ubranie. To jest człowiek, Mervallu. Błotny Chłopiec.

W drzwiach pojawił się drugi chochlik. Mervall Sielawa. Jeden z niesławnych braci Sielawów, którzy za kilka lat mieli odbić Opal z obitego materacami pokoju w szpitalu psychiatrycznym. Jego mina stanowiła mieszankę zdziwienia i przerażenia. To na żadnej twarzy nie wygląda ładnie.

- Nie rozumiem, panno Kobi - powiedział, miętosing guzik swego szkarłatnego fartucha. - Wszystko było gotowe na lemura. Sama pani mesmeryzowała Kronskiego.

Opal wydeła nozdrza.

- Czyżbyś sugerował, że jakimś cudem to jest moja wina?

Złapała się za gardło, jakby na samą myśl zabrakło jej powietrza.

- Nie, nie, nie - pędko zaprzeczył Mervall. - To nie może być wina panny Kobi. Panna Kobi to przecież wcielona perfekcja. A perfekcja nie popełnia błędów.

Każda zdrowo myśląca osoba rozpoznałaby w takim stwierdzeniu ewidentny przykład lizusostwa, ale Opal Kobi uznała je za trafne i racjonalne.

- Właśnie. Ładnie powiedziane, Mervallu. Szkoda, że twój brat nie ma nawet jednej dziesiątej twojego rozsądku.

Mervall rozpromienił się i wzdrygnął. Uśmiech był odpowiedzią na pochwałę, grymas zaś reakcją na przypomnienie, że jego bliźniak w tej chwili siedzi zamknięty w klatce ze świnia rzeczną, co stanowiło karę za to, że nie skomplementował nowych butów Opal.

Panna Kobi miała zły dzień. Obecnie złe były dwa na siedem. Jeśli miało być tak dalej, to pomimo astronomicznych zarobków bracia Sielawowie byliby chyba zmuszeni szukać innego pracodawcy.

Mervall postanowił skierować uwagę swej szefowej na inne tory.

- Oni tam na górze szaleją. Strzelają do siebie. Walczą na sztucce. Niezrównoważone towarzystwo z tyłu likwidacjonistów.

Opal pochyliła się nad Artemisem, lekko pociągnęła nosem i zaczęła machać mu ręką przed twarzą, aby sprawdzić, czy jest przytomny.

- Ten lemur miał być już ostatni. Byłam tak blisko zdobycia absolutnej potęgi.

- Jak blisko? - spytał Mervall.

Opal spojrzała na niego przez zmrużone powieki.

- Żarty sobie stroisz?

- Nie. Naprawdę chciałem wiedzieć...

- To takie wyrażenie - warknęła chochliczka, po czym szybkim krokiem ruszyła w stronę głównego pomieszczenia.

Mervall powoli pokiwał głową.

- Wyrażenie. Rozumiem. Co mam zrobić z tym człowiekiem?

Opal nawet nie przystanęła.

- Och, równie dobrze i z niego możesz pobrać płyn mózgowy. Ten ludzki to dobry środek nawilżający. Potem się spakujemy i sami poszukamy tego lemura.

- Czy jego odsączone ciało mam wrzucić do dołu na padlinę?

Opal uniosła ręce.

- Na niebiosa. Czy ja ci wszystko muszę mówić? Nie potrafisz wykazać odrobiny inicjatywy?

Mervall popchnął wózek z materacem w ślad za szefową.

Czyli do dołu na padlinę, pomyślał.

Suk skórzany

Diamenty sypały z góry niczym lśniący deszcz. Spadające gwiazdy, migoczące w świetle lamp.

Wynagrodzenie młodego Artemisa, zrozumiała Holly. Rzucił mi koło ratunkowe.

Przez moment strażnicy stali jak zamurowani. Mieli miny oszołomionych dzieci, które obudziły się i ze zdziwieniem stwierdziły, że są w dobrym nastroju. Wyciągnęli dłonie, patrząc, jak diamenty odbijają się od ziemi i toczą po uliczce.

Wreszcie jeden z mężczyzn przerwał trans.

- *Des diamants!* - zawołał.

Na dźwięk tego słowa jego towarzysze rzucili się do działania. Padli na kolana i zaczęli obmacywać pograżoną w mroku ziemię w poszukiwaniu drogocennych kamieni. Kolejni wskoczyli do cuchnących kadzi, pamiętając cichutkie pluśnięcia świadczące o tym, że diamenty wpadły do wody.

Chaos, pomyślała Holly. Idealnie.

Podniosła wzrok i zdążyła jeszcze dostrzec drobną dłoń, która schowała się w czarnym prostokącie okna.

Dlaczego to zrobił? - zastanawiała się. To gest zupełnie nie w stylu Artemisa.

Strażnik, który rzucił się na ziemię tuż obok jej nogi, przypomniał Holly, że sytuacja wciąż jest nieciekawa.

W swojej chciwości chwilowo o mnie zapomnieli, ale pewnie sobie przypominą, kiedy już napchają kieszenie.

Poświęciła chwilę, żeby zaszutować w stronę okna Artemisa, po czym zniknęła mu z pola widzenia, pędząc ku najbliższemu zaułkowi, lecz po drodze przygniótł ją zasapany Damon Kronski.

- Dwa na dwa - wydyszał. - Mam was oboje. To chyba mój szczęśliwy dzień.

Kiedy to się skończy? - pomyślała z niedowierzaniem Holly. Dlaczego to się ciągle dzieje?

Kronski przygniótł ją jak rozwścieczony słoń. Zmarszczki otaczały jego fioletowe okulary, pot spływał strumieniami po twarzy i skapywał z wydętej wargi.

- Tylko że to nie jest mój szczęśliwy dzień, prawda? - wykrzyknął doktor głosem, który graniczył z histerią. - Ty o to zadbałaś. Ty i ten twój współnik. No cóż, on skończył w mojej komorze gazowej. Teraz zajmę się tobą.

Holly była oszołomiona.

Artemis nie żyje?

Nie chciała w to uwierzyć. Nigdy. Ile to już osób spisało Artemisa Fowla na straty, a potem tego pożałowało? Wielu. Ona sama była jedną z nich.

Z kolei samą Holly dużo łatwiej było zabić. Oczy zachodziły jej mgłą, miała wrażenie, jakby poruszała się w wodzie, czuła na sobie ciężar całego świata. Jedy-

nym zmysłem, który wciąż działał z pełną siłą, było powonienie.

Co za koniec życia. Ostatnim tchnieniem wdycham smród gołębich odchodów.

Usłyszała, jak trzeszcza jej zebra.

Szkoda, że Kronski nie czuje tego zapachu.

W jej umyśle zapłonęła pewna myśl, niczym ostatni węgielek w gasnącym palenisku.

Dlaczego miałby go nie poczuć? Przynajmniej tyle moge zrobić.

Holly sięgnęła do samego jądra swej magii w poszukiwaniu tego ostatniego zaklęcia. Gdzieś w głębi wciąż coś się tliło. Nie starczyłoby na tarczę ani nawet na mesmeryzację, ale na drobne leczenie chyba tak.

Zwykle czary uzdrawiające stosuje się na świeże rany, jednak anosmia Kronskiego była wrodzoną dolegliwością. Wyleczenie jej w tej chwili mogło być niebezpieczne, a już na pewno bolesne.

A co tam, pomyślała Holly. Jak go zaboli, to zaboli.

Wyciągnęła rękę, mijając przedramię ściskające jej gardło, i powiodła dłonią przed twarzą Kronskiego, przywołując magię w koniuszki palców.

Doktor nie czuł się zagrożony.

- Co to ma być? Bawisz się w łapanie za nos?

Holly nie odpowiedziała. Zamknęła za to oczy, wepchnęła dwa palce w nozdrza Kronskiego i posłała tam swe ostatnie iskry magii.

- Zdrowiej - powiedziała.

To było zarazem życzenie i modlitwa.

Doktor był zaskoczony, ale niespecjalnie zaniepokojony.

- Ej, co do... - powiedział, po czym kichnął. I to na tyle mocno, że strzeliło mu w uszach, a sam stoczył się z pojmanej. - Masz pięć lat czy jak? Co ci przyszło do głowy, żeby wpychać mi palce do nosa?

Kolejne kichnięcie. Tym razem mocniejsze. Z każdego nozdrza wystrzelił strumień pary.

- To żalotne. Wy jesteście naprawdę...

Trzecie kichnięcie. Ono już wstrząsnęło całym jego ciałem. Łzy spłynęły mu po twarzy. Nogi doktora zaczęły się trząść, a szkła popękały w oprawkach.

- Ojej - powiedział Kronski, kiedy odzyskał panowanie nad kończynami. - Coś jest inaczej. Coś się zmieniło.

Wtedy uderzył go zapach.

- Aaaa - zawołał mężczyzna, po czym zaczął piszczeć.

Jego ściągną się napięty, palce u nóg ściągnęły, a palce u rąk szarpały powietrze.

- O raju - powiedziała Holly, rozcierając gardło.

Reakcja okazała się silniejsza, niż oczekiwała.

Zapach faktycznie był nieprzyjemny, ale Kronski zachowywał się tak, jakby miał umrzeć. Holly nie doceniła mocy rozbudzonego powonienia doktora. Wyobraźcie sobie radość pierwszego spojrzenia na świat albo euforię, która towarzyszy pierwszym krokom. Potem podnieście to do kwadratu i zmieńcie wartość na ujemną. Weźcie kulę trucizny, zanurczcie w cieniach i oborniku, owińcie bandażem zdjętym z ropie-

jącej rany, ugotujcie to wszystko w kotle niewyobrażalnie obrzydliwych odchodów, a potem wepchnijcie sobie do nosa.

Właśnie coś takiego czuł Kronski i doprowadzało go to do szaleństwa.

Targany drgawkami, leżał na plecach i szarpał powietrze.

- Obrzydliwe - powtarzał to słowo w kółko. - Obrzydliwe, obrzydliwe.

Holly podniosła się na kolana. Krztusiła się i pluła na suchy piasek. Jej ciało od stóp do głów było sponiewierane i potłuczone. Spojrzała na minę Kronskego i zrozumiała, że nie ma sensu zadawać mu jakichkolwiek pytań. Prezes likwidacjonistów tymczasowo nie nadawał się do logicznej rozmowy.

Chyba to i dobrze, pomyślała. Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby w najbliższym czasie kierował jakąkolwiek międzynarodową organizacją.

Holly coś zauważyła. Jedno ze szkielec Kronskego doszczętnie się rozbiło, odsłaniając gałkę oczną. Tęczówka miała dziwny, fioletowy kolor, niemal taki sam jak okulary mężczyzny, ale uwagę elficzki zwróciło coś innego. Krawędź siatkówki była postrzępiona, jakby nadgryziona przez malutką rybkę twaródkową.

Ten człowiek był mesmeryzowany, zrozumiała Holly. Steruje nim wróżka.

Elficzka podniosła się na nogi i w jednym bucie pokuśtykała w głąb najbliższego zaułka, zostawiając za sobą głosy chciwej sprzeczki.

Jeśli w tym wszystkim ma udział jakaś wróżka, to nic nie jest takie, na jakie wygląda. A skoro tak, to może Artemis jeszcze żyje.

Pod ośrodkiem likwidacjonistów

Mervall Sielawa puścił oko do własnego odbicia w chromowanych drzwiczkach zamrażarki na zwłoki.

Przystojny ze mnie gość, pomyślał, a ten fartuch całym skutecznie ukrywa mój brzuszek.

- Sielawa! - zawołała Opal ze swojego gabinetu. - Jak ci idzie z tym płynem mózgowym?

Merv aż podskoczył.

- Już zaraz będę odsysał, panno Koboi.

Chochlik całym ciężarem pchnął wózek z ludzkim ładunkiem i potoczył go krótkim korytarzem do samego laboratorium. Tkwienie tutaj, w tej ciasnocie z Opal Koboi to nie piknik. Tylko we trójkę przez długie tygodnie, zajęci pobieraniem płynów z przedstawicieli zagrożonych gatunków. Opal stać było na zatrudnienie setki asystentów, ale miała ultraparanoję na punkcie tajności. Doszło do tego, że o szpiegostwo zaczynała podejrzewać rośliny i przedmioty nieożywione.

„Ja potrafię hodować kamery! - wrzasnęła na braci Sielawów podczas jednej z odpraw. - Kto wie, czy temu podłemu centaurovi Ogierkowi nie udało się umieścić aparatury szpiegowskiej w roślinach? Więc wywalcie wszystkie kwiaty. I kamienie też. Nie ufam im. Podstępne małe blëbery”.

Tak więc bliźniacy Sielawowie spędzili całe popołudnie na czyszczeniu obiektu ze wszystkiego, co mogło kryć pluskwę. Trzeba się było pozbyć nawet kostek zapachowych z toalety, ponieważ Opal była przekonana, że robią jej zdjęcia, kiedy korzysta z tego przybytku.

Ale mimo wszystko panna Koboi ma prawo się obawiać, przyznał Merv, rozpychając dwuskrzydłowe drzwi laboratorium. Gdyby SKR dowiedziało się o jej projekcie, zamknęliby ją do końca życia.

Dwuskrzydłowe drzwi prowadziły do długiego laboratorium, wysokiego na trzy kondygnacje. Było to miejsce pełne cierpienia. Aż po sufit, jedną na drugiej, ustawiono klatki, a w każdej tkwiło jakieś zwierzę. Jęczały i zawodziły, uderzały o kraty, łomotały o drzwi. Wzdłuż całej konstrukcji śmigał robot, który wydawał pożywienie, wypluwając szare kulki karmy do odpowiednich klatek.

Środkową wysepkę zajmowały stoły operacyjne. Na stołach leżały dziesiątki zwierząt, tak jak Artemis ciasno spętanych teleskopowymi mackami. Chłopak dostrzegł tygrysa syberyjskiego. Łapy trzymał w powietrzu, a na czaszce miał wygolone kółka. Na każdym z nich znajdowało się coś, co przypominało malutki kawałek wątroby. Gdy mijali tygrysa, w jednym z tych kawałków coś chlupnęło, a malutka dioda na jego kręwdzi mignęła czerwonym światłem.

Merv przystanął i zdarł to coś z czaszki tygrysa. Artemis z przerażeniem stwierdził, że pod spodem miało tuzin ociekających płynem kolców.

- Jest pan pełny, pełniusieńki, Panie Genetycznik Modyfikowany Super Pijawko-Komarze. Oj, obrzydliwie z ciebie paskudztwo, oj tak. Ale nikt tak nie wyciąga płynu mózgowego jak ty. Chyba należy ci się wyciskanie.

Merv wcisnął pedał, który otwierał pobliską zamrażarkę. Grzebał wśród zlewek, aż wreszcie znalazł odpowiednią.

- O, to jest to. PM TygSyb.

Umieścił zlewkę na chromowanym blacie, a następnie ścisnął pijawkę niczym gąbkę, póki nie oddała całej swej płynnej zdobyczy. Następnie od niechcenia cisnął ją do śmieci.

- Moje ty kochanie - rzekł, wracając do wózka z Artemisem. - Będę tęsknił.

Artemis widział to wszystko spod przymrużonych powiek. Znajdował się w koszmarным, przesiąkniętym nikczemnością miejscu. Musiał się stąd wydostać.

Holly po mnie przyjdzie, pomyślał, a zaraz potem: Nieprawda. Uzna, że nie żyję.

Ta świadomość zmroziła mu krew w żyłach.

Wpadłem w ogień.

W takim razie muszę się ratować sam. Nie pierwszy raz. Ważne, żeby zachować czujność. Kiedyś pojawi się szansa, a wtedy trzeba być gotowym, by ją wykorzystać.

Mervall znalazł trochę miejsca w sekcji operacyjnej i zgrabnie wstawił w nie wózek z Artemisem.

- No i wciska się w niewiarygodnie wąską szparę. Mówili, że to niemożliwe. Mylili się. Mervall Sielawa to król parkowania wózków. - Chochlik bek-

nał. – Nie o takiej przyszłości myślałem, kiedy byłem młodszy.

Potem, jakby w zamyśleniu, zanurzył dzbanek z otworami w niskim akwarium, wylawiając naczynie pełne drgających superpijawkę.

O nie, pomyślał Artemis. Błagam.

Zaraz potem musiał zamknąć oczy, ponieważ Mervall obrócił się w jego stronę.

Na pewno zauważy, że oddycham. Uśpi mnie, a wtedy będzie po wszystkim.

Jednak Mervall najwyraźniej nie zauważył.

– Ojoj, jak ja was nienawidzę. Obłeśne. Powiem ci coś, człowieku. Jeśli twoja podświadomość mnie słyszy, to powinieneś się cieszyć, że śpisz, bo naprawdę nie chciałbyś przez to przechodzić na jawie.

Niewiele brakowało, żeby w tym momencie Artemis pękł. Pomyślał jednak o matce, o tym, że został jej już tylko niecały dzień, i nie odezwał się.

Poczuł, jak Mervall szarpie jego lewą rękę. Usłyszał stęknienie chochlika.

– Mocno się trzyma. Ot, taki tik.

Puścił go. Artemis śledził ruchy Mervalla, kierując się słuchem i węchem. Miękki brzuch otarł mu się o łokieć. Nad uchem poczuł oddech. Chochlik stał przy jego lewym ramieniu i sięgał w poprzek wózka.

Artemis odrobinę rozchylił powiekę i spojrzał przez szparkę. Dokładnie nad nim znajdowała się lampa bezcieniowa. Wisiała nad stołem operacyjnym na szerokim, płaskim ramieniu o chromowanej powierzchni.

Chromowanej. Odbijającej obraz.

Artemis obserwował na niej poczynania Mervalla. Chochlik stuknął w dotykowy panel kontrolny macek teleskopowych, odsłaniając gnomicką klawiaturę. Następnie, nucąc popularną popową piosenkę chochlików, wprowadził hasło. Jedną cyfrę z każdym taktem refrenu.

- Chochliki dają czadu! - śpiewał. - Odjazdowy chochlikowy rock, kotku!

Artemis powątpiewał w treść piosenki, ale cieszył się, że Mervall śpiewa, gdyż dzięki temu łatwiej było zapamiętać jego kod.

Mervall dezaktywował jeden z więzów, dzięki czemu mógł wyprostować przedramię Artemisa. Nawet gdyby człowiek się obudził, to w najlepszym razie mógł tylko machać rękami.

- A teraz, moja malutka pijaweczko, weź się do brudnej roboty dla cioci Opal, a ja ci się odwdzięczę, wyciskając twoje wnętrzości do wiadra. - Chochlik westchnął. - Dlaczego marnuję moje najlepsze teksty na pierścienice?

Następnie wyciągnął z dzbanka jedną pijawkę, uszczypnął, żeby wysunęła kolce, po czym przyłożył do odsłoniętego nadgarstka Artemisa.

Artemis nie poczuł nic, poza natychmiastowym przyplywem dobrego samopoczucia.

Dostałem środek uspokajający, zrozumiał. Stara sztuczka trolli. Odrobina radości przed śmiercią. Niezły chwyt, a zresztą jak przykre może być umieranie? Moje życie to próba za próbą.

Mervall spojrział na chronometr. Jego brat już strasznie długo tkwił w tej klatce recyklingowej za kuchnią. Świnia rzeczna w końcu zdecyduje się na porcję chochlikowego mięsa.

- Tylko sprawdzę - postanowił. - Wrócę, zanim pijawka się napełni. Najpierw krew, potem mózg. Powinieneś być pochwalić buty panny Opal, bracie.

No i podreptał środkowym korytarzem, po drodze szarpiąc siatkę każdej mijanej klatki i doprowadzając tym zwierzęta do szału.

- Chochliki dają czadu! - śpiewał. - Odjazdowy chochlikowy rock, kotku!

Artemisowi ciężko było się zebrać. Leżenie na wózku jest przecież takie łatwe. Ot, wystarczy pozwolić, żeby wszystkie troski odpłynęły przez ramię.

Kiedy człowiek postanawia umrzeć, pomyślał chłopiec ospale, to już nie ma znaczenia, ilu ludzi chce go zabić.

Mimo wszystko wolałby, żeby zwierzęta wreszcie się uspokoiły. Ich jazgot i świergot burzył mu nastrój.

Była tam nawet jakaś papuga, która w kółko skrzeczała jedno zdanie.

- Gdzie jest mama? - pytała bez przerwy. - Gdzie jest mama?

Moja mama to Angelina. Ona umiera.

Artemis otworzył oczy.

Mama. Matka.

Uniósł swobodne ramię i zmiażdżył pijawkę o jedną z macek. Wybuchła, rozpryskując wokół śluz i krew.

W przedramieniu chłopca zostało pół tuzina kolców. Sterczały jak włócznie malutkich żołnierzy.

Za jakiś czas to będzie mocno boleć.

Artemis miał sucho w gardle, bolał go wygięty kark i nie widział zbyt wyraźnie, ale mimo to aktywacja klawiatury przy użyciu kodu Mervalla i wyłączenie więzów zajęły mu zaledwie minutę.

Jeśli były podpięte pod alarm, to jestem w tarapatach.

Nie rozległ się jednak żaden sygnał. Chochliki nie przybiegły.

Mam czas. Ale nie za dużo.

Wyrwał kolce ze skóry, krzywiąc się nie z bólu, ale na widok okolonych czerwienią otworów w nadgarstku. Z każdej rany płynęła strużka krwi, jednak rozcieńczona i leniwa. Nie wykrwawi się na śmierć.

Koagulator w kolcach. Oczywiście.

Artemis krokiem zombie ruszył przez laboratorium, stopniowo się prostując. Obserwowały go setki oczu. Teraz zwierzęta były cicho. Nosy, dzioby i ryjki przycisnęły do siatki klatek, by obserwować rozwój wydarzeń. Jedyne dźwięki pochodził od robota wydającego pożywienie i przesuwającego się zgodnie z zaprogramowanym porządkiem.

Muszę tylko uciec. Nie ma potrzeby doprowadzać do konfrontacji ani ratować świata. Mogę zostawić Opal samej sobie i zwiąć.

Jednak oczywiście w świecie Artemisa Fowla mało co bywa proste. Chłopiec założył gogle sieciowe, które wisiały na nisko umieszczonym kołku, uruchomił v-klawiaturę i użył hasła Mervalla, żeby zalogować się

do sieci. Musiał sprawdzić, gdzie się znajduje oraz którądy może się wydostać.

Plany całego obiektu umieszczono w pliku na pulpicie. Żadnego zabezpieczenia, żadnych szyfrów. Zresztą po co? I tak nie zaplątałby się tutaj żaden człowiek, a nawet gdyby, to przecież ludzie nie znali gnomickiego.

Artemis studiował plany – uważnie i z rosnącym niepokojem. Obiekt składał się z serii połączonych modułów, mieszczących się w starożytnych tunelach pod ośrodkiem likwidacjonistów. Istniały jednak tylko dwie drogi na zewnątrz. Artemis mógł wyjść tą samą, którą się tu dostał, ale to nie było idealne rozwiązanie, ponieważ w ten sposób trafiłby znów na Kronskego. Do wyboru miał również port wahadłowców na niższym poziomie, to zaś oznaczałoby konieczność kradzieży i pilotowania maszyny. Szanse na to, że zdąży ominąć skomplikowane zabezpieczenia, zanim Opal go unicestwi, były minimalne. Musiał zatem udać się na górę.

– Podoba ci się moje laboratorium? – spytał jakiś głos.

Artemis spojrział przez wyświetlacz gogli. Stała przed nim Opal, trzymając się pod boki.

– Całkiem fajne miejsce, prawda? – ciągnęła po angielsku. – Te wszystkie tunele już tu na nas czekały. Były idealne. Gdy tylko je znalazłam, wiedziałam, że muszę je mieć, dlatego przekonałam doktora Kronskego, żeby się tu przeprowadził.

Informacja to władza, pomyślał Artemis. Niech jej od ciebie nie zdobędzie.

- Kim jesteś? - spytał.

- Jestem przyszlą królową tego świata. Co najmniej. Możesz się do mnie zwracać „panno Koboï”, w każdym razie przez najbliższe pięć minut. Potem możesz się do mnie zwracać: „aaaa”, złapać się za gardło, umrzeć z krzykiem na ustach i tak dalej.

Tak pompatyczna, jaką ją zapamiętałem.

- Wygląda na to, że jestem od pani większy, panno Koboï. A jeśli dobrze widzę, jest pani nieuzbrojona.

Opal się roześmiała.

- Nieuzbrojona? - wrzasnęła i rozpostarła ramiona. - Dzięki tym zwierzętom mam każdą broń, jakiej potrzebuję. - Poglaskała śpiącego tygrysa. - Ten duży kotek polepsza moją zdolność kontroli umysłów. Tamte ślimaki morskie pomagają w koncentracji promieni energii. Dawka płetwy delfina w stanie płynnym zmieszana z dokładnie odmierzoną dawką jadu kobry, pozwala cofnąć czas o sto lat.

- To jest fabryka broni - wykrztusił Artemis.

- Zgadza się - potwierdziła Opal, usatysfakcjonowana tym, że wreszcie ktoś to rozumie. - Dzięki tym zwierzętom oraz ich płynom stałam się najpotężniejszym magiem od czasów demonów czarowników. Likwidanci gromadzili zwierzęta, które były mi potrzebne. Głupcy. Nabrali się na tanie wybuchy holograficznych płomieni. Przecież nie mogłabym zabić tych wspaniałych istot, nie pozyskawszy z nich cennych substancji. Wy, ludzie, jesteście skończonymi idiotami. Wasze rządy w poszukiwaniu władzy wydają fortuny, podczas gdy ona cały czas hasa po dżunglach.

- Niezła przemowa - rzekł Artemis, poruszając palcami po klawiaturze, którą widział tylko on.

- Wkrótce będę...

- Niech zgadnę: wkrótce będziesz niezwykła.

- Właściwie to nie - odparła Opal z godną podziwu cierpliwością. - Wkrótce będę mogła manipulować czasem. Potrzebuję już tylko...

Nagle dla Artemisa wszystko ułożyło się w całość. Wszystko, co dotyczyło całej sprawy. I zrozumiał, że zdoła uciec.

- Lemura. Potrzebujesz już tylko lemura.

Opal klasnęła w dłonie.

- Zgadza się, bystry Błotny Chłopcze. Wspaniały płyn mózgowy lemura to ostatni składnik, którego brakuje w mojej formule wzmacniającej magię.

Artemis westchnął.

- Formule wzmacniającej magię? Sama siebie posłuchaj.

Opal nie zwróciła uwagi na szyderczy ton, być może dlatego, że rzadko się z nim stykała.

- Wcześniej miałam całą masę lemurów, ale SKR przywłaszczyło je sobie do leczenia jakiejś epidemii, a resztę straciłam w pożarze. Przepadły wszystkie obiekty badań, a ich płyny są niemożliwe do odtworzenia. Został tylko jeden i ja go potrzebuję. To mój model do klonowania. Dzięki temu lemurowi zdobędę kontrolę nad czasem. - Opal na chwilę zamilkła i postukała palcem w wygięte usta. - Poczekaj no, człowieku. Co wiesz o moim lemurze? - Odjęła palec od ust i zapaliła na jego koniuszku pulsującą kulę ognia,

która stopiła lakier na jej paznokciu. – Pytałam, co wiesz o moim lemurze.

– Ładne buty – rzekł Artemis, po czym ruchem palca wybrał opcję na ekranie gogli.

„Czy na pewno chcesz otworzyć wszystkie klatki?”
– spytał komputer.

Likwidacjoniści zakradali się z powrotem do ośrodka, prowadzeni przez nieustraszonego Tommy’ego Kirkenhazarda, który brawurowo wymachiwał pustym pistoletem, choć tak naprawdę raczej brakowało mu animuszu.

– Mam rzeczy w ośrodku – powtarzał tłumowi ściśniętemu za jego plecami. – Drogie rzeczy. I bez nich się nie ruszę.

Większość pozostałych osób również miała „drogie rzeczy”. Teraz, gdy Kronski leżał w katatonii na suku, a jego strażnicy najwyraźniej rozpięchli się z błyszczącymi łupami, nadarzała się najlepsza okazja, żeby odzyskać swoją własność, a następnie udać się na lotnisko.

Kirkenhazard odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że teren jest całkowicie opuszczony, choć roztrzęsioną grupę kilkakrotnie wystraszyły nocne cienie, podskakujące na marokańskim wietrze.

Nigdy zem nie strzelał z pustej broni, pomyślał Kirkenhazard. I raczej niewiele nią zdziałał.

Dotarli do drzwi głównej sali. Zwisaly z framugi na jednym zawiasie.

- Dobra, ludziska - powiedział Kirkenhazard. - Nie ma tragarzy, co by wam nosili rzeczy, więc musicie je sami dygować.

- O mój Boże - jęknęła baronowa Irina Kostowicz, po czym zemdlona osunęła się w ramiona szkockiego barona naftowego.

- Zbierajta, co się da, i spotykamy się tutaj za piętnaście minut.

Hrabina coś mruzczała.

- Co jest? - spytał Kirkenhazard.

- Powiedziała, że ma na rano umówiony pedikiur. Kirkenhazard uniósł rękę. Nasłuchiwał.

- Nie. Nie to. Czy wy też słyszycie łomot?

Zwierzęta, szalone z radości, nacierały przez otwarte klatki. Skakały, fruwały i pełzły. Lwy, lamparty, różne małpy, papugi, gazy, setki stworzeń, którym przyświecała tylko jedna myśl: uciec.

Opal nie było do śmiechu.

- Nie wierzę, że to zrobisz, Błotna Osobo. Wyźmę twój mózg jak gąbkę.

Artemis schował głowę, bo zupełnie mu się nie podobła ta mózgowo-gąbkowa metafora. Jeśli tylko będzie unikał władczego spojrzenia Opal, nie powinna go zmesmeryzować. Chyba że jej zwiększone moce pozwalały na dostęp do mózgu bez pośrednictwa nerwu wzrokowego.

Nawet gdyby się nie schylił, osłoniłaby go fala zwierząt. Rzucały się, popychały i kopały.

To niedorzeczne, pomyślał, gdy łokieć jakiejś mały py trafił go w klatkę piersiową, wypychając powietrze z płuc. Jeśli nawet Opal mnie nie dopadnie, to zwierzęta ją wyręczą. Muszę jakoś pokierować całym tym pędem.

Artemis czmychnął za jeden ze stołów operacyjnych, po drodze wyrывая tygrysowi kroplówkę ze środkiem znieczulającym. Zmrużył oczy, pomiędzy szczelbami przesuwających się łap wypatrując właściwego zwierzęcia.

Opal ryczała do tych stworzeń w mieszance ich języków. Ten przeszywający dźwięk rozdzielił w pół napierającą falę, która opłynęła ją z obu stron. Chochliczka na oślep wystrzeliwała z palców uderzenia pulsującej energii, ogłuszając i powalając na ziemię całe rzędy zwierząt. Klatki przewracały się jak klocki, a chłodziarki wypluwały zawartość na kafelki posadzki.

Ona opanuje ten chaos, pomyślał Artemis. Pora uciekać.

Wypatrzył kopyta, które galopowały w jego stronę, i przygotował się do skoku.

To kwagga, stwierdził. Pół koń, pół zebra. Od stu lat nikt nie hodował jej w niewoli. Nie jest to pełnokrwisty ruminant, ale musi mi wystarczyć.

Jazda okazała się mniej łagodna niż to, do czego przywykł na arabach Fowlów. Brakowało strzemion, skrzypiącego siodła, lejc. Nie wspominając już o tym, że kwagga była nieujeżdżona i śmiertelnie wystraszona.

Artemis pogładził ją po szyi.

To niedorzeczne, pomyślał. Cała ta scena. Martwy chłopic ucieka na wymarłym zwierzęciu.

Chwycił kwagę za grzywę i spróbował skierować swego wierzchowca w stronę otwartych drzwi. Kwaga podskakiwała, wierzgała, obracała pasiastą głowę, próbując ugryźć Artemisa swymi silnymi, kanciastymi zębami. Chłopak wbił pięty w jej boki i trzymał się mocno.

Opal zajęta była obroną przed falą zwierzęcej zemsty. Niektóre spośród większych drapieźników nie wystraszyły się tak jak ich kuzyni i uznały, że najlepszym sposobem, żeby pozbyć się zagrożenia, które stwarzała Opal Koboï, będzie ją zjeść.

Malutka chochliczka wirowała jak demoniczna baletnica. Wystrzeliwała ładunki magicznej energii, która pęczniała jak balony wokół jej ramion, zbierała kłębiącą się moc w kulach na wysokości łokci i wysyłała ją przed siebie pulsującymi falami.

Artemis nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Trafione zwierzęta zastygały w powietrzu, całkowicie pozbawione pędu. Opadały na ziemię jak posągi, nieruchome z wyjątkiem przerażonych, rozbieganych oczu.

Rzeczywiście jest potężna. Nigdy nie widziałem takiej mocy. Nie można pozwolić, żeby Opal schwytala Jayjaya.

Koboï kończyła się magia. Pociski energii wygasaly w locie albo wirując, lądowały daleko od celu niczym zagubione petardy. Chochliczka zrezygnowała z nich i wyjęła zza pasa dwa pistolety. Jeden z nich natychmiast wytrącił jej tygrys, który przyczłapał, by dołączyć się do zamieszania, jednak Opal nie uległa histerii. Kciukiem szybko przełączyła drugi pistolet na

tryb dużego rozproszenia, po czym poruszając lufą na boki, wystrzeliła wachlarz srebrnej energii.

Tygrys padł jako pierwszy, z miną, która zdawała się mówić: „znowu?” Dołączyło do niego kilka innych zwierząt, milknąc w pół skrzeku, wycia lub syku.

Artemis szarpnął za szorstką grzywę kwaggi i wskoczył z wierzchowcem na stół operacyjny. Zwierzę parsknęło z pretensją, ale posłuchało chłopca. Przechuchało po jednym stole i przeskoczyło na kolejny.

Opal wypaliła w ich kierunku, ale strzał zatrzymała para kondorów.

Drzwi znajdowały się wprost przed nimi. Artemis obawiał się, że kwagga opadnie z sił, ale nie – przebiła się na korytarz, który łączył laboratorium z pomieszczeniem z holograficznymi płomieniami.

Artemis prędko uruchomił w skradzionych okularach sieciowych panel kontrolny i wybrał ustawienia rampy.

Zanim platforma się wysunęła, minęło kilka nieznośnych chwil. Przez ten czas Artemis jeździł w kółko, żeby kwagga mniej myślała o zrzuceniu z grzbietu nieproszonego jeźdźca, a także po to, żeby stanowili trudniejszy cel, jeśli Opal podąży za nimi korytarzem.

Z góry zanurkował orzeł, ocierając skrzydłem o policzek Artemisa. Po klatce piersiowej chłopca wspiął się piżmak, po czym przeskoczył na unoszącą się platformę.

W górze było światło. Słabe, drgające promienie wadliwych świetlówek. Ale zawsze to jakieś światło.

- No dalej, mała! - powiedział Artemis, czując się kowbojem pełną gębą. - Iii-ha!

Likwidacjoniści zgromadzili się wokół Tommy'ego Kirkenhazarda i jego uniesionego palca. Słuchali uważnie, zupełnie jakby właśnie z niego dochodził hałas.

- O, nic nie słyszę - przyznał Tommy. - Musiało mi się wydawać. W końcu dla wszystkich wielbicielei ludzi to był bardzo stresujący wieczór.

Wtedy drzwi budynku stały otworem i likwidacjoniści utonęli w morzu zwierząt.

Kirkenhazard padł pod naporem kilku pawianów czakma. Na próżno ciągnął za spust pustej broni i w kółko wykrzykiwał:

- Przecież was zabiliśmy, do diaska! Przecież was zabiliśmy!

Chociaż tego wieczoru w ośrodku nie było żadnych ofiar, osiemnaście osób przyjęto do szpitala z pogryzieniami, otarciami, złamaniami kości i pasożytami. Najbardziej ucierpiał Kirkenhazard. Pawiany zjadły mu pistolet wraz z trzymającą go ręką, a następnie przekazały męczyznę półprzytomnemu tygrysowi, który obudził się w bardzo złym nastroju.

Nikt z likwidacjonistów nie zauważył małego, ciemnego pojazdu, który bezdźwięcznie uniósł się w powietrze za jedną z chat. Przeleciał nad centralnym parkiem, zgarniając po drodze długowłosego młodzieńca z wierzchowca wyglądającego jak osioł w paski. Maszyna wykonała ciasny skręt, zupełnie jak

kamień w procy, po czym popędziła w nocne niebo, jakby się jej bardzo spieszyło.

Pedikiur oraz wszystkie inne zabiegi zaplanowane na dzień następny zostały odwołane.

Opal była niepokieszona, gdy okazało się, że na domiar złego jej buty do niczego już się nie nadają.

- Co to za plama? - pytała Mervalla i jego świeżo uwolnionego bliźniaka, Descanta.

- Nie wiem - mruknął ten drugi, wciąż nieco markotny po pobycie w klatce.

- To jakieś odchody - wyjaśnił prędko Mervall. - Sądząc po rozmiarze i konsystencji, powiedziałbym, że któryś z dużych kotów trochę się zdenerwował.

Opal usiadła na ławce i wyprostowała nogę.

- Mervall, zdejmij go.

Oparła stopę o czoło chochlika i pchnęła tak mocno, że przewrócił się do tyłu, chwytając za upačkane odchodami obuwie.

- Ten Błotniak. On wie o lemurze. Musimy ruszyć za nim. Rozumiem, że został naznaczony.

- Och, tak - potwierdził Mervall. - Wszyscy nowo przybyli byli spryskiwani. Ten chłopak w każdym porze skóry ma teraz radioaktywny wskaźnik. Niegroźny, ale nie ukryje się przed nami nigdzie na ziemi.

- Dobrze. Wręcz świetnie. O wszystkim myślę, nieprawdaż?

- O tak, panno Koboï - wycedził Descant. - Genialna jesteś. Zdumiewająca w swym fantastyczeństwie.

- Ależ dziękuję, Descancie - odrzekła Opal, jak zwykle nieświadoma sarkazmu. - A już myślałam, że możesz mieć do mnie uraz po tym chlewie. Na marginesie, nie ma takiego słowa jak „fantastyczeństwo”. To tak na wszelki wypadek, gdybyś chciał opisać w swoim pamiętniku, jaka jestem wspaniała.

- Zapamiętam - odparł poważnym tonem Descant.

Opal podała Mervallowi drugą nogę.

- Dobrze. Teraz ustawcie mechanizmy autodestrukcji i przygotujcie wahadłowiec. Chcę znaleźć tego człowieka i natychmiast go zabić. Ostatnio byliśmy zbyt łagodni z tymi pijawkami. Teraz od razu czeka go śmierć.

Mervall się skrzywił. Trzymał właśnie dwa buty pokryte odchodami tygrysa, a jednak wolałby je włożyć niż zamienić się miejscami z tamtym człowiekiem.

Artemis leżał płasko na plecach w ładowni i zastanawiał się, czy ostatnie kilka minut mogło mu się tylko przyśnić. Te superpijawki, śpiące tygrysy i naburmuszona kwagga.

Poczuł, jak wibruje pod nim podłoga, i zrozumiał, że poruszają się z prędkością kilkakrotnie przekraczającą prędkość dźwięku. Nagle wibracje ustały, zastąpione dużo łagodniejszym pomrukiem. Zwalniali!

Artemis popędził do kabiny, gdzie Holly wpatrywała się w odczyty, zupełnie jakby w ten sposób mogła zmienić wyświetlane informacje. Jayjay siedział na fotelu drugiego pilota, tak jakby był odpowiedzialny za sterowanie.

Chłopic wskazał na lemura.

- To pytanie może zabrzmieć głupio, ale czy Jayjay...

- Nie. Autopilot. Na marginesie, miło cię widzieć żywego. Nie ma za co.

Artemis dotknął jej ramienia.

- Znów zawdzięczam ci życie. Nie chcę od razu przechodzić od wdzięczności do pretensji, ale dlaczego zwolniliśmy? Kończy nam się czas. Mieliśmy trzy dni, pamiętasz? Teraz zostało tylko kilka godzin.

Holly postukała w odczyt.

- W ośrodku zostaliśmy przez coś zarejestrowani. Czyjeś komputery pobrały nasze schematy. Może wiesz coś o tym?

- Opal Koboi - odparł Artemis. - To jej sprawka. Zbiera płyny różnych zwierząt, żeby wzmocnić swoją magię. Jeśli dostanie Jayjaya, będzie niepokonana.

Holly nie miała czasu na niedowierzanie.

- Wspaniale. Opal Koboi. Wiedziałam, że tej naszej skromnej wycieczce brak jeszcze elementu obłąkania. Jeśli to ona nas namierzyła, to usiądzie nam na ogonie w czymś nieco lepiej przystosowanym do walki niż ten gruchot.

- A tarcze?

- Kiepsko. Moglibyśmy oszukać ludzki radar, ale na pewno nie wrózkowe skanery.

- Co możemy zrobić?

- Musimy pozostać tutaj, w korytarzach powietrznych z całym ludzkim ruchem. Polecimy poniżej prędkości dźwięku, nie zwracając na siebie uwagi. W ostat-

niej chwili rzucimy się do Dworu Fowlów. Wtedy już nie będzie miało znaczenia, czy Opal nas zauważy, bo zanim nas dogoni, my znajdziemy się już w strumieniu czasu.

Mierzwa Grzebaczek wystawił głowę ze skrzynki na listy.

- Nic specjalnego. Parę złotych monet. Co wy na to, żebym je zatrzymał. I czy ktoś wspominał o Opal Koboi?

- Nie martw się. Mamy wszystko pod kontrolą.

Mierzwa wybuchnął śmiechem.

- Pod kontrolą? Tak jak w Rathdown Park? Tak jak na suku?

- Nie oglądasz nas w najlepszej formie - przyznał Artemis. - W przyszłości będziesz darzył kapitan Holly Niedużą i mnie szacunkiem.

Mina krasnala zdradzała powątpiewanie.

- Lepiej poszukam „szacunku” w słowniku, bo to musi znaczyć coś innego, niż mi się wydaje, prawda, Jayjay?

Lemur zaklaskał w delikatne rączki i zaskrzeczał tak jakby się śmiał.

- No, Mierzwa, wygląda na to, że znalazłeś sobie kompana na twoim poziomie intelektualnym - stwierdziła Holly, wracając do przyrzędów. - Szkoda, że nie jest dziewczynką. Moglibyście się pobrać.

Mierzwa udał, że jest w szoku.

- Romanse między gatunkami? Obrzydliwe. Co za dziwak mógłby pocałować kogoś, kto nie należy nawet do jego gatunku?

Artemis potarł skronie, które nagle zaczęły mu pulsować.

Przed nami długa droga do Tipperary, pomyślał, a potem jeszcze kilka mil do Dublina.

- Wahadłowiec? - zapytała Opal. - Wahadłowiec wrózek?

Maszyna Koboï unosiła się na wysokości pięćdziesięciu kilometrów, na granicy kosmosu. Światło gwiazd odbijało się od matowocznego kadłuba wahadłowca. Ziemia wisiała w dole, spowita szalem chmur.

- Takie są wskazania czujników - odrzekł Mervall. - Stary model górniczy. Nie za wiele pod maską i zero uzbrojenia. Powinniśmy go dogonić.

- Powinniśmy? - powtórzyła Opal, prostując nogę, by móc podziwiać swe nowe, czerwone buty. - Dlaczego „powinniśmy”?

- No, przez jakiś czas go mieliśmy. A potem zesзли poniżej prędkości dźwięku. Domyślam się, że dopóki nie poczują się bezpiecznie, ich pilot będzie się kryć wśród ludzkiego ruchu.

Opal uśmiechnęła się szatańsko. Lubiła wyzwania.

- Dobrze, musimy mieć wszystkie atuty. Dysponujemy prędkością i bronią. Musimy tylko obrać właściwy kierunek.

- Cóż za niesamowiteczny pomysł! - zawołał Descant z przekąsem.

Koboï była dotknięta.

- Proszę cię, Descancie. Używaj krótkich słów. Nie zmuszaj mnie, żebym cię unicestwiła.

Była to pusta groźba, ponieważ Opal od czasu zajścia w ośrodku nie potrafiła z siebie wykrzesać choćby iskierki. Wciąż dysponowała podstawowymi czarami - kontrolą umysłu, lewitacją, tego typu sprawami - ale żeby znów zebrać w sobie moc błyskawicy, potrzebowała solidnego odpoczynku. Jednak bracia Sielawowie nie musieli o tym wiedzieć.

- Oto mój pomysł. Przepuściłam nagrania z laboratorium przez aparaturę rozpoznającą głos. Program zidentyfikował miejsce pochodzenia tego Błotniaka. Kimkolwiek jest, mieszka w środkowej Irlandii. Zapewne w Dublinie. Descancie, musimy tam dotrzeć jak najszybciej, a kiedy ten górniczy wahadłowiec opuści korytarze powietrzne... - Opal zacisnęła drobne paluszki na wymaginowanej mrówce, wyciskając z niej całą krew. - Będziemy czekać.

- Fantastycznie - stwierdził Descant.

Dwór Fowlów

Słońce zdążyło wzejść i znów zaczynało opadać, kiedy Holly wreszcie przeciągnęła charkoczący wahadłowiec nad murem posiadłości Fowlów.

- Nasz czas się kończy, a ta kupa złomu ledwie ziępie - powiedziała do Artemisa. - Czuję w środku, jak iskra Numeru Jeden gaśnie, ale jeszcze zdążymy.

Artemis kiwnął głową. Widok posiadłości sprawiał, że coraz bardziej niecierpliwił się i martwił o matkę.

Muszę wracać do domu.

- Świetnie, Holly. Udało ci się. Posadź maszynę na tylnym dziedzińcu. Wejdziemy do domu przez drzwi kuchenne.

Holly wcisnęła kilka guzików.

- Zatem tylny dziedziniec. Szukam alarmów. Znalazłam dwa i jeszcze jeden podstępny. To chyba czujniki ruchu, jeśli się nie mylę. Tylko jeden zdalnie monitorowany, pozostałe są samodzielne. Mam wyłączyć ten zdalny?

- Tak, Holly, proszę, wyłącz alarm. Czy ktoś jest w domu?

Elficzka sprawdziła skan termiczny.

- Jedno ciepłe ciało. Górne piętro.

Artemis westchnął. Z ulgą.

- Dobrze. Tylko matka. Do tej pory musiała już wziąć tabletki na sen. Młodszy ja nie mógł jeszcze wrócić.

Holly posadziła wahadłowiec najdelikatniej, jak umiała, ale przekładnie były już zużyte, a w amortyzatorach brakowało płynu. Stateczniki miały wgniecenia, a żyroskop wirował jak chorągiewka na dachu. Podwozie wyrwało pas kocich łbów z dziedzińca, tak jak pług rozgarnia bryły torfu.

Artemis wziął Jayjaya w ramiona.

- Gotowy na kolejne przygody, mały?

Okrągle oczy lemura pełne były niepokoju. Zwierzátko patrzyło na Mierzwę, szukając otuchy.

- Zawsze pamiętaj - rzekł krasnal, drapiąc je pod brodą - że to ty jesteś ten cwany.

Mierzwa znalazł stary worek i zaczął do niego upychać zawartość lodówki.

- Nie ma potrzeby - powiedziała Holly. - Statek jest twój. Weź go, załaduj swój łup i odleć jak najdalej stąd. Wrzuć ten złom do morza i przez parę lat żyj z tego, co na tym wszystkim zarobisz. Tylko obiecaj, że niczego nie sprzedasz ludziom.

- Wyłącznie złom - odparł Mierzwa. - I mówiłaś, że mogę zatrzymać wahadłowiec?

- Właściwie to proszę cię, żebyś go zezłomował. Wyrządzisz mi przysługę.

Krasnal uśmiechnął się szeroko.

- Jestem wielkoduszną osobą. Stać mnie na przysługę.

Holly odpowiedziała uśmiechem.

- Dobrze. I pamiętaj, kiedy spotkamy się ponownie: to wszystko w ogóle nie miało miejsca. Inaczej pewnie rzeczywiście nie będzie miało.

- Będę milczał jak głaz.

Artemis przycisnęła się obok niego.

- Za taki widok tobym nawet zapłacił. Mierzwa Grzebaczek z zamkniętymi ustami.

- Tak, mnie też było miło cię poznać, Błotny Chłopcze. Nie mogę się doczekać, kiedy cię w przyszłości okradnę.

Artemis uściśnął mu dłoń.

- Możesz w to nie wierzyć, ale ja też się nie mogę doczekać. Czeka nas dużo wspaniałych przeżyć.

Jayjay również wyciągnął łapkę.

- Opiekuj się tym człowiekiem - powiedział do niego Mierzwa poważnym tonem. - Ciężko myśli, ale chce dobrze.

- Do widzenia, panie Grzebaczek.

- Na razie, paniczu Fowl.

Opal po raz trzeci powtarzała cykl medytacyjny Goli Schweema, kiedy do jej prywatnej kwatery wpadł Mervall.

- Znaleźliśmy wahadłowiec, panno Koboï - wydyśzał, przyciskając do piersi elastekran. - Nad Morzem Śródziemnym na zaledwie minutę przekroczyli prędkość dźwięku. To wystarczyło.

- Humm humm haaa. Rahmumm humm haaaa - zaintonowała Opal, kończąc pieśń. - Spokoju, wypełnij mnie; tolerancjo, otaczaj mnie; przebaczenie, znaczniki moje ścieżki. A teraz, Mervallu, pokaż mi, gdzie jest ten przebrzydły człowiek, żebyśmy mogła go nakarmić jego własnymi wnętrznościami.

Mervall podał jej elastekran.

- Czerwona kropka. Wschodnie wybrzeże.

- Obiekt wojskowy?

- O dziwo nie. To rezydencja. Nie ma żadnych zabezpieczeń.

Opal wstała z przytulnego fotela.

- Dobrze. Przeprowadź skany. Włącz działa. Schodzimy na dół.

- Tak jest, panno Koboï.

- Aha, Mervall...

- Tak, panno Koboi?

- Sądzę, że mały Descant się we mnie podkochuje. Powiedział mi dzisiaj, że jestem bardzo fotoatrakcyjna. Biedny głupek. Czy mógłbyś mu powiedzieć, że jestem niedostępna? W przeciwnym razie będę go musiała zabić.

Merv westchnął.

- Powiem mu, panno Koboi. Z pewnością będzie zdysierdzony.

Artemis przyłapał się na tym, że chodząc po rezydencji, drapie Jayjaya po łebku.

- Spokojnie, mały. Teraz już nikt cię nie skrzywdzi. Jesteśmy bezpieczni.

Holly szła schodami tuż za nim, kryjąc tyły. Dwa palce trzymała sztywno wyprostowane. Nie były nabita bronią, ale przy odpowiednim impecie mogły łamać kości.

- Chodź, Artemisie. Numer Jeden jest coraz słabszy. Wkrótce musimy wykonać skok.

Na dwunastym stopniu chłopiec ominął płytę czułą na ciężar.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Już tylko kilka sekund.

Gabinet był dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawił. Szafa wciąż stała otwarta. Szalik zwisał z górnej półki niczym uciekający wąż.

- Dobrze - powiedział Artemis. Czuł się coraz pewniej. - To jest to miejsce. Dokładnie to.

Holly dyszała.

- Najwyższy czas. Trudno mi utrzymać sygnał. To zupełnie jak uganianie się za jakimś zapachem.

Artemis objął ją ramieniem. Wszyscy troje byli zmęczeni, głodni, lecz podekscytowani.

Holly zadrżała z wyczerpania i napięcia, które do tej pory ukrywała.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała.

- Ja też - przyznał chłopak. - A potem zrozumiałem, że nie mogę umrzeć. Nie w tym czasie.

- Zakładam, że mi to wyjaśnisz.

- Później. Przy kolacji. Czy teraz moglibyśmy otworzyć strumień czasu, przyjaciółko?

Nagle ze świstem odsunęła się zasłona w oknie wykuszowym. Stali tam młody Artemis oraz Butler, obaj w foliowych skafandrach. Butler rozpiął swój ubiór, odsłaniając duży pistolet przypięty do klatki piersiowej.

- Coś ty mówił o strumieniu czasu? - spytał dziesięcioletni Artemis.

Mierzwa Grzebaczek właśnie zakopywał złotą monetę jako ofiarę dla Krętka, kransoludzkiego bożka szczęścia, kiedy wybuchła pod nim ziemia i w efekcie znalazł się na dziobie wahadłowca-lodołamacza.

Nawet nic nie usłyszałem, pomyślał, a potem: No to wszystko, jeśli chodzi o Krętka.

Zanim zdążył się ogarnąć na tyle, żeby stwierdzić, gdzie jest góra, a gdzie dół, został pchnięty pod je-sion, z lufą neutrino wciśniętą w jabłko Adama. Włosy w brodzie krasnala instynktownie zrozumiały, że broń nie jest przyjazna, i oplotły lufę.

- Fajny wahadłowiec - powiedział Mierzwa, grając na czas, póki nie zgasną gwiazdy tańczące mu przed oczami. - Zgaduję, że ma silnik szeptowy.

Przed krasnałem stały trzy chochliki. Dwa płci męskiej i jeden żeńskiej. Ogólnie chochliki nie należą do zbyt groźnych istot, ale ci dwaj byli uzbrojeni, a ona miała to spojrzenie.

- Założę się - powiedział Mierzwa - że podpalila byś świat tylko po to, żeby patrzeć, jak płonie.

Opal wstukała tę sugestię do niewielkiego elektronicznego notatnika w kieszonkowym komputerze.

- Dzięki. A teraz gadaj.

Będę się przez minutę opierał, a potem sprzedam jej trochę fałszywych informacji, pomyślał Mierzwa.

- Nic ci nie powiem, chochlikowa diablico - odparł, a jego jabłko Adama nerwowo uderzało o lufę pistoletu.

- Uch - warknęła Opal, z frustracją tupiąc nogą.
- Czy nikt się mnie nie boi?

Zsunęła rękawiczkę i przyłożyła kciuk do skroni Mierzwy.

- Teraz wszystko mi pokaz.

I używając ostatnich iskierek nieuczciwie zdobytej magii, wyssała z mózgu Mierzwy całą pamięć ostatnich kilku dni. Było to niezwykle nieprzyjemne uczucie nawet dla kogoś przywykłego do wydalania z siebie ogromnych ilości materii. Krasnal bełkotał i rzucał się, gdy ostatnie dni odpływały z jego głowy jak wyciągnięte odkurzaczem. Kiedy Opal zdobyła to, co chciała, zostawiła go nieprzytomnego w błocie.

Po godzinie miał się przebudzić z czipem startowym do wahadłowca SKR w kieszeni, nie mając bladego pojęcia, jak się tam znalazł.

Opal zamknęła oczy i zaczęła przeglądać nowe wspomnienia.

- Ach - rzekła z uśmiechem. - Strumień czasu.

- Nie ma na to czasu - nalegał Artemis.

- Chyba jednak jest - odparł dziesięcioletni Artemis. - Znowu włamałeś się do mojego domu, więc mógłbyś co najmniej wyjaśnić, o co chodzi z tym strumieniem czasu. Nie wspominając już o tym, że w ogóle jeszcze żyjesz.

Starszy Artemis ruchem głowy odrzucił włosy z twarzy.

- Teraz musisz mnie już rozpoznawać. Bez wątplenia.

- To nie reklama szamponu. Przestań odrzucać te włosy.

Holly niemalże zgięła się wpół, trzymając dłoń na sercu.

- Pospiesz się - jęknęła. - Albo będę musiała wracać bez ciebie.

- Błagam - prosił Artemis. - Musimy iść. To sprawa życia i śmierci.

Młody Artemis był nieporuszony.

- Miałem przeczucie, że wróciacie. To tutaj wszystko się zaczęło, właśnie w tym miejscu. Przejrzałem nagrania z monitoringu. Po prostu pojawiliście się w tym pokoju. Potem pojechaliście za mną do Afry-

ki, więc uznałem, że jeśli uratuję życie temu lemurowi, to może wrócicie z nim tutaj. Po prostu zablokowaliśmy swoje ślady termiczne i czekaliśmy. No i jesteście.

- Bardzo liche rozumowanie - odparł starszy Artemis. - Najwyraźniej chodziło nam o lemura. Kiedy już go zdobyliśmy, po co mieliśmy tu wracać?

- Zdaję sobie z tego sprawę, że są w nim słabe punkty, ale nie miałem nic do stracenia. I, jak widać, sporo do zyskania.

Holly brakowało cierpliwości, by wysłuchiwać przechwałek Fowlów.

- Artemisie, wiem, że masz serce. Jesteś dobrym człowiekiem, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiesz. Poświęciłeś diamenty, żeby uratować mi życie. Co będzie potrzebne, żebyś nas puścił?

Młody Artemis zastanawiał się nad tym pytaniem przez irytujące półtorej minuty.

- Prawda - rzekł w końcu. - Chcę poznać absolutną prawdę o całej tej sprawie. Kim ty jesteś? Dlaczego on wygląda tak znajomo? Czemu ten lemur jest taki wyjątkowy? Wszystko.

Starszy Artemis przycisnął Jayjaya do piersi.

- Dajcie mi nożyczki - powiedział.

Opal wbiegła do rezydencji, od niechcienia tłumiąc magiczne mdłości, które towarzyszyły wejściu bez zaproszenia do ludzkiej siedziby.

Strumień czasu, pomyślała, niemal chichocząc z podniecenia. *Wreszcie mogę sprawdzić moje teorie.*

Manipulowanie czasem od dawna było jej największym marzeniem. Możliwość kontrolowania podróży w czasie to najpotężniejsza forma władzy. Jednak bez lemura magia Opal nie była wystarczająco silna. Spowalnianie czasu na kilka godzin wymagało zespołów czarowników z SKR. Magia potrzebna do otwarcia drzwi do tunelu była niewyobrażalna. Łatwiej już zestrzelić księżyc.

Opal wstukała tę myśl do notatnika.

„Pamiętać. Zestrzelenie księżycy? Możliwe?”

Gdyby jednak zdołała się dostać do tunelu, miała pewność, że prędko opanowałyby związaną z tym wiedzę.

To prawdopodobnie intuicyjny organizm, a ja, bądź co bądź, jestem genialna.

Weszła po schodach, nie zważając na to, że wysokie, ludzkie schody obcierają jej nowe buty. Mervall i Descant wlekli się za nią, zaskoczeni tym brakiem dbałości o obuwie.

- Ja za buty wylądowałem w chlewie - mruknął Descant. - Teraz ona te ociera o schody. Typowa niekonsekwencja w stylu Koboï. Chyba mi się robi wrzód.

Opal dotarła na szczyt schodów i natychmiast pojechała przez otwarte drzwi.

- Skąd ona wie, że to ten pokój? - zastanawiał się Descant.

- Och, nie mam pojęcia - odparł Mervall, opierając dłonie na kolanach. Wchodzenie po ludzkich schodach nie jest łatwe dla chochlików. Duże głowy, krótkie nogi, malutkie płuca. - Może to przez magicz-

ną czerwoną poświatę, która bije od drzwi. Albo ogłuszające wycie wiatrów czasu.

Descant kiwnął głową.

- Możesz mieć rację, bracie. I nie myśl, że nie potrafię rozpoznać sarkazmu.

Opal powolnym krokiem wyszła z pokoju z kwaśną miną.

- Już ich nie ma - oznajmiła. - A tunel zaraz się zamknie. Aha, i moje buty są zniszczone. Więc, chłopcy, zastanawiam się, na kogo zrzucić winę.

Bracia Sielawowie spojrzeli po sobie, po czym obrócili się i popędzili przed siebie tak szybko, jak tylko mogły ich ponieść ich malutkie nóżki.

Niedostatecznie szybko.



DZIURAWY AS

Gdy tylko znaleźli się w strumieniu czasu, Holly się odprężyła.

Chwilowo bezpieczni.

Jayjay był bezpieczny. Wkrótce matka Artemisa wyzdrowieje. Holly postanowiła, że wtedy trzaśnie swego dawnego przyjaciela prosto w tę jego pełną samozadowolenia twarz.

„Zrobiłem to, co musiałem – powiedział jej Artemis. – I zrobiłbym to ponownie”.

I pomyśleć, że ona go pocałowała. Pocałowała!

Holly rozumiała motywy Artemisa, ale głęboko ją zraniło, że uznał za konieczne uciec się do szantażu.

I tak bym ci pomogła. Na pewno.

Czyżby? Czy działałabyś wbrew rozkazom? A może Artemis miał rację, postępując właśnie tak?

Holly wiedziała, że te pytania będą ją prześladować jeszcze przez wiele lat. O ile w ogóle zostało przed nią jeszcze tyle czasu.

Podróż była bardziej uciążliwa niż poprzednio. Strumień czasu burzył jej poczucie własnego ja. Holly czuła słodką pokusę, by się rozluźnić, zapominając o koncentracji. Owinięty połyskującymi falami czasu, jej świat zdawał się mniej ważny. Przyjemnie byłoby stać się częścią wiecznej rzeki. A jeśli wszystkie rasy wrózek wytrzebi zaraza, to co z tego?

Obecność Numeru Jeden pobudziła świadomość Holly, wzmacniając jej determinację. Moc małego demona była w strumieniu wyraźna – lśniąca nic szkarlatu, która ciągnęła ich przez chaos. W cieniach poruszały się jakieś kształty. Ostre, szybkie. Holly wyczuwała zęby i zakrzywione palce.

Czy Numer Jeden nie wspominał czasem o kwantowych zombie? To pewnie był żart. Błagam, niech to będzie tylko żart.

Skup się! – nakazała sobie Holly. Albo zostaniesz wchłonięta.

Czuła obecność pozostałych podróżujących z nią bytów. Jayjay był zaskakująco spokojny, jeśli wziąć pod uwagę otoczenie. Gdzieś na obrzeżu znajdował się Artemis. Jego determinacja była ostra jak brzytwa.

Numer Jeden czeka szok, pomyślała Holly, kiedy wyskoczymy z tunelu.

Kiedy cała grupka wytoczyła się ze strumienia czasu i odzyskała kształt na podłodze gabinetu Artemi-

sa, Numer Jeden nie wyglądał na szczególnie zszokowanego.

- Widzieliście jakieś zombie? - spytał, upiornie poruszając palcami.

- Bogom dzięki! - zawołał Ogierek z ekranów telewizyjnych, po czym głośno wypuścił powietrze przez szerokie nozdrza. - To było najdłuższe dziesięć sekund mojego życia. Macie lemura?

Odpowiedź nie była potrzebna, ponieważ Jayjay uznał, że podoba mu się głos Ogierka, i polizał najbliższy ekran. Język małego zwierzaka psyknął, więc lemur odskoczył, rzucając centaurovi gniewne spojrzenie.

- Jeden lemur - stwierdził Ogierek. - Nie ma samicy?

Holly otrząsnęła gwiazdy z oczu, mgłę z umysłu. Ślady strumienia czasu pozostawały w jej głowie jak ostatnie chwile snu.

- Nie. Nie ma samicy. Będziesz go musiał skłonić.

Ogierek spojrzał w głąb pomieszczenia, na drżącą postać na podłodze za plecami Holly.

Uniósł brew.

- Widzę, że mamy...

- Później o tym porozmawiamy - odparła ostro Holly, przerywając centaurovi. - Teraz przed nami zadanie do wykonania.

Ogierek w zamyśleniu kiwnął głową.

- W takim razie zgaduję, że Artemis ma jakiś plan. Czy to stanowi dla nas jakiś problem?

- Tylko pod warunkiem, że spróbujemy mu przeszkodzić - odparła Holly.

Artemis wziął Jayjaya w ramiona. Gładził czub na głowie małego lemura i uspokajał go rytmicznym cmokaniem.

Holly stwierdziła, że i ona czuje się spokojniejsza. Nie dzięki cmokaniu, lecz dlatego, że zobaczyła w lustrze swoją twarz. Znów była sobą. Body pasowało idealnie. Dorosła kobieta. Koniec z nastoletnim mętlikiem w głowie. Poczuje się jeszcze lepiej, gdy odzyska swój sprzęt. Nic tak nie poprawia pewności siebie jak neutrino przy pasie.

- Pora iść do mamy - stwierdził ponuro Artemis, wybierając z szafy garnitur. - Jak dużo płynu powinienem jej podać?

- To mocny środek - odparł Ogierek, wystukując na klawiaturze jakieś obliczenia. - Dwa centymetry sześciennie. Nie więcej. W apteczce Holly jest strzykawka. Uważaj przy pobieraniu płynu z mózgu. Znajdziesz tam też środek znieczulający. Daj Jayjayowi trochę na waciku i nic nie poczuje.

- Dobrze - rzekł Artemis, chowając apteczkę do kieszeni. - Wejść sam. Mam nadzieję, że matka mnie rozpozna.

- Ja też - przyznała Holly. - Inaczej może mieć coś przeciwko temu, żeby obcy człowiek wstrzykiwał jej płyn mózgowy lemura.

Dłoń Artemisa zawisła nad kryształową gałką w drzwiach sypialni jego rodziców. W jej fasetach wi-

dział tuzin odbić własnej twarzy. Na każdym była zmartwiona i wymizerowana.

Ostatnia szansa. Moja ostatnia szansa, żeby ją uratować.

Ciągle próbuję kogoś ratować, pomyślał. Przecież podobno jestem przestępcą. Kiedy to się wszystko tak poplątało?

Nie pora na zadumę. Gra toczyła się o dużo większą stawkę niż złoto czy niesława. Matka Artemisa umierała, a ratunek dla niej siedział przycupnięty na jego ramieniu i szukał mu na głowie kleszczy.

Chłopiec zacisnął palce na gałce. Dość tych rozmyślań. Teraz pora na czyny.

W pokoju było jakby chłodniej, niż pamiętał, ale to na pewno tylko jego wyobraźnia.

Każdy umysł płata figle. Nawet mój. Chłód, który czuje, to projekcja mojego nastroju, nic więcej.

Sypialnia rodziców miała kształt prostokąta. Ciągnęła się wzdłuż zachodniego skrzydła, od frontu aż po tył. Właściwie była bardziej apartamentem niż sypialnią. Miała własny salon i kącik biurowy. Duże łóżko z baldachimem stało pod kątem, tak by latem światło przechodzące przez witraż w średniowiecznym okrągłym okienku padało wprost na wysadzone kamieniami wezłowie.

Artemis stawiał stopy na dywanie ostrożnie jak baletnica, żeby nie nadepnąć na wzór winorośli.

„Po winorośli nadepnięciu musisz policzyć do dziewięciu”.

Pech to ostatnie, czego teraz potrzebował.

Angelina Fowl leżała rozciągnięta na łóżku, jakby ktoś ją tam rzucił. Głowę miała odchyloną do tyłu w taki sposób, że linia biegnąca od szyi do brody stała się niemal prosta. Skóra kobiety była tak blada, że zdawała się prawie przezroczysta.

Nie oddycha, pomyślał Artemis. Serce zatrzepotało mu w panice jak ptak uwięziony w klatce. *Pomyliłem się. Przybyłem za późno.*

Wtedy całym ciałem matki wstrząsnęły konwulsje. Z bólem zaczerpnęła powietrza.

Determinacja Artemisa niemal go opuściła. Nogi miał z waty, a czoło mu płonęło.

To jest moja matka. Jakże mogę zrobić to, co konieczne?
Ale musiał. Nikt inny nie mógł go wyręczyć.

Stał przy niej i delikatnie odgarnął kosmyki włosów z jej twarzy.

- Jestem tu, mamu. Wszystko będzie w porządku. Znalazłem lekarstwo.

Jakimś cudem Angelina Fowl usłyszała słowa syna i gwałtownie otworzyła oczy. Nawet jej tęczęwki straciły barwę, stając się lodowobłękitne niczym jezioro zimą.

- Lekarstwo - westchnęła. - Mój mały Arty znalazł lekarstwo.

- Zgadza się - powiedział Artemis. - Mały Arty znalazł lekarstwo. To lemur. Pamiętasz tego madagaskarskiego lemura z Rathdown Park?

Angelina uniosła kościsty palec, żeby podrapać powietrze przed nosem Jayjaya.

- Lemurek. Lekarstwo.

Jayjay, zaniepokojony widokiem upiornie wychudłej kobiety, schował się za głową Artemisa.

- Dobry lemur - powiedziała Angelina, a jej usta wykrzywił słaby uśmiech.

Teraz to ja jestem rodzicem, pomyślał chłopak, *a ona jest dzieckiem*.

- Mogę go potrzymać?

Artemis zrobił pół kroku w tył.

- Nie, mamu. Jeszcze nie. Jayjay to bardzo ważna istota. Ten maluch może uratować świat.

Angelina mówiła przez zęby.

- Daj mi go potrzymać. Tylko przez chwilę.

Jayjay zszedł na plecy Artemisa, jakby zrozumiał jej prośbę i nie chciał, żeby wzięła go na ręce.

- Arty, proszę. Bardzo by mi pomogło, gdybym mogła go potrzymać.

Artemis prawie podał jej lemura. Prawie.

- Trzymanie go cię nie wyleczy, mamu. Muszę ci wstrzyknąć do żyły pewien płyn.

Angelina zdawała się odzyskiwać siły. Przesunęła się w tył i oparła głowę o wezglowie.

- Arty, nie chcesz, żebym była szczęśliwa?

- W tej chwili wolę, żebyś była zdrowa niż szczęśliwa - odparł Artemis i ani drgnął.

- Nie kochasz mnie, synku? - jęknęła Angelina. - Nie kochasz swojej mamusi?

Artemis poruszał się energicznie. Otworzył apteczkę i zacisnął palce na pistolecie transfuzyjnym. Po bladym policzku spłynęła mu samotna łza.

- Kocham cię, mamó. Kocham cię nad życie. Gdybyś tylko wiedziała, przez co przeszedłem, żeby odnaleźć małego Jayjaya. Nie ruszaj się przez pięć sekund, a potem ten koszmar się skończy.

Oczy Angeliny zmieniły się w dwie chytre szparki.

- Nie chcę, żebyś zrobił mi zastrzyk, Artemisie. Nie jesteś pielęgniarzką. Czy tu gdzieś nie było doktora? Czy tylko mi się śniło?

Artemis przygotował pistolet i czekał, aż zaświeci się zielona lampka.

- Przecież już robiłem zastrzyki. Niejeden raz podawałem ci leki, kiedy ostatnio byłaś... chora.

- Artemisie! - warknęła Angelina, uderzając otwartą dłoń w koldrę. - Żądam, żebyś dał mi lemura! Natychmiast! I zawołaj lekarza.

Chłopiec wyjął fiolkę z apteczki.

- Mamó, wpadasz w histerię. Nie jesteś sobą. Zanim wstrzyknę antidotum, chyba powinienem ci dać środek uspokajający.

Wsunął fiolkę do pistoletu i sięgnął po ramię matki.

- Nie - Angelina dosłownie zaskrzeczała, odpychając jego rękę z zaskakującą siłą. - Z dala ode mnie z tymi prochami z SKR, ty głupku.

Artemis zamarł.

- Z SKR? Co wiesz o SKR?

Angelina zaczęła skubać wargę jak dziecko, które coś przeskrobało.

- Co? Czy powiedziałam SKR? Ot, trzy litery, nic więcej. Nic dla mnie nie znaczą.

Artemis zrobił kolejny krok w tył, troskliwie obejmując Jayjaya.

- Powiedz mi prawdę, mamó. Co tu się dzieje?

Angelina porzuciła pozę niewiniątka. Zaczęła walić delikatnymi pięściami w materac, kwicząc z frustracji.

- Nienawidzę cię, Artemisie Fowl! Ty uciążliwy człowieku! Jakże ja cię nie znoszę!

Nie były to słowa, których można by się spodziewać z ust własnej matki.

Angelina leżała płasko na łóżku i gotowała się z wściekłości. Dosłownie się gotowała. Jej oczy zapadły się w głąb czaszki, ścięgna na ramionach i szyi napięły się tak bardzo, że wyglądały jak stalowe liny. Cały czas bełkotała ze złością.

- Kiedy będę miała lemura, wszystkich was zmiażdę. SKR, Ogierka, Juliusza Bulwę! Was wszystkich. Wyślę psy laserowe do każdego tunelu w skorupie ziemskiej, aż wreszcie wykurzę stamtąd tego wstrętnego krasnala. A jeśli chodzi o tę panią kapitan, to zrobię jej pranie mózgu i uczynię moją niewolnicą. - Rzuciła nienawistne spojrzenie na Artemisa. - To stosowna zemsta. Nieprawdaż, mój synu? - Dwa ostatnie słowa ściekły z jej ust niczym jad z zębów żmii.

Artemis mocno trzymał Jayjaya. Czuł, jak zwierzątko drży, przyciśnięte do jego torsu. A może to on sam drżał.

- Opal - powiedział. - Przyszłaś tu za nami.

- Nareszcie! - krzyknęła matka Artemisa głosem Opal. - Genialny chłopiec dostrzega prawdę.

Kończyny kobiety zeszywniały i zaczęła lewitać nad łóżkiem, otoczona obłokiem kłębiącej się pary. Szalone spojrzenie jej bladoniebieskich oczu przeszywało tę mgłę i wbijało się wprost w Artemisa.

- Wydawało ci się, że wygrasz? Naprawdę wierzyłeś, że już po bitwie? Cóż za urocze złudzenie. Ty nawet nie masz magii. Natomiast ja dysponuję najpotężniejszą magią od czasu demonów-czarowników. A kiedy zdobędę lemura, będę nieśmiertelna.

Artemis przewrócił oczami.

- Nie zapominaj o niepokonanej.

- Nienawiiiiidzę cię! - pisnęła Opal-Angelina. - Kiedy zdobędę lemura, to... to...

- Zabijesz mnie w jakiś okropny sposób - zasugerował chłopak.

- Właśnie. Dziękuję.

Sztywne ciało Angeliny obróciło się do pionu. Aureola naelektryzowanych włosów otarła się o sufit.

- A teraz - powiedziała, celując kościstym palcem w skulonego Jayjaya - daj mi to stworzenie.

Artemis owinął lemura marynarką.

- Tylko spróbuj mi go odebrać - powiedział.

W gabinecie Holly streszczała teorię Artemisa.

- I to wszystko? - spytał Numer Jeden, kiedy skończyła wyjaśnienia. - Nie zapominasz o jakimś kluczo-

wym detalu? Na przykład o czymś, co miałyby jakikolwiek sens?

- To wszystko jest niedorzeczne! - wtrącił Ogierek z ekranów. - Dajcie spokój, wróżki. Zrobiliśmy swoje. Pora ruszać pod ziemię.

- Niedługo - odparła Holly. - Dajmy Artemisowi pięć minut, żeby sprawdził sytuację. Musimy tylko zachować czujność.

W głośnikach zatrzeszczało westchnienie Ogierka.

- No to przynajmniej wyślę wahadłowiec. Oddział stoi w Tarze i czeka na sygnał.

Holly chwilę się zastanowiła.

- Dobrze. Zrób to. Cokolwiek się stanie, musimy być gotowi do ewakuacji. A kiedy skończysz skanować posiadłość, sprawdź, gdzie jest pielęgniarka.

Łącząc się z Tarą, Ogierek skupił wzrok gdzieś po lewej stronie.

Holly wskazała na Numer Jeden.

- Miej trochę tej swojej osobistej magii w koniuszkach palców, na wypadek gdybyśmy jej potrzebowali. Nie poczuję się w pełni bezpieczna, dopóki Angelina nie wyzdrowieje, a my nie usiądziemy w barze w Oazie nad filiżanką kawy.

Numer Jeden uniósł ręce i wkrótce otoczyły je fale czerwonej energii.

- Nie ma sprawy, Holly. Jestem gotowy na wszystko.

Było to stwierdzenie, w którym brakowało słowa „prawie”.

W tym samym ułamku sekundy monitory zgasyły, a drzwi otworzyły się z taką siłą, że gałka dosłow-

nie wbiła się w ścianę. Otwór drzwiowy przesłoniła ogromna sylwetka Butlera.

Uśmiech Holly znikł na widok pistoletu w dłoni ochroniarza oraz odbłaskowych okularów na jego nosie.

Jest uzbrojony i nie chce zostać zmesmeryzowany, rozumiała.

Holly była szybka, ale Butler szybszy, zresztą na jego korzyść przemawiał element zaskoczenia - w końcu teoretycznie miał być teraz w drodze do Chin. Wróżka sięgnęła po broń, ale mężczyzna doskoczył do niej i oderwał jej neutrino od pasa.

Znam inne sztuczki, pomyślała Holly. Mamy magię. Numer Jeden zwali cię z nóg.

Butler wciągnął do pokoju coś na wózku. Stalową beczkę z runami wyrytymi w metalu.

Co to jest? Co on robi?

Numer Jeden zdołał wystrzelić jeden piorun. Osmalił on koszulę Butlera i pchnął go w tył, ale chwając się, ochroniarz przepchnął wózek przed siebie i cisnął go do pomieszczenia niczym wystrzelony z procy. Z otwartej beczki chlapała gęsta maź, oblewając nogi Numeru Jeden. Wózek potoczył się naprzód, rozpychając demona i Holly jak kręgle.

Numer Jeden wbił wzrok w swoje palce. Magia na ich koniuszkach gasła jak świece na wietrze.

- Niespecjalnie się czuję - jęknął, po czym przewrócił się, mrugając oczami i mamrocząc przedwieczne zaklęcia, z których żadne nie odniosło kompletnie żadnego skutku.

Co jest w tej beczce? – zastanawiała się Holly, uwalniając skrzydła kombinezonu. Gdy się wznosiła, Butler złapał ją za kostkę i brutalnie cisnął do beczki. Poczowała, jak gęsta maź zamyka się nad nią niczym mokra pięść, zatykając nos, wypełniając gardło.

Smród był obrzydliwy.

Tłuszcz zwierzęcy, zrozumiała, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz przerażenia. *Czyste wytopione sadło, do którego dorzucono parę uroków.*

Tłuszczu zwierzęcego od tysiącleci używano jako środka powstrzymującego magię. Nawet najpotężniejszy czarownik stawał się bezbronny, kiedy zanurzono go w wytopionym sadle. Wystarczyło wrzucić go do beczki, zamknąć ją plecioną pokrywą z wierzbowej kory i zakopać na poświęconym ludzkim cmentarzu, a stawał się bezradny jak kociak w worku. To przeżycie było tym bardziej straszne, że większość wrózek jest zdeklarowanymi wegetarianami i mają pełną świadomość tego, ile zwierząt musiało zginąć dla uzyskania całej beczki tłuszczu.

Kto powiedział o tym Butlerowi? – zastanawiała się Holly. *Kto nim steruje?*

Wtedy tuż obok niej został wciśnięty Numer Jeden. Poziom tłuszczu podniósł się, przykrywając im głowy. Holly podskoczyła, akurat w chwili, gdy wieko zakrywające otwór beczki przesłoniło światło.

Nie mam hełmu, pomyślała z żalem. *Szkoda, że nie mam hełmu.*

Wieko szczelnie zamknęło beczkę. Tłuszcz znalazł * w jednoczęściowym kombinezonie Holly otwór na

głowę i dostał się do środka. Oblewał twarz i wdzierał się do uszu. Złe uroki wirowały jak złośliwe węże, blokując wszelką magię.

Jestem zgubiona, pomyślała Holly. To najgorsza śmierć jaką mogę sobie wyobrazić. Zamknięta w ciasnej przestrzeni. Jak moja matka.

Numer Jeden drżał w konwulsjach tuż obok. Mały czarownik musiał się czuć tak, jakby wysysano zeń duszę.

Holly wpadła w panikę. Kopała i rzucała się, obijając łokcie, zdzierając skórę z kolan. Tam, gdzie magia próbowała zaleczyć jej rany, interweniowały węże złych uroków, pochłaniając iskry.

Wróżka niemal otworzyła usta, by krzyknąć. Powstrzymała ją resztką rozsądku. Potem coś otarło się o jej twarz. Żłobiona rurka. Dwie.

Rurki do oddychania...

Drżącymi palcami Holly namacała koniec rurki. Zwalczyła naturalny odruch, by wetknąć ją w usta Numerowi Jeden.

W przypadku sytuacji awaryjnej należy zawsze w pierwszej kolejności zadbać o siebie, a następnie zaopiekować się cywilami.

Zatem Holly ostatnim tchnieniem przedmuchała rurkę, tak jak nurek przedmuchałby fajkę. Wyobraziła sobie, że plamy tłuszczu ochlapują pokój.

Mam nadzieję, że zniszczyłam Butlerowi ubranie, pomyślała.

Teraz nie miała wyboru, musiała zrobić wdech. Powietrze z gwizdem wpadło jej do ust, zmieszane

z oślizgłymi drobinkami tłuszczu. Dmuchnęła znowu, żeby pozbyć się ostatnich śladów mazi.

A teraz Numer Jeden. W miarę jak odpływała jego moc, rzucał się coraz słabiej. Dla kogoś tak potężnego zanurzenie w tłuszczu musiało być niemal nie do zniesienia. Holly zatkała własną rurkę kciukiem, następnie przedmuchała drugą i wepchnęła ją w rozchylone usta czarownika. Przez chwilę nie było żadnej reakcji, a kiedy myślała już, że się spóźniła, Numer Jeden drgnął, parsknął i wreszcie ożył, zupełnie jak stary silnik w mroźny poranek.

Żyjemy, pomyślała Holly. Oboje żyjemy. Gdyby Butler chciał nas zabić, już byłoby po nas.

Oparła stopy o dno beczki i mocno objęła Numer Jeden. Potrzebowali spokoju.

Spokojnie, wysłała tę myśl w przestrzeń, choć wiedziała, że empatia czarownika musi być teraz przytłumiona. Spokojnie, mój mały przyjacielu. Artemis nas uratuje.

O ile żyje, pomyślała, ale tego już nie przestała.

Artemis cofał się przed koszmarną wizją własnej matki, która się przed nim unosiła. Jayjay piszczał i rzucał mu się w ramionach, ale chłopiec trzymał go mocno, odruchowo drapiąc zwierzaka po malutkim pióropuszu włosów na czubku łebka.

- Oddaj mi to zwierzę - zażądała Opal. - Nie masz wyboru.

Artemis objął szyję Jayjaya kciukiem i palcem wskazującym.

- Och, myślę, że mam.

Opal była przerażona.

- Nie zabiłbyś niewinnej istoty.

- Już to wcześniej zrobiłem.

Opal wpatrywała mu się w oczy.

- Myślę, że nie powtórzyłbyś tego, Artemisie Fowl.

Moja wróżkowa intuicja podpowiada mi, że nie jesteś takim zimnym draniem, za jakiego chcesz uchodzić.

Miała rację. Artemis wiedział, że nie jest w stanie skrzywdzić Jayjaya, nawet po to, by zniweczyć plany Opal. Z drugiej strony nie było powodu, żeby ona się o tym dowiedziała.

- Moje serce jest zimne, chochliczko. Lepiej w to uwierz. Użyj tej swojej magicznej empatii i zajrzyj mi w głąb duszy.

Ton jego głosu sprawił, że Opal się zawahała. Chłodny jak stal, a chłopaka trudno było przeniknąć. *Może nie powinna z nim tak lekkomyślnie ryzykować.*

- Dobrze, człowieku. Oddaj mi zwierzę, a oszczędzę twoich przyjaciół.

- Nie mam przyjaciół - odpalił Artemis, choć wiedział, że ona przejrzy jego blef.

Była tu co najmniej od kilku dni. Z pewnością przejęła kontrolę nad monitoringiem rezydencji.

Opal-Angelina podrapała się w brodę.

- Hmm, nie masz przyjaciół. Z wyjątkiem tej elficzki z SKR, tej, co wybrała się z tobą w przeszłość, no i oczywiście demona-czarownika, który was tam wysłał. Nie wspominając już o twoim groźnym, gigantycznym gorylu.

Aliteracja, pomyślał Artemis. Ona ze mną igrą.

- Chociaż z drugiej strony - zamyśliła się Opal-Angelina - Butler w zasadzie nie jest już twoim przyjacielem. Teraz jest mój.

To niepokojące stwierdzenie, być może prawdziwe. Artemis, zwykle ekspert w kwestii interpretacji mowy ciała i znaczących tików, czuł się zagubiony wobec tej oszalałej wersji własnej matki.

- Butler nigdy by z własnej woli nie został twoim przyjacielem!

Opal wzruszyła ramionami. Słuszna uwaga.

- Kto tu mówił o własnej woli?

Artemis zbladł.

Ojej.

- Pozwól, że wyjaśnię, co się stało - rzekła Opal słodkim głosem. - Pomieszałam nieco w mózgzach moich małych pomocników, żeby na mnie nie donieśli, i kazałam im zabrać wahadłowiec z powrotem do Oazy. Potem załapałam się na przejażdżkę waszym strumieniem czasu, zanim się zamknął. Och, jakie to proste dla kogoś o moich zdolnościach. Nawet nie zabezpieczyliście wejścia żadną kłutwą.

Artemis pstryknął palcami.

- Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Opal uśmiechnęła się złośliwie.

- Zabawne. Tak czy inaczej, stało się dla mnie jasne, że to ja byłam albo będę odpowiedzialna za całe zajście, więc wyskoczyłam ze strumienia kilka dni wcześniej i poświęciłam trochę czasu, żeby poznać twoją grupę. Mamę, tatę, Butlera.

- Gdzie jest moja matka? - wrzasnął Artemis.

Gniew przebijał się przez fasadę opanowania jak młot przez lód.

- Ależ ja jestem tutaj, skarbie - powiedziała Opal głosem Angeliny. - Jestem bardzo chora i potrzebuję, żebyś udał się w przeszłość i zdobył dla mnie magiczną małąpkę. - Zaśmiała się szyderczo. - Ludzie to głupcy.

- Więc to nie jest jakiś czar zmieniający kształty?

- Nie, idioto. Miałam pełną świadomość tego, że Angelina będzie badana. Czary zmieniające kształty działają tylko na powierzchni skóry, zresztą nawet ktoś tak biegły jak ja potrafi je utrzymać tylko na krótko.

- To znaczy, że moja matka nie umiera? - Artemis znał odpowiedź na to pytanie, ale musiał się upewnić.

Opal zazgrzytała zębami, rozdarta między niecierpliwością a pragnieniem objaśnienia swego genialnego planu.

- Jeszcze nie. Chociaż wkrótce szkody w jej organizmie staną się nieodwracalne. Zapanowałam nad nią na odległość. To ekstremalna forma mesmeryzacji. Mając tak wielką moc, potrafię sterować jej narządami. Imitacja czarotropii to była bułka z masłem. A kiedy już zdobędę małego Jayjaya, otworzę własne przejście w czasie.

- Więc jesteś gdzieś w pobliżu? We własnej osobie?

Opal miała już dość tych pytań.

- Tak, nie. Co za różnica? Ja wygrałam, ty przegrałeś. Pogódź się z tym albo wszyscy zginą.

Artemis ostrożnie ruszył do drzwi.

- Gra jeszcze nie skończona.

Na zewnątrz rozległy się kroki i jakieś dziwne, rytmiczne skrzypienie. Artemis zgadywał, że to taczka, chociaż nie miał zbyt dużego doświadczenia z narzędziami ogrodniczymi.

- Och, myślę, że gra właśnie się skończyła - rzekła Opal przebiegle.

Ciężkie drzwi podskoczyły w zawiasach, wypchnięte od zewnątrz. Butler wepchnął do pokoju wózek. Zataczając się, wpadł za nim do środka, skulony i drżący.

- Ten jest silny - powiedziała Opal niemalże z podziwem. - Zmesmeryzowałam go, a i tak odmówił zabicia twoich przyjaciół. Głupkowi mało serce nie pękło. Wszystko, do czego mogłam go zmusić, to zrobienie beczki i napełnienie jej tłuszczem.

- Żeby zdusić magię - zgadł Artemis.

- Oczywiście, idioto. Teraz to naprawdę koniec gry. Butler to mój as w rękawie, jak mawiacie wy, ludzie. Ja mam wszystkie asy. Jesteś sam. Daj mi lemura, a wrócę do swojego czasu. Nikt nie musi ucierpieć.

Jeśli ona dostanie lemura, wszyscy ucierpią, pomyślał Artemis.

Opal pstryknęła palcami.

- Butler, zabierz mu zwierzę.

Butler zrobił krok w stronę Artemisa, po czym się zatrzymał. Jego szerokimi plecami wstrząsały dreszcze, a palce były jak szpony zaciśnięte na niewidzialnej szyi.

- Powiedziałam: zabierz mu zwierzę, ty głupi człowieku.

Ochroniarz padł na kolana. Walił pięścią w ziemię, usiłując wypędzić jej głos z głowy.

- Natychmiast bierz lemura! - wrzasnęła Opal.

Butlerowi starczyło siły na trzy słowa:

- Idź... do... diabła.

Następnie złapał się za ramię i padł na podłogę.

- Ojej - powiedziała Opal. - Atak serca. Zepsułam go.

Nie trać koncentracji, rozkazał sobie Artemis. Może i ona ma wszystkie asy, ale możliwe, że jeden z nich jest dziurawy.

Połaskotał Jayjaya pod brodą.

- Schowaj się, koleżko. Schowaj się.

Po tych słowach podrzucił lemura w stronę żyrandola, który zwisał z sufitu. Jayjay zamachał łapkami w powietrzu, a zaraz potem chwycił się szklanej rozpórki. Zwinnie wciągnął się na lampę i ukrył za zasłoną dyndających kryształków.

Opal natychmiast straciła zainteresowanie Artemi-sem, koncentrując się na uniesieniu ciała Angeliny do poziomu żyrandola. Wydała z siebie pełen frustracji pisk, gdy zrozumiała, że osiągnięcie takiego pułapu jest niemożliwe nawet dla kogoś o jej mocy.

- Doktorze Schalke! - zawołała, a gdzieś tam wołały również jej prawdziwe usta. - Schalke, do sypialni!

Artemis odnotował tę informację, po czym przeskoczył pod Opal i przypadł do łóżka matki. Pomie-dzy ustawionymi wokół niego urządzeniami medycz-

nymi znajdował się również przenośny defibrylator. Chłopak szybko go włączył i szarpnął cały aparat, na ile pozwalał kabel, przyciągając go do miejsca, gdzie upadł Butler.

Ochroniarz leżał twarzą do góry. Miał uniesione ręce, jakby na jego klatce piersiowej spoczywał niewidzialny głaz. Grymas na twarzy mężczyzny sprawiał wrażenie, że poruszenie tego ciężaru kosztuje go wiele wysiłku. Oczy miał zamknięte, zęby zaciśnięte, a skóra lśniła od potu.

Artemis rozpiął mu koszulę, odsłaniając wyrzeźbiony tors, umięśniony, pokryty bliznami, napięty. Pobieżne badanie wykazało brak pulsu. Ciało Butlera było martwe. Jedynie mózg pozostał przy życiu.

- Trzymaj się, przyjacielu - mruknął chłopak, usiłując nie tracić koncentracji.

Wyciągnął elektrody defibrylatora z pokrowców, odkleił jednorazowe osłony, pozostawiając na powierzchniach mających kontakt ze skórą cienką warstwę żelu przewodzącego. Gdy czekał, aż urządzenie się naładuje, elektrody zdawały się przybierać na wadze, a kiedy lampka gotowości błysnęła na zielono, były jak dwa kamienie.

- Odsunąć się! - zawołał właściwie do nikogo, po czym mocno przyłożył elektrody do piersi Butlera i wcisnął przycisk pod kciukiem, wysyłając ładunek elektryczny o mocy trzystu sześćdziesięciu dżuli prosto w serce ochroniarza. Ciało mężczyzny wygięło się, w nozdrza Artemisa uderzyła woń palonych włosów i skóry. Żel zaskwierczał i zaiskrzył,

a w miejscu kontaktu elektrod z ciałem pozostały dwa wypalone kregi. Powieki Butlera rozwarły się gwałtownie, a potężne dłonie chwyciły Artemisa za ramiona.

Czy wciąż jest niewolnikiem Opal?

- Artemisie - wykrztusił mężczyzna, lecz zaraz potem zmieszany zmarszczył czoło. - Artemisie? Jak to?

- Później, przyjacielu - odrzekł obcesowo chłopak, w myślach przechodząc już do kolejnego problemu. - Na razie odpoczywaj.

Tego polecenia nie musiał powtarzać. Wyczerpany Butler natychmiast stracił przytomność, lecz jego serce biło mocno. Nie był w stanie śmierci klinicznej na tyle długo, żeby doznać uszkodzenia mózgu.

Kolejnym problemem Artemisa była Opal, a konkretnie wygonienie jej z ciała matki. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli Koboï wkrótce go nie opuści, to Angelina nie przeżyje tej męki.

Artemis zrobił kilka głębokich wdechów dla opowania nerwów i całą swą uwagę skupił na lewitującym ciele matki. Obracała się pod żyrandolem, jakby była na nim zawieszona. Machała rękami, usiłując chwycić Jayjaya, który jakby z niej drwił, kręcąc zadkiem w jej kierunku.

Czy ta sytuacja mogłaby się stać jeszcze bardziej surrealistyczna?

Właśnie wtedy do pomieszczenia wszedł doktor Schalke, wymachując pistoletem, który zdawał się zbyt duży w jego delikatnych dłoniach.

- Jestem, kreaturo. Choć muszę powiedzieć, że nie podoba mi się twój ton. Może i znalazłem się pod wpływem uroku, ale nie jestem zwierzęciem.

- Zamknij się, Schalke. Widzę, że będę musiała usmażyć ci jeszcze kilka szarych komórek. A teraz proszę cię, przynieś mi tego lemura!

Schalke czterema palcami wolnej dłoni wskazał w stronę żyrandola.

- Lemur jest na znacznej wysokości, tak? Jak mam ci go niby przynieść? Może go zastrzelić?

Opal zleciała niżej, wymachując rękami i nogami niczym harpia.

- Nie! - zaskrzeczała, bijąc go po twarzy i ramionach. - Prędzej zastrzeliłabym stu takich jak ty, tyśiąć, niż pozwoliła, żeby temu zwierzęciu spadł choćby włos z głowy. To moja przyszłość. Moja przyszłość! Przyszłość świata!

- Doprawdy - odrzekł doktor. - Gdybym nie był zmesmeryzowany, to pewnie bym teraz ziewał.

- Zastrzel tych ludzi - rozkazała Opal. - Najpierw chłopaka, on jest najbardziej niebezpieczny.

- Jesteś pewna? Ten człowiek-góra wygląda na groźniejszego.

- Zastrzel chłopca! - zawyła Koboi, a z frustracji łyzy ciekły jej po twarzy. - Potem Butlera, a potem siebie.

Artemis przełknął ślinę. Robiło się nieciekawie. Lepiej, żeby jego współnik się pospieszył.

- Dobrze - rzekł Schalke, gmerając przy zabezpieczeniu sig sauera Butlera. - Zrobię wszystko, byleby uciec od tego cyrku.

Mam kilka sekund, zanim on się zorientuje, jak odblokować broń, pomyślał Artemis. Kilka sekund, żeby odwrócić uwagę Opal. Nie mam wyboru, muszę ujawnić dziurę w jej asie.

- Daj spokój, Opal – powiedział ze spokojem, którego bynajmniej nie czuł. – Nie zastrzelibyś przecież dziesięcioletniego chłopca, prawda?

- Oczywiście, że tak – odparła Opal bez chwili zastanowienia. – Rozważam sklonowanie cię, żebyś mogła cię zabić wiele razy. To byłby raj.

Wtedy dotarło do niej wszystko, co powiedział Artemis.

- Dziesięcioletniego? Czy ty właśnie powiedziałeś, że masz dziesięć lat?

Artemis kompletnie zapomniał o otaczającym go zagrożeniu, zatracony w uczuciu słodkiego triumfu. Było odurzające.

- Tak, to właśnie powiedziałem. Mam dziesięć lat. Moja prawdziwa matka natychmiast by to zauważyła.

Opal przygryzała kłykcie lewej ręki Angeliny. Myślała.

- Ty jesteś Artemis Fowl z mojego czasu? Wzięli cię ze sobą!

- Naturalnie.

Koboi znów uniosła się w powietrze, jakby porwana przez wiatr.

- A więc jest jeszcze ten drugi. Gdzieś tutaj jest drugi Artemis Fowl.

- Nareszcie! – rzekł chłopak z wrednym uśmiechem. – Genialna chochliczka dostrzega prawdę.

- Znajdź go! - wrzasnęła Opal. - Znajdź go czym prędzej. Natychmiast.

Schalke poprawił okulary.

- Czym prędzej i do tego natychmiast. To musi być coś ważnego.

Opal odprowadziła go spojrzeniem pełnym autentycznej nienawiści.

- Kiedy będzie po wszystkim, z czystej złośliwości zniszczę tę posiadłość. A potem, kiedy wrócę do przeszłości...

- Niech zgadnę - przerwał dziesięcioletni Artemis Fowl. - Zniszczysz ją jeszcze raz.

Prawie osiem lat wcześniej

Kiedy czternastoletni Artemis miał chwilę na zastanowienie, gdzieś między wspinaniem się na słupy wysokiego napięcia a przechytrzeniem krwiożerczych likwidacjonistów, zrozumiał, że z chorobą matki wiąże się wiele niewyjaśnionych pytań. Rzekomo to on zaraził ją czarotropią, ale od kogo sam ją złapał? Magia Holly już wcześniej przesiąknęła jego ciało, ale sama elficzka była okazem zdrowia. Dlaczego nie chorowała? A poza tym jakim cudem zakażenia uniknął Butler? Przecież poddawany był magicznemu leczeniu już tyle razy, że do tej pory stał się już chyba w połowie wróżką.

I ze wszystkich tysięcy ludzi leczonych, mesmerizowanych i czyszczonych ze wspomnień każdego

roku, to właśnie matka Artemisa zachorowała. Matka jedyne go człowieka na świecie, który mógł coś na to poradzić. Zdziwiający zbieg okoliczności. Zdecydowanie zbyt zdziwiający.

No tak. Czyli albo ktoś zaraził jego matkę celowo, albo objawy zostały magicznie skopiowane. Tak czy inaczej, skutek był ten sam: Artemis musiał udać się w przeszłość, żeby zdobyć antidotum. Czyli lemura, Jayjaya.

A któż mógł równie mocno pragnąć odnalezienia Jayjaya jak sam Artemis? Odpowiedzi należało szukać w przeszłości. Oczywiście Opal Kobi. Mały zwierzak stanowił ostatni składnik jej magicznego koktajlu. Z jego płynem mózgowym w krwiobiegu stałaby się dosłownie najpotężniejszą istotą na ziemi. A jeśli nie mogła go capnąć w swoim czasie, była gotowa zrobić to w przyszłości. Bez względu na koszty. Musiała podążyć za nimi strumieniem czasu, wyskoczyć wcześniej i zorganizować cały incydent. Gdyby zdobyła płyn mózgowy Jayjaya, przypuszczalnie nie miałyby trudności z powrotem.

Nawet dla Artemisa było to zagmatwane. Opal w ogóle nie znalazłaby się w jego teraźniejszości, gdyby on nie cofnął się w czasie. A zrobił to wyłącznie z powodu sytuacji, którą ona wykreowała. To właśnie działania Artemisa zmierzające do wyleczenia matki sprawiły, że została zarażona.

Co do jednego miał pewność: za tym wszystkim stała Opal. Była za nimi i przed nimi. Gonila ich przeto we własne objęcia. Paradoks czasu.

W tym równaniu są dwie Opal, pomyślał Artemis. *Chyba wciąż powinno być w nim również dwóch Artemisów.*

I w ten sposób w jego umyśle powstał pewien plan.

Kiedy młody Artemis poznał wszystkie szczegóły i przekonał się co do ich autentyczności, natychmiast zgodził się towarzyszyć grupie w powrocie do przyszłości, pomimo głośnych sprzeciwów Butlera.

- Butler, tu chodzi o moją matkę - rzekł po prostu.
- Muszę ją uratować. Masz jej pilnować do mojego powrotu. Zresztą jakim cudem beze mnie miałyby im się w ogóle powieść?

- W rzeczy samej - przyznała Holly, a potem z satysfakcją większą niż wypadało obserwowała, jak cała ta arogancja odpływa z twarzy chłopca na widok wejścia do strumienia czasu, które otworzyło się przed nimi niczym paszcza ogromnego, wygenerowanego komputerowo węża. - Głowa do góry, Błotny Chłopcze - rzekła, gdy ten patrzył na swą znikającą rękę. - I uważaj na kwantowe zombie.

Podróż w strumieniu czasu była dla starszego Artemisa ciężka. Wielokrotny kontakt z tym rodzajem promieniowania innego człowieka rozerwałby na strzępy, jednak on trzymał się samą siłą woli. Skupił się na najwyższych funkcjach umysłu, rozwiązując w myślach matematyczne twierdzenia nie do udowodnienia z dużymi liczbami pierwszymi oraz

komponując finał niedokończonyj ósmej symfonii Schuberta.

W trakcie pracy co jakiś czas wyczuwał szyderyczy komentarz swego młodszego ja.

Więcej b-moll? Naprawdę ci się tak wydaje?

Czy on zawsze był taki wstrętny? Jakie to męczące. Nic dziwnego, że ludzie generalnie go nie lubili.

Dwór Fowlów, obecnie

Gdy starszy Artemis wreszcie wrócił do swojego czasu i swojego domu, przystanął tylko na chwilę, żeby zabrać z szafy trochę ubrań. Następnie opuścił gabinet, krótkim „cii” nakazując Ogierkowi i Numerowi Jeden zachowanie ciszy. Szybko przemieszczał się korytarzami w kierunku szybu kuchennej windy przylegającego do herbaciarni na drugim piętrze. Nie była to co prawda najkrótsza droga do pomieszczenia ochrony, wręcz przeciwnie – okrężna i niewygodna, lecz to jedyna możliwość, aby poruszać się po domu niezauważonym.

Butler sądził, że z wyjątkiem prywatnych pokoi Fowlów ma pod nadzorem każdy centymetr kwadratowy rezydencji, jednak Artemis już dawno opracował sposób, by przemieszczać się po budynku poza okiem kamer. Trasa wymagała chowania się w kątach, wchodzenia na meble, jeżdżenia windami kuchennymi, a także przekrzywienia wysokiego lustra pod właściwym kątem.

Oczywiście istniała możliwość, że wróg również obmyśliłby tę samą trasę, te same współrzędne i trajektorie, i także poruszał się po domu niezauważony. Było to jednak bardzo mało prawdopodobne bez gruntownej znajomości wszystkich zakątków rezydencji, które nie widniały na żadnych planach.

Artemis zygzakiem przemieszczał się w głąb korytarza, o sekundę później niż kamera, a wreszcie czmychnął do szybu kuchennej windy. Na szczęście winda znajdowała się na tym piętrze, w przeciwnym razie musiałby się zsunąć po sznurze, a to nie należało do jego mocnych stron. Chłopak sięgnął na zewnątrz i wcisnął przycisk „parter”, a następnie szybko cofnął rękę, żeby jadąca w dół winda nie obcięła mu dłoni. Co prawda ruch windy zostanie zarejestrowany w pomieszczeniu ochrony, ale nie uruchomi żadnego alarmu.

Znalazłszy się na piętrze kuchennym, Artemis wytoczył się na podłogę i otworzył drzwiczki lodówki, aby zasłoniły go, kiedy przemieszczał się do spiżarni. Krył się w głębokim cieniu do momentu, gdy kamera odwróciła się od drzwi. Wtedy mógł wejść na stół i wyskoczyć na zewnątrz.

Przez cały ten czas myślał. Układał plan.

Zakładaj najgorszy scenariusz. Mały Artemis jest bezradny, a Holly i Numer Jeden już zostali unieszkodliwieni. To dość prawdopodobne, jeśli ktoś taki jak Butler został zmesmeryzowany i odpowiada za to unieszkodliwienie. Opal znajduje się gdzieś w pobliżu centrum dowodzenia i steruje moją matką. To właśnie Kobi dostrzegła we mnie

magię. Nie matka. To ona usunęła czar, który rzuciłem na rodziców.

• I jeszcze: *Oczywiście, że b-moll. Jeśli się zaczyna w b-moll, trzeba skończyć w b-moll. Każdy głupiec to wie.*

W głównym holu stała średniowieczna zbroja. Ta sama, którą założył Butler, by stoczyć walkę z trollem podczas oblężenia Dworu Fowlów przed pięciu laty. Artemis zbliżył się do niej powoli, przyłgnąwszy plecami do szaroczarnego gobelinu, który stanowił niemal perfekcyjny kamuflaż. Kiedy już skrył się za zbroją, popchnął podstawę znajdującego się obok lustra tak, żeby światło jupitera padało prosto w obiektyw zamontowanej w holu kamery.

Teraz droga do centrum ochrony była wolna. Artemis ostrożnie ruszył w stronę tego pomieszczenia. To tutaj musiała przebywać Opal, chłopak był tego pewien. Stąd mogła monitorować cały budynek, a poza tym miejsce znajdowało się dokładnie pod sypialnią Angeliny. Jeśli rzeczywiście Kobo sterowała jego matką, to potrzebowała znaleźć się jak najbliżej.

Z odległości kilku metrów Artemis mógł potwierdzić prawdziwość swoich przypuszczeń. Opal było słychać już z daleka.

- A więc jest jeszcze ten drugi. Gdzieś tutaj jest drugi Artemis Fowl.

Albo wreszcie do niej dotarło, albo młodszy Artemis był zmuszony wyjawić plan.

- Znajdź go! - wrzasnęła Opal. - Znajdź go czym prędzej. Natychmiast.

Artemis po cichu wszedł do dyżurki ochrony – pakamery przylegającej do głównego holu, która w historii dworu była kolejno szatnią, magazynem broni oraz celą więzienną. Obecnie stało tam biurko komputerowe, podobne do tych spotykanych w montażowniach. Rzędy monitorów pokazywały obraz z kamer rozmieszczonych w budynku oraz na posesji.

Przed nimi siedziała skulona Opal, odziana w należący do Holly skafander SKR. Pośpieszyła się z jego kradzieżą. W końcu Artemis zamknął rzeczy przyjaciółki w sejfie dosłownie przed kilkoma minutami.

Mała chochliczka jak w amoku wykonywała naraz szereg czynności. Sprawdziała monitory, jednocześnie utrzymując zdalną kontrolę nad ciałem matki Artemisa. Jej ciemne włosy były sklezione potem, a drobne jak u dziecka kończyny drżały z wysiłku.

Artemis wkradł się do pomieszczenia i szybko wstukał szyfr do zamka w schowku na broń.

- Kiedy będzie po wszystkim, z czystej złośliwości zniszczę tę posiadłość. A potem, kiedy wrócę do przeszłości...

Opal zamarła. Coś pstryknęło. Obróciła się i ujrzała Artemisa Fowla, który mierzył do niej z jakiejś broni. Natychmiast porzuciła wszystkie inne czary, koncentrując się na desperackiej próbie mesmeryzacji.

- Rzuć broń! - zaintonowała. - Jesteś moim niewolnikiem.

Artemisowi natychmiast zakręciło się w głowie, ale zdążył już pociągnąć za spust, a długa igła strzałki na-

pełnionej mieszanką „specjalność Butlera”, złożoną ze środków uspokajających oraz zwiotczających mięśnie, wbiła się w szyję Opal, nieosłoniętą przez skafander. Szansa takiego trafienia wynosiła mniej więcej jeden do miliona, ponieważ Artemis nie był zbyt biegły w dziedzinie broni palnej. Jak to ujął Butler: „Artemisie, może i jesteś geniuszem, ale strzelanie zostaw mnie, bo sam nie trafiłbyś nawet stojącego słonia w tyłek”.

Opal desperacko skoncentrowała się na ranie, usiłując zaleczyć ją magicznymi iskrami, ale było za późno. Środek dostał się już do jej mózgu, pozbawiając ją kontroli nad własną magią.

Zaczęła się kołysać i migotać, na zmianę objawiając się w swej prawdziwej postaci chochlika oraz jako panna Book.

Panna Book, pomyślał Artemis. Moje przypuszczenia się potwierdziły. Była jedyną niewiadomą w tym równaniu.

Co jakiś czas Opal całkowicie znikwała, tarcza wibrowała spazmatycznie. Z palców wróżki wystrzeliwały magiczne błyskawice, które spaliły wszystkie monitory, zanim Artemis zdążył zobaczyć, co się dzieje na górze.

- No proszę, teraz to mogę wystrzeliwać błyskawice - wymamrotała. - Od tygodnia usiłowałam skupić dostatecznie dużo magii.

Magia chwiała się i wirowała, a wreszcie utworzyła w powietrzu obraz. Był to niedokładny portret roześmianego Ogierka.

- Nienawidzę cię, centaurze! - krzyknęła Opal, rzucając się na niematerialną wizję. Następnie oczy zapadły się jej w głąb czaszki i chrapiąc, runęła na podłogę.

Artemis poprawił krawat.

Był pewien, że Freud miałby tu dużo do powiedzenia.

Artemis popędził na górę, do pokoju rodziców. Dywan pokrywała kałuża zbrylonego tłuszczu. Dwie pary wrózkowych śladów prowadziły od tego mętnego, perłowego bajora w kierunku łazienki przylegającej do sypialni. Chłopak słyszał mocny strumień wody uderzający o kafelki.

Opal użyła tłuszczu zwierzęcego, żeby stłumić magię Numeru Jeden. Jakie to nikczemne. Jakie okropne.

Młodszy Artemis baczenie oglądał rozpływającą się na ziemi maź.

- Patrz - powiedział, zauważywszy swoje starsze ja.

- Opal użyła tłuszczu zwierzęcego, żeby stłumić magię Numeru Jeden. Jakie to pomysłowe.

Hałas prysznicą tłumił skargi i odgłosy wymiotów. Butler polewał Holly i Numer Jeden, a oni nie czuli się ani szczęśliwi, ani zdrowi.

Ale przynajmniej żyli. Oboje żyli.

Angelina leżała na łóżku, owinięta puchową kołdrą. Była blada i oszołomiona, ale jeśli Artemisowi się nie zdawało, na jej policzki chyba powoli zaczynał powracać rumieniec. Cicho zakasłała i natychmiast przy jej boku stanęli obaj Artemisowie.

Starszy spojrział na młodszego i uniół brew.

- Chyba się domyślasz, że to może być nieco niezręczne - rzekł dobitnie.

- W rzeczy samej - przyznał dziesięciolatek. - Może poszperam w twoim... to znaczy w moim gabinecie. Zobacę, co wymyślę.

To problem, zrozumiał Artemis. Moja własna dociekliwość. Może nie powinienem był obiecywać, że młodszy ja nie przejdzie wymazania pamięci. Coś z tym trzeba będzie zrobić.

Angelina otworzyła oczy. Były niebieskie i spokojne. Spoglądały spomiędzy posiniałych, zmęczonych powiek.

- Artemisie - powiedziała głosem, który przypominał drapanie palcami o korę drzewa. - Śniło mi się, że latam. I była tam jeszcze mała...

Chłopak z ulgą pokręcił głową. Angelina była bezpieczna. Uratował ją.

- To był lemur, mamó. Mamusiu.

Kobieta uśmiechnęła się słabo i uniosła dłoń, by pogładzić go po policzku.

- Mamusiu. Tak długo czekałam, żebyś to powiedział. Tak długo.

Z tym uśmiechem na ustach Angelina znów się położyła i odpłynęła w głęboki, naturalny sen.

To nawet lepiej, pomyślał Artemis. Inaczej mogłaby zauważyć wróżki w łazience albo kupę tłuszczu na dywanie. Albo drugiego Artemisa, który czytał przy biblioteczkę.

Z łazienki wyłonił się Butler, ociekający wodą, bez koszuli, ze śladami elektrod wypalonymi na skó-

rze. Był bledszy niż zwykle i musiał się oprzeć o framugę.

- Witaj w domu - rzekł do starszego Artemisa. - Ten mały to wykapany ty. Niekiepsko mnie postawił na nogi.

- Bo on jest mną - odparł chłopak drwiąco.

Butler wskazał kciukiem przez ramię.

- Tamtym dwojgu niezbyt się podobała wizyta w beczce.

- Tłuszcz zwierzęcy to dla wrózek trucizna - wyjaśnił Artemis. - Blokuje przepływ magii. Sprawia, że moc jęlczeje.

Na czole Butlera pojawił się cień.

- Opal mnie do tego zmusiła. Ona... panna Book podeszła do mnie przy bramie, kiedy ruszałem na lotnisko. Zostałem uwięziony we własnej czaszce.

Artemis delikatnie położył dłoń na przedramieniu ochroniarza.

- Wiem. Nie masz za co przeproszać.

Butler przypomniał sobie, że nie ma broni, a także o tym, kto ją zabrał.

- Co zrobiłeś z Schalkem? Potraktowałeś go strzałką usypiającą?

- Nie. Nie spotkałem go.

Słaniając się na nogach, mężczyzna ruszył ku drzwiom sypialni, Artemis zaś tuż za nim.

- Opal nim steruje, choć on jej tego nie ułatwia. Trzeba ich natychmiast unieszkodliwić.

Droga do dyżurki ochrony zajęła kilka minut, ponieważ Butler musiał się opierać o ściany. Kiedy tam

dotarli, Opal już nie było. Artemis podbiegł do okna w porę, by dostrzec masywny tył starego mercedesa, który zniknął za zakrętem podjazdu. Na tylnym siedzeniu podskakiwała niewielka postać. Gdy podskoczyła po raz pierwszy, była to Opal Koboï, za drugim razem – panna Imogen Book.

Jej moc już zaczyna powracać, zrozumiał Artemis.

Butler stał nad nim, dysząc.

– To jeszcze nie koniec – powiedział.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Butler po prostu stwierdził oczywistość.

Dźwięk silnika stał się wyższy i donośniejszy.

– Zmiana biegów – stwierdził ochroniarz. – Ona wraca.

Artemis poczuł dreszcz, chociaż dokładnie tego się spodziewał.

Oczywiście, że wraca, pomyślał. *Taka szansa nigdy się nie powtórzy. Butler ledwie chodzi. Holly i Numer Jeden będą osłabieni jeszcze przez wiele godzin, a ja jestem tylko człowiekiem. Jeśli teraz się wycofa, Jayjay na zawsze się od niej uwolni. Wkrótce z Tary przybędzie oddział Ogierka i zgarnie lemura pod ziemię. Jeszcze może przez pięć minut to Opal ma przewagę.*

Artemis pośpiesznie obmyślał plan.

– Muszę stąd zabrać Jayjaya. Póki znajduje się w rezydencji, wszyscy są w niebezpieczeństwie. Opal zabije nas, żeby zatrzeć ślady.

Butler skinął głową. Pot spływał strugami po jego pobrużdżonej twarzy.

– Tak. Damy radę dojść do cessny.

- Ja dam radę dojść do cesseny - poprawił Artemis.
- Powierzam ci opiekę nad moją matką i moimi przyjaciółmi, nie wspominając o powstrzymaniu mojego młodszego ja przed wejściem do internetu. On jest równie groźny jak Opal.

To sensowna taktyka i Butler spodziewał się polecenia, jeszcze zanim Artemis je wydał. Ochroniarz był w tak złej formie, że tylko spowalniałby chłopaka. Co więcej, rezydencja stałaby otworem i każdy niewolnik Opal mógłby swobodnie wejść do środka, by zrealizować jej zemstę.

- Dobrze. Nie wznos się na ponad trzy tysiące metrów i uważaj na klapy, są trochę odporne.

Artemis pokiwał głową, zupełnie jakby o tym nie wiedział. Wydawanie instrukcji uspokajało Butlera.

- Trzy tysiące metrów. Klapy. Zapamiętam.

- Chcesz wziąć broń? Mam zgrabną berettę.

Artemis pokręcił głową.

- Żadnej broni. Tak kiepsko celuję, że nawet z pomocą oka Holly pewnie odstrzeliłbym sobie tylko palec u nogi. Nie, potrzebuję wyłącznie przynęty. - Umilkł na chwilę. - I ciemnych okularów.



ZBRODPIA WIELCE FOWLOWSKA

Rodzina Fowlów posiadała obecnie trzy maszyny latające. Learjet oraz helikopter marki Sikorsky stały w hangarze na pobliskim lotnisku, natomiast niewielka cessna przechowywana była w małym warsztacie na północnym krańcu posiadłości. Samolot miał kilka lat i już jakiś czas temu oddano by go na złom, gdyby nie to, że Artemis wybrał go sobie na obiekt projektu badawczego. Celem była całkowita redukcja emisji dwutlenku węgla przy zachowaniu opłacalności eksploatacji maszyny. To zamysł, który ojciec chłopca pochwalał z całego serca.

„Nad tym samym problemem pracuje dla mnie czterdziestu naukowców, ale ja stawiam na ciebie” – wyznał kiedyś synowi.

Tak więc Artemis pokrył cały kadłub maszyny lekimi, superwydajnymi bateriami słonecznymi, taki-

mi jak te wykorzystywane przez NASA przy budowie prototypu latającego skrzydła o nazwie helios. Jednak w przeciwieństwie do heliosa, cessa Artemisa wciąż była w stanie latać z normalną prędkością, a na dodatek zabierać pasażerów. Wszystko dzięki temu, że chłopak wymontował jedyny silnik, zamiast niego umieszczając kilka mniejszych do poruszania głównego śmigła, czterech dodatkowych, zamontowanych na skrzydłach, oraz na podwoziu. Większość metalu w strukturze samolotu została zastąpiona lekkim polimerem. Tam, gdzie dawniej mieścił się zbiornik paliwa, teraz znalazł się mały akumulator.

Wciąż należało wykonać kilka poprawek, jednak Artemis wierzył, że jego samolot nadaje się do lotu. Oby. Wiele zależało od sprawności tej niewielkiej maszyny. Chłopak popędził od drzwi kuchennych przez dziedziniec w kierunku łąki. Przy odrobinie szczęścia Opal nie zorientuje się, że zniknął, dopóki nie zobaczy startującego samolotu. Oczywiście wówczas będzie mu zależało na tym, żeby go zobaczyła. Liczył na to, że odciągnie jej uwagę od domu aż do przybycia wsparcia z SKR.

Nim przebiegł sto metrów, już czuł słabość w nogach. Nigdy nie był typem sportowca, a niedawne wyćwieczki w strumieniu czasu w ogóle nie poprawiły jego budowy ciała, chociaż podczas podróży mocno się koncentrował na swoich mięśniach. Chciał wyrzeźbić sylwetkę przy użyciu siły woli. Taki mały test przewagi ducha nad materią, który niestety nie dał żadnych rezultatów.

Stara furka na łąkę była zamknięta, toteż zamiast siłować się z ciężkim rygłem, Artemis po prostu się po niej wdrapał. Czuł ciepło bijące od ciała stworzenia schowanego pod kurtką. Jego małe łapki oplatały mu szyję.

Jajjay musi być bezpieczny, myślał Artemis. Trzeba go uratować.

Drzwi warsztatu okazały się solidniejsze, niż wskazywał na to ich wygląd, a na dodatek zabezpieczone kodem. Artemis wstukał szyfr i otworzył je szeroko, tak że wewnątrz załały pomarańczowe promienie zachodzącego słońca. W środku, otoczona podkową stołów warsztatowych i wózków z narzędziami, stała zmodyfikowana cessna, podłączona kablem do dodatkowego źródła zasilania. Artemis wyciągnął wtyczkę z gniazdka w kadłubie, po czym wdrapał się do kabiny. Usiadłszy w fotelu pilota, przypiął się pasami. Przez moment przypomniał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy sam leciał tym samolotem.

Miałem dziewięć lat. Potrzebowałem fotelika dziecięcego.

Silniki ruszyły natychmiast, niemal bez hałasu. Słychać było tylko szum wirujących śmigieł oraz pstrykanie przełączników, kiedy Artemis przeprowadzał kontrolę samolotu.

Generalnie wiadomości były dobre. Osiemdziesiąt procent mocy. To zapewniało tej małej maszynie zasięg kilkuset kilometrów. Zdecydowanie wystarczający, żeby zabrać Opal na radosne tańce wzdłuż irlandzkiego wybrzeża. Jednak klapy się zacinały, a uszczelki były już stare.

„Nie wznos się na ponad trzy tysiące metrów”.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział Artemis do pasażera pod kurtką. - Zupełnie w porządku.

Czy na pewno? Nie miał pewności.

Łąka była długa, szeroka i wznosiła się łagodnie w kierunku muru posiadłości. Artemis wyprowadził cessenę z hangaru. Wykonał ostry skręt, żeby zapewnić sobie jak najdłuższy rozbieg. W idealnych warunkach pięciusetmetrowy pas trawy spokojnie by wystarczył do startu. Teraz jednak wiatr wiał w ogon, a trawa była kilka centymetrów dłuższa niż należy.

Pomimo tego wszystkiego powinno nam pójść dobrze. Latałem już w gorszych warunkach.

Start wyszedł podręcznikowo. Artemis podniósł przednie kółko po trzystu metrach i spokojnie przeleciał nad północnym murem. Nawet z tak niskiego pułapu na zachodzie widział Morze Irlandzkie, czarne, przecinane kosami promieni słonecznych na czubkach fal.

Poczuł pokusę, zaledwie przez ułamek sekundy, żeby uciec, lecz tego nie zrobił.

Czy ja się kompletnie zmieniłem? - spytał sam siebie. Zrozumiał, że kończy mu się zasób przestępstw, które uważał za dopuszczalne. Jeszcze nie tak dawno akceptował niemal każdą zbrodnię.

Nie, stwierdził. Wciąż istnieją ludzie zasługujący na to, by ich okradać, demaskować czy też wrzucać w sam środek gęstej dżungli w samych klapkach i z łyżką w rękę. Po prostu musiał włożyć więcej wysiłku w ich znalezienie.

Artemis włączył kamery na skrzydłach. Jedna taka osoba znajdowała się na alejce pod nim. Megalomańska chochliczka o kamiennym sercu. Opal Kobi. Chłopak widział, jak maszeruje w stronę dworu, po drodze wciskając na uszy hełm Holly.

Tego się obawiałem. Pomyślała o hełmie. To bardzo przydatne narzędzie.

Mimo wszystko nie miał wyboru, musiał ściągnąć jej uwagę. W grę wchodziło życie jego rodziny i przyjaciół. Artemis obniżył lot cesseny o trzydzieści metrów i podążył śladem Opal, kierującej się do budynku. Może nie usłyszy silnika, ale czujniki w hełmie Holly spowodują włączenie się tuzina lampek alarmowych.

Kobi jak na komendę stanęła w miejscu i uniosła głowę ku niebu. Dostrzegła malutki samolot.

No dalej, Opal, pomyślał Artemis. Łyknij przynętę. Przeprowadź skan termiczny.

Opal stanowczym krokiem maszerowała w kierunku rezydencji, póki piętą jednego SKR-owskiego buta nie nastąpiła na palec drugiego.

Głupia, wysoka elfica, pomyślała z wściekłością, znowu się prostując. Kiedy będę królową, nie: kiedy będę cesarzową, każę zmodyfikować nogi wszystkim wysokim wróżkom. Albo jeszcze lepiej, wszczępię sobie ludzką przysadkę mózgową i to ja będę najwyższa. Gigantem wśród wróżek, tak fizycznie, jak i umysłowo.

Miała również inne plany: Opalowska maska kosmetyczna, która w kilka sekund zapewni kochającym fanom wygląd *à la* Kobi. Homeopatyczny fotel po-

duszkowy z końcówkami masującymi oraz czujnikami nastroju, które rozpoznawałyby jej humor i uwalniały odpowiednie zapachy, żeby ją rozweselić.

Ale wszystkie te plany mogły poczekać, aż Opal zostanie cesarzową. Na razie jej priorytetem był lemur. Bez jego płynu mózgowego realizacja planu mogła zająć całe lata. Poza tym magia jest dużo prostsza niż nauka.

Opal wsunęła na głowę hełm Holly. Umieszczone w środku poduszki automatycznie się nadmuchały, żeby przylegał do czaszki chochliczki. Urządzenie miało jakieś zabezpieczenia, które ona z pogardą zhańkowała, za pomocą kilku mrugnięć i ruchów dłoni. Te hełmy z SKR nie były nawet w połowie tak nowoczesne jak modele w jej dziale badawczo-rozwojowym.

Kiedy już zyskała dostęp do wszystkich funkcji, kryształowy wyświetlacz na przyłbicy zasyczały i przybrały szkarłatną barwę. Czerwony alarm! Coś się zbliżało. Trójwymiarowy skan radarowy wykazał obecność na niebie niewielkiego samolotu, który oprogramowanie rozpoznawcze szybko zidentyfikowało jako cenną ludzką produkcję.

Pędkiem wybrała sekwencję poleceń uruchamiającą skaner termiczny. Zamontowany w hełmie czujnik podczerwieni zanalizował promieniowanie elektromagnetyczne dochodzące z wnętrza samolotu. Odblaski baterii słonecznych zakłócały obraz, ale skaner wyodrębnił pomarańczową plamę na fotelu pilota. Tylko jeden pasażer. Czytnik biometryczny hełmu bez tru-

du zidentyfikował go jako Artemisa Fowla i nałożył trójwymiarową ikonę na jego niewyraźną postać.

- Jeden pasażer - mruknęła Opal. - Czyżbyś próbował mnie odciągnąć od domu, Artemisie Fowl? Czy to dlatego lecisz tak nisko?

Jednak Artemis Fowl znał się na technologii, więc na pewno spodziewał się skanu termicznego.

- Czyżbyś miał coś w zanadrzu? - zastanawiała się chochliczka. - Albo raczej pod koszulą.

Wykonała zbliżenie na serce Artemisa, a wtedy odkryła drugie źródło ciepła nałożone na to pierwsze, dające się odróżnić tylko dzięki nieco chłodniejszemu odcieniowi czerwieni.

Nawet w tej pełnej desperacji chwili Opal z uznaniem pomyślała młodym człowieku, który spróbował zamaskować ślad termiczny lemura z pomocą swego własnego.

- Sprytne. Ale nie genialne.

A chłopak musiałby być genialny, żeby pokonać Opal Koboi. Sprowadzenie drugiego Artemisa to nie-
zła sztuczka, ale ona powinna była to przewidzieć.

Pokonała mnie własna arogancja, zrozumiała. To się więcej nie powtórzy.

Hełm automatycznie dostroił się do radiowej czę-
stotliwości cessny, toteż Opal wysłała Artemisowi krótką wiadomość.

- Idę po lemura, chłopcze - powiedziała, impulsem magii prostując skrzydła kombinezonu. - I tym razem nie będzie już Artemisa, żeby uratować Artemisa.

Artemis nie czuł i nie widział różnych fal penetrujących cessed, ale domyślał się, że Opal użyła wmontowanego w hełm skanera termicznego, by sprawdzić liczbę ciepłych ciał na pokładzie. Może skorzystała również z rentgena. Odniosłaby wtedy wrażenie, że chłopak próbuje zamaskować ślad termiczny Jayjaya swoim własnym, jednak Opal natychmiast przejrzałaby tę prostą sztuczkę. Gdy zaś przekona się, że jej zdobycz ucieka, jakże mogłaby nie ruszyć w pogoń?

Artemis położył samolot na prawe skrzydło, tak aby Opal pozostawała w polu widzenia kamery. Z zadowoleniem odnotował, że z otworów w jej kombinzonie wysuwają się skrzydła.

Rozpoczął się pościg.

Pora, aby przynęta udała, że usiłuje uciec.

Artemis oddalił się od posiadłości i skierował w stronę ciemnopurpurowego morza. Zwiększył moc, zadowolony z płynnego przyspieszenia maszyny. Akumulatory zapewniały silnikom stabilne zasilanie, nie uwalniając przy tym do atmosfery ani grama dwutlenku węgla.

Chłopak sprawdził obraz z kamery na ogonie i ani trochę nie zdziwił go widok lecącej za samolotem choliczki.

Środek uspokajający osłabia jej zdolności magiczne, zgadł. Możliwe, że ledwie jej wystarczyło mocy na uruchomienie skafandra. Ale niedługo przestanie działać, a wtedy mogą się spodziewać błyskawic na skrzydłach.

Skreślił na południe, podążając wzdłuż poszarpanego wybrzeża. Zgiełk i tumult dublińskich wielopiętrowych bloków mieszkalnych, buchających kominów i bzyczących helikopterów ustąpił długim odcinkom szarej skały, wzdłuż której jak cień biegła linia kolejowa północ-południe. Morze wdzierало się w ląd, przykrywając milionem palców piach, roślinność i kamienie.

Kutry rybackie sunęły powoli od boi do boi, pozostawiając z tyłu węże morskiej białej piany. Rybacy wyciągali kosze na homary za pomocą bosaków o długich uchwytych. Niezgrabne, ciężkie chmury wisiały na wysokości czterech tysięcy metrów. W ich trzemiach warzył się deszcz.

Jaki spokojny wieczór, o ile nikt nie spojrzy w niebo.

Chociaż na tej wysokości rozmazaną postać frunącej Opal można by wziąć za orła.

Plan Artemisa przebiegał gładko znacznie dłużej, niż chłopak się spodziewał. Przeleciał sto kilometrów niezatrzymywany przez Opal. Błysnął mu promyk nadziei.

Już niedługo, pomyślał. Wsparcie z SKR przybędzie lada chwila.

Wtedy zaskrzeczało radio.

- Artemisie? Jesteś tam, Artemisie?

Butler. Miał niezwykle spokojny głos, jak zawsze, gdy wyjaśniał powagę sytuacji.

- Butler, miło cię słyszeć. Jestem tutaj. Przekaż mi dobrą nowinę.

Ochroniarz westchnął do mikrofonu, wywołując falę szumów.

- Nie leć za cęsną. Nie jesteś priorytetem.

- Jest nim Numer Jeden - powiedział Artemis. - Muszą go zabrać pod ziemię. Rozumiem.

- Tak. Jego i...

- Nic nie mów - przerwał ostro chłopak. - Opal słucha.

- SKR już tu jest. Zawróć i wracaj.

- Nie - powiedział stanowczo Artemis. - Nie narażę znów matki na niebezpieczeństwo.

Usłyszał dziwny trzask i domyślił się, że Butler poprawia mikrofon.

- Dobrze. W takim razie jakieś inne miejsce. Gdzieś, gdzie możemy się okopać.

- Świetnie, właśnie lecę na południe, więc może...

Nie dokończył zakamuflowanej sugestii, ponieważ kanał radiowy nagle zablokował ogłuszający szum. W uszach Artemisa pozostał brzęczący pogłos i chłópiec na chwilę puścił stery.

Ledwie zdążył odzyskać panowanie nad cęsną, kiedy głucho uderzenie w kadłub sprawiło, że znów je stracił.

Na kontrolce baterii słonecznych zaświeciło się kilka czerwonych lampek. Uderzenie rozbiło co najmniej dziesięć ogniw.

Artemis poświęcił pół sekundy na sprawdzenie obrazu z tylnej kamery. Opal już nie leciała za samolotem. Żadna niespodzianka.

W głośnikach radiowych wybuchł głos chochłiczki, rozdrażniony i złowrogi.

- Znów jestem silna, Błotny Chłopcze! - powiedziała. - Wyplukałam już twoją truciznę. Moja moc rośnie i mam ochotę na więcej.

Artemis nie angażował się w rozmowę. Całej zręczności i refleksu potrzebował teraz do pilotowania cenny.

Opal ponownie uderzyła w prawe skrzydło. Grzmotnęła przedramionami w baterie słoneczne, tłukąc je tak, jak dziecko tłucze tafle lodu w sadzawce. Ze złośliwą radością wywijając rękami, a drgające skrzydła zapewniały jej odpowiednią prędkość. Samolot trząsł się i zbaczał z kursu; Artemis musiał się szarpać z drążkiem, aby wyrównać lot.

Ona jest obłąkana, pomyślał. Kompletnie obłąkana.

I:

Te baterie są jedyne w swoim rodzaju. I ona śmie nazywać siebie naukowcem?

Opal podreptała po skrzydłach, po czym opancerzoną pięścią zaczęła okładać sam kadłub. Pękały kolejne baterie, w polimerze nad ramieniem Artemisa pojawiły się zaś małe wgniecenia w kształcie pięści. Pośród nich biegły cieniutkie pęknięcia, w których gwizdał wiatr.

W głośniku rozbrzmiewał głos Opal:

- Ląduj, Fowl. Ląduj, a może nie wrócę do rezydencji, kiedy już z tobą skończę. Ląduj! Ląduj!

Każdy okrzyk „ląduj” podkreślało kolejne uderzenie w kabinę. Szyba eksplodowała do wewnątrz; Artemisa obsypał grad ostrych kawałków pleksiglasu.

- Ląduj! Ląduj!

To ty masz towar, przypomniał sam sobie Artemis. A więc i władzę. Opal nie może sobie pozwolić na zabicie Jayjaya.

Wiatr smagał go po twarzy, a odczyty z przyrządów kompletnie nie miały sensu, chyba że Opal zakłócała ich pracę polem siłowym kombinezonu. Jednak Artemis wciąż miał szansę. Ten Fowl jeszcze nie stracił woli walki.

Skierował dziób ku ziemi i ostro skręcił w lewo. Opal dogoniła go bez trudu i dalej zrywała pasy z kadłuba. Była jak niszczycielski cień w gasnącym świetle zmierzchu.

Artemis czuł zapach morza.

Znajdował się za nisko. Za wcześnie.

Kolejne czerwone lampki na tablicy przyrządów. Źródło zasilania odcięte. Akumulatory uszkodzone. Wysokościomierz piszczał i terkotał.

Opal znajdowała się przy bocznej szybie. Artemis widział jej ząbki wyszczerzone w uśmiechu. Coś mówiła. Krzyczała. Jednak radio już nie działało. Pewnie to i lepiej.

Ona się barwi, jak nigdy w życiu, zrozumiał. Pełna radość.

Chłopak walczył ze sterami. Zacinające się kłapy stanowiły teraz najmniejszy z problemów. Gdyby Opal postanowiła urwać kilka kabli, utraciłby resztki panowania nad samolotem. Choć było na to zbyt wcześnie, Artemis wysunął trzykołowe podwozie. Jeśli

Koboi teraz uszkodzi mechanizm, koła powinny już pozostać w tej pozycji.

Złączeni, pikowali ku ziemi. Wróbel na grzbiecie orła. Opal głową w hełmie przebiła pleksiglasową szybę w drzwiach. Wciąż wykrzykiwała wewnątrz hełmu, opluwając osłonę. Wydawała rozkazy, których Artemis nie słyszał, a nie mógł poświęcić ani chwili na czytanie z ruchu warg. Widział czerwony blask magii w jej oczach, a z obłąkanej miny łatwo wnioskował, że straciła resztki poczytalności.

Wciąż krzyczała. Tłumiona przez osłonę. Artemis szydyczko wskazał wzrokiem radio, ciemne i martwe.

Opal dostrzegła to spojrzenie i podniosła osłonę. Zaczęła przekrzykiwać wiatr, zbyt niecierpliwa, żeby skorzystać z wbudowanego w hełm megafonu.

- Daj mi lemura, to cię oszczędzę - powiedziała mesmeryzującym głosem. - Masz moje...

Unikając jej spojrzenia, Artemis wyciągnął spod fotela wyrzutnię rac sygnałowych.

- Nie dajesz mi wyboru. Zmuszasz mnie, żebym cię zestrzelił - stwierdził chłodnym, zdecydowanym głosem.

To nie była groźba, tylko stwierdzenie faktu.

Opal potrafiła rozpoznać prawdę i na sekundę jej determinacja osłabła. Cofnęła się, jednak nie dość szybko, by Artemis nie zdążył wystrzelić racy prosto w jej hełm, a następnie zatrzaskać osłony.

Odpadła od cessäny, obracając się w powietrzu. Ciągnęła za sobą smugę czarnego dymu, a czerwone

iskry kłębiły się wokół jej głowy jak wściekłe osy. Uderzyła skrzydłem w skrzydło samolotu. Ani jedno, ani drugie nie wytrzymało kolizji. Odłamki baterii słonecznych zamigotały jak gwiazdny pył. Pióra z mechanizmu Opal wirując powoli, opadały ku ziemi. Samolot odchylił się w lewo, wyjąc jak ranne zwierzę.

Muszę lądować. Natychmiast.

Artemis nie czuł wyrzutów sumienia. Oparzenia od racy nie mogły na długo powstrzymać istoty o zdolnościach regeneracyjnych Opal. Magia już na pewno leczyła uszkodzenia skóry. W najlepszym razie chłopak zapewnił sobie kilka minut wytchnienia.

Gdy Opal wróci, będzie szaleńczo wściekła. Autentycznie obłąkana. Może wtedy zacznie postępować bardziej lekkomyślnie.

Artemis uśmiechnął się ponuro. Przez moment znów stał się tym podstępny osobnikiem z dawnych lat, zanim Holly i matka zaraziły go irytującym kodeksem moralnym.

Dobrze. Mniej trafna ocena sytuacji może mi zapewnić przewagę, której potrzebuję.

Artemis wyrównał lot na tyle, na ile mógł, spowalniając tempo opadania. Wiatr bił go po twarzy i smażył skórę. Osłaniając oczy ramieniem, chłopak spojrział w dół przez rozmazaną mgłę wirującego śmigła.

Półwysep Hook Head wrzynał się w czarne morze niczym kamienny grot strzały. Na wschodnim łuku mrugała grupka świateł. To wioska Duncade, gdzie Butler oczekiwał niegdyś na powrót swego młodego

pracodawcy z Przedpiekla. Magiczna zatoczka kryła dawniej Hybras, wyspę demonów. Cała okolica była mocnym ośrodkiem magicznym, więc spektrometry SKR natychmiast by oszalały.

Granatowa noc zapadała szybko, dlatego odróżnienie ziemi twardej od miękkiej stanowiło problem. Artemis wiedział, że od Duncade do latarni morskiej na Hook Head biegnie łąka, ale teraz widział ją tylko raz na pięć sekund, kiedy szmaragdowy pas trawy błyskał w świetle z wieży.

Moje lądowisko, pomyślał chłopak.

Ustawił cessed na optymalnym w tych warunkach torze podejścia do lądowania. Samolot tracił wysokość gwałtownymi skokami, od których żołądek podchodził do gardła. Z dzioba i skrzydeł sypały się baterie słoneczne i ciągnęły smugą za maszyną.

Wciąż ani śladu Opal.

Jest w drodze, pomyślał. Nie ma nawet cienia wątpliwości.

Z każdym mignięciem zieleni ziemia była coraz bliżej.

Zbyt szybko. Podchodzę zbyt szybko. Latając w ten sposób, nigdy nie zdobędę legalnej licencji pilota.

Zacisnął zęby i mocno chwycił drążek. Zapowiadało się twarde lądowanie.

I rzeczywiście, choć nie aż tak, by łamać kości. Nie za pierwszym razem. Dopiero przy drugim uderzeniu o ziemię Artemis poleciał na tablicę przyrządów i usłyszał trzask lewego obojczyka. Przerazający dźwięk, od którego żółć podeszła mu do gardła.

Na razie żadnego bólu. Tylko chłód. To znaczy, że jestem w szoku.

Koła cesseny sunęły po wysokiej trawie, pokrytej morską pianą i bardziej śliskiej niż lód. Artemis skrzywił się, nie z powodu urazu, ale dlatego, że od tej pory jego przyszłość była w rękach losu. Nie miał nad nią kontroli. Opal przybędzie po Jayjaya, chłopak musiał zaś zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby odwrócić jej uwagę.

Świat zewnętrzny wciąż wdzierał się brutalnie w myśli Artemisa. Zastrzał przedniego koła obił się o ostry kamień i wreszcie pękł. Koło jeszcze przez kilka sekund toczyło się obok samolotu, a w końcu skreśliło i zniknęło w ciemności.

Po kolejnym uderzeniu cesseną opadła na dziób. Śmigło zaryło w ziemi, żłobiąc głębokie bruzdy. Przez dziury w przedniej szybie wpadały pęki trawy i bryły błota.

Artemis poczuł w ustach smak ziemi i pomyślał: *Nie rozumiem, o co Mierzwa robi tyle szumu. Mus z homarów to na pewno nie jest.*

Potem wydostał się z samolotu i zataczając się, ruszył w stronę skalistego brzegu. Nie wzywał pomocy, bo i tak nikt by się nie zjawił. Skały były czarne, zdradliwe i opuszczone. Morze głośnie, a wiatr wiał mocno. Nawet gdyby snop światła latarni wychwycił na niebie widok spadającego samolotu, minęłaby długa chwila, zanim nieuzbrojeni, niczego niepodejrzewający wieśniacy przybyliby na ratunek. Wtedy byłoby już za późno.

Artemis kuśtykał przed siebie. Lewe ramię wisało nisko. Zdrową dłoń przykrywał kosmatą główkę wystającą z przodu marynarki.

- Jeszcze tylko trochę - wydyszał.

Z wody, niczym zęby z dziąseł żującego tytoń, wystawała para iglic skalnych. Trzydziestometrowych kamiennych słupów, które opierały się niszczycielskiej sile wiatru i wody. Ponieważ wyglądały jak siostry, miejscowi nazywali je Zakonnicami. Od stóp do głów obleczone w habitę.

Zakonnice stanowiły w okolicy nie lada atrakcję. Od brzegu do Siostrzyczki i dalej do Przeoryszy biegly nad przepaścią solidne mosty linowe. Butler powiedział kiedyś Artemisowi, że na tej drugiej kolumnie spędził wiele samotnych nocy z noktowizorem w dłoni, wypatrując w morzu śladu Hybras.

Artemis wszedł na pierwszy odcinek mostu. Pod jego stopami lekko zaskrzypiał i zafalował, jednak trzymał się mocno. Między deskami chłopiec daleko w dole widział morze. Płaskie skały przebijały się przez taflę jak grzyby przez glinę. Na jednym z kamieni leżały zwłoki jakiegoś nieszczęsnego psa - groźne ostrzeżenie przed tym, co się może stać, jeśli ktoś straci równowagę na Zakonnicach.

Idę prosto w ślepy zaułek, pomyślał Artemis. Kiedy dotrę na drugą kolumnę, pozostanie tylko droga w dół.

Jednak nie było innego wyjścia. Szybko zerknął przez ramię, by upewnić się, że Opal się zbliża. Żeby ją zobaczyć, nie potrzebował nawet okularów pozwalających widzieć przez tarczę. Chochliczka nie miała tyle

mocy, by marnować ją na niewidzialność. Krokiem zombie maszerowała przez łąkę z pięściami zaciśniętymi w dwie kule. Jej twarz wewnątrz hełmu oświetlał czerwony blask magii. Miała rozpostarte skrzydła, były one jednak podarte i sponiewierane. Nigdzie już na nich nie odleci. Jedyne, co mogło teraz uratować Opal, to moc Jayjaya. Jeśli wkrótce nie wstrzyknie sobie jego płynu mózgowego, przybędzie SKR i ochroni zagrożonego lemura.

Artemis szedł przez most, uważając, by dyndającym ramieniem nie uderzyć o poręcz. Ogólnie niezbyt cierpiał, ale każdy krok powodował wybuch obezwładniającego bólu w górnej części klatki piersiowej.

Zajmij ją jeszcze na chwilę. Potem na pewno przybędzie kawaleria. Uskrzydłona, niewidzialna kawaleria. Nie zostawiliby mnie, prawda?

- Fowl! - rozległ się wrzask za jego plecami. Bliżej, niż przypuszczał. - Daj mi tę małpę!

Głos ciężki był od zmarnowanej magii. Brak kontaktu wzrokowego. Brak mesmeryzacji.

Małpę, pomyślał Artemis z uśmiechem. Ha, ha.

Naprzód, przez otchłań. Ciemność na górze i na dole. Kropki gwiazd na niebie i w morzu. Fale warczały jak tygrysy. Były głodne.

Artemis pokuśtykał w stronę pierwszej Zakonnicy. Siostrzyczki. Gdy stanął na wyrobionej, zdradliwej powierzchni skały, poślizgnęła mu się noga i zakręcił się na szczycie jak baletmistrz z niewidzialną partnerką.

Usłyszał wrzask Opal. Śmierć Jayjaya byłaby dla niej katastrofą. Utknęłaby w tym czasie, pozbawiona mocy i z całym SKR na karku.

Artemis nie oglądał się, chociaż bardzo pragnął. Słyszał, jak Koboï ze stukotem idzie po deskach, klnąc co krok. Słowa wypowiedane jej dziecinnym głosem chochlika brzmiały niemal komicznie.

Mógł iść tylko naprzód. Niemal przewrócił się na drugi odcinek mostu. Przeciągał się wzdłuż sznurowej poręczy, aż wreszcie dotarł na szczyt Przeoryszy. Miejscowi mówili, że jeśli o wschodzie słońca stanąć w odpowiednim miejscu na brzegu i lekko zmrużyć oczy, można dostrzec surowe rysy jej twarzy.

Teraz skała wydawała się bardzo surowa. Ponura i bezlitosna. Nie wybaczyłaby nawet jednego fałszywego kroku.

Artemis upadł na kolana na wypukłej powierzchni, prawą dłońią przytrzymując lewy łokieć.

Wkrótce pokona mnie szok i ból. Ale jeszcze nie teraz, geniuszu. Skup się.

Chłopak zerknął w dół, na wcięcie marynarki. Kosmatej głowy nie było.

Zgubiłem ją na Siostrzyczce. Czeka na Opal.

Fakt ten potwierdził nagły, pełen zachwyty wrzask zza pleców Artemisa. Chłopiec powoli, z wielkim wysiłkiem obrócił się, by spojrzeć na swego wroga. Miał wrażenie, że walczy z nią od zawsze.

Chochliczka niemalże tańczyła z radości na szczycie skały. Artemis widział małą, kudłatą postać rozciągniętą na kamieniu.

- Mam go - zarechotała Opal. - Przy całym twoim geniuszu! Przy tym twoim wielgachnym mózgu! Upuściłeś go! Po prostu go upuściłeś!

Artemis czuł, jak coraz silniej pulsuje mu ramię. Za minutę zrobi się dużo gorzej, był tego pewien.

Opal wyciągnęła obie dłonie w stronę zdobyczy.

- Jest mój - rzekła z nabożną czcią, Artemis mógłby zaś przysiąc, że w oddali usłyszał huk gromu. - Najpotężniejsza magia jest moja. Mam lemura.

Artemis odezwał się donośnym głosem, aby jego słowa dotarły na drugą stronę przepaści.

- To nie lemur - powiedział. - To małpa.

Opal zamarła z obnażonym w uśmiechu rządkiem malutkich ząbków. Złapała to, co uważała za Jayjaya. Było miękkie.

- Zabawka! - wykrztusiła. - To jest zabawka.

Ból i wyczerpanie tłumili poczucie triumfu Artemisa.

- Opal, przedstawiam ci Profesora Naczelnego, towarzysza zabaw mojego brata.

- Zabawka - powtórzyła Koboï z przygnębieniem.

- Ale przecież były dwa źródła ciepła. Sama widziałam.

- Podgrzewany woreczek żelowy włożony w piankę - wyjaśnił Artemis. - To koniec. W tej chwili Jayjay jest już w Oazie. Nie zdobędziesz go. Poddaj się, a nie będę musiał zrobić ci krzywdy.

Twarz Opal wykrzywiła się w grymasie gniewu.

- Zrobić mi krzywdy? Mnie zrobić krzywdy?

Zaczęła raz za razem łomotać pluszową małąką o powierzchnię skały, aż wypadł z niej poobijany mechanizm. Z głośnika rozległ się metaliczny głos:

- Ten dzień przejdzie do historii... Ten dzień przejdzie...

Opal wrzasnęła. Wokół koniuszków jej palców zapłonęły czerwone iskry.

- Nie mogę latać i nie mogę wystrzeliwać błyskawic, ale mam dostatecznie dużo mocy, żeby ugotować ci mózg.

Jej marzenia o najwyższej potędze poszły w zapomnienie. W tej chwili chciała jedynie zabić Artemisa Fowla. Weszła na drugi odcinek mostu z żądzą mordy w oczach.

Znużony Artemis sięgnął do kieszeni.

- Twój pancerz powinien cię ochronić - powiedział spokojnym głosem. - To będzie przerażające, ale SKR cię odkopie.

- Znowu sztuczki taktyczne - zadrwiła Opal. - Blefujesz i blefujesz. Nie tym razem, Artemisie.

- Nie zmuszaj mnie do tego - prosił Artemis. - Usiądź i poczekaj na SKR. Nikt nie musi ucierpieć.

- Oj, myślę, że ktoś jednak musi - odparła Kobi.

Artemis wyjął z kieszeni zmodyfikowany wskaźnik laserowy, włączył wąski promień i wycelował go w podstawę Siostrzyczki.

- Co chcesz zrobić przy pomocy tej zabawki? Sto lat zajęłoby ci przepiłowanie tej skały.

- Nie mam zamiaru jej przepiłować - odparł Artemis, utrzymując promień bez ruchu. - A poza tym to nie jest skała.

Opal uniosła dłonie. Iskry oplatały jej palce niczym druty kolczaste.

Koniec gadania.

Promień lasera wbił się głęboko w podstawę Siostrzyczki. W końcu przebił zewnętrzną skorupę i dotarł do dużego złoża metanu.

Siostrzyczka nie była skałą. Tylko siódmym krakenem, którego przyciągnęło tutaj magiczne echo Hybras. Nawet Ogierek nie wiedział o jego obecności.

Wybuch był ogromny. W powietrze wystrzeliła piętnastometrowa kolumna ognia. Zewnętrzna skorupa zapadła się pod Opal, wciągając ją w lawinę odłamków.

Artemis usłyszał głuchy brzęk skafandra SKR, który napinał się, żeby zamortyzować wstrząs.

Pancerz Ogierka powinien ją ochronić.

Chłopiec rzucił się płasko na skałę. Musiał przetrwać deszcz kamieni, wodorostów, a nawet ryb, który opadał na jego plecy i nogi.

Tylko szczęście może mnie teraz uratować. Tylko szczęście.

I uratowało go. W szczyt iglicy uderzyło kilka pocisków słusznych rozmiarów, ale żaden z nich nie trafił Artemisa. Chłopak został obsypany mniejszymi odłamkami, do listy urazów musiał dodać setkę siniaków i ran, ale nie złamał ani jednej kości.

Kiedy cały świat przestał wibrować, Artemis poczołgał się do krawędzi i spojrzał w dół na bulgoczą-

ce morze. W miejscu, gdzie wcześniej znajdował się kraken, teraz lekko dymiła piramida kamieni. W tej chwili wielka bestia odpływała po cichu na poszukiwania innego magicznego miejsca. Po Opal nie było śladu.

SKR ją znajdzie.

Artemis obrócił się na plecy i popatrzył w gwiazdy. Często to robił, zazwyczaj zastanawiając się, jak mógłby dotrzeć do planet, które krążyły wokół tych punkcików światła, a także co by tam znalazł. Tym razem widok gwiazd sprawił jedynie, że chłopiec poczuł się mały i nieistotny. Natura jest wielka i potężna. W końcu pochłonie go, a nawet wszelką pamięć o nim. Leżał na płaskiej skale, zmarznięty, samotny, oczekując na uczucie triumfu, które – już to wiedział – miało nigdy nie nadejść, oraz wsłuchując się w odległe głosy wieśniaków zbliżających się przez długą łąkę.

Holly przybyła jeszcze przed mieszkańcami wioski. Nadleciała z północy i bezgłośnie wylądowała na iglicy.

- Ty latasz – powiedział Artemis, jak gdyby widział to po raz pierwszy.

- Pożyczyłam skafander od jednego z ochroniarzy Numeru Jeden. To znaczy „pożyczyłam”...

- Jak mnie znalazłaś? – spytał chłopiec, chociaż się domyślał.

- No cóż, zobaczyłam wielką eksplozję i pomyślałam sobie: Czyja to może być robota?

- Hm – rzekł Artemis. – Chyba mnie to zdradziło.

- Poza tym podążylaam za śladem promieniowania mojego starego skafandra. Wciaż go namierzam.
- Holly dotknęła palcem osłony hełmu, zmieniając filtr. - Niezłą stertę kamieni zrzuciłeś na Opal. Odkopanie zajmie zespołowi Odzysku dłuższą chwilę. Ona tam klnie jak krasnal w tunelu. Coś ty jej zrobił?

- Siódmy kraken - wyjaśnił Artemis. - Ten, którego przeoczył Ogierek, zapewne dlatego że był rurkowy, a nie stożkowy. Namierzyłem go na satelicie meteorologicznym.

Holly palcem dotknęła czoła chłopca.

- Cały Artemis Fowl. Stłuczony na kwaśne jabłko, a jeszcze wygłasza wykład.

Z palca Holly wystrzeliły magiczne iskry, które oplotły Artemisa jak kokon. Czuł się spokojny i bezpieczny jak dziecko w beciku. Zniknął ból, strzaskana kość obojczyka stopiła się, a następnie zrosła w jedną całość.

- Niezła sztuczka - rzekł Artemis z uśmiechem. Oczy miał szkliste.

- Do usług - odparła Holly, odwzajemniając uśmiech. - Numer Jeden napełnił mój zbiornik.

Artemis podniósł wzrok i popatrzył na przyjaciółkę przez czerwoną mgielkę.

- Holly, przepraszam, że cię okłamałem. Naprawdę mi przykro. Tak dużo dla mnie zrobiłaś.

Spojrzenie jej oczu było chłodne.

- Może podjąłeś błędną decyzję, może sama zdecydowałamabym się na taki krok. Pochodzimy z odmiennych światów, Artemisie. Zawsze będziemy mie-

li wobec siebie wątpliwości. Patrzmy w przód i niech przeszłość pozostanie za nami, tam gdzie jej miejsce.

Artemis skinął głową. Lepszego rozwiązania nie mógł się już spodziewać, a zresztą zasługiwał na gorsze.

Holly wyciągnęła postronek zza pasa i przewiązała go pod ramionami chłopca.

- A teraz wracajmy do domu, zanim wieśniacy zaczną budować szubienicę.

- Dobry pomysł - wymamrotał Artemis, otumiony po magicznym leczeniu.

- Owszem, może cię zaskoczę, ale inni też je czasami miewają.

- Czasami - zgodził się chłopak, a potem głowa mu opadła i zasnął.

Holly skorygowała ustawienie skrzydeł, biorąc poprawkę na dodatkowe obciążenie, po czym odlecieli z krawędzi kamiennego słupa. Wróżka utrzymywała niedużą wysokość, aby uniknąć promieni latarek tujejszych mieszkańców, które badały nocne niebo jak szperacze.

Podczas lotu Ogierek dostroił się do częstotliwości hełmu Holly.

- Zgaduję, że to siódmy kraken. Oczywiście miałem pewne podejrzenia... - Zawiesił głos. - Nadarza się dogodna okazja, żeby wymazać Artemisowi pamięć - powiedział. - Uniknęlibyśmy kłopotów na przyszłość.

- Ogierku! - zawołała oburzona Holly. - Nie wymazujemy pamięci przyjaciółom. Artemis sprowadził nam Jayjaya. Kto wie, ile lekarstw kryje się w mózgu tego lemura.

- Żartuję, żartuję. A właśnie, nie zgadniesz. Nie będziemy musieli prosić Jayjaya o płyn mózgowy. Numer Jeden zsyntetyzował go, czekając na wahadłowiec. Ten dzieciak jest wyjątkowy.

- Ostatnio mam do takich szczęście. Na marginesie, musimy wysłać zespół po Opal.

- Jest już w drodze. Jak wrócisz, wydział dyscyplinarny chyba znów ci zmyje głowę.

Holly parsknęła.

- Też mi nowina.

Ogierek zamilkł w oczekiwaniu, że przyjaciółka opowie mu o swoich przygodach. W końcu stracił cierpliwość.

- Dobra, wygrałaś. Zapytam. Co się wtedy działo, osiem lat temu? Bogowie, to musiało być istne piekło.

Holly poczuła mrowienie ust, którymi pocałowała Artemisa.

- Nic. Nic się nie stało. Przybyliśmy, zabraliśmy lemurę, wróciliśmy. Parę drobnych utrudnień, ale oczywiście nic, z czym byśmy sobie nie poradzieli.

Ogierek nie naciskał. Wiedział, że Holly sama mu powie, kiedy sobie wszystko poukłada.

- Nie myślisz czasem, że miło byłoby iść do pracy, a potem po prostu wrócić do domu? Bez żadnych katastrof?

Holly patrzyła na przemykający pod nią ocean. Czuła ciężar Artemisa Fowla w ramionach.

- Nie - odparła. - Nigdy tak nie myślę.



ZESPÓŁ FRYZJERÓW

Niecałą godzinę później wylądowali w posiadłości Dworu Fowlów. Artemis obudził się w momencie, gdy pięty Holly właśnie uderzyły o żwir. Jego umysł od razu pracował na pełnych obrotach.

- Magia to wspaniała sprawa - stwierdził, wymachując lewym ramieniem.

- Trzeba było pilnować swojej - zripostowała Holly.

- Jak na ironię, gdybym nie spróbował uleczyć matki, Opal pozwoliłaby jej wyzdrowieć. To właśnie dzięki mojej podróży do przeszłości mogła zrealizować plan, który zaczęła wcielać w życie, podążając za nami do przyszłości.

- Wolałam, jak spałeś - odparła wróżka, chowając postronek. - Mniej mnie bolała głowa.

- To ten wielki paradoks czasu. Gdybym nic nie robił, wtedy nie byłoby potrzeby robić czegokolwiek.

Holly dotknęła hełmu.

- Połączę się z Ogierkiem. Wy dwaj moglibyście mówić jednocześnie.

Lampy w ogrodzie rzucały miękką poświatę na żwir, sprawiając, że kamyki lśniły jak klejnoty. Strzeżone, wiecznie zielone drzewa kołysały się w podmuchach wietrzyka i ożywały, szeleszcząc. Zupełnie jak u Tolkiena.

Artemis obserwował Holly maszerującą ku głównemu wejściu.

Szkoda, pomyślał. Szkoda.

Numer Jeden siedział na schodkach, otoczony oddziałem funkcjonariuszy SKR, uzbrojonych po zęby w najnowszy sprzęt. Artemis wiedział, że w karabinach zakodowano jego DNA, więc wystarczyło, że wybiorą z listy jego ikonę, a nie będzie ucieczki. Jayjay owinął się wokół czubka głowy demona i wyglądał jak czapa myśliwego. Najwyraźniej było mu tam wygodnie. Ożywił się, widząc Artemisa, i skoczył chłopcu w ramiona. Tuzin karabinów zapikał w jednej chwili i Artemis domyślił się, że funkcjonariusze wybierają jego ikonę.

- Witaj, malutki. Jak ci się podoba terażniejszość?

Numer Jeden odpowiedział za lemura:

- Podoba mu się. Szczególnie odkąd się okazało, że nikt mu nie będzie wbijał igły w czaszkę.

Artemis kiwnął głową.

- Zdublikowałeś płyn. Przypuszczałem, że będzie taka możliwość. Gdzie doktor Schalke?

- Kiedy odleciała Opal, padł. Butler umieścił go w pokoju gościnnym.

- A Artemis junior?

- Formalnie rzecz biorąc, to ty jesteś Artemis junior - odparł Numer Jeden. - Ale rozumiem, o co chciałeś mnie zapytać. Młodsza wersja ciebie została przetransportowana do swojego czasu. Wysłałem tam kapitana Odzysku, a sam zostałem jako znacznik. Uznałem, że pewnie chciałbyś się go jak najszybciej pozbyć, biorąc pod uwagę, że w drodze do domu są twój ojciec i bracia.

Artemis podrapał Jayjaya pod brodą.

- Mogło się to okazać niezręczne.

Holly była zaniepokojona.

- Wiem, obiecaliśmy, że nie wydamy mu pamięci, ale niezbyt mnie cieszy świadomość, że biega tam sobie mały Fowl z pełną wiedzą o wrózkach w tej swojej pokrętnej łepetynie.

Artemis uniósł brew.

- Pokrętnej łepetynie? Urocze.

- Sam sobie zasłużyłeś...

Numer Jeden nieco zbladł. Napiął ogon, podnosząc kanciasty zadek ze schodków.

- No właśnie, jeśli chodzi o tę obietnicę niewymazywania pamięci... Rzecz w tym, że nikt mi o niej nie powiedział.

Holly wbiła wzrok w demona.

- Więc go oczyściłeś?

Numer Jeden kiwnął głową.

- I Schalkego też. Poza tym w gałkach ocznych Artemisa zostawiłem szczątkowy czar, tak że zadziała i na Butlera. Nic szczególnego, zwykła utrata pamięci. Ich umysły wypełnią luki, wytwarzając wiarygodne wspomnienia.

Holly się wzdrygnęła.

- Zostawiłeś mu czar w gałkach ocznych. To obrzydliwe.

- Obrzydliwe, ale genialne – odezwał się Artemis.

Elficzka była zaskoczona.

- Nie wyglądasz na szczególnie oburzonego. Oczekiwałam przemowy. Przewracania oczami, machania rękami, całego tego Fowlowskiego przedstawienia.

Artemis wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że tak będzie. Niczego nie pamiętałem, co oznaczało, że ktoś mi oczyścił pamięć, a zatem musieliśmy wygrać.

- Cały czas wiedziałeś.

- Nie wiedziałem tylko jakim kosztem.

Numer Jeden odetchnął.

- Czyli jestem rozgrzeszony, jak mówicie wy, ludzie?

- Zdecydowanie – odparła Holly i poklepała go po ramieniu. - Od razu mi lepiej.

- Jest też pomyślna wiadomość: wzmocniłem twoją strukturę atomów. Była trochę nadszarpnięta przez strumień czasu. Zadziwiająco, że wciąż jesteś w jednym kawałku. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak mocno musiałeś się koncentrować.

- No cóż, to prawda, że wzmocniłeś moje atomy, a teraz muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę – po-

wiedział Artemis. – Chciałbym, żebyś wysłał w przeszłość liścik.

– Kazano mi więcej nie otwierać strumienia czasu, ale może uda nam się coś jeszcze przepchnąć – rzekł Numer Jeden.

Artemis kiwnął głową.

– Tak myślałem.

– Dokąd i w jaki czas?

– Holly wie. Możecie to zrobić z Tary.

– Jak się pisze „oszałamiający”? – spytała elficzka z uśmiechem.

Artemis zrobił krok w tył i zadarł głowę, żeby spojrzeć na okno pokoju rodziców. Jayjay zrobił to samo; wdrapał się na ramiona chłopca i odchylił malutką główkę.

– Boję się iść na górę, nie wiem czemu.

Zauważył, że nerwowo porusza palcami, więc wepchnął obie dłonie do kieszeni marynarki.

– Przez co ona musiała przejść, i to wszystko dlatego, że się wmieszałem. Co ona...

– Nie zapominaj o nas – wtrącił Numer Jeden. – Wyładowaliśmy w beczce ze smalcem. Nie masz pojęcia, jakie to obrzydliwe. W porównaniu z czymś takim czary w gałkach ocznych to kwintesencja dobrego smaku.

– A ja się zmieniłam w nastolatkę – dodała Holly, puszczając oko do Artemisa. – To dopiero było obrzydliwe.

Chłopiec zdobył się na wymuszony uśmiech.

– O dziwo, te wasze wyrzuty wcale mi nie poprawiają samopoczucia. Karabiny na DNA też nie pomagają.

Holly dała znak oddziałowi SKR, żeby złożył broń. Potem lekko przechyliła głowę, otrzymawszy wiadomość.

- Zbliża się śmigłowiec. Twój ojciec. Musimy lecieć. Numer Jeden pokiwał palcem.

- I to nie jest tylko figura retoryczna. Naprawdę musimy lecieć. Wiem, że ludzie używają tego wyrażenia, kiedy w rzeczywistości nie zamierzają latać, więc żeby uniknąć nieporozumienia...

- Numerze Jeden, zrozumiałem - rzekł Artemis cicho.

Holly uniosła ramię, na które wskoczył Jayjay.

- U nas będzie bezpieczniejszy.

- Wiem.

Artemis obrócił się do Holly i spojrzał jej w oczy. Jedno niebieskie, drugie orzechowe.

- Może gdyby to był inny czas - powiedziała i pocałowała go w policzek.

Chłopiec był już u drzwi, kiedy Holly go zawołała.

- Wiesz co, Fowl? Naprawdę zrobiłeś coś dobrego. Bezinteresownie. Nie dla zysku.

Artemis się skrzywił.

- Wiem. Jestem zdegustowany.

Spojrzał na swoje stopy, układając w myślach celną uwagę, ale kiedy znów podniósł wzrok, aleja była pusta.

- Do widzenia, przyjaciele - powiedział. - Opiekujcie się Jayjayem.

Gdy Artemis dotarł do sypialni matki, w oddali słyszał już łopot śmigieł helikoptera. Miał się z czego tłumaczyć, ale przeczuwał, że Artemis senior nie będzie wymagał szczegółów, kiedy zobaczy Angelinę w dobrym zdrowiu.

Chłopiec rozprostował palce, zbierając się na odwagę, po czym wszedł do pokoju. Łóżko było puste. Matka stała przy toalecie i rozpaczała nad stanem swej fryzury.

- Ojejku, Arty - powiedziała z udawanym przeżeniem, widząc syna w lustrze. - Spójrz na mnie. Natychmiast będę musiała sprowadzić z Londynu zespół fryzjerów.

- Wyglądasz dobrze, mamó. Wspaniale.

Angelina przeczesała swe długie włosy grzebieniem z masy perłowej. Z każdym ruchem nabierały dawnego blasku.

- Zważywszy na to, przez co przeszłam.

- Tak. Byłaś chora. Ale teraz już jest lepiej.

Angelina obróciła się na stołku i wyciągnęła ramię.

- Chodź tu do mnie, mój bohaterze. Przytul się do mamy.

Artemis z radością wykonał polecenie.

Coś mu przyszło do głowy. Bohaterze? Dlaczego nazwała go bohaterem?

Ofiary mesmeryzacji zwykle nie pamiętają, co je spotkało. Jednak Butler dokładnie wiedział, co zrobiła mu Opal, opisał nawet to doświadczenie Artemisowi. Ale co z matką?

Angelina mocno go ścisnęła.

- Tak dużo dla mnie zrobiłeś, Arty. Wszystkim ryzykowałeś.

Łopot śmigieł był już głośny, brzęczały od niego szyby. Ojciec wrócił do domu.

- Nie zrobiłem zbyt wiele, mamusiu. To, co każdy syn zrobiłby na moim miejscu.

Kobieta dłonią przytuliła jego głowę. Czuł na policzku jej łzy.

- Arty, wiem wszystko. Ta istota zostawiła mi swoje wspomnienia. Próbowałam z nią walczyć, ale była zbyt silna.

- Jaka istota, mamó? To przez gorączkę. Po prostu miałas halucynacje.

Angelina odsunęła Artemisa na wyciągnięcie ręki.

- Znalazłam się w piekle umysłu chorej chochliczki, Artemisie. Nie waż się kłamać i mówić mi, że tak nie było. Widziałam, jak twoi przyjaciele o mało nie zginęli, żeby ci pomóc. Widziałam, jak Butlerowi stanęło serce. Widziałam, jak nas wszystkich uratowałeś. Spójrz mi w oczy i powiedz, że te rzeczy nie miały miejsca.

Artemis stwierdził, że trudno mu spojrzeć matce w oczy, a gdy się to udało, nie potrafił kłamać.

- Miały miejsce. Wszystkie. I o wiele więcej.

Angelina zmarszczyła czoło.

- Masz brązowe oko. Dlaczego tego nie zauważyłam?

- Rzuciłem na ciebie czar - powiedział Artemis załośnie.

- A na ojca?

- Na niego też.

Na dole z hukiem otworzyły się drzwi. Rozległy się szybkie kroki taty, który przemknął przez hol i wpadł na schody.

- Uratowałeś mnie, Artemisie - powiedziała pospiesznie matka. - Ale mam wrażenie, że w jakiś sposób to przez te twoje czary znaleźliśmy się w tej sytuacji. Dlatego chcę wiedzieć wszystko. Wszystko. Rozumiesz?

Artemis skinął głową. Nie było ucieczki. Znalazł się w ślepych zaułku, a jedyne wyjście to absolutna szczerłość.

- Teraz damy twojemu ojcu i bliźniakom trochę czasu, żeby mnie uściskali i wycelowali, a potem ty i ja sobie porozmawiamy. To będzie nasza tajemnica. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Artemis usiadł na łóżku. Czuł się tak, jakby znów miał sześć lat, jak wtedy, gdy przyłapano go na włamywaniu się do szkolnych komputerów, kiedy chciał zwiększyć trudność pytań na sprawdzianie.

Ojciec był już na półpiętrze. Chłopiec wiedział, że tego dnia kończy się jego tajne życie. Gdy tylko zostanie sam na sam z matką, będzie się musiał wytłumaczyć. Zaczynając od samego początku. Opowie o porwaniach, powstaniach, podróżach w czasie i przewrocie goblinów. O wszystkim.

Absolutna uczciwość, pomyślał.

Artemis Fowl aż się wzdrygnął.

Kilka godzin później główna sypialnia została do-
szczerńnię odmieniona przez tornado znane jako Be-
ckett Fowl. Na nocnym stoliku leżały pudełka po
pizzy, na ścianie widniały malowidła wykonane pa-
luchami umazanymi w sosie pomidorowym. Beckett
zdzjął ubranie i przebrał się w koszulkę ojca, którą
przewiązał w pasie. Tuszem do rżęs narysował sobie
wąsy, szminką blizny i obecnie fechtował się z niewi-
dzialnym wrogiem, zamiast miecza używając jednej z
starych protez ojca.

Artemis właśnie kończył objaśniać szczegóły cu-
downego ozdrowienia matki.

- A wtedy zorientowałem się, że mama jakimś cu-
dem zaraziła się gorączką Glovera, która zwykle wy-
stępuje tylko na Madagaskarze. Wobec tego zsyn-
tetyzowałem naturalne lekarstwo stosowane przez
miejscowych i podałem je mamie. Pomogło natych-
miast.

Beckett zauważył, że Artemis przestał mówić i tea-
tralnie odetchnął z ulgą. Przejechał na niewidzialnym
koniu przez cały pokój i szturchnął Mylesa protezą.

- Dobra bajka? - spytał bliźniaka.

Myles szsedł z łóżka i przyłożył usta do ucha Be-
cketta.

- Artemis pół-główka - szepnął.

EPÍLOG

Hook Head, Irlandia

Komendant Kłopot Wodorost sam kierował zespołem Odzysku mającym odkopać Opal Kobi. Wokół miejsca operacji rozpostarli bańkę zniekształcającą, żeby móc odpalić lasery wahadłowca bez obawy, że zostaną zauważeni.

- Pospiesz się, Czubek - polecił Kłopot na otwartym kanale. - Mamy tylko godzinę do wschodu słońca. Wyciągnijmy stamtąd tę megalomankę i wyślijmy ją z powrotem do jej czasu.

Mieli szczęście, że w ich zespole był krasnal. Przedstawiciele tej rasy zwykle bardzo niechętnie współpracują z władzami, ten jednak zgodził się pomagać, o ile nie będzie zmuszony pracować w żadne z mniej więcej stu dziewięćdziesięciu krasnoludzkich świąt oraz jeśli SKR przystanie na jego wygórowaną stawkę konsultanta.

W sytuacji takiej jak obecna krasnale były niezastąpione. Jak żaden inny gatunek umiały pracować z gruzem. Jeśli chciało się odkopać kogoś żywego, należało to powierzyć właśnie krasnalom. Wystarczyło, że powiodły włosami brody po powierzchni, a potrafiły powiedzieć o tym, co się dzieje pod spodem, więcej niż jakikolwiek sprzęt sejsmiczny czy geologiczny.

W tej chwili, dzięki kamerze zamontowanej w hełmie krasnala, Kłopot obserwował, jak Czubek Łańcuch przebija się przez pozostałości po krakenie. Przez filtr noktowizyjny ręce krasnala wydawały się nieco bledsze niż zwykle. Jedną dłoń kierowała dyszą pianki wzmacniającej, która pokrywała ściany tunelu w newralgicznych miejscach, drugą zaś Czubek sięgnął pod brodę, żeby z powrotem włożyć szczękę na zawiasy.

- Dobrze... komendancie - powiedział to tak, że stopień Kłopotu zabrzmiał jak wyzwisko. - Dotarłem na miejsce. To cud, że wciąż żyję. Wszystko jest równie stabilne jak domek z kart w trakcie huraganu.

- Świetnie, nieważne. Czubek, jesteś wielki. Teraz ją stamtąd wyciągnij i wracamy pod ziemię. Pewna kapitan czeka aż przywołam ją do porządku.

- Bez nerw, komendancie. Odbiór z nadajnika jasny i wyraźny.

Kłopot zakipiał w duchu. Może nie tylko Holly Niedużą trzeba będzie przywoływać do porządku.

Obserwował przekaz z kamery. Czubek odgarniał kamienie, wodorosty i fragmenty skorupy, które przysypały skafander Holly. Tylko że tam nie było skafandra. Jedynie hełm z migającym nadajnikiem.

- Tyle się naharowałem dla jakiegoś hełmu? - odezwał się poirytowany krasnal. - Tu żadnego chochlika ni ma, ino chochlikiem pachnie.

Kłopot wyprostował się w fotelu.

- Jesteś pewien? Może jesteś w złym miejscu.

Czubek parsknął.

- Jasne. Jasne, jestem przy tym drugim zakopanym SKR-owskim hełmie. Oczywiście, że jestem pewien.

Nie było jej. Opal zniknęła.

- Niemożliwe. Jakim cudem uciekła?

- Pojęcia nie mam - rzekł Czubek. - Może przecisnęła się przez naturalny tunel. Te chochliki to są śliskie bestie. Pamiętam, że raz, jak byłem brzdącem, to razem z moim kuzynem Korbą włamaliśmy się do...

Kłopot się rozłączył. Sprawa była poważna. Opal Koboi znalazła się na wolności. Nawiązał łączność wideo z Ogierkiem w Komendzie Policji.

- Niech zgadnę - powiedział centaur, przeciągając dłonią wzdłuż pociągłej twarzy.

- Nie ma jej. Zostawiła hełm, żeby nadajnik nas tu ściągnął. Czy jej skafander rejestruje ślady życia?

Ogierek zerknął na monitor.

- Pusto. Jeszcze pięć minut temu były wyraźne. Myślałem, że to awaria kombinezonu.

Kłopot nabrał powietrza.

- Ogłoś alarm. Najwyższy priorytet. Potroić straż przy naszej Opal Koboi. Byłoby dla niej typowe, gdyby próbowała się uwolnić.

Ogierek natychmiast wziął się do roboty. Jedna Opal Koboi o mało nie przejęła władzy nad światem. Dwie zapewne pokusiłyby się o całą galaktykę.

- I wezwij Holly - ciągnął komendant Wodorost.
- Poinformuj ją, że jej wolny weekend właśnie został odwołany.

Dwór Fowlów, niemal osiem lat wcześniej

Artemis Fowl obudził się we własnym łóżku i przez moment przed oczami tańczyły mu czerwone iskielki. Skrzyły się i migotały hipnotyzująco, zanim goniąc własne ogony, całkiem zniknęły.

Czerwone iskielki, pomyślał. Niezwykle. Widziałem już gwiazdy, ale nigdy iskielki.

Dziesięciolatek przeciągnął się, chwytając w garście koldrę. Nie wiedzieć czemu, czuł się bardziej zadowolony niż zwykle.

Czuję się szczęśliwy i bezpieczny.

Artemis gwałtownie usiadł na łóżku.

Szczęśliwy? Ja się czuję szczęśliwy?

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się szczęśliwy, odkąd zniknął jego ojciec, jednak tego poranka był w nastroju niemalże radosnym.

Może to ten interes z likwidacjonistami. Mój pierwszy duży zysk.

Nie. To nie to. Na myśl o tej transakcji Artemisa aż mdliło. Tak bardzo, że nie potrafił o niej myśleć i chy-

ba już nigdy nie zamierzał powracać we wspomnieniach do kilku minionych dni.

Cóż zatem mogło uzasadniać to optymistyczne samopoczucie? Coś, co mu się przyśniło. Plan. Nowy pomysł, który miał przynieść wystarczające zyski, żeby sfinansować setkę arktycznych ekspedycji.

Tak, to właśnie to. Sen. O czym on był?

Myśli uciekały. Obrazy już bledły.

Kącik ust Artemisa wykrzywił się w chytrym uśmiešku.

Wróżki. Coś związanego z wrózkami.

Koniec

Spis rzeczy

Prolog

7

Rozdział 1

Espresso i melasa

9

Rozdział 2

Największy na świecie

30

Rozdział 3

Echa magii

59

Rozdział 4

Małpi wujek

72

Rozdział 5

Ogłaszam was

92

Rozdział 6

Oko w oko

107

Rozdział 7

Rozmowa ze zwierzętami

131

<i>Rozdział 8</i>	
Kulka flegmy	
	179
<i>Rozdział 9</i>	
Żaba księciem	
	185
<i>Rozdział 10</i>	
Paskudny nastrój	
	200
<i>Rozdział 11</i>	
Gołębie odchody	
	215
<i>Rozdział 12</i>	
Unicestwienie	
	232
<i>Rozdział 13</i>	
Kudłaty nie żyje	
	291
<i>Rozdział 14</i>	
Dziurawy as	
	336
<i>Rozdział 15</i>	
Zbrodnia wielce Fowlowska	
	373
<i>Rozdział 16</i>	
Zespół fryzjerów	
	399
Epilog	
	409

Redaktor prowadzący: Natalia Sikora
Redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska
Korekta: Agnieszka Jezierska, Alicja Chylińska
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Marek Goebel
Fotografia autora © The O'Brien Press Ltd., Dublin, Ireland

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a
Druk i oprawa: Opolgraf S.A.
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 978-83-7414-660-9

4

Z recenzji książek o Artemisie:

Nawiązanie do klasyki powieści
policyjnych, cięte dialogi
i obrazy tak barwne
jak w najlepszym komiksie.

„Waterstones Books Quarterly”

Czysta przyjemność. Świetnie napisane.

„Sunday Times”

Jeśli chcecie wiedzieć,
w jaki sposób nastolatek wykiwał
najbardziej rozwiniętą cywilizację
na Ziemi (a właściwie pod ziemią),
nie czekajcie na specjalne zaproszenie,
tylko przeczytajcie tę książkę!

z recenzji czytelnika, książki.wp.pl

PATRONAT MEDIALNY

